

MAGDA
SZABÓ



Powiedzcie
Zsófiце...



M A G D A S Z A B Ó

POWIEDZCIE
Z S Ó F I C E...

Przełożył
ANDRZEJ SIEROSZEWSKI

C Z Y T E L N I K • 1 9 6 4

Tytuł oryginału węgierskiego
MONDJÁK MEG ZSÓFIKÁNAK

Obwolutę i okładkę projektowała
KRYSTYNA DWORAK

I

KONIEC POWIEŚCI

MINISTERSTWO KULTURY I OŚWIATY

1917/1957

Dot.: nominacji dr Marty Szabó
na stanowisko naczelnika
wydziału

W porozumieniu z Prezydium Rady Narodowej w m. st. Budapeszcie i Wydziałem Oświaty Dzielnicowej Rady Narodowej Budapeszt I, z dniem 15 sierpnia 1957 roku powołuję dr Martę Szabó, nauczycielkę żeńskiej szkoły podstawowej przy pl. Jánoşa Apáczai Csere, Budapeszt I, na stanowisko naczelnika Wydziału Psychologii Dziecka w Doświadczalnym Instytucie Pedagogicznym.

W związku z powyższym proszę dr Martę Szabó o zgłoszenie się do Doświadczalnego Instytutu Pedagogicznego celem złożenia przyrzeczenia i objęcia obowiązków służbowych.

Budapeszt, dnia 5 sierpnia 1957 r.

Wiceminister
Pál Kelemen

m. p.

PREZYDIUM RADY NARODOWEJ
W M. ST. BUDAPESZCIE

Nr. 1879-Sz-554/1957.
IX. a. W-1. O.

Dot.: przyjęcia i skierowania
do pracy na stanowisku
nauczycielki dr Judit
Nagy z d. Papp.

Prezydium Rady Narodowej w m. st. Budapeszcie po porozumieniu się z Departamentem Nauki Ministerstwa Kultury i Oświaty, z dniem 15 sierpnia 1957 roku przyjmuje w poczet pracowników Rady Narodowej m. st. Budapesztu i skierowuje do pracy na stanowisku nauczycielki w żeńskiej szkole podstawowej przy pl. Jánoša Apáczai Csere, Budapeszt I, dr Judit Nagy, która dotychczas zatrudniona była na stanowisku pracownika naukowego w Doświadczalnym Instytucie Pedagogicznym, podlegającym Ministerstwu Kultury i Oświaty. Dr Judit Nagy przyznaje się VII stopień służbowy grupy pedagogicznej nr 501 według kategorii terytorialnej A.

W związku z powyższym Prezydium Rady Narodowej m. st. Budapesztu prosi dr Judit Nagy o natychmiastowe zgłoszenie się w Wydziale Spraw Osobowych Dzielnicowej Rady Narodowej Budapeszt I i w nowym miejscu pracy.

Budapeszt, dnia 5 sierpnia 1957 r.

za zgodność
sekretarz:
(—) *János Szemer*

Za Prezydium
z-ca kierownika działu
w IX Wydziale Oświaty
Anna Etesi

DZIELNICOWA RADA NARODOWA BUDAPESZT I
WYDZIAŁ OŚWIATY JAKO WŁADZA OPIEKUŃCZA

957/Z/84
Ref.: Kuti

Dot.: zezwolenia na adopcję
małoletniej Dóry Gergely.

ORZECZENIE

Władza Opiekuńcza zezwala Istvánowi Pongráczeni, z zawodu woźnemu, wdowcowi, ur. 15 marca 1895 roku w Földes, komitat Hajdu-Bihar, zam. w Budapeszcie, pl. Apáczai Csere 8, na adopcję małoletniej Dóry Gergely, ur. 2 stycznia 1946 roku w Budapeszcie i zapisanej w księdze stanu cywilnego dzielnicy V pod liczbą porządkową 89.

W wyniku adopcji małoletnia Dóra Gergely nosić będzie nazwisko Pongrác.

Władza Opiekuńcza niniejszym odbiera rodzicom i dotychczasowemu opiekunowi małoletniej, Viktorii Vadász, prawo widywania się z małoletnią.

UZASADNIENIE

Prośbę o zezwolenie na adopcję wnieśli adoptujący i opiekun z ramienia Domu Dziecka.

Rodzice małoletniej, Károly Gergely, technik dentystryczny, i Vilma Horváth, dawniej Károlyowa Gergely, z domu Molnár, zrzekli się wszelkich praw do małoletniej. Dotychczasowy urzędowy opiekun mało-

letniej, Viktória Vadász, stracił prawa opiekuńcze do małoletniej.

Adoptacja małoletniej leży w interesie wyżej wymienionej, gdyż przybrany ojciec w większym stopniu niż którekolwiek z naturalnych rodziców potrafi jej zapewnić utrzymanie, właściwe wychowanie i ogólny rozwój.

Od powyższego orzeczenia zainteresowanym przysługuje prawo odwołania do Wydziału Oświaty w ciągu 15 dni od następnego dnia po otrzymaniu niniejszego pisma.

Do wiadomości otrzymują:

1. István Pongrácz
Budapeszt I, pl. Jánosa Apáczai Csere 8.
2. Károly Gergely,
Budapeszt VIII, ul. Barossa 19.
3. Vilma Horváth
Budapeszt III, ul. Szél 22
4. Viktória Vadász
Wiedeń XVIII, Schulgasse 45
5. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
Wydział do Spraw Komitatu Peszteńskiego
Inspektorat Urzędu Stanu Cywilnego Powiatu Peszteńskiego

Budapeszt, dnia 11 października 1957 r.

za zgodność:
János Felker

referent
Jenő Virág

II

POCZĄTEK POWIEŚCI

I

Mamusia przyprowadziła ją tu tego samego dnia, w którym nastąpiła zamiana mieszkania.

Gdy dotarły pod dom, już zapadał zmierzch. Mamusia pokazała jej okno na trzecim piętrze, przed którym Zsófica przed chwilą stała, i wyjaśniła rozkład nowego mieszkania. Zsófica, zamiast przyglądać się oknom, wpatrywała się w swoje buty i właściwie nie słuchała mamusi, ale ta nic nie zauważyła, zawsze, gdy coś tłumaczyła, bez reszty pochłonięta była własnymi słowami. „Twoje okno też wychodzi na ulicę — powiedziała — a meble ze stołowego jakoś upchniemy w hallu.” To rzekłszy mamusia wytarła nos, jej bowiem także niełatwo było pogodzić się z tym, co się stało, a schowawszy chusteczkę dodała jeszcze, ale już bardzo cichym głosem: „Jakoś to się ułoży.”

I ułożyło się. Już tu są, właśnie skończyła się przeprowadzka, mamusia nawet nie poszła dziś do Instytutu. Sporo pomogła im ciocia Kató, która siedziała w starym mieszkaniu, dopóki wszystkie skrzynki i meble nie zostały załadowane na ciężarówkę, a mamusia i Teri czekały na robotników w nowym mieszkaniu. Wyzbyły się wszelkich niepotrzebnych rzeczy, ciężarówka zabrała wszystko za jednym razem. Z powodu zamiany mieszkania sprzedam meble, ubrania męskie oraz wyposażenie gabinetu lekarskiego i poczekalni. Mamusia zapowiedziała Zsófice, że jeżeli ja-

kiś kupiec przyjdzie podczas jej i Teri nieobecności, niech zbiegnie po dozorcę, zawoła go i we dwoje pokażą wszystko, co tego kogoś zainteresuje. Ceny poszczególnych przedmiotów i mebli wypisała na kartce. Dziwiła się, że ludzie przychodzą tylko wtedy, kiedy ona lub Teri są w domu, a kiedy indziej — nie.

Oczywiście nie wiedziała, że Zsófiika ani razu nie otworzyła drzwi i nikogo do gabinetu nie wpuściła.

Zasłona, wisząca na drzwiach w przedpokoju, nie sięgała do samej ramy i od dołu można było zerkać na zewnątrz. Zsófiika zawsze widziała, kto dzwoni. Gdy za drzwiami stał ktoś obcy, szybko przykucała na podłodze i dopóty nie podnosiła się, dopóki kontury sylwetki nieznanego prześwitywały przez zasłonę. Kiedy zabierano gabinet, mamusia posłała ją do spółdzielni po chleb. Zsófiika załatwiła sprawunek, a potem usiadła na przystanku autobusowym po przeciwnej stronie ulicy i nie wstała dotąd, aż ostatni biały wieszak znikł jej z oczu. Przytuliła twarz do świeżego chleba — był ciepły, pachniał piekarnią. Mamusia krając go powiedziała, że ma wilgotną skórkę, na pewno mleko rozlało się na ładzie. Wieczorem zadzwoniła ciocia Kató, wprowadziła mamusia zamknęła drzwi od pustego już gabinetu, ale Zsófiika słyszała jej słowa: „Wydaje mi się, że wcale to jej tak bardzo nie przygnębiło. Niestety, jest dość obojętnym dzieckiem.”

„Zsófiika jest obojętną dziewczynką — pomyślała Zsófiika. — Zsófiika nie płakała na pogrzebie tatusia, Zsófiika bez żalu opuściła dawne mieszkanie. Zsófikę nic nie obchodzi.” Na dworze kropił letni deszczyk, asfalt lśnił, a drzewa, obrzeżające chodniki, jakby wyciągały się w górę z radości. Gabinet tatusia kupił wuj Balázs, bardzo źle się stało, ponieważ wuj Balázs jest ich dalekim krewnym i czasem go odwiedzają —

a nuż człowiek kiedyś przypadkiem zobaczy biurko tatusia oraz Tóbiása — czaszkę. Ciekawe, co za budynek stoi po tamtej stronie ulicy? W dawnym rejonie tatusia znała prawie wszystkie domy. To musi być jakiś gmach publiczny, tylko nie wiadomo jaki, bo napis zasłaniają korony wysokich drzew rosnących przed jego frontonem. W ogrodzie, otaczającym budynek, jest basen, na którego krawędzi siedzi jakaś rzeźbiona postać i gapi się w wodę. Sprzedały również Brunatną, tę głowę z marmuru, przyslaną przez Kressów na Gwiazdkę, ale jej nie szkoda, Zsófiika czuła do niej wstręt, gdyż zamiast włosów miała węże. Mamusia nigdy nie zauważyła, że Zsófi brzydzi się brunatnej rzeźby, ale tatuś wiedział o tym; gdy przychodziła do gabinetu, obwiązywał marmurową głowę ręcznikiem. Brunatna robiła wówczas przedziwne wrażenie: wlepiła w człowieka swe wielkie, pozbawione źrenic, kamienne oczy, a węzowe włosy miała przewiązane do tyłu niczym młoda mężatka.

A więc tu będą mieszkać. Gdy ktoś straci ojca, przenosi się do mniejszego mieszkania, sprzedaje zbędne rzeczy, zamieszcza ogłoszenie w gazecie i jeszcze w dniu pogrzebu zajmuje się zamianą mieszkania. Valika, która pracowała z tatusiem w ubezpieczalni, nie włożyła czarnego kapelusza, tak jak ciocia Kató, młodszą siostrą tatusia, nawet nie płakała, podczas całej ceremonii pogrzebowej przyglądała się wieńcom, lecz mimo to była strasznie smutna. Ciocia Kató, och, jak ona przeraźliwie krzyknęła na wiadomość o śmierci brata, ale ona prawie zawsze krzyczy. Mamusia nigdy nie krzyczy, tylko trochę popłacze, a potem weźmie człowieka za rękę i usiłuje wytłumaczyć, dlaczego coś stało się tak, jak się stało, jakie należy wyciągnąć wnioski i co przede wszystkim zrobić. Dóra nigdy nie płacze. Marianna bardzo rzadko. Mamusia roni

łyzy z powagą, dostojnie, bo mamusia pisze książki, jest pracownikiem naukowym. Mamusia jest bardzo mądra.

„Człowiek chory na serce — rzekła mamusia, a łyzy kapały jej z oczu — a szczególnie lekarz, który wie, czym choroba grozi, powinien rozsądniej żyć, nie zapracowywać się na śmierć, nie palić pięćdziesięciu papierosów dziennie i więcej myśleć o rodzinie. Teraz powinnaś naprawdę zabrać się do nauki, bo czeka nas cięższe życie.”

Zabrać do nauki?

Zsófiika odwróciła się od okna. Miała cudowny kącik do nauki, urządzony kiedyś przez mamusię z honorarium za jedną z książek. Na stoliku, połączonym z niewielką ławeczką, zapalało się lampę, w blacie stolika były osobne otwory na kałamarz i miseczkę do farb oraz specjalne wyżłobienia na ołówki i cyrkiel. Po jednej stronie żaluzja zasłaniała szuflady, po drugiej zaś chwyciło się za czerwony, kościany guzik i wyciągało je. Biurko było istnym cackiem. Zsófiika nienawidziła go.

Przypomina sobie, że pewnego razu odrobiła lekcje sumiennie i z ochotą, przez dwa dni nie była w szkole, więc musiała pójść do Takácsów i dowiedzieć się od Ewy, co zadane. Ewa uczyła się na stołku w kuchni, obitym z wierzchu ceratą przez panią Takács, a książki jej stały na trzech listwach, które pan Takács przybił do nóg stołka. Odrabiała arytmetykę siedząc na podnóżku, kuchenny stołek służył jej za stół. Zsófiika została u nich, przysunęła do stołka skrzynię od śmieci, usiadła na niej i bezbłędnie rozwiązała zadanie, a pod spodem narysowała rząd kwiatków — fiołki. Takácsowie jedli na obiad kluski z grysikiem, nie takim słodkim i ciągnącym się, jaki gotuje się z mlekiem. Zsófiika dostała cały talerz, wstydziła się poprosić o więcej, a jeszcze by zjadła.

Jak przykro musi być biednej mamusi, że jej córka *nie klapuje!*

To słowo pada często w szkole, na lekcjach arytmetyki. Jeśli zadanie jest dobrze rozwiązane, pan Hidas kiwa potakująco głową, a jeśli źle, mówi: „Coś tu nie klapuje, moje dziecko.” W takich razach człowiek łapie gąbkę i ściera wynik. Jeżeli w zadaniu coś nie klapuje, to znaczy, że działania zostały źle wykonane. U Marianny zawsze wszystko klapuje, ona jest najlepszą uczennicą. A co to znaczy, gdy dziecko nie klapuje? Czy to, że jest złe?

Jak to tatuś powiedział? Była chyba w trzeciej klasie, gdy zaczęła przynosić gorsze stopnie. Mamusia ze zdumieniem obracała w rękach dzienniczek, a tatuś roześmiał się, pokręcił głową i rzekł: „Dziecko nie klapuje, co? Czegóż takiego nie znajdzie się w żadnej z twoich książek.” Mamusia omal się nie popłakała, a ona cichaczem wymknęła się z pokoju, bo na myśl, że nie klapuje, ogarnął ją wstyd i przerażenie. Jeszcze po kolacji o niej rozmawiali, mamusia przeglądała czasopisma i jakieś opasłe tomiska, a tatuś, paląc papierosa, co jakiś czas kręcił głową i śmiał się. Gdy położyła się spać, do jej pokoju przyszła mamusia i zaczęła ją wypytywać o powód tego żalosego świadectwa. Zsófiika nie potrafiła odpowiedzieć, wszystko wydawało się jej tak proste i naturalne, że nie wymagało objaśnienia. Świat był taki interesujący, z dnia na dzień tak się rozszerzał, że po prostu brakowało w nim miejsca na szkołę.

Nie zawsze był równie ciekawy, początkowo, gdy Zsófiika była młodsza, szkoła, koleżanki i sprawy domowe wypełniały jej całe dni. W miarę upływu lat jednak wszystko rozpadało się na drobniejsze elementy, które fascynowały i niepokoiły, wszystkiemu trzeba było gruntownie się przyjrzeć, dowiedzieć się, czym

jest. Budynki, które z dawniejszych lat pozostały jej w pamięci jako pojedyncze plamy, teraz rozkładały się na dachy, okna i klamki, płaszczyzny ścian na prostopadłe do siebie proste, a ludzie na twarze, głosy i ubrania. Pani powiedziała mamusi, że Zsófiika nie uważa na lekcjach; nagle zapytana nie orientuje się, o co chodzi, a podczas czytania nigdy nie wie, gdzie poprzedniczka skończyła. W takich chwilach można tylko milczeć, dorośli i tak nie rozumieją tego, co by chciała powiedzieć, bo przecież ona dlatego nie uważa, że tak bardzo pochłania ją uważanie na wszystko.

Pani z trzeciej klasy była trochę ułomna, nie miała szyi, małeńka główka wyrastała jej bezpośrednio z ramion, jakby nie była, biedaczka, człowiekiem, lecz postacią z bajki, Długobrodym Krasnalem albo gryfem. Podczas lekcji Zsófiika wiecznie dumiała nad tym, jak by można pani Oldze wyciągnąć głowę z szyi. Ponadto w tamtym roku było dużo much, na każdej lekcji parę brzęczało w klasie, muchy też bardzo Zsófikę interesowały, miały bowiem oczy podobne do lupy tatusia. Gdyby w jakiś sposób można było wyciąć muchom oczy, czy powiększałyby tak samo jak lupa? Były jeszcze i inne rzeczy, które chciała rozgryźć, hałas, stuki, niebieskie błyski, towarzyszące spawaniu szyn, przez ich okno w klasie robiące wrażenie sztywnych i nie łamiących się, niczym promienie gwiazd. W miarę jak rosła, zajmowało ją coraz więcej rzeczy. Całodzienna uwaga tak ją wyczerpywała, że przychodziła do domu zupełnie wycieńczona, po obiedzie głowa opadała jej na piersi. Możliwe, że podczas czytania nie wie, gdzie poprzedniczka skończyła, ale ona już wówczas dobiega do końca wiersza względnie do ostatnich zdań czytanki; szybko czyta, najszybciej ze wszystkich i po prostu nie może doczekać się końca. „Dla-

czego tak źle jej idzie? — spytała mamusia kiedyś podczas kolacji. — Nigdy nie puszczam jej do szkoły nie przygotowanej, sama codziennie ją przepytuję." — „Nie ma czasu — odrzekł tatuś dobierając sałaty — teraz rodzi się jej dusza."

Wreszcie pod koniec zeszłego roku, gdy Zsófiika przeszła do piątej klasy, mamusia zabrała ją z sobą do Instytutu, w którym pracowała. Na frontonie budynku widniał wielki napis: DOŚWIADCZALNY INSTYTUT PEDAGOGICZNY; na jednej z liter ptaszek skubał piórka. Zsófiika wyteęzała wszystkie siły, żeby mamusi nie skompromitować. Zadawano jej mnóstwo pytań, głównie pan Dobay, który czasem u nich bywał. Tego dnia całą uwagę skierowała na to, żeby uważać. Gdy już każdy swoje wypytał, gdy już nie musiała grać ani wpatrywać się w niewielką maszynę z oszklonym otworem, za którym szybko opadały, jedna za drugą, tabliczki, ani błyskawicznie liczyć, ile widzi na stole najprzeróżniejszych, pomieszanych ze sobą przedmiotów, wreszcie mogła iść do domu. Kiedy wróciły, tatuś już przyjmował pacjentów, lecz mimo to wyszedł do nich. Zsófiika myła ręce, ale z sypialni doleciała do łazienki rozmowa rodziców: wszyscy byli z niej zadowoleni, jest zupełnie normalną i dobrze rozwiniętą, jedenastoletnią dziewczynką. „Jest zupełnie zdrowa!" — oświadczyła mamusia, ale zabrzmiało to tak, jakby powiedziała: „Jest bardzo chora!", jakby zmarła się tym i zaniepokoiła. Zsófiika usłyszała też, że tatuś roześmiał się, pocałował mamusię i rzekł: „Mimo to nie gniewaj się na nią! Może chciałabyś, żebym ja się nią zajmował?" — „Broń Boże! — zaprotestowała mamusia płaczącym tonem. — Jeśli nie uda mi się jej zmienić, stracę całe zaufanie do siebie. Zostaw dziecko mnie!"

Człowiek gromadzi w sobie wspomnienia po tatusiu,

tak jak Marianna i Dóra znaczki. Tatuś nigdy się jej nie wstydził, co prawda nie był odznaczony, tak jak mamusia, i nie wygłaszał w radio pogadanek o wychowaniu dzieci. Mimo to zawsze wiedział to, czego Zsófi-ka nie była w stanie wypowiedzieć, i gdy rzecz przy- bierała poważny obrót, przychodził do niej na roz- mowę.

Przychodził zawsze wieczorem, po kąpieli, przynosił ze sobą zapach kremu do golenia i mydła, natomiast woń eteru i płukanki do gardła zostawiał w gabinecie. Gdy Marianna tak ją wytrąciła z równowagi, że aż nie mogła sypiać, tatuś wytłumaczył jej, jak rodzą się dzieci, przyszedł do niej także wieczorem w Dniu Mat-ki, kiedy okazało się, że zgubiła żółtą chusteczkę, którą na tę okazję wyszyła w szkole. Zsófi-ka nie umiała wrę- czać prezentów, gdy chciała komuś sprawić radość, bez słowa opróżniała skarbonkę, nigdy jednak nie była w stanie nic powiedzieć, tylko zarumieniona po uszy podawała prezent; w dzieciństwie uczono ją wierszy- ków imieninowych lub urodzinowych, ale nim docho- dziło do recytacji, rzucała kwiaty i wybuchała płaczem.

Dzień Matki był dla niej jedną wielką zgorą, gdyż mamusia oczekiwała od niej słów lub przynajmniej wierszyka, a Zsófi-ka, która gotowa byłaby oddać ma- musi całą swoją krew, gdyby trzeba ją było wyleczyć z jakiejś choroby, wstydziła się deklamować wiersze, nawet prozą nie potrafiła mówić o swojej miłości. Chusteczka, która jakoś rozwiązałaby sytuację, w taje- mniczy sposób znikła z teczki, i kiedy ciocia Kató przyszła po obiedzie chwając się robótką, jaką dostała od Marianny, Zsófi-ka stała przestępując z nogi na nogę, a mamusia ze łzami w oczach powiedziała: „Nie- stety, Zsófi-ka nie ma rozwiniętych uczuć rodzinnych.”

Tatuś, przysiadłszy wieczorem na brzegu jej łóżka, nawet nie wspomniął o chusteczce. Opowiadał o dziad-

ku, którego Zsófiika nie znała, jakim był twardym, małomównym i surowym człowiekiem i jak pewnego razu, gdy babcia ciężko zachorowała, wybuchnął płaczem przy jej łóżku. Tatuś i ciocia Kató skamienieli, łzy w oczach dziadka były czymś strasznym i niezrozumiałym, a babcia podniosła wzrok i z bezgranicznym zdumieniem spytała: „To ty mnie kochałeś, János?”

„Większości ludzi trzeba bezustannie powtarzać, że ich kochamy — powiedział tatuś — albo okazywać to tak, żeby zrozumieli, w przeciwnym bowiem razie, pogrążeni w swoich troskach i kłopotach, nie zauważą tego.” Wtedy Zsófiika popłakała trochę, nie nad sobą, lecz nad losem babci, a w tym roku poduszczkę do igieł, uszytą na Dzień Matki, dla pewności schowała w głowie Tóbiása. Poduszcзка nie zginęła, mamusia bardzo się ucieszyła i zaraz powiesiła ją na klamce od okna w sypialni. Na końcu roku, gdy Zsófiika przyniosła sześć trójek, tatuś zwrócił się do mamusi: „Tym razem już ja się nią zajmę!” — „Akurat — odparła mamusia, lecz nie sprzeciwiła się. — Kiedy ty znajdziesz na to czas?” — „Nie znajdę — zgodził się tatuś — ale ja nie mam zamiaru jej uczyć, tylko chcę wytłumaczyć, co powinna robić.” — „Powodzenia!” — rzuciła mamusia i odwróciła się rozdrażniona. To była jedyna obietnica, jakiej tatuś nie dotrzymał, a Zsófiika tak bardzo chciała wreszcie od kogoś się dowiedzieć, co zrobić, żeby klapowała.

Czy wuj Balázs wie, że Tóbiás to Tóbiás?

Zsófiika poprosiła mamusię, żeby nie oddawała cza-szki, mamusia jednak odrzekła, że będzie szczęśliwa, gdy raz nareszcie ta okropna trupia głowa zniknie z domu; wówczas Zsófiika stanęła w oknie i spojrzawszy na ulicę pomyślała, że mamusię boli serce z powodu Brunatnej o węzowych włosach, co zupełnie nie ma sensu, bo któż widział człowieka o węzowych

włosach, a czaszkę ma każdy, można ją wyczuć, wyciągnąć pod skórą. Przeciągnęła palcami po twarzy i dotknęła czubka głowy. „Prawda, jaki zgrabny koszyczek? — spytał kiedyś tatuś rozczochrawszy sobie włosy na głowie. — Tu mieszkają myśli. Są dobrze zapakowane, jak szklane przedmioty w sklepie, żeby się nie potłukły. Tu mieszka wzrok, słuch, wszystko, co sobie uzmysławiasz. Dobrze rozwiązane, co? Tyle rzeczy na tak małej przestrzeni. Zęby też mądrze są osadzone na swoich miejscach. Tóbiás jest prawdziwym kawalerem, ma wszystkie zęby.”

Gdyby tatuś od razu powiedział, co człowiek ma robić, jeśli chce klapować! Teraz już nigdy się nie dowie. Tatuś jednak nie zapomniał o niej, myślał o niej w ostatnich chwilach swego życia. Od Valiki, która pomagała tatusiowi w przychodni, Zsófiika dowiedziała się, że gdy zrobiło mu się słabo, tylko raz się odezwał. „Powiedzcie Zsófiice...” — rzekł. Coś chciał jej powiedzieć, ale co? Już nie mógł dokończyć zdania.

Mamusia układała książki w sąsiednim pokoju. Zsófiika zajrzała do niej, przyglądała się przez chwilę. W tej czarnej sukni mamusia wydaje się jeszcze szczuplejsza. Obwiązała sobie włosy, z książek unosi się kurz. „Spotkała nas potworna rzecz — pomyślała Zsófiika — i ciebie, i mnie.” Czy mamusia rozumie, po co ona do niej zajrzała? Czy czuje, że w ten sposób są mniej samotne, niż gdyby każda siedziała w swoim pokoju?

Judit widziała tylko, że Zsófiika stoi na progu, patrzy na nią i do głowy jej nie przyjdzie, by zacząć podawać książki albo pójść po drugą ściereczkę; nie pomoże, tylko patrzy. A może jej biedny ojciec się mylił, może nie ma w niej ani krzty dobrej woli i usłużności? To byłoby straszne! „Jeśli nie masz zamiaru pomóc, możesz nie przyglądać się, jak ktoś inny pracuje” —

powiedziała wyjmując ze skrzynki nowy stos książek. Zsófi odwróciła się na pięcie, wróciła do swojego pokoju i ponownie stanęła przy oknie.

Na dole, na skrzyżowaniu ulic właśnie zmieniły się światła, pojazdy poderwały się z miejsca jak biegacze na zawodach. „To ty mnie kochałeś, János?” — spytała babcia. Skąd mogła wiedzieć, skoro dziadek nigdy jej tego nie mówił ani nie okazywał. Mamusia też może wiedzieć tylko to, co widzi. Zsófi pobięła z powrotem do mamusi, chciała spytać, czyby nie mogła podawać książek, ale już jej nie zastała, skrzynki też znikły, wszystko było wypakowane.

Na najniższej półce szafy bibliotecznej stały duże książki lekarskie, nie wszystkie, została tylko skromna ich część, większość zabrał wuj Balázs. Ten album w szarej oprawie to *Atlas Anatomiczny*, często oglądała go razem z tatusiem. Nigdy nie wolno jej było samej przeglądać, tylko z tatusiem, który powiedział, że bez odpowiedniego objaśnienia książka ta staje się brzydka, więc też Zsófi sama jej nie dotykała. O tej porze roku w pokoju nawet o zmierzchu nie odczuwa się chłodu. Jest lato, koniec lipca, wakacje. Na egzaminie dlatego nie mogła odpowiadać, że przypomniała sobie szalenie ważną sprawę, którą natychmiast musiała przemyśleć. Przed egzaminem zniknął klucz od klasy, Taki, czyli Ewa Takács, która była dyżurną, nie znalazła go na stałym miejscu. „Dlaczego nie poszukałaś lepiej? — spytała ją pani Marta, gdy wreszcie woźny, pan Székely, przyniósł zgubę; klucz przypadkiem znalazł się pod kluczem od sali muzycznej. — Gdy człowiek usilnie czegoś szuka, to na pewno znajdzie.”

Tatús chciał jej coś powiedzieć. Może brakująca połowa zdania też gdzieś jest. Trzeba jej poszukać.

II

Z nowym mieszkaniem związało się także odejście Teri.

Zsófica lubiła Teri, jej kanciaste czoło, niemal nie-dostrzegalne, płowe jak len brwi, a przede wszystkim jej śpiew. Gdy służąca zaczynała śpiewać, Zsófica odkładała zeszyt, zakradała się pod kuchenne drzwi i słuchała tych osobliwych piosnek, których Teri nauczyła się od swojej babci w dalekiej, zadunajskiej wsi; Teri wyśpiewywała długie, pozbawione melodii historie, często gęsto mówiące o morderstwach, a już prawie zawsze o kradzieżach. „Dobra z niej dziewczyna, tylko szorstka!” — mawiała o Teri mamusia; w takich razach Zsófica milkła, bo Teri była oczywiście inna, niż mamusia sądziła. Była jedna Teri dla dorosłych, która tylko wtedy się odzywała, gdy ją pytano, i druga dla dozorczy, sklepikarza czy listonosza, zawsze roześmiana, rozśpiewana i rozgadana. Była jeszcze trzecia Teri — Teri dla dzieci, roślin pokojowych i zwierząt, jeszcze inna, niepodobna do nikogo ze znanych Zsófice ludzi. Gdy Zsófica stłukła coś czy wyszczerbiła w kuchni, Teri nigdy na nią nie krzyczała, jedynie burczała dobrotliwie: „Kto zmywa, ten tłucze. Kto nigdy nie zmywa, ten nigdy nie tłucze.” Teri zatrzymywała na ulicy całkiem nieznajome, zapłakane dzieci i wycierała im nosy albo podnosiła je z ziemi i otrzepywała im ubranka z kurzu, poza tym dzień w dzień zawijała w papier kości i ochłapy mięsa i zabierała

je do domu, a mieszkała o potworny szmat drogi. Nie miała żadnego zwierzęcia, lecz знаła pewnego psa, „któremu ci dranie właściciele nic nie dają” — jego żywiła. Oprócz tego zawsze ze srebrnego kubka Zsófi ki podlewała rośliny pokojowe i ilekroć fikus wypuścił nowy listek, przez chwilę kiwała głową, a potem mówiła do niego: „Dobrze, ty gamoniu!”

Obecnie Teri będzie chodzić do Müllerów, mieszkających w ich dawnym domu. Zdaniem mamusi, Teri wszystko jedno, u kogo pracuje, ale to nieprawda, gdyż ostatniego popołudnia przed rozstaniem siedziała w kuchni, raz po raz naciskając szale wagi, i nie zaśpiewała ani jednej piosenki.

Tu, w takim maciupeńkim mieszkaniu, wstyd by było trzymać służącą nawet wówczas, gdyby nie było takiej dużej dziewczynki, która we wszystkim powinna pomóc. Co innego w dawnym mieszkaniu, tam bez służącej nie mogli się obyć, tam mieli gabinet, poczekalnię, dwa duże pokoje i parę dodatkowych pomieszczeń, mamusia wracała z pracy późnym popołudniem, a tatuś i Zsófi ka jedli obiady w domu. Teraz podzieliły pracę między siebie, w każdym razie na okres wakacji. Mamusia ma sprzątać swój pokój, a do Zsófi ki należeć będzie kuchnia, jej pokoik i hall oraz zakupy i zmywanie. Do urlopu mamusi Zsófi ka będzie sama jadła obiady w domu, wieczorem mamusia tyle ugotuje, żeby starczało na obiad, i wstawi jedzenie do lodówki. Tak więc rozkład dnia, którego Zsófi ka od pierwszej klasy musiała pilnie przestrzegać, tego lata nieco się zmienił. Ranne wstawanie, mycie i śniadanie pozostały tak jak dawniej, ale doszły zakupy, sprzątnie i obiad. Czas od obiadu do powrotu mamusi Zsófi ka ma spędzać u cioci Kató, wprawdzie Marianna jest za granicą, więc nie będzie miała się z kim bawić, ale w każdym razie ktoś będzie miał na nią oko, nie

pozostanie przez cały dzień sama. Mamusia przychodzi do domu o piątej, Zsófiika też ma wracać na tę godzinę, potem może odpoczywać, czytać, robić, co chce. Po raz pierwszy w życiu dostała klucz od mieszkania, teraz już bowiem nie miał kto otwierać jej drzwi.

Gdy wstała, zobaczyła, że mamusia przed wyjściem sprzątnęła swoją część mieszkania. Musiała, biedaczka, wcześniej się zerwać. Mleko wystygło, lecz Zsófiika nie zagrzała go, wypila zimne i zjadła kawałek chleba z masłem. Na stole w kuchni znalazła kartkę z dyspozycjami, co ma kupić w halach, i pieniądze. Zmyła naczynia po śniadaniu, szalenie uważając na każdą filiżankę i każdy talerzyk. Czeka je obecnie cięższe życie, zamiast z dwóch pensji będą żyły z jednej; każdą szkodę dotkliwiej odczują.

Włożyła fartuch mamusi, był na nią za duży, więc musiała trochę zebrać na karku. Podczas płukania filiżanek w misce wszystkie ostatnie zdarzenia wydały jej się tak nieprawdopodobne, że opuściła na dno malowany w różę talerzyk i zaczęła palcem mieszać wodę. Nawet miska była obca, miała inny kolor i kształt niż dawna. Zsófiice zdawało się, że śni. Gdy zimą zapadał zmierzch, a pan Sós, dozorca, jeszcze nie zapalił światła na klatce schodowej, bała się schodzić po schodach, w półmroku zarysy stopni zacierały się. Wówczas tatuś brał ją za rękę i sprowadzał na dół, od razu jakby robiło się jasno, kroki nie sprawiały trudu. Obecnie wszystko przypominało te zimowe zimy, było niewyraźne i nieprzeniknione.

Zaledwie uporała się z robotą, do drzwi zadzwoniła Valika. Dawno obiecała, że przyjdzie, ale zawsze coś jej stawało na przeszkodzie, miała bardzo dużo zajęć. Powiedziała, że nie może przyjść później, tak by zastać mamusię, ponieważ znowu ma dyżury po połud-

niu, i oddała Zsófi rzeczy tatusia, które zostały w ubezpieczalni. Zsófi poznała teczkę i natychmiast odwróciła głowę. Była to gorsza teczka tatusia, brzydka, wytarta i staroświecka, w zeszłym roku dorobiono do niej ucho, gdyż tatuś był do niej ogromnie przywiązany, jeszcze na uniwersytet z nią chodził. Zsófi przyglądała się sandałom Valiki, dwa białe paski krzyżowały się na jej nodze, a dwa biegły ukośnie. „Należy zawsze mówić krótkimi, zrozumiałymi zdaniami!” — uczyła pani Marta. Czy z tego jąkania Valika zrozumie, o co jej chodzi?

Zrozumiała, tylko zaskoczona nie wiedziała, co odpowiedzieć. Słyszała ostatnie słowa biednego ojca tej małej, ale to zdanie nie miało żadnego sensu. W gabinecie był Newralgik, musiała pomóc mu się ubrać, bo z przerażenia nie mógł trafić do rękawa. Biedny Gábor Nagy, jak tylko wszedł, od razu widać było, że jest jakiś inny niż zwykle, jakby mu twarz pomalowano na szaro, mimo to swoim zwyczajem dowcipkował, może nawet więcej mówił niż kiedy indziej. Ona bezustannie musiała biegać, gdyż Vera, pielęgniarka doktora Somogyiego, tego dnia nie przyszła i Somogyi nie miał nikogo do pomocy przy wyszukiwaniu kart chorych, przez całe popołudnie więc ganiała tam i z powrotem między dwoma gabinetami, całe szczęście, że są połączone drzwiami. Gdy Gáborowi Nagyowi zrobiło się słabo, akurat była w drugim pokoju, dopiero co słyszała, jak śmiał się i żartował z Newralgikiem, a tu nagle stary wpadł z krzykiem, gdy wbiegła razem z Somogyim, biedak zwieszał się już bezwładnie na stole. Nie zwrócił się do niej po imieniu, ale po jego oczach widać było, że ją poznaje, że wie, kto koło niego stoi. Robił wrażenie jakby trochę zawstydzonego, że on, lekarz, wyczynia takie niestosowne rzeczy w ubezpieczalni wobec chorych, że umiera.

Nic więcej nie wyrzekł, tylko to urwane zdanie, nawet nie zawołał: „och!”.

Oczywiście tak tego nie można przedstawić tej niešťczęsnej dziewczynce. Wystarczy, gdy powie, że nie wie, co jej mieli powtórzyć. Że może pacjent więcej słyszał? Wprawdzie nie pytała go o to, ale chyba nie, bo przecież by powiedział, przez pewien czas jeszcze dreptał po korytarzu tam i z powrotem, nie mógł sobie miejsca znaleźć. Kto to był? Nie zna jego nazwiska, gdyż one wszystkich pacjentów z miasta nazywają według chorób, na które się leczą, ten stary został Newralgikiem, leczył się bowiem na newralgię. Jeśli dobrze poszuka, to oczywiście znajdzie jego kartę; wszystkie przejrzy i na pewno rozpozna. Ale dlaczego Zsófi pyta? Chciałaby wiedzieć? Ach, skoro tak bardzo tego pragnie, to wyszuka i zatelefonuje. Coś jej się majaczy, że nazywał się Pongrącz, ale one nie mówiły o nim inaczej jak Newralgik. Mają jedną pacjentkę, która nazywa się Aranka Juhász, lecz one ochrzciły ją Niecierpkim, gdyż co tydzień skarży się na zawsze inne, tajemnicze strzykanie w kościach, a nic jej nie jest. Niech Zsófi ucałuje mamusię i dobrze się sprawa, co jakiś czas będzie do nich wpadać. Kiedy zadzwoni i poda nazwisko Newralgika? Jeszcze dzisiaj, idzie prosto do ubezpieczalni, zaraz zacznie szukać karty, rozpozna ją po zagiętym brzegu.

Po wyjściu Valiki Zsófi otworzyła teczkę. Znalazła w niej dwie książki, notatki, torebkę cukierków i czworokątne, puste pudełko. Zsófi zbierała pudełka. Tatusz zawsze przynosił jej z ubezpieczalni puste pudełeczka po lekarstwach. W torebce były ulubione cukierki tatusia, malinki, zawsze je kupował, gdy szli do kina albo na wycieczkę, te również miały tatusiowy zapach i smak. No tak, przecież właśnie na drugi dzień wybierali się do kina. Zsófi wyjęła jednego cukier-

ka, nie zjadła go jednak, lecz całą torebkę włożyła do pudełka i schowała do dolnej szuflady kredensu kuchennego, należącej do niej. Książki i notatki położyła na biurku. Mamusia nie pozwoliła jej zabrać ze starego mieszkania ani jednego pudełka, powiedziała, że nie będzie gromadzić śmieci. Mimo to Zsófica już ma jedno nowe pudełko.

Ze sprzątaniami łatwo sobie poradziła, gorzej poszło z pościelą, poduszki nie chciały się gładko ułożyć w pudle tapczanu. Mocując się z nimi obdrapała kawałek polityry. Mamusia na pewno to spostrzeże, ona zawsze wszystko widzi, przez całe życie wszelkie roboty domowe wykonywała zręcznie i szybko. Wycierając lustro Zsófica nagle zatrzymała się. Zaczęła przypatrywać się swoim krótkim warkoczynom i długiej szyi. Jak też ona może wyglądać, co o niej myślą ludzie, którzy na nią patrzą? Mamusia ma bujne, czerwonawobrazowe włosy, drobnutkie ręce i nogi, zielonkawe oczy i sylwetkę szczupłą niczym chłopiec. Mamusia nie jest ładna. Tatuś był olbrzymiego wzrostu, łysawy, odrobinę się garbił, a okulary zsuwały mu się z nosa jak sowie. O, tatuś był śliczny! Ona właściwie jest podobna do mamusi, ma zupełnie jej twarz, po tatusiu niestety odziedziczyła tylko ładne ręce. Duże, kościste, o długich palcach, takie same jak tatusia. Cudowne! Biedna mamusia, siedzi w Instytucie i myśli, że ona już wszystko kupiła. Dopóki jednak Valika nie zadzwoni i nie powie, kim jest Newralgik, Zsófica nie odważy się wyjść po zakupy.

W istocie Judit wcale nie siedziała w Instytucie. O dziewiątej poszła na konferencję do ministerstwa, sądziła, że narada przeciągnie się do obiadu, tymczasem skończyła się po dziesiątej, więc korzystając z niespodziewanego wolnego czasu, wybrała się z wizytą do wychowawczynie Zsófikki. Marta Szabó na wiado-

mość o śmierci Gábora natychmiast przybiegła do Zsófi, nawet z paroma dziewczynkami przysłała na pogrzeb. Wypada złożyć jej rewizytę, i tak w tym roku prawie nie zaglądała do szkoły. Jak dobrze poszpera w pamięci, to okaże się, że była tam tylko raz na samym początku roku, później już nie. W ostatnim okresie miała tyle pracy, że na szkołę nie starczyło jej czasu.

Nie, to nieprawda. Czas by się znalazł, tylko nie lubiła spotykać się z Martą Szabó, bolało ją, że właśnie ona jest wychowawczynią Zsófi. Z Martą Szabó chodziła razem na uniwersytet, a nawet jeszcze do szkoły średniej, ona wraz ze swą późniejszą szwagierką, Kató Nagy, siedziała w pierwszej ławce, a Marta bezpośrednio za nimi w drugiej. Po ogłoszeniu wyników egzaminu z pedagogiki stały obok siebie w sali egzaminacyjnej Wydziału Pedagogicznego, składając gratulacje profesor Pallay nie tylko jej, lecz również Marcie powiedział, że chciałby, aby została przy nim w seminarium. Wyniki ich obydwu gwarantują im piękną przyszłość. Ona wówczas poczuła, że osiągnęła wszystko, o czym marzyła, natomiast Marta roześmiała się i odparła, że nie po to studiowała, aby osiąść na uniwersytecie, lecz po to, by uczyć dzieci. Potem Judit na dłuższy czas straciła ją z oczu, ponownie spotkały się, gdy poszła zapisać Zsófikę do pierwszej klasy; okazało się, że Marta Szabó pracuje właśnie w tej szkole — uczy węgierskiego w wyższych klasach.

Oczywiście poznały się i ucałowały. Początkowo, dopóki Zsófi chodziła do niższych klas, rzadko się stykały. Dopiero gdy dziewczynka przeszła do piątej klasy i Marta została jej wychowawczynią, zmuszone były odnowić znajomość. Pierwszy krok zrobiła Marta — przysłała do nich jako wychowawczyni Zsófi.

Dziewczynka siedziała strasznie onieśmielona, nie odezwała się ani słowem.

Ona też czuła się zmieszana, ale miała o czym z Martą rozmawiać, przypominały sobie koleżanki i kolegów ze studiów. Wtedy dowiedziała się, że Marta przez kilka lat uczyła na prowincji, skąd przeniesiono ją do stolicy, sama zaś opowiedziała, że po czteroletniej pracy na uniwersytecie przeszła do Doświadczalnego Instytutu Pedagogicznego.

Marta nigdy nic złego o Zsófi nie powiedziała, ale na własne oczy widziała, że dziecko Judit słabo się uczy; sam ten fakt krępował Judit i dlatego, jeśli tylko mogła, z daleka omijała szkołę. Wiedziała, że jej książki, a szczególnie wielka *Psychologia dziecka*, są omawiane i dyskutowane na nauczycielskich kursach popołudniowych i wieczorowych; gdy wyobrażała sobie, jak Marta Szabó, poprawiając niedbałe, pisane na kolanie wypracowania Zsófi, w duchu śmieje się z tego, że Judit Nagy pisze takie dobre książki, a nie umie wychować własnego dziecka, traciła serce do swego dzieła.

Zsófi nigdzie nie można było postać, gdyż przestępując z nogi na nogę stała pod drzwiami i nie miała odwagi zadzwonić, jeżeli przypadkiem ktoś nie wyszedł i nie zapytał, czego chce, mogła tak stać choćby godzinę. W gruncie rzeczy Zsófi nie zajmował żaden przedmiot w szkole, nigdy nie okazywała najmniejszego nawet zainteresowania czy współczucia dla czyichś trosk i kłopotów, wszystko robiła, aby zbyć, albo po prostu wcale nie robiła. Powodzenie książki Judit i Zsófi tak bardzo do siebie nie pasowały, że Judit nawet nie lubiła myśleć o szkole.

Marta mieszkała naprzeciwko szkoły w nieco staroświeckim, parterowym domku, parapet jej okna był umieszczony na wysokości głów przechodniów. W mo-

mencie nadejścia Judit zamykała ostatnie słoiki świeżo usmażonych konfitur z melona. W pokoju na honorowym miejscu stała mała półeczka, a na niej okropne, karmazynowoczerwone, drewniane serce, obwieszane mnóstwem drobnych, okrągłych, metalowych przedmiotów; najbardziej przypominały one pokrywki miniaturowych pudełek od pasty do butów, w rzeczywistości jednak najprawdopodobniej były to pudełeczka od różu. W środku każdego pudełeczka przyklejony był zasuszony kwiat, a złoty napis na szczycie serca głosił, że jest to pamiątka z Dnia Nauczyciela. Na ścianie wisiały szeregiem duże, oprawione w ramki, grupowe zdjęcia, powiększone zdjęcia siedzących w ławkach i stojących, roześmianych i poważnych dziewczynek. Na każdej fotografii najmniejsza dziewczynka siedziała na stołeczku i trzymała w ręku dużą papierową tarczę z cyframi oznaczającymi klasę i rok szkolny. Na ostatnim zdjęciu w gromadzie koleżanek stała Zsófi — z nadąsaną miną zerkała zza pleców dziewczynki z tarczą.

„Będzie identyczna jak ja — pomyślała Judit. — Ma takie same włosy, zarys ust, kolor i wykrój oczu. Wyrośnie na ładną, zgrabną pannę, żeby tylko biedaczka nie miała takich wstrętnych rąk. Że też właśnie ręce musiała odziedziczyć po Gáborze, istny dopust boski! Jak ona patrzy na tym zdjęciu, przymrużyła oczy, zrobiła posępną minę, nie lubi się fotografować. Wygląda jak złośliwy gnom, nie ma ani krztyny humoru, ani krztyny ambicji. Gdyby lepiej się uczyła, można by ją zapisać do pionierów, ale cóż, taka słaba uczennica przez całe popołudnie musi siedzieć w domu i odrabiać lekcje. To serce jest straszne, jak można coś takiego trzymać w domu? Marta ma trzydzieści siedem lat, tyle co ja, ale wygląda na dużo starszą. Nieraz Instytut zaprasza do współpracy pedagogów-

-praktyków, Marta jeszcze nigdy się nie zgłosiła. Nie ma żadnych ambicji, zupełnie jak Zsófiika."

„Twoja córka nic od ciebie nie wzięła — pomyślała Marta Szabó. — Zewnętrzne podobieństwo, taki sam kolor włosów, takie samo spojrzenie jak twoje w dzieciństwie nie mają żadnego znaczenia. Wcale nie ty przez nią przemawiasz, nie ty milczysz i nie ty nie wiesz, o co chodzi, gdy nagle się do niej odezwę. Ty byś uważała, o, jeszcze jak byś uważała, zrobiłabyś wszystko, żeby wysunąć się naprzód, żeby się wybić, żeby rzucić się w oczy, bo ty przez całe życie byłaś pilna, dla utrzymania swojej hegemonii potrafiłabyś zamordować wszystkich dokoła. Mogłabyś napisać siedemdziesiąt siedem książek, a mimo to pozostałabyś sobą, tą samą Judit Papp, która zawsze umiała lekcje od początku do końca i od końca do początku, pisała najładniejsze wypracowania o wiośnie, ponieważ przeczytała wszystkie wiersze Goethego i Heinego, fachową książkę z dziedziny meteorologii i wielką *Botanikę*, tylko nigdy w maju nie była w lesie i właściwie nie znała dobrze zapachu konwalii. Podobnie jak wtedy, teraz też widzisz jedynie to, co masz pod nosem, przeciętne stopnie na świadectwie Zsófiiki, pojęcia nie masz o tym, że twoje dziecko to chodząca ambicja i uwaga, tylko po prostu do czego innego dąży i co innego ją absorbuje, coś, co tobie nigdy nie przyszłoby do głowy. Zsófiika jest jeszcze jak kula, nie mogę jej za nic złapać, nie ma żadnego występu, za pomocą którego można by ją oprzeć na jakimś trwałym gruncie, toczy się tam i z powrotem. Przypomina mechanizm zaopatrzony w jakąś tajemniczą sprężynę, na którą trzeba natrafić, a gdy się ją poruszy, mechanizm nagle otwory się; kiedyś wreszcie odkryję tę sprężynę, ja zawsze, prędzej czy później, do takich rzeczy dochodzę, tylko nie umiem tego dobrze wyrazić i nie napiszę

o tym książki. Książki zostawiam tobie. Kiedyś ktoś powie ci w oczy, co my tu w szkole sądzimy o twoich książkach. Nic się nie zmieniłaś, wyglądasz na dziesięć lat mniej niż masz w rzeczywistości. Oczywiście używasz dobrych kosmetyków, właśnie pudełko od twojego rózu, to z niezapominajką, pierwsze spadło z tego serca, któremu tak się przyglądasz, bo twoja córka źle je przykleiła, z trudem przymocowałam je z powrotem. Gdybyś podeszła bliżej, zobaczyłabyś jej podpis pod kwiatkiem: *Z serdecznymi życzeniami — Zsófia Nagy*. Wyobrażam sobie, jak ciężko jej to przyszło. Zsófiśka wstydzi się okazywać swoje uczucia. Widzę po twoich oczach, że to serce nie podoba ci się, uważasz, że zalačuje jarmarkiem."

„Straszne jest to mieszkanie — stwierdziła Judit w duchu — nie wiem, gdzie wzrok zatrzymać. Dlaczego ona nie wyrzuci tego wstrętnego serca? A pod telefonem jakaś serwetka w czerwone zajączki. Potwornie! Jak ona może żyć w takim otoczeniu?"

W tym samym czasie w mieszkaniu Judit odezwał się telefon. Valika zakomunikowała Zsófi, że Newralgik nazywa się István Pongrácz, jest portierem w Dzielnicowej Radzie Narodowej Budapeszt I.

III

Książka telefoniczna nie przydała się na nic.

Zsófiika znalazła w niej dziewięciu Istvánów Pongráczów, ale żaden z nich nie był portierem. Później przyszło jej do głowy, że po co portierowi telefon w domu, skoro przez cały dzień siedzi przy telefonie i może dzwonić, dokąd chce. W domu woli raczej odpocząć od tego wiecznego dzwonienia. No dobrze, ale jak wobec tego dowie się jego adresu? Do kogo człowiek powinien się w takiej sytuacji zwrócić? Jedyne tatuś umiałby jej poradzić, ale tatusia nie ma. Od maleńkości nie cierpiała nikogo o nic pytać, wstydziła się też prosić, w sklepie nigdy nie odzywała się, dopóki sprzedawca nie zainteresował się, czego chce, wołała wszystkich przepuścić, niż poprosić o coś nie pytania. W zeszłym roku na wycieczce nie dlatego spóźniła się na zbiórkę, że była nieposłuszna, ale dlatego, że przy studni stały dwie dziewczynki z siódmej klasy. Jedna zatkała ręką wylot pompy i w ten sposób rozmawiały, a ona nie miała odwagi poprosić ich, żeby odeszły, bo chce nabrać wody do manierki, czekała, aż same pójdą; dziewczynki jednak stały nadal, przez ten czas kwiaty, których nazrywała, zwiędły, zamoczyła sukienkę i w końcu napisali jej w dzienniczku, że się włóczy, gdy tymczasem ona tylko czekała na wodę.

Jeszcze nie zrobiła zakupów. Mamusia zostawiła w lodówce kapustę włoską, to dobra jarzyna. Przy naj-

bliższej okazji będzie musiała zapytać Valikę, czy nie zna adresu Newralgika. Ale nie, nie zrobi tego, bo wreszcie Valika może zacząć ją za bardzo wypytywać. Zresztą czasem całymi tygodniami jej nie widuje. Co innego musi zrobić. Jeżeli István Pongrácz pracuje w Dzielnicowej Radzie Narodowej Budapeszt I, to nie musi chodzić do niego do domu, odszuka go w miejscu pracy. Rada Narodowa jest blisko ich dawnego mieszkania. Portier przeważnie siedzi koło wejścia, w małym pokoiku o szklanych ścianach. Pójdzie tam, zapuka i powie, o co jej chodzi...

Nie, musi to dokładnie przemyśleć. Co powie? Ukłoni się i przedstawi — nie. Nie odważy się powiedzieć swego nazwiska. No to po prostu zapyta go o... Ale bez żadnego wstępu nie może spytać o to, co by chciała. Więc najpierw wda się w rozmowę z nim. O czym jednak można w takiej sytuacji mówić? Przecież nigdy nie miała odwagi odezwać się do kogoś obcego.

Jest w pół do pierwszej. Pójdzie do hal, kupi, co trzeba, a w powrotnej drodze pobiegnie do ich dawnego domu, zajdzie do Müllerów i poprosi Teri, żeby z nią poszła. Nie, nic z tego, przecież o tej porze Teri jest zajęta, a poza tym musiałyby jej wyjaśnić, o co chodzi. Nie powie ani Teri, ani Valice. Tatuś chciał jej coś powiedzieć. To tajemnica.

Pomidory znowu staniały o dwadzieścia fillerów; dostała śliczne ziemniaki. Zamiast moreli kupiła melon, wprawdzie miała zapisane morele, ale chyba nie nadawały się do jedzenia, były bardzo zielone. Mięsa nie lubiła kupować, budka rzeźnika była taka żywa, czerwona i śliska. Równie niechętnie chodziła między stoiskami z rybami, pachniało tam bagnem, na blaszanych stołach walały się łuski. Mamusia napisała też, żeby kupiła kwiaty, Zsófiika wybrała lwie paszce, straciła przy tym dużo czasu.

Gdy pójdzie w lewo, przetnie ulicę Barna i w ciągu pięciu minut znajdzie się w domu. Nie będzie podgrzewać kapusty, zje zimną, na zimno przypomina w smaku krem. Pójdzie ulicą Barna, jest bardzo głodna, nabięgała się w czasie sprzątanía. Gdyby poszła z hal na prawo, minęłaby budynek Rady Narodowej, ale w ten sposób nadłóżyłaby drogi, a siatka jest bardzo ciężka, na jej dnie leżą trzy kilogramy ziemniaków, mamusia nie wypisała zakupów z myślą o spacerze, lecz o jak najszybszym powrocie do domu. Siatka wpiła jej się w rękę, ledwie może ją udźwignąć. Jak przyjemnie pachnie ten stół z grzybami — lasem i deszczem! Grzyby to właściwie pleśń. W grzybach nie ma chlorofilu. W domu owinie czymś ucho siatki, wówczas nie będzie się tak wrzynać. Melon zamrozi w lodówce. Wyszła z hal przez południową bramę, od strony ulicy Barna, przeszła parę kroków, po czym przełożyła siatkę do drugiej ręki i ruszyła w przeciwnym kierunku. Trzy kilogramy ziemniaków, mięso i melon obciągały ramię ku dołowi, cień, rzucany przez jej sylwetkę, wykrzywił się niczym cień małej garbuski.

Rada Narodowa mieściła się w trzypiętrowym budynku, parterowe okna zabezpieczone były kratami. Po obu stronach dużych, oszklonych drzwi stały rzeźby. Z prawej strony kuta w kamieniu kobieta z dzieckiem na ręku i sierpem w dłoni, jej gołe palce u nóg były wielkości piórników. Po drugiej stronie — mężczyzna w czapce i w butach. W drzwiach panował duży ruch, ludzie wchodzili i wychodzili, u stóp schodów stała ławka, Zsófi położyła na niej siatkę i usiadła. Przez dłuższy czas obserwowała ruch na schodach, ale nie widziała, żeby choć jedno samotne dziecko weszło do gmachu. Podczas gdy tak siedziała i wpatrywała się w szeroką szybę drzwi, jej włosy nagrzały się od silnie palącego słońca. Jak naliczy pięćdziesiąt pięć

osób, które weszły do budynku, weźmie siatkę i też wejdzie. Ma prawo, dziś każdy może wejść, nad klamką wisi tabliczka: *W środy przyjmowanie interesantów przez cały dzień.*

Pięćdziesiątym piątym interesantem okazała się jakaś zapłakana staruszka. Przechodząc koło Zsófik, upuściła chusteczkę. Zsófi­ka podała jej, lecz staruszka nawet nie podziękowała, chlipała dalej, przyciskając chusteczkę do oczu. Za drzwiami uderzył dziewczynkę niespodziewany chłód, niemal zimno, zupełnie jak w kościele, kamienna podłoga w czerwone i czarne kostki przypominała szachownicę. Schody wejściowe przeszły w szeroką klatkę schodową, z prawej strony, jak w kinie, była szatnia, a na lewej ścianie widniały duże, brązowe litery: PORTIERNIA.

Tam za okienkiem siedział przy stole István Pongrác i akurat jadł obiad. Raz po raz zanurzał łyżkę w rondelku stojącym na tacy. Na głowie miał czapkę z daszkiem. Gdyby Zsófi­ka wzięła ze sobą portmone­tkę, mogłaby kupić rogalik i stojąc przy bufecie może by coś wymyśliła, ale zostawiła torebkę w domu, a wydała wszystkie pieniądze, bo melon był bardzo duży. Właściwie mogłaby już iść do domu, widziała Istvána Pongracza — ma okrągłą głowę, czarne oczy i niebieski mundur. Gdy przyjdzie drugi raz, już nie będzie tak strasznie się bała. Wówczas zwróci się do niego i porozmawia z nim. Znowu przełożyła siatkę do drugiej ręki.

Portier skończył obiad i odłożył łyżkę. Właściwie byłoby najlepiej, gdyby raptem domyślił się, kim ona jest i po co przyszła, podniósł okienko i zawołał coś w tym rodzaju, że „Zsófi­ko, twój tatuś kazał ci powtórzyć...” — i powiedział, co kazał powtórzyć. Wówczas mogłaby zaraz pójść do domu.

„Dlaczego tak się boisz ludzi? — spytał ją kiedyś

tatuś w parku miejskim. — Jeśli będziesz dla nich grzeczna, oni też będą dla ciebie grzeczni." Zsófiika nie odpowiedziała, w milczeniu kopała jakiś kamień, a tatuś przyglądał się ptakom; tatusiowi nie trzeba było zawsze na wszystko odpowiadać. Wtedy przypomniała sobie, jak kiedyś, gdy była maleńka, mamusia posłała ją z dzbankiem śmietany do państwa Búsów, ona pomyliła drzwi i zaczęła kopać w próg nie Búsów, lecz pani Demeter. Dzbanek był duży, musiała go objąć obiema dłońmi, nie była w stanie utrzymać w jednej ręce. Z tego też powodu musiała kopać, nie mogła zadzwonić; po dłuższej chwili drzwi otworzyły się, ale stanęła w nich pani Demeter, a nie pani Bús; wówczas Zsófiika zorientowała się, że dobijała się gdzie indziej, ale już zdarła trochę farby u dołu drzwi. Pani Demeter miała tylko szlafrok na sobie, nic więcej, widać dopiero co wstała z łóżka. Zobaczywszy przed drzwiami Zsófikę, uderzyła ją w twarz, aż dzbanek wypadł jej z rąk. Zsófiika nic w domu nie powiedziała, za bardzo się wstydziła, tylko zalała się łzami, a mamusia ją jeszcze ukarała. Od tej pory boi się, że może coś upuścić, i nie śmie nigdzie zapukać. To głupie, ale tak jest.

Okienko uniosło się.

— Czego ty chcesz, dziewczynko? Kogo szukasz? — zapytał portier.

„Muszę odpowiedzieć — pomyślała Zsófiika — rozsądnie, tak żeby od razu zrozumiał, o co chodzi, i nie gniewał się, że go niepokoję." Och, żeby sam się domyślił, po co ona tu sterczy! Może ją pozna? Odwróciła się bardziej do Istvána Pongrácza, ale w tej samej chwili posmutniała. Przecież jest podobna do mamusi i nawet nie może pokazać mu rąk, bo w jednej trzyma siatkę.

W porze obiadowej ruch nieco zmalął. Dziewczyna

z bufetu oparła się na ladzie i włożyła do ust kawałek cukru.

— To niemowa — rzekła zezując w kierunku portiera.

István Pongrácz wyszedł ze swej kabiny. Zsófiika przełknęła ślinę i cofnęła się o parę kroków. Pongrácz był niskim, grubawym mężczyzną o wesołym spojrzeniu. Tatuś musiał być świetnym lekarzem, portier tak żwawo chodzi, jakby nigdy nie chorował na newralgię. Mimo to jednak nie chce z nim dzisiaj rozmawiać, wystarczy, że go widziała, raczej zadzwoni do niego z domu. Jeżeli szybko podbiegnie do drzwi, zdąży wyjść, zanim portier się do niej zbliży. Tylko że ktoś akurat zasłonił wyjście: drzwi zostały rozwarte na całą szerokość, do hallu wnoszono biurko. Zsófi stanęła jak wryta.

— Pokój numer siedem, na lewo — zawołał Pongrácz do robotników i podszedł do Zsófiiki. Wcale nie wyglądał na szorstkiego człowieka, roześmiał się i zapalił papierosa.

— No, czyją jesteś córką? — spytał. — Na ojca czekasz czy na matkę?

— Przyszłam w sprawie newralgii — wyszeptała Zsófiika.

Portier znowu wybuchnął śmiechem. W ślad za biurkiem wniesiono trzy krzesła, jakaś dziewczyna pytała o Wydział Lokalowy.

— Czwarte piętro, pokój numer trzy — poinformował portier Zsófikę. — Wydział Zdrowia. Tylko czy ty dobrze trafiłaś? Czy nie powinnaś pójść do ubezpieczalni? Albo do socjalnego po zasiłek? Kto jest chory na newralgię?

— Pan Pongrácz — odpowiedziała Zsófiika i od razu humor jej się poprawił, bo najgorsze miała już za sobą. Niedługo będzie mogła iść, w gruncie rzeczy to nawet

nie było takie straszne, tylko ci dorośli tak wolno wszystko pojmują.

— Co za Pongrącz? — spytał István Pongrącz.

Zsófiika zmartwiała, zrobiło jej się smutno. To brzydko z jego strony.

— Słuchaj — wychyliła się dziewczyna z bufetu — ona szuka Jancsi Pongracza z Technicznego.

— Nie Jancsi — zaprotestowała Zsófiika. — Istvána.

— Takiego u nas nie ma — potrząsnęła głową portier. — U nas jest tylko jeden Pongrącz, János, i zdrów jak ryba. Nie pasuje?

Niestety dorośli często kłamią. Na przykład ciocia Kató prawie zawsze kłamie, nawet jeśli chodzi o włosy, jest brunetką, a maluje się na blondynkę, kłamie też twierdząc, że chodzi do dentysty — z ich dawnego mieszkania zawsze było widać, że chodzi do „Pierwiosnka” i całymi godzinami wygląda, z której strony nadejdzie wuj Kálmán. On również kłamie, bo najczęściej przychodzi nie z muzeum, lecz od Viki i Dóry, kłamie także Marianna, ale ona jest jeszcze dzieckiem. Mamusia nie kłamie, czasem tylko powiada: „O tym nie należy mówić!” — „To jest przykry temat.” Tatuś nigdy nie kłamał. Nigdy! Gdy musiano jej wyciąć migdałki, w drzwiach szpitala rzekł: „To paskudna historia, moja mała, ale na szczęście nie potrwa długo. Najbardziej bolą zastrzyki, później już będzie lżej. Mimo wszystko jednak to paskudna historia. Nie gniewaj się, musimy ci wyciąć migdałki!” Dlaczego István Pongrącz kłamie? I co ma począć dziecko, gdy ktoś zapiera się przed nim samego siebie? No co? Mięso było mrożone, właśnie zaczęło tajać, kropla po kropli kapiała przez nylonowe oczka siatki i przez ziemniaki na nogi Zsófiiki.

— No — odezwał się znowu portier. — Pasuje ci Jancsi Pongrącz czy idziesz do domu?

W dalszym ciągu się wypiera! Zsófiika odwróciła się na pięcie i ruszyła ku wyjściu. Ktoś wysiadł z windy i zawołał do Istvána Pongrácza:

— Kolego Kovács, czy moja żona nie zostawiła u was biletów do kina?

Portier odparł, że tak, wszedł do kabiny i wyniósł dwa bilety. Zsófiika zastygła w bezruchu. Kovács. Dziewczyna z bufetu włożyła do ust drugi kawałek cukru. Ona ma takie same brwi koloru słomy jak Teri. Skoro on się nazywa Kovács, a nie Pongrácza, to znaczy, że nie jest Newralgikiem, a w takim wypadku najlepiej będzie, jeśli czym prędzej pójdzie do domu, nie ma tu czego szukać. Ale jeżeli odejdzie i niczego się nie dowie, to słowa tatusia gdzieś się rozpląną, znikną na wieki, im więcej czasu minie od śmierci tatusia, tym głębiej gdzieś zapadną. Musi coś powiedzieć! Musi rozsądnie porozmawiać! Musi! Musi!

— Ja szukam portiera Istvána Pongrácza — powiedziała dużo głośniejszym i wyraźniejszym głosem niż kiedykolwiek w szkole. — Portiera, który jest pracownikiem Dzielnicowej Rady Narodowej Budapeszt I.

Portier spojrział na nią.

— Ach, tak! Dlaczego od razu nie mówisz wyraźniej, o co ci chodzi? — przeciągnął się, aż kości chrupnęły mu w ramionach. — To, że ktoś jest u nas zatrudniony, wcale nie znaczy, że pracuje w tym budynku, może tylko brać u nas pieniądze. Rozumiesz? Może być portierem w klinice, Muzeum Petrograficznym, Muzeum Numizmatycznym albo każdej innej instytucji podlegającej Radzie Narodowej. U nas takiego nie ma, tu jest nas dwóch, Lukovics i ja, Lukovics jest teraz na urlopie, a ja, jak widzisz, nie jestem Pongrácza, lecz Kovács. Ten twój Pongrácza musi pracować gdzieś w dzielnicy.

— Jak mam go znaleźć? — spytała Zsófiika.

— Skocz do kadr, jeżeli nie są bardzo zajęci, to wyszukają w kartotece i powiedzą ci, gdzie go znajdziesz. Pierwsze piętro, pokój numer siedem, na drzwiach napisane Fehérvári. Chcesz pojechać windą?

Nie, to byłoby zbyt szybko, woli pójść schodami. Mięso powalało jej skarpetki, bolały ją już obie ręce. Była taka głodna, że właściwie odechciało jej się jeść. Chciała trochę pomyśleć, ale nie miała czasu. Niedługo będzie trzecia, od pierwszej do wpół do trzeciej siedziała na ławce przed Radą Narodową i liczyła interesantów. Powinna już być u ciotki Kató, oczywiście, przedtem zjeść obiad i pozmywać. Pierwsze piętro, pokój numer siedem. Fehérvári. Teraz już zadawanie pytań sprawia jej mniejszą trudność, gdyby człowiek dłużej poćwiczył, to chyba by się przyzwyczaił.

— Portier István Pongrácz? — spytał urzędnik. — Poszukam, ale wpierv musisz powiedzieć, po co ci to potrzebne.

Zsófiika sama nie rozumiała dlaczego, ale temu panu powiedziała. Prawda, że byli sami w pokoju, że panował w nim półmrok, bo na skutek szalonego upału opuszczono żaluzje — w ten sposób łatwiej było mówić. Urzędnik nie odzywał się, tylko palił papierosa. Samodzielna rozmowa i zetknięcie się z kimś obcym były dla Zsófiiki całkiem nowym przeżyciem; dotychczas obracała się tylko w szkole i w rodzinie. Niezwykle zaskoczyło ją, że urzędnik nic nie powiedział, tylko w pewnym momencie spojrzął na nią, przełknął ślinę i znów szybko spuścił wzrok. Poczowała, że współczuje jej, i zrobiła coś, na co nigdy nie zdobyła się wobec nikogo z rodziny, nawet wobec Teri, Valiki czy Dóry: podeszła do biurka, oparła głowę na bibule i zapłakała. To, że nieznamy przełknął ślinę, kryło w sobie coś niesłychanie przyjemnego, dotychczas robili to tylko krewni, znajomi lub przyjaciele, byłoby zresztą dziw-

ne, gdyby reagowali inaczej. Ale ten pan za biurkiem był dla niej zupełnie obcy, nigdy nie widział tatusia, nigdy do nich nie przychodził, a mimo to uzalił się nad nią. Widząc to Zsófiika nagle poczuła, jakby od dawien dawna go znała.

Obcy pan nie usiłował jej pocieszać, nawet jej nie pogłaskał, tylko zaczął wyciągać szuflady i szukać czegoś na dnie jednej z nich, oznaczonej literą P; przez jakiś czas przeglądał zielone karty, wreszcie znalazł to, czego szukał, zaspokoił ciekawość Zsófiiki, a nawet dla pamięci zapisał jej na karteczce adres Istvána Pongrácza. Dziewczynka wzięła kartkę, dwa razy podziękowała i schodząc w dół, siatkę niosła w prawej ręce, a w lewej ścisnęła kartkę. Było piętnaście po trzeciej. Na dworze prażyło słońce, na asfalcie widniały ślady damskich pantofli na szpilkach. Zsófiika szła prosto do domu, na skrzyżowaniu popatrzyła w obie strony, tak jak ją uczono w szkole. Dotarwszy do mieszkania musiała usiąść na wycieracze, gdyż przed wyjściem klucz włożyła na sam spód siatki, teraz leżał na nim melon, ziemniaki, kwiaty i mięso w rozmokłym papierze.

Nie miała najmniejszej ochoty na obiad. Zostawiła siatkę na stole w kuchni, nic z niej nie wyjęła, nawet kwiatów nie wstawiła do wody. Nie umyła nóg, chociaż sok z mięsa zasechł jej na skórze. Poszła do pokoju mamusi i położyła się na tapczanie. Tylko na pięć minut, musi zastanowić się, co robić. Tylko na pięć minut. Jest taka zmęczona i smutna, że musi na chwilę zamknąć oczy.

Gdy się obudziła, obok niej siedziała mamusia z twarzą ukrytą w dłoniach i płakała. Zegar wskazywał wpół do szóstej. Mamusia otworzyła zaciśniętą dłoń Zsófiiki, wyjęła z niej kartkę napisaną przez pana z Rady Narodowej — litery rozmazały się, kartka, pobru-

dzona sokiem mięsnym, zmieniła się we wstrętny, papierowy łachman. Mamusia powiedziała cicho, że pierwszy dzień samodzielności Zsófiaka zaczęła od niezjedzenia obiadu, wałęsania się Bóg wie gdzie i rozsypania ziemniaków na wycieraczce przed drzwiami; nie była u cioci Kató, w kuchni mięso aż cuchnie, melon pękł na dwoje — za jakie grzechy Bóg skarał ją takim dzieckiem?

Zsófiaka popatrzyła na swe brudne nogi oraz powalane sandały, które zostawiły ślady na różowej kapie, i pomyślała o tym, że portier István Pongrác pracuje w żeńskiej szkole przy placu Apácza Csere w pierwszej dzielnicy, to znaczy w szkole, do której ona chodzi, a więc portier István Pongrác jest po prostu panem Istvánem, ich woźnym, przed którym drży od samego początku, gdyż nigdy jeszcze nie słyszała w jego ustach dobrego słowa, zawsze tylko wrzeszczy jak smok, aż strach słuchać, i że wobec tego Istvána Pongrácza zna już szósty rok.

IV

Zsófica nie pamiętała lata bez remontu w szkole.

Przez główne wejście nie można było dostać się do środka, toteż musiała okrążyć budynek i wejść bocznymi drzwiami. Tam nawet, a nie przy głównym wejściu, wisiał rozkład korepetycji. W lecie zajęcia odbywały się nie w poszczególnych klasach, lecz według przedmiotów i to tylko dla uczennic, które miały dwójki, jedynie ich klasa stanowiła wyjątek, pani Marta bowiem trzy razy w tygodniu miała korepetycje dla wszystkich chętnych. Mamusia nie chciała wierzyć własnym uszom, kiedy Zsófica oznajmiła, że w tym roku ona też będzie uczęszczać na korepetycje do pani Marty. Gdy mamusia zadzwoniła do kancelarii, by dowiedzieć się, czy rzeczywiście są zajęcia w tych godzinach, Zsófice zrobiło się przykro, ale mamusia ze swego punktu widzenia miała rację: skąd mogła wiedzieć, czy teraz może Zsófice wierzyć, skoro wczoraj nie poszła do cioci Kató i nie potrafiła zdać sprawy z tego, co robiła po południu.

Jakże inaczej wygląda szkoła w lecie! Gdyby nie robotnicy budowlani, nie spotkałoby się w niej żywej duszy, ani dziewczynek, ani nauczycieli. W ich klasie poprawki mają Ica Rózsa i Margit Petó; Ica zaraz po egzaminach wyjechała, a po Margit nie należy się spodziewać, żeby w lecie przychodziła się uczyć. Ależ pani Marta zrobi wielkie oczy, gdy ją, Zsófikę, zobaczy! Jest dopiero za piętnaście trzecia, jeśli pójdzie korytarzem do końca, a potem wejdzie na schodki pro-

wadzące do klas, to z zakrętu będzie mogła spojrzeć w dół, na portiernię. Pan István siedzi w niej nawet w niedzielę, bo w ten sposób jednocześnie widzi klatkę schodową i wejście do budynku. Teraz raczej nie ma zbyt wiele zajęcia, z ulicy z powodu remontu nikt się nie dostanie, murarze pracują akurat nad głównym wejściem. Oczywiście nie może być mowy o tym, żeby po prostu podeszła do pana Istvána i zaczęła go wypytywać — aż strach pomyśleć, co by z tego wynikło. Pana Istvána wszyscy się boją, jeszcze nikt nie widział uśmiechu na jego twarzy. Co za nieszczęście, że to właśnie on musiał być wtedy w ubezpieczalni!

Przez szparę w drzwiach wahadłowych zerknęła na portiernię. Kabina była pusta, nie paliła się w niej lampa, a przecież zawsze, przez cały okrągły rok się świeciła. Teraz już Zsófiika ośmieliła się podejść i zajrzeć do pokoiku, ale niewiele zobaczyła, panował w nim porządek i czystość, a w rogu na haczyku wisiał czarny fartuch drugiego woźnego, pana Székelya. Może pan István jest na urlopie? Od kogo by się tego dowiedzieć? Pani Dobozi by powiedziała, może ją znajdzie na korytarzu koło świetlicy, gdzie zawsze w czasie przerw sprzedaje karmelki, które trzyma w kieszeni fartucha, i dopiero gdy zobaczy kogoś z nauczycieli, prędko zaczyna zamiatać. Po korepetycji skoczy do świetlicy.

Ale nie, nic z tego, dzieci ze świetlicy w lecie są na obozie, a wraz z nimi na pewno pani Dobozi. Co robić?

Rozległ się dzwonek, Zsófiika weszła na pierwsze piętro i skręciła na korytarz biegnący wzdłuż frontowej ściany gmachu; przy tym korytarzu mieściły się klasy. Przed mniejszą salą wykładową nie było nikogo, w drzwiach gabinetu nauczycielskiego tkwił klucz. Najlepiej by było, gdyby trochę powstała, nie doczekała

się pani Marty i poszła do domu. Jakoś jednak nie miała odwagi odejść, stała przestępując z nogi na nogę, to na prawą przerzucała ciężar ciała, to na lewą.

Mniej więcej w dziesięć minut po dzwonku pani Marta wyjrzała z pokoju nauczycielskiego i zobaczywszy Zsófikę dała jej znak, by poszła do sali muzycznej. Zsófika oczekiwała jakiejś uwagi nauczycielki, na przykład: „jak to ładnie, że przyszłaś” albo „to będzie bardzo pożyteczne dla ciebie”, ale pani Marta nic nie powiedziała, jakby obecność dziewczynki uważała za najnormalniejszą rzecz pod słońcem, jakby w ogóle nie zauważyła, że tylko ona jedna przyszła z całej klasy. Zaledwie weszła, bez żadnego wstępu rozpoczęła dla niej jedną lekcję gramatyki. Wzięła w obroty fonetykę. Zsófika nie robiła błędów ortograficznych, ale pisała mechanicznie, nigdy nie rozumiała prawideł fonetycznych. Teraz, gdy była sama, nauczycielka tylko nią się zajmowała, a uwagi jej nie rozpraszały ani koleżanki, ani ruch uliczny, nagle wszystko, co dotąd było niejasne i zagmatwane, stało się zupełnie oczywiste. Dotychczas nie umiała nawet zapamiętać głosek dźwięcznych, uważała, że ten podział fonetyczny nie ma sensu, wiecznie mieszała je z bezdźwięcznymi. „Stuk, puk, cześć, chata i szaf sześć!” — wbijała jej do głowy pani Marta. Jeżeli z tych kilku słów odrzuci samogłoski, będzie znała wszystkie spółgłoski bezdźwięczne; i rzeczywiście, Zsófika już je zapamiętała. Gdy w domu przykładła rękę do gardła, by wypróbować, czy struny głosowe rzeczywiście nie drgają, nic nie mogła zapamiętać, przy wymawianiu każdej głoski czuła, że aż jej huczy w krtani. Ale to „stuk, puk, cześć...” to była rozsądna rzecz. A zapamiętawszy spółgłoski bezdźwięczne, od razu zrozumiała prawo upodobnienia. Pani Marta podyktowała jej parę wyrazów i Zsófika rzeczywiście dostrzegła, które spółgłoski

miękkie w czasie wymawiania zmieniają się w twarde, nie tak, jak w ostatniej tragicznie nieudanej klasówce.

„Gdy jest zupełnie sama — pomyślała Marta Szabó — musi uważać i wówczas od razu chwytą. Zawsze czułam, że jest zdolna i ma doskonałą pamięć. Ale dlaczego ona dziś przyszła? To wcale do niej nie pasuje. Na pewno matka ją przysłała.”

— Pan István zbierał wiśnie przed stajnią — poddyktowała nauczycielka — zginał kijem gałęzie, jedna z nich z trzaskiem spadła na ziemię.

W powyższym zdaniu Zsófica miała znaleźć słowa, w których zachodzi upodobnienie postępowe. Nie trafi? Nie szkodzi, mają czas, ona poczeka.

Ciekawe, w oczach dziewczynki znowu odbija się niepokój, jakby raptem zapomniała wszystko, co przed chwilą rozumiała.

„Pan István nie siedział w portierni — myślała przez ten czas Zsófica — pani Dobozi nie ma w szkole, trzeba by jakoś wybadać pana Székelya.” Ale co będzie, jeśli się dowie, że pan István wyjechał? Dopiero za parę tygodni będzie go mogła spotkać. A jeśli jest w domu, tylko o tej porze nie musi siedzieć w portierni? Ica Rózsa opowiadała kiedyś, że woźni mieszkają w suterenie szkoły. I pani Dobozi tam mieszka, i pan Székely. Nie, do suterenu to już naprawdę nie odważy się wybrać. To nie Rada Narodowa, to mieszkanie prywatne. Jeszcze pan István wrzaśnie na nią albo jego żona otworzy drzwi... Czy pan István ma dzieci?

Pani Marta przyglądała się Zsófice bez słowa. Dobrze znała tę twarz, która czasem nagle wydłużała się i stawała odpychająca, wówczas nie malowało się na niej przerażenie, lecz protest: jakby dziewczynka dobijała się do jakiejś bramy, której nie chcą jej otworzyć. Już ją coś innego zajęło? Ale co? Wiśnie? Czyżby była głodna? Chyba nie, przecież dopiero co minęła

pora obiadowa. Stajnia? Nie, miejskie dzieci nie myślą o cwałujących koniach. Nauczycielka nie mogła się domyślić. Przed chwilą Zsófiika rozpoznała wszystkie przypadki upodobnienia wstecznego, a teraz patrzy i skrobie paznokciem po tablicy. To twarz Zsófiiki z egzaminów. Przed chwilą jakby zupełnie kto inny stał przy tablicy.

— Przed, trzaskiem — Zsófiika zakreśliła kółkami początkowe sylaby słów i przeniosła wzrok z tablicy na nauczycielkę. Pani Marta nagle odniosła wrażenie, że dziewczynka w ogóle jej nie słyszy.

— Gałąź o mało nie zabiła kurczaka — dyktowała dalej. — Wystraszone zwierzę wpadło panu Istvánowi pod nogi. W tym zdaniu występuje upodobnienie wsteczne. Podkreśl to słowo!

Zsófiika nie poruszyła się. „Cierpliwości — powiedziała sobie Marta Szabó. — Coś innego przykuwa jej uwagę. Ona uważa, niesamowicie uważa i łamie sobie głowę, ale nad czymś innym. Co to takiego może być? Dopóki nie zaczęłam dyktować tych zdań, było wszystko w porządku. Raczej bawiło ją to, że już potrafi odpowiadać na pytania.” — Wymień wszystkie spółgłoski bezdźwięczne — powiedziała Marta Szabó przeglądając zeszyt, żeby nie peszyć Zsófiiki spojrzeniem.

— Stuk, puk, cześć, chata i szaf sześć — wyrecytowała Zsófiika z miejsca i obie roześmiały się, gdyż te kilka wyrazów, zgrupowanych obok siebie, niesłychanie zabawnie zabrzmiało; Marta Szabó zaś przypomniała sobie jeden z artykułów matki Zsófiiki mówiący o błędach, popełnianych przez niektórych nauczycieli: zamiast wdrażać dzieci do samodzielnego myślenia, nauczyciele ci uczą zjawisk językowych metodą mnemotechniczną. Nie, przy „stuk, puk, cześć...” jeszcze wszystko było w porządku. Niestety zaczęło się podczas dyktowania zdań, ale co odwróciło uwagę

dziewczynki — zapewne pozostanie wieczną tajemnicą. Wszystko jedno, i tak dziś nauczyła się więcej niż w ciągu sześciu tygodni nauki w szkole. Na dziś wystarczy, niech już idzie sobie poskakać do domu.

Zsófiika spakowała zeszyty. W sali było gorąco, hałasy uliczne nie pozwalały otwierać okien, uwięziony trzmiel aż do znudzenia obijał się o szyby.

— Na czwartek zrobisz trzecie ćwiczenie z książki! — powiedziała pani Marta. Zsófiika skinęła głową i grzecznie zanotowała numer ćwiczenia. Akurat napisze, w ogóle więcej nie przyjdzie.

— Ten tekst o panu Istvánie też możesz dokończyć w domu, wypadki upodobnienia oznaczysz kolorowym ołówkiem. Jeszcze raz przejrzyś prawidła fonetyczne i napiszesz sześć zdań o panu Istvánie, w których zachodzić będzie upodobnienie postępowe. Biedny nasz pan István, on nawet wiśni nie może sobie narwać. Od kiedy uczę w tej szkole, po raz pierwszy położył się do łóżka.

Trafiła. Zupełnie tak samo przypadkowo, jak naukowiec, który w trakcie prób robi wielkie odkrycie, dojdzie do rozwiązania jakiejś niebywale doniosłej sprawy, choć wcale go nie szukał. Oczy, sennie, odpychające, puste oczy Zsófikiki ożyły. Dziewczynka odwróciła się na pięcie i oparła lewą rękę na biodrze. „Nie mogę nic dać po sobie poznać — postanowiła Marta Szabó. — Jeżeli coś zauważy, przestraszy się i wszystko się skończy. Pojęcia nie mam, co ją łączy z Pongráczem, ale coś łączy. Nie wiedziała, że jest chory, a ja nie potrafię powiedzieć, czy ta wiadomość przeraziła ją, czy przyniosła jej ulgę.” Marta Szabó zaczęła zbierać rzeczy i wstała.

— Choroba to wstrętna rzecz — powiedziała nie patrząc na Zsófikę. — Szczególnie gdy człowiek jest samotny i nie ma kto się nim zająć. Ucałuj mamusię,

a jak przyjdiesz we czwartek, będziemy mogli zrobić całą fonetykę. Dziś wszystko naprawdę świetnie poszło.

Gdy zamknęła salę, Zsófiika pożegnała się, a ona spojrzała, dokąd dziewczynka idzie. Pobiegła w stronę schodków prowadzących do sutereny — nic dziwnego, teraz tamtędy wychodzi się ze szkoły. Jeden z robotników o mało nie zawadził jej skrzynką z wapnem. Teraz już nie ulega wątpliwości, że tylko wtedy potrafi się skoncentrować, kiedy jest zupełnie sama i nauczycielka mówi wprost do niej. Samo patrzenie jej nie wystarcza, jej wzrok zawsze coś innego przyciąga, ona musi słyszeć. Zresztą zawsze czuła, że Zsófiika jest mądrym dzieckiem. Stuk, puk, cześć, chata i szaf sześć. Judit pod tym względem też się pomyliła. Trzeba by spytać Pongrácza, skąd zna Zsófikę.

V

Zsófica po raz pierwszy znalazła się w tej części sutereny. Lewe skrzydło sutereny znała, gdyż czasem wchodziło się tamtędy do szkoły — znajdowały się tam drzwi wychodzące na klatkę schodową. Natomiast do prawego skrzydła nigdy się nie zapuszczała, nie miała tam nic do roboty. Stąd można też było zejść do piwnicy, te duże, żelazne drzwi, nad którymi widnieje napis *Schron*, na pewno tam prowadzą. Ta część budynku została w czasie wojny całkowicie zniszczona i dlatego ściana jest tu zupełnie nowa. Tu nawet zginęli ludzie, ale kto, Zsófica już nie pamięta, chociaż kiedyś podczas uroczystego zakończenia roku szkolnego dyrektorka opowiadała o nich.

Jakim echem rozbrzmiewają kroki na takim korytarzu! O, to drzwi do pokoju pani Dobozi, jak pięknie klamka się u niej błyszczy! Na drzwiach wisi kłódka, a więc miała rację, pani Dobozi wyjechała. Tu znowu jest jakaś komórka, przez szybę widać siekiere, piłę i długi, zakończony haczykiem kij, którym pan Székely podnosi tablicę, jeżeli lina się zerwie. A tu drzwi do pokoju pana Székelya, z szybą zaklejoną zielonym papierem. Pokój pana Istvána mieści się na samym końcu, z daleka widać, że nad tabliczką z nazwiskiem przyczepił pineskami jakąś kartkę. Tatuś miał tabliczkę emaliowaną, a ta jest drewniana, najprawdopodobniej pan István sam ją sobie zrobił, po prostu scyzorykiem wyciął swoje nazwisko w kawałku drewna.

Nie, nie odważy się wejść. Już wie, gdzie pan István

mieszka, więc pójdzie do domu, musi najpierw obmyślić, co powie, gdy w czwartek do niego zapuka. Nie będzie jednak mogła zapukać, bo oto na kartce pan István napisał: NIEPÓKAĆ. Dwa wyrazy połączył w jeden. Ale dlaczego nie wolno pukać? Nie ma mowy, żeby weszła gdzieś, gdzie nawet nie wolno zapukać. PÓKAĆ. Pan István napisał przez ó, a przecież pisze się przez u.

W suterenie panowała taka grobowa cisza, że odgłosy kroków, które Zsófiika usłyszała za plecami, zadudniły niczym grzmoty. Wystraszona zaczęła wycofywać się w kierunku schodów. Dziewczyna, idąca na przeciw, gwałtownie skręciła, tak że nieomal zderzyły się.

— Przepraszam! — wyszeptała Zsófiika rumieniąc się i stanęła.

Dziewczyna, na którą wpadła, była wysoka i przystojna; z trudem łapała powietrze, musiała się bardzo spieszyć. Zsófiika chciała ruszyć w swoją stronę, ale nieznajoma zatrzymała ją.

— Czy idziesz od pana Istvána? — zapytała.

Zsófiika wyjąkała, że tak. Co prawda nie była u niego, tylko pod jego drzwiami, ale jak tu wytłumaczyć coś, co w ogóle nie da się wytłumaczyć? Tym bardziej że nieznajoma, nie wiadomo czemu, najwyraźniej ucieszyła się z tego, że Zsófiika idzie od pana Istvána.

— Słuchaj — zaczęła dziewczyna — ty na pewno nie spieszysz się tak jak ja. Jeślibym teraz weszła i zaczęła staremu tłumaczyć, spóźniłabym się do kina. Leć z powrotem i powiedz mu tak: była tu Joli z wiadomością od Juhosów, że od nich nikt nie może przychodzić, Rozi też nie, bo wyjechała na lato do Ladány. Nie zapomnisz?

Zsófiika kiwnęła głową, że nie.

— No to serwus!

I już jej nie było. Jak ona umie biegać na tych wysokich obcasach! „Wyrwę kartkę z zeszytu — pomyślała Zsófiika — napiszę na niej, co trzeba, i przyczepię do tamtej kartki, jak pan István wyjdzie, to ją znajdzie.” Przykucnęła koło najniższego schodka i napisała wiadomość przekazaną przez nieznaną, po czym ostrożnie podkrađła się do ostatnich drzwi i spróbowała przyczepić kartkę. Papier jednak nie chciał się trzymać. By go umocować, musiałyby zdjąć NIE-PÓKAĆ i obie kartki przytwierdzić jedną pineską. Ale czy wolno jej to ruszyć, skoro pan István tak zawiesił? Stała bezradnie, gniotąc kartkę w dłoni.

Dotychczas choroba, każda choroba była dla niej rzeczą naturalną. Choroby tak nierozłącznie wiązały się z ich domem, jak bukiety kwiatów z kwiaciarką. Gdy ktoś zachorował, dzwonił do tatusia, a tatuś szedł i go ratował. Zsófiika też czasem chorowała, miała odrę, kiedyś dostała wysypki od poziomek, nawet musieli jej wyciąć migdałki. Człowiek przez jakiś czas choruje, a potem wraca do zdrowia. Od kiedy jednak tatusia zabrakło, Zsófiika nie była już taka pewna, że choroby przychodzą i potem jakoś mijają. Bo oto okazało się, że są choroby, które nie mijają, nieuleczalne, szybko postępujące i podstępne, zamykające człowiekowi usta, nie pozwalające nawet dokończyć zdania.

Jeżeli pan István jest chory, i to może ciężko chory, nie wolno jej zwlekać do czwartku, nie wolno czekać na wynalezienie jakiegoś mądrego pretekstu usprawiedliwiającego wizytę. Musi natychmiast, bez zastanawiania się, do niego wejść i porozmawiać, dopóki nie jest za późno, a nuż pan István umrze i zabierze ze sobą do grobu słowa tatusia — wówczas już naprawdę nie wiedziałyby, gdzie ich szukać. Wsunęła kartkę do kieszeni. Sama mu wszystko powtórzy, przynajmniej będzie miała pretekst do zapukania. Nie, pukać

nie wolno, przecież specjalnie to napisał, widocznie pukanie go denerwuje. Więc bez pukania. Tak nawet będzie lepiej, przynajmniej ominię ją potworna chwila oczekiwania na głos zza drzwi: może wejść czy też nie? Będzie na nią wrzeszczał, nawet jeżeli jest bardzo chory i nie ma siły chodzić, nawet wówczas będzie wrzeszczał, pan István zawsze wrzeszczy, on nie potrafi cicho mówić. Weszła.

W pokoju zalegał półmrok, w pierwszej chwili Zsófica prawie nic nie widziała, musiała dobrze wytrzeszczać oczy. Okno wychodziło na małe podwórko, na środku którego piętrzyła się góra zwiezonego na zimę węgla; z pokoju widać było tylko maleńki skrawek nieba. Gdy skrzypnęły drzwi, nikt nie wrzasnął, wśród niezmaconej ciszy słychać było tykanie zegara. Pan István spał.

Jego łóżko stało naprzeciwko drzwi. Pan István raczej siedział, niż leżał, pod plecami miał trzy poduszki w czerwonej kratę, jedna jego noga, do połowy w gipsie, spoczywała na kołdrze i u wierzchołka łóżka była podniesiona do góry. Ścian nie ozdobił żaden obraz, tylko nad łóżkiem wisiał na gwoździu żółty, słomkowy kapelusz z szerokim rondem obszytym dokoła zieloną wstążką. Zsófica jeszcze nie widziała, żeby zamiast obrazów wieszać na ścianie kapelusze. Koło umywalki odcinał się niebieską barwą blaszany dzbanek, a stolik, szafy i dwa krzesła były zupełnie takiego samego koloru jak meble w klasach. Zsófica podeszła bliżej do łóżka, podłoga zaskrzypiała pod jej stopami, a ona z przerażenia oparła się o stojący w nogach łóżka stolik, na którym podskoczyła blaszana popielniczka z wytłoczonym na spodzie łbem końskim. Dziewczynka poczuła, jak ze strachu lodowaciej ją jej stopy, a nogi

uginają się w kolanach. Pan István chrząknął i otworzył oczy.

Zsófica nie była w stanie się odezwać ani przywitać, słowa uwieźły jej w gardle. Weszła bez pukania, tak jak pan István sobie życzy, ale jeśli on o tym zapomniał, to będzie źle. Stoi w cudzym mieszkaniu i nie może słowa z siebie wydobyć. Zaraz rozlegnie się wrzask, a ona odwróci się na pięcie i jak puści się biegiem, to dopiero w domu się zatrzyma. Pan István strasznie schudł, głowa mu tak zmalała, że siwe brwi zakrywają prawie pół czoła.

— Gdzie, u diabła, dotąd łaziłaś? — spytał.

Nie wrzasnął, tylko burknął opryskliwie, po czym rozprostował się pod kołdrą. Zsófica patrzyła na niego nie ruszając się z miejsca.

— Głucha jesteś jak twoja babka? Pytam, gdzie się dotąd szwendałaś? Obiecaliście, że rano ktoś przyjdzie, a ty dopiero teraz się zjawiasz, nie ma mleka, w ogóle nic nie ma, myślicie, że dyrektorka ugotuje mi obiad i posprząta czy co? He?! Czy nie powiedziałem twojemu dziadkowi, że Dobozi dostała skierowanie i zostałem sam? I dlaczego cię przysłali, przecież mówiliśmy o Joli, jest was sześć, a wybrali najmniejszą. Która ty jesteś, ja chyba jeszcze cię nie znam. Jak się nazywasz?

— Zsófica — wyszeptala Zsófica.

— Ładną będę miał z ciębie pomoc, jeżeli już pierwszego dnia gdzieś polaziłaś. Poczekaj no, jeszcze raz się spóźnisz, to powiem dziadkowi, a on ci gnaty porachuje. No, bierz nogi za pas, na stole stoi butelka, weź ją i leć po mleko. Masz pieniądze.

Wyciągnął spod poduszki blaszane pudełko i odliczył dziesięć forintów.

— Kup też kawę i chleb. Dziś tylko wypiję kawę, nic więcej. Mogłabyś też przynieść trochę czernic, bo

zjadłbym coś kwaśnego. Koszyk stoi obok dzbanka. Nie gap się, tylko się ruszaj!

Właściwie powinna mu powiedzieć, że jest Zsófiką Nagy i wcale nie została przysłana przez Juhosów, należałoby też powtórzyć to, o co prosiła Joli. Ale gdy się okaże, że jest tylko gościem i przyszła o coś zapytać, pan István nie wyśle jej po zakupy i przez cały dzień nic nie będzie jadł, a jest taki chudy. Mamusia dziś później wraca do domu, ma jakieś nadprogramowe posiedzenie. Jeżeli ona przyniesie chleb i kawę, to pan István będzie miał co jeść, a wówczas może humor mu się poprawi i z wdzięczności odpowie na wszystkie jej pytania. Tylko co będzie, jeżeli ją ktoś zauważy robiącą zakupy, wychodzącą z koszykiem i wracającą z mlekiem? Co będzie, jeżeli pani Marta ją zobaczy i o coś zapyta?

— Na co ty jeszcze czekasz, no, na co?

Tym razem głos pana Istvána przypominał już jego normalny ton: wrzask na widok wniesionego błota albo w odpowiedzi na trzaśnięcie drzwiami, gdy czasem komuś na mrozie klamka wysliznęła się z ręki. Zsófika złapała koszyk i wybiegła z pokoju. Tylko schody zadudniły pod jej nogami, przebiegła między robotnikami, skrzynkami z piaskiem oraz ramami okiennymi i wypadła na ulicę. Pan István chyba nie umrze, połamane kości prędzej czy później się zrosną, ale leczenie potrwa kilka miesięcy. Tatuś kiedyś powiedział, że im człowiek jest starszy, tym każde złamanie jest groźniejsze. Jaki on musi być głodny! Tym razem nie przepuszczała ludzi, którzy po niej przyszli, od razu zwróciła się do ekspedientki, nawet nie czekając na swoją kolej podała butelkę, aby jak najprędzej być z powrotem. Kupiła paczkę „Kawy Rodzinnej” i chleb, a potem bardzo cicho — bo nie wiedziała, co to jest — poprosiła o czernice. „Jagody? — spytała

ekspedientka. — Jagód nie ma." Do owocarni już nie pobięła, bała się, że zajmie jej to zbyt dużo czasu. W drodze powrotnej drżała ze strachu, że spotka kogoś z nauczycieli, zachodziła w głowę, co w takim razie powiedzieć, ale nic nie mogła wymyślić. Nie spotkała jednak nikogo. Robotnicy ją poznali, jeden nawet pochwalił ją, zawołał coś w tym rodzaju: „no, no, patrzcie, jaka mała gosposia!"

— Zagotuj mleko! — zarządził pan István. — Nastaw wodę na zmywanie, a zanim się zagrzeje, możesz zamieść. Tylko porządnie, bo pani Dobozi ostatni raz sprzątała w zeszły piątek, a ja nie lubię gnić w brudzie.

— Chciałabym o coś zapytać — powiedziała Zsófi-
fika.

— Poczekaj, aż zjem — odrzekł pan István.

Szczotka stała w komórce, była inna niż ich domowa szczotka, dużo większa, Zsófi-
fika nie bardzo umiała sobie z nią poradzić, gdy sięgała pod łóżko, o mało się o nią nie przewróciła. To straszne, gdy tak człowiekowi patrzą na ręce! W domu nawet w połowie nie stara się tak jak tu, a pan István nie spuszcza jej z oka i coraz to powtarza: „Jeszcze! Jeszcze!" Na szczęście tu jest mniej kurzu do wycierania niż w domu, pan István nie ma żadnych figurek. W ogóle prawie nic nie ma.

— Mleko ci ucieknie! — burknął zamiast podziękować za sprzątnięcie; podbiegła do gazu, złapała za rozgrzane ucho rondla i oparzyła sobie rękę. Po raz pierwszy w życiu miała ugotować kawę; pan István wsypał do garnka dwie łyżki cykorii, a Zsófi-
fika postawiła kawę na ogniu, pozmywała i powycierała naczynia. W domu nigdy tak dokładnie nie wycierała talerzy, ale teraz bała się pana Istvána.

— No — rzekł, gdy wreszcie dostał kawę, a Zsófi-
fika poprawiła mu poduszkę pod plecami, żeby mógł się

wygodniej ułożyć. Wypił dwie filiżanki, ale wysączwszy ostatnie krople nie odstawił naczynia, trzymał je w ręku, jakby chciał sobie ogrzać palce. W pokoju panował chłód, nic nie przypominało lata. Tu nigdy nie docierało słońce.

— Czy newralgia jeszcze panu dokucza? — spytała Zsófica.

— Co ci do tego? — usłyszała w odpowiedzi. — Lepiej by było, gdybyś pomyślała o tym, żeby nie być taką fujarą. Inne dziewczyny w twoim wieku są dużo zręczniejsze. I ruszasz się jak mucha w smole, dobra śmierć by z ciebie była.

Ona wolno się rusza!

Urażona do żywego Zsófica postawiła tacę. W życiu tak się nie uwijała! Ręce jej poczerwieniały od tej ciężkiej szczotki o takim grubym trzonku, proszę, nawet pęcherze sobie porobiła i poparzyła palce.

— Teraz możesz iść do domu — oznajmił pan István. — Jutro przyjdiesz z samego rana, jeżeli znowu będziesz łązić, to wstanę i dostaniesz za swoje. Jutro chcę już coś uczciwego zjeść, usmażysz mi jakiegoś mięsa, pójdziesz do hal. Rozumiesz?

Akurat, jeszcze nie zwariowała. Nie umie gotować i co dzień będzie przychodzić zamiast Juhosów? Jeszcze czego! Co za wstrętny staruch z niego, jeszcze takiego nie widziała. I niewdzięczny.

— Masz tu pieniądze, no!

István Pongrácz wyliczył Zsóficę trzy forinty. Zsófica patrzyła przez chwilę, a potem zaczerwieniła się i położyła pieniądze z powrotem na łóżku. Twarz pana Istvána nabiegła krwią.

— Co, za mało? Czego się gapisz jak wół na malowane wrota? Ile byś chciała za ten marny początek? Dziesięć forintów? Może dwadzieścia?

Wyrznął pięścią, aż pieniądze spadły z łóżka i roz-

leciały się w trzech kierunkach. Wystraszona Zsófica uklękła, by je pozbierać. Jeszcze chce jej dać napiwek, to potworne.

Przecież ona ma pieniądze w domu, pełną skarbonkę, na każde imieniny i urodziny dostaje pieniądze. Sięgnęła pod łóżko, dokąd potoczył się trzeci forint.

— Proszę mi nie dawać pieniędzy! — szepnęła spod łóżka. — Proszę mi tylko powiedzieć...

— Za darmo będziesz robić, co? Przestań się wygłupiać, bo dzielę cię przez łeb, niech no tylko wstanę. A jutro masz tu być na czas. Zrozumiałaś?

Zsófica niemal z płaczem schowała trzy forinty. On na pewno w ogóle niczego nie słyszał, w kółko tylko swoje powtarza. Nawet nie chce odpowiadać, szkoda go pytać, w ogóle nie można z nim rozsądnie porozmawiać. Pewnie tak samo wrzeszczał, gdy tatuś do niego mówił. Mimo to jednak w drzwiach jeszcze raz spróbowała. Zaledwie powiedziała: „W ubezpieczalni...”, a już musiała ugryźć się w język, ponieważ pan István wygrażając pięścią zawołał, że o zasiłku chorobowym nawet nie chce słyszeć, lepiej by było, gdyby się pospieszyła, bo ma daleko do domu.

Była śmiertelnie zmęczona, ubrudzona, fartuch miała opryskany kawą, a w kieszeni trzy forinty od pana Istvána. Wyszedłszy na plac przed szkołą, o mało nie wybuchnęła płaczem. Jeśli nie powie panu Istvánowi, że nie jest tą dziewczynką, za którą ją bierze, to nigdy się z nim nie porozumie, a jeżeli powie, to znowu będzie awantura, dlaczego od razu tego nie wyjawiała. Oj, cóż to za wstrętny, stary gbur! Pośliniła pęcherz, który jej się zrobił na środkowym palcu. Było w pół do szóstej, musi się pospieszyć, bo inaczej nie zdąży przed powrotem mamusi. Niczego się nie dowiedziała, na próżno uczyła się fonetyki. Już więcej się tam nie pokaże. Valika mówiła, że kiedy tatusiowi zrobiło się

słabo, wpadła do gabinetu razem z doktorem Somyim; skoro oni nic nie słyszeli, to z pewnością pan István też nie. Tatuś nic więcej nie powiedział, wszelkie dociekania nie mają sensu. Gdyby nawet pan István był najgorszym człowiekiem, to wiedząc coś, powtórzyłby, jeśli nie jej, to w każdym razie mamusi. Na tyle stać nawet najpodlejszego starucha. No, on już jej więcej nie zobaczy. Skoro Juhosowie nie mają czasu, niech sam sobie choruje, jeśli czegoś mu się zachce, niech wylezie z łóżka, zrobi, co potrzeba, i zapłaci sobie trzy forinty.

Wieczorem w łazience Judit długo myślała nad tym, jak dzieci czasem dziwnie się zmieniają, niekiedy zupełnie nagle, z dnia na dzień. Dawniej musiała Zsófica bezustannie przypominać, żeby co dwa dni zmieniała fartuszek, dziś wróciwszy do domu zastała ją w czystym. Gdy zaczęła sprawdzać, czego nauczyła się na korepetycjach, okazało się, że bezbłędnie rozróżnia spółgłoski dźwięczne i bezdźwięczne, a w zimie w żaden sposób nie można jej było tego wbić do głowy. Gdy przed chwilą do niej zajrzała, Zsófica spała leżąc na plecach, jak w najwcześniejszym dzieciństwie. A przez parę ostatnich tygodni bardzo źle sypiała, od śmierci ojca co dzień powtarzało się to samo, nie mogła zasnąć do jedenastej czy w pół do dwunastej, paliła światło, prosiła o książki, mówiła, że nie chce jej się spać. Dziś tylko sapie przez sen jak niemowlę, jakby była śmiertelnie zmęczona, jakby przez cały dzień pracowała. I jakoś staranniej zaczęła pisać, tylko dlaczego w szkole dyktują takie idiotyczne przykłady? Zdanie na porzuconej w kuchni kartce naprawdę nie miało sensu, ale napisane było wzorowo: *Juhosowie zawiadamiają, że nikogo nie mogą przysłać*. To pewno ćwiczenie z fonetyki, przykład na upodobnienie postępowe.

VI

Przed świtem obudziła Zsófikę burza.

Dziewczynka nie przestraszyła się, lubiła błyskawice i grzmoty. Gdy była mała, zawsze w czasie burzy tatuś stawiał ją na oknie i wspólnie przypatrywali się strugom deszczu i miotanym wichurą koronom drzew. Z zachwytem przyglądała się zygzakom błyskawic na niebie, jaśniejszym od jakiegokolwiek innego światła; lubiła również trzaskanie piorunów, nagłe falowania deszczu na wietrze i widok ludzi przedziwnie zmagających się z nawałnicą, jakby raptem utracili równowagę i mogli stawiać kroki tylko wówczas, gdy pochylają się do przodu. Po burzy zawsze zmieniał się powietrze, nieoczekiwanie nabierało zapachu kwiatów, grzybów i ziemi, ten zapach przypominał nieco woń rozchodzącą się przy krzesaniu ognia kamieniem. Tak właśnie pachniały te grzechoczące żółte kamyki, gdy się je zbliżyło do nosa.

Podmuchi wiatru wydał firankę na oknie. Z łóżka przyjemnie jest obserwować deszcz, za chwilę zacznie pachnąć krzesanym ogniem, ale gdy tylko wszędzie słońce, ozonowy zapach i kałuże znikną. Wiatr wdmuchuje do pokoju krople deszczu, Teri rano będzie gderać, że cała posadzka jest zalana, a potem zaciągnie klepki woskiem.

Zsófika przewróciła się na drugi bok. Mamusia nie lubi burzy, najlepiej, gdy burza przychodzi w nocy, bo mamusia bardzo twardo śpi, jak raz zaśnie, to już do

rana się nie zbudzi. Kwiaty na balkonie muszą się strasznie cieszyć.

Zsófiika zupełnie się rozbudziła i usiadła na łóżku.

Oprzytomniała na myśl o kwiatach, bo natychmiast przypomniała sobie, że rośliny zostały u pani Müller, w tamtym domu, że w nowym mieszkaniu nie ma balkonu, co więcej, nie ma Teri, która rano zrzędziłaby z powodu zalanej posadzki, i jeśli nie zamknie okna, to któraś z nich będzie musiała na nowo podłogę froterować — albo mamusia, albo ona. Wyskoczyła z łóżka i zamknęła okno. Na parapecie stała woda, firanka była już wilgotna, ale posadzka na szczęście jeszcze nie zdążyła zmoknąć. Musi wytrzeć parapet, przecież woda niszczy drzewo. W pokoju mamusi też trzeba by zamknąć okno.

Najpierw przemknęła się do kuchni po ścierkę, a potem zajrzała do mamusi. Drzwi skrzypnęły, ale mamusia spała dalej, nie słyszała, jak Zsófiika mocowała się z klamką okienną, która nie chciała ustąpić, dziewczynka musiała nawet zapalić światło, bo jeszcze nie nadzwyczajnie orientowała się w tym mieszkaniu.

Odniosła ścierkę do kuchni. Już nie była senna, najchętniej by się ubrała. Możliwe, że to burza tak działa, intensywnie naelektryzowane powietrze. Najgorzej czują się wówczas ludzie chorzy na serce albo cierpiący na jakieś dolegliwości kostne; w taką noc reumatyzm czy złamanie kości mocno daje się we znaki. Pan István na pewno nie śpi, noga musi mu bardzo dokucać.

A, niech dokucz! Wzięła kostkę cukru i wróciła do pokoju. Gdy zgryzła ją do połowy, poczuła gorycz w ustach. W łóżku po umyciu zębów nigdy nie wolno jej było jeść, szczególnie słodczy. Teraz nikt tego nie widzi. Tatuś umarł, a mamusia śpi.

„Zsófiika ma charakter — stwierdził tatuś któregoś

lata. Ona kopała w piasku, a mamusia opalała się leżąc na macie. — W ogóle dzieci na ogół mają charakter, tylko dorośli go w nich tłumią. Przemądrzali dorośli." Tatuś palił wówczas papierosa, a ona z zielonego dzbanka w białe groszki lała wodę na piasek. „Czasem jesteś niemożliwy" — rzekła mamusia pokazując w uśmiechu wszystkie zęby, tatuś także się roześmiał, po czym przeciągnął się i skoczył do wody. Zsófica nie wiedziała, co to znaczy „charakter". Może to, że powinna wstać, wrócić do kuchni, wypluć cukier i wypłukać usta, ponieważ słodyczne psują zęby? Na pewno nie, to byłoby za proste. Ale zrobi to, gdyż kiedyś przyrzekła tatusiowi, a obietnica obowiązuje nawet po śmierci tatusia. A jeśli ta obietnica jest ważna, to obowiązują także wszystkie inne, a więc będzie musiała pójść do pana Istvána, wprawdzie nie powiedziała mu wprost, że jutro znowu u niego posprząta, ale tak to można było zrozumieć.

Mamusia, gdy pisze książkę, dużo z nią rozmawia. Zadaje najprzeróżniejsze pytania, na które Zsófica musi odpowiadać, a czasem tylko patrzy, jak Zsófica się bawi, co i jak robi, długo patrzy, wreszcie mówi jakieś obce słowa i zasiada do maszyny. Kiedyś mamusia zapytała ją, co ona byłaby w stanie dla niej zrobić; Zsófica czuła, że wszystko, ale nie odezwała się, tylko zaczęła gryźć kokardę zwisającą na końcu warkocza. Czy byłaby w stanie wyrzec się owoców przez całe lato? Oczywiście, choć dużo bardziej lubi owoce niż ciastka. Oddałaby jej bilet do kina, który właśnie dostała? Oddałaby, chętnie. A poszłaby sama w nocy na wieżę obserwacyjną? Tak. Tatuś siedział w sąsiednim pokoju, w pewnej chwili usłyszały, że się po cichu śmieje. Mamusia rozgniewała się i zamknęła drzwi. Później przyszła Dóra i zajęły się nawlekaniem perełek, Dóra przyniosła książkę z wzorami, patrząc

na nie można było układać z pereł najrozmaitsze figurki: rybki, wiewiórki i ptaki. Tatuś mówił cicho, mamusia głośniej, ale mimo to słowa tatusia też dobiegały przez drzwi: „Chciałabyś, żeby biedaczka nie jadła owoców? — pytał. — Albo zabrałabyś jej bilet do kina i zamiast niej poszła na *Kosowego króla*? A już najlepsza jest ta wieża obserwacyjna. Po co, u Boga Ojca, miałaby w nocy chodzić na Górę Jánosa?” Mamusia odpowiedziała porywczo, że chodzi jej tylko o zbadanie granicy ofiarności dziecka. „No to sobie badaj — rzekł tatuś i począł gwizdać. — Co mogłoby tobie czy komukolwiek przyjść z tego, że wywlokłabyś ją w nocy z łóżka i poszła na szczyt góry? Nawet nie mogłabyś mieć satysfakcji, że przewyciężyła tchórzostwo, bo ona wielu rzeczy się lęka, ale niczego, co jest naturalne. Zsófica nie boi się ciemności. Ładnie byś na tym wyszła, gdybyś w ten sposób chciała wy badać jej miłość do ciebie!” — „Przestań gwizdać, proszę cię” — odezwała się mamusia, a Zsófice aż perły pospadały z kolan, tak się zasłuchiwała w rozmowę rodziców. „Zsófica jest chętna, grzeczna i ma szeroki gest — usłyszała znowu głos tatusia. — Wszystko, o co pytałaś, leży w jej naturze. Jeśli kiedyś zrobi coś przeciwnego sobie, wówczas warto o tym napisać.”

To tylko słowa, puste, pozbawione sensu słowa. Charakter. Zbadanie granicy ofiarności. Co to znaczy? Słowa toczą się jak perełki. Dóra też dokądś się potoczyła, Zsófica nawet o niej nie myśli, o Dórze nie wolno jej myśleć.

Wieczorem mamusia smażyła dwa kotlety, a ponieważ bardzo się spieszyła, bo po kolacji chciała jeszcze pisać, zawołała Zsófikę do pomocy; jakoś w tym dniu gotowanie się na nią uwzięło. Chcąc usmażyć mięso, trzeba je umyć, powycinać żyły i niepotrzebne kawałki, potem zbić tłuczkiem, posolić, obtoczyć w mące

z papryką, zanurzyć w oleju i postawić na ogniu. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic trudnego, Zsófiika przyjrzała się też, jak przyrządza się jarzynę — to także nie było skomplikowane.

Popełniła okropny błąd, powinna była dowiedzieć się adresu Juhosów i napisać do nich, żeby jakoś załatwili sprawę pana Istvána, przecież nie można zostawić chorego człowieka bez opieki. Ewentualnie można by też powiedzieć pani Marcie, chyba jednak lepiej nie mówić, bo wówczas trzeba by opowiedzieć wszystko od początku, a więc i to, że już raz gotowała i sprzątała u pana Istvána, a on okropnie się do niej odzywał; tego zaś wstydzi się. Może poprosić Teri, żeby... Ale po co właściwie zaprzęta sobie głowę panem Istvánem?!

Złamane kości bardziej bolą w czasie burzy. Może wczoraj dlatego nie chciał jej odpowiedzieć, że już wcześniej odczuwał zmianę pogody? Tatuś mówił, że kości przepowiadają zmianę pogody. Gdyby dziś znowu miała iść do pana Istvána, musiałaby od samego rana ganiać jak szalona. Dwa domy na raz to za dużo, a jeszcze musi wybrać się do ciotki Kató, bo w końcu wyniknie z tego awantura. A pan István jest taki gburowaty! Wprawdzie Valika zdecydowanie obstaje przy swoim, ale tatuś mógł jeszcze coś powiedzieć. Pan István nie jest zbyt rozmowny, chorzy zawsze z byle powodu jęczą, tatusiowi też się zdarzało, że ktoś niegrzecznie się wobec niego zachował czy opryskliwie do niego odezwał.

Znowu sen ją morzy. Jaka szkoda, że nie może zostawić otwartego okna! Wuj Balázs zabrał większość książek lekarskich, zabrał też Tóbiása. Książki to ostatecznie głupstwo, ale Tóbiás... Gdyby mogła go przynieść z powrotem, natychmiast by poleciała. Nie szkodzi, że jest noc, ona nie boi się ciemności, boi się tylko

pana Istvána. A nuż on zna drugą połowę zdania... Teraz z pewnością przewraca się na łóżku, nie może spać, dla chorego noc jest zawsze najgorsza.

Obudziła się późno, spojrzawszy na zegar nie na żarty się przeraziła. Wpół do dziewiątej! Mieszkanie nie posprzątane, kupa nie zmytych naczyń, wieczorem gaz był taki słaby, że nie mogły pozmywać po kolacji. Zsófiika duszkiem wypila mleko i tak szybko zaczęła sprzątać, że bezustannie obijała sobie o coś to łokcie, to nogi. Wczoraj pan István najpierw kazał jej postawić wodę do zmywania, a dopiero potem wziąć się za sprzątanie, od dziś w domu będzie tak samo robić. Dotychczas nie łączyła tych czynności, a tak, zanim skończy w pokoju, woda się zagrzeje, nie będzie musiała czekać, zyska co najmniej kwadrans.

No, gotowe. Teraz biegiem do hal. Zielona papryka, pomidory, ziemniaki i owoce. Tym razem trafiła na dojrzałe jagody, więc za wczorajsze trzy forinty kupiła panu Istvánowi ćwierć kilo. Dziś na kolację zrobią mięso duszone w papryce, cebuli i pomidorach. Szybko wszystko do lodówki! Już dziesiąta. Czy aby zdąży z powrotem na obiad? Po południu bezwarunkowo musi pójść do cioci Kató. A jeżeli pan István da jej tyle roboty, że nie zdąży wcześniej wrócić do domu? Co począć? W lodówce jest trochę fasoli i kawałek wczorajszego mięsa. Gdzieś powinna być menażka, którą zawsze zabierali na wycieczki. Włożyła obiad do szklanego wnętrza aluminiowej menażki i ulokowała ją w siatce. Chyba pan István pozwoli jej przygrzać jedzenie, jeżeli już nie będzie miała czasu zajść do domu.

W drzwiach natknęła się na pana Hidasę, który właśnie wychodził ze szkoły. Zsófiika przestraszyła się, że nauczyciel zainteresuje się, czego ona tu szuka, ale

o nic nie spytał, powiedział „dzień dobry” i poszedł dalej. Przy tylnym wejściu pracował ten sam robotnik, co wczoraj. Zsófiika pozdrowiła go, bo już z daleka się do niej uśmiechnął, a nawet zatrzymał ją i spytał, jak dziadek się czuje. Zarumieniła się. Murarz zsunął na tył głowy papierową torebkę, którą okrywał włosy, i kopnął skrzynkę z zaprawą wapienną.

— Ten grat go tak urządził, widzisz? O to złamał sobie nogę. Ale, do stu diabłów, on jest prawie ślepy! Powinnaś go lepiej pilnować. Pewnie, że nie możesz wiecznie łązić mu po piętach, zresztą ty jesteś dzieckiem, a on stary, nawet razem do kupy mniej możecie niż jeden człowiek.

„Co on o mnie myśli?” — zastanawiała się Zsófiika zbiegając do sutereny. Ten Torbogłowy uważa, że ona jest wnuczką pana Istvána. Ale teraz przynajmniej wie, co panu Istvánowi jest. Złamanie nogi w kostce to niebezpieczna historia. Dotąd Zsófiika myślała, że pan István złamał goleń. Nie wiadomo, czy po zrośnięciu nie będzie kulał. Kostka jest bardzo wrażliwa, schodzi się w niej wiele małych kosteczek i ścięgien, kiedyś tatuś pokazywał jej kostkę w atlasie.

Pan István nie spał, ale w porównaniu z dniem wczorajszym pobałdł wyraźnie.

Zsófiika zagrzała mleko i podała mu kawę. Pan István, o dziwo, nie burczał, gdzie się dotąd włóczyła, że już po dziesiątej, bez słowa zabrał się do śniadania, ale nie dopiwszy nawet do połowy, odsunął kawę, chleb też ugryzł parę razy i odłożył na blaszaną tacę.

— Nie chce pan? — spytała Zsófiika. — Bardzo pana boli?

— Nie twoja sprawa — odrzekł. — Od tego jest, żeby bolało.

— W nocy była burza, to dlatego.

Pan István umilkł i podciągnął wyżej kołdrę. Ten pokój jest straszliwie wilgotny, trudno mu będzie wrócić do zdrowia. Mokro tu i zimno, słońce nie dochodzi, w końcu zamarznie w łóżku.

Obmyła jagody i podsunęła mu na talerzu. Zjadł ze smakiem.

— Z domu przyniosłaś?

Zsófica powiedziała, że nie, że kupiła w halach. Brzęknęło blaszane pudełko, pan István odliczył sumę, jaką wydała na jagody. Znowu zrobiło jej się nieprzyjemnie, wiedziała, że to bezpodstawne, ale nic nie mogła na to poradzić. Stała patrząc w ziemię, bojąc się oddać pieniądze. Przy tym nie była w stanie samej siebie zrozumieć, dlaczego cierpi z tego powodu, że nie może zrobić panu Istvánowi prezentu, skoro on tak opryskliwie ją traktuje. Nie miała jednak czasu na rozmyślenia, czekało ją jeszcze sprzątanie i powleczenie pościeli, to nie była lekka praca. Bielizna pościelowa pana Istvána pachnie okropną stęchlizną. Pan István ma dwie zmiany, jedną na łóżku, a drugą w szafie. Zsófica długo się męczyła, zanim wreszcie się uporała, w domu zawsze mamusia zmieniała poszewki i powłoczki.

Przy okazji zobaczyła, w jaki sposób pan István porusza się po pokoju. Jedną ręką chwyta za poręcz krzesła, z drugiej strony podpira się laską i tak utyka sycząc z bólu i przeklinając kwiecieście. Łóżko od razu stało się miłe i czyste, na pewno przyjemniej będzie położyć się na świeżo powleczonych poduszkach. Pan István chodzi w długich kalesonach, Zsófica nigdy takich nie widziała, bo tatuś zawsze nosił krótkie. Teraz się myje. Jakiż on chudy! Wszystkie żebra mu widać.

— Czego się gapisz? — warknął pan István. Nie golił się przed lustrem wiszącym na ścianie, lecz usiadł przy oknie i na parapecie postawił małe obtłuczone luster-

ko. Pod grubą powłoką piany jego twarz przypominała oblicze sędziwego, chorego świętego Mikołaja.

— Dziś będziesz miała labę. Nie jestem głodny, nie trzeba nic gotować.

Nie chce jeść? To znaczy, że nie musi smażyć mięsa! Prędzej skończy! Świetnie!

— Tylko przyniesiesz mleko, przegotujesz je i już będziesz mogła iść do domu. Chleba nie kupuj.

To niedobrze. Człowiek nie może żyć samą kawą, szczególnie jeśli jest chory, musi się dobrze odżywiać, w przeciwnym bowiem razie nie będzie miał sił na przezwyciężenie choroby.

— Co kręcisz głową? Bierz koszyk i ganiaj po mleko.

— Trzeba jeść! — powiedziała Zsófiika.

— Nie jestem ciekaw twoich rad. Dlaczego trzeba, jeżeli mdło mi się robi na samą myśl o jedzeniu?

— Bo pan jest chory. Jeżeli nie będzie pan jadł, to nigdy nie wyzdrowieje.

— Dziury w niebie by nie było.

Przymknął oczy.

— Strasznie mądra z ciebie dziewczyna, wiesz. Jeszcze ci głowa kiedy pęknie. Mogłabyś zostać doktorem.

Gdyby została lekarzem, wydrukowałaby sobie bilety wizytowe: *Dr Zsófia Nagy*. Przybiłaby sobie tabliczkę, taką jak tatuś, gdyby ktoś zakrył imię, mógłby pomyśleć, że tatuś przyjmuje w tym gabinecie. Ale takiej słabej uczennicy nikt nie przyjmie na uniwersytet. Wzięła butelkę na mleko, lecz nie poruszyła się, stała przy łóżku i czekała.

Pan István podniósł wzrok.

— Znowu się gapisz jak sroka w gnat? Co ci się nie podoba?

— Powinien pan zjeść trochę mięsa — szepnęła Zsófiika. — I ziemniaków. Kupię.

Na chwilę zapanowała cisza, potem znowu zagrzęchotało pudełko.

— Ale ty się o mnie troszczysz, zupełnie jakbyś liczyła na spadek. Bo i jest na co!

Po śmierci tatusia trzeba było zapłacić podatek spadkowy. Mamusia biegła w poszukiwaniu świadków, którzy by zeznali, że mieszkanie stanowiło wspólną własność. Jednym świadkiem był wuj Balázs. Mamusia musiała zapłacić za to, że odziedziczyła ubrania i sześć białych fartuchów tatusia.

— Każdy musi kiedyś rozstać się z tym światem. Pan István pociągnął łyk kawy z kubka.

— Takich starych gnatów nie szkoda. Żal tylko młodych, którzy jeszcze mogliby żyć, ale nagle bomba spada im na głowy, wszystko się wali, przed chwilą jeszcze śmiali się i śpiewali, a tu raptem kładzie się ich do grobu, leżą tam i koniec. No, ganiaj po to przekłete mięso, jeśli już koniecznie chcesz coś ugotować.

Przyrządzi mięso, a potem usiądzie na krzeselku, będzie jadła swój obiad i przez ten czas porozmawiają. Przecież nie może na nią wrzeszczeć, zrobiła porządek w pokoju, niech się gniewa na Juhosów i Joli, która poleciała do kina. Wracając z hal, koło drzwi nie spotkała Torbogłowego, lecz wpadła prosto na Dórę.

Po raz ostatni rozmawiała z nią wtedy, kiedy ciocia Kató wyrzuciła ją z domu, od tej pory nie zamieniły ani słowa. Nawet na pogrzebie Dóra nie podeszła do niej, podczas gdy pozostałe koleżanki zbliżyły się do grobu i wszystkie po kolei ją ucałowały. Dóra znikła z jej życia, nawet nie wolno jej było na nią spojrzeć i w ten sposób po śmierci tatusia Zsófiika została absolutnie sama. Marianna nie jest jej przyjaciółką, jedynie kuzynką, zresztą ona zawsze zajęta jest tylko sobą.

Dziewczynki przywitały się, to nie było zabronione. Zsófiika wiedziała, po co Dóra przyszła do szkoły.

W sierpniu Związek Młodzieży urządza obóz dla swoich członków, z ich klasy sześć dziewczynek, a między nimi Dóra, przygotowuje się do sprawności kucharki. W świetlicy pod kierunkiem pani Biró, matki Anny Biró, uczą się gotować.

Dóra nie zatrzymała się, podążyła na górę, w stronę świetlicy. Była w białej bluzce i szerokiej spódnicy z materiału w rybki, którą jeszcze w zeszłym roku nosiła Viki. Zsófiika skręciła na lewo, ku schodkom prowadzącym do sutereny.

Bicie mięsa wcale nie jest proste. Nie uważając, łatwo można uderzyć się w palec. Jeden kotlet zbiła na papkę, ale drugi udał się. Obrala ziemniaki, postawiła je na kuchni, a potem usiadłszy na stołeczku czekała, aż obiad się ugotuje. Pan István nawet na nią nie spojrział, leżał z zamkniętymi oczyma. Nie powinien ciągle leżeć na plecach. Gdy poprawiała mu łóżko, poduszka była aż gorąca. Pan István poczuł wzrok Zsófiiki i otworzył oczy. Przez jakiś czas przyglądali się sobie w milczeniu.

— Czy pan umie deklamować wiersze? — zapytała Zsófiika.

Nie odpowiedział.

— Pytałam, czy pan umie deklamować wiersze. Albo śpiewać?

Tym razem w odpowiedzi usłyszała jakiś dziwaczny odgłos, jakby ktoś pociągał zardzewiałe łańcuchy. To pan István śmiał się, ale nieładnie, raczej drwiąco, brzydsko, prawie złośliwie.

— Może mam pośpiewać, żeby ci się nie nudziło, co? Do cholery — wrzasnął — powiedz dziadkowi, żeby mi nie przysyłał takiej gamajdy, bo nawet tygodnia z tobą nie wytrzymam!

Zsófiika wtuliła głowę w ramiona. Przykro jej się zrobiło, że pan István tak na nią napadł. A przecież

nie powinna tak tego odczuwać, dlaczego pan István miałby ją lubić, nie ma powodu, a poza tym nie służy mu darmo, w gruncie rzeczy została przyjęta do pracy, wprawdzie nie jest tą, za którą pan István ją bierze, ale oprócz niej nikt o tym nie wie. Gdyby kiedykolwiek ktoś u niej pracował, nigdy by tak na niego nie krzyczała. Z drugiej strony, w nocy była burza, a pan István nawet bez burzy łatwo wybucha i nigdy nie ma humoru.

— No, czego wytrzeszczasz gały?! Chodź tu!

Podeszła. Pan István złapał ją za jeden z warkoczy. Pierwszy raz spojrzała mu w oczy. Miał niebieskie, jasnoniebieskie oczy.

— Po co miałbym śpiewać, ty barania głowo?

— Żeby nie zachorować na płuca.

Cudaczna dziewczyna! Każe mu śpiewać nie dlatego, że chce posłuchać piosenek, ale po to, żeby rozruszać płuca czy coś tam jeszcze z nimi zrobić, wiersze zaś ma deklamować dlatego, że tak dużo leży na plecach. A więc leżąc w łóżku trzeba krzyczeć, wówczas się człowiekowi poprawi. Gdzie ona się tego wszystkiego nauczyła, chyba nie od dziadka ślusarza. W szkole mogli o tym mówić. Widać ma zupełnie nieźle w głowie. Skąd Feri Juhos wytrzasnął taką córkę? Sam nawet nie umie porządnie czytać. Zasłużyła na swoje pieniądze, nie ma gadania. Dobra dziewczynka, a z wiekiem nabierze zręczności. Ma duże, stworzone do roboty ręce. Oj, ale się go boi, tak samo jak ta gromada rozwrzeszczanych, głupich dziewczuch, które w ciągu roku szkolnego brudzą korytarze.

Erzsi wcale się go nie bała.

Nawet gdy tak krzyczał, że aż ściany drżały, nawet wtedy się nie bała, tylko wybuchała śmiechem. „Uspokój się, dziadziu!” — mówiła zuchwale; jej matka milkła i tylko mrugała oczyma, ona nigdy, jako dziecko,

nie śmiała mu powiedzieć: „uspokój się”. A Erzsi kręciła się jak fryga i wirowała po pokoju, psuła wszystko, co jej wpadło pod rękę, nigdy nie mógł jej porządnie zbić. Raz dał jej po tyłku, jeden jedyny raz, i do dziś tego żałuje. Deklamować wierszel Może by i warto, tylko potem trzeba by obejść publiczność z talerzem w rękę jak komedianci u nich na wsi. Deklamować wiersze. On nic nie umie na pamięć z wyjątkiem *Ojciec nasz*, którego zresztą przez ostatnie dziesięć lat nie powtarzał.

Zsóficze to samo przyszło do głowy: może pan István nic nie umie na pamięć. Trzeba by go czegoś nauczyć, ale jak to zrobić, jeszcze nigdy nikogo nie uczyła. Gdy była mała, mamusia uczyła ją wierszyków, najpierw sama mówiła po kawałku, a ona po niej powtarzała. Mogłaby przynieść panu Istvánowi książkę albo gazetę, ale to nie byłoby to samo, musiałby to coś trzymać w rękę, to by go męczyło; prawdziwą wartość mają tylko rzeczy znane na pamięć. W niższych klasach nigdy nie mogła brać udziału w występach, bo nawet jeśli najlepiej umiała wiersz, nie miała odwagi go powiedzieć, czerwieniła się, jąkała, zacinała. Ale pan István to co innego niż publiczność, można by mówić nie patrząc na niego. Ziemniaki zaraz będą gotowe, trzeba się brać do mięsa. Podeszła do gazu, ziemniaki trochę się przypaliły, musiały je odskrobywać. Odrobinę mąki znalazła na drewnianym talerzu w szafie.

Zaczęła deklamować pochyliwszy się nad ziemniakami, w ten sposób nie odczuwała tremy. Jaki to piękny wiersz: *Jam się tu urodził, w tych stronach...* Ona naprawdę tu się urodziła, w tej dzielnicy, w klinice, a w parku uczyła się chodzić. Jest nawet zdjęcie, na którym mamusia prowadzi ją jak psiaka na smyczy, zresztą ona wygląda na tej fotografii jak psiak i ma

otwartą buzię. *Bezbrzeżnej równiny zielonej*. Zaakcentowała tak, jak Dóra, zrobiła pauzę przed drugą przydawką i położyła nacisk na zaimek wskazujący: *W tym mieście rodzinnym wśród ciszy brzmiał śpiew mojej niani*. Nigdy nie miała niańki, natomiast bardzo lubiła radio, tatuś opowiadał, że ciągle wrywała się do niego, chciała złapać muzykę. *I słyszę dziś jeszcze jej piosnkę o chrząszczu...** W tym roku w maju było wyjątkowo dużo chrząszczy, wieczorem po zapaleniu lampy stukały poruszając się po balkonie.

„Skąd ona, u diabła, wie, gdzie ja się urodziłem” — dumiał pan István. Ich podwórze nie miało ani początku, ani końca, biedne matczysko w lecie zawsze prało u studni, a on przykucał koło niej i zanurzał palce w kałuży — w niebieskobiałej wodzie kąpiącej z balii. Karcsi Juhos okładał kijem psa i darł się wniebogłosy, aż u trzeciego sąsiada było słychać. Karcsi jeszcze dobrze nie umiał chodzić, a już wyciągał szyję zaglądając przez ramię mechanikowi dworskiemu, dlatego do dziś jest taki zręczny w palcach. Choć stary, lepiej włada narzędziami niż młodzi. A tylko przez dwa lata chodził do szkoły, potem kaszel wpędził do grobu jego ojca, cały dom spadł na jego barki. On chodził do szkoły przez cztery lata, lichy wie, czego go tam uczyli, już nic nie pamięta.

Stary Juhos, stary Juhos. Dlaczego nazywa go starym Juhosem, skoro sam nie jest młodszy, jeśli dożyją, na winobranie obaj skończą sześćdziesiąt dwa lata. Niańka. Jego niańczyła siostra, Annus, i to niemało, raz nawet przyniosła mu koguta, czarnego kogucika, Karcsi Juhos podniósł wrzask, bo ptak dziobnął go w nogę. Nie dziwota, że go ugodził, bo on zawsze drę-

Fragmenty wiersza Sándora Petőfięgo pt. „Rodzinny kraj” (1848) w przekładzie Ireny Słomińskiej (przyp. tłum.).

czył zwierzęta, nigdy nie zostawił ich w spokoju. Karcsi całkiem przypomina drzewo, robi się coraz bardziej rozłożysty; wszyscy jego najbliżsi żyją, i żona Sára, i córka Teca, i syn Feri. Po Tocy nie ma wnuków, ale za to po Ferim aż sześć dziewczuch. A on tu sam jeden...

Cholera z tą smarkatą, ale nasmrodziła, musiała wylać tłuszcz na gaz, udusić się można. Erzsi wiedziała, jak on nie znosi zapachu spalonego tłuszczu, od razu by rozwalila okno na oścież. Ale patrzcie, i ta się domyśliła, to chyba cud. Co ona robi, otwiera szufladę, kładzie na tacy serwetkę w paski i dopiero podaje mu do łóżka, ziemniaki wyskrobuje z rondla i razem z mięsem nakłada na talerz. Co też jej do głowy nie przyjdzie? Tego nie nauczyła się od Sóry ani od tej bałaganiarki Tocy.

Obiad smakował mu. Nic nie powiedział, ale Zsófiكا wyczytała to z jego twarzy. Widocznie nie przesoliła i dobrze usmażyła, bo zajada nawet ten kotlet, który zanadto zbiła. Chwała Bogu! Prosi o chleb, ciekawa historia, oni nigdy nie jedzą chleba, jeżeli do mięsa są ziemniaki. Musi zajrzeć do książki, czy obłożnie chorzy mogą jeść sałatę. Jeżeli tak, to przyniesie. W sałacie jest dużo witamin. Za piętnaście pierwsza. Jak ten czas leci! U Dóry już na pewno obiad gotów. Ona też jest głodna, dawno nie była taka głodna jak dziś. Wyjęła aluminiową menażkę.

— Czy mogę podgrzać sobie obiad? — spojrzała na pana Istvána.

Chory odłożył widelec. Zobaczywszy kupkę jedzenia w szklanym wnętrzu menażki rozzłościł się na dobre.

— A jedz, psiakrew, jedz!

To pomysł Sóry, stary Juhos by czegoś podobnego nie wymyślił, Sára już w dzieciństwie go nie lubiła,

zawsze szczypała go i kopała — kiedyś przyczepiła mu rzep do włosów. Karcsi złagodniał na stare lata, ale Sára go złości. Jakby słyszał jej słowa: „Nic od niego nie przyjmuj, bo jest biedny jak żebrak. Jeszcze go objesz, będziesz brała obiady z domu, a u niego nic nie ruszaj!” Zawsze nim gardziła, z każdego powodu, gardziła, że nie chciał uczyć się ślusarki tak jak Karcsi, tylko objął się po wsi od jednego gospodarza do drugiego. Nie podobało jej się, że się ożenił z Katą, ponieważ Kata nie miała nic poza tym, co nosiła na sobie, a już najbardziej kręciła nosem, kiedy został woźnym. Sára zawsze chwaliła tylko swoją rodzinę, swoją córkę i swojego syna. Jego córkę miała za nic, mimo że była chrzestną Marcsey; gdy dziewczyna wyszła za męża, nawet jednego garnka jej nie kupiła, bo jego zięć, Imre, był tylko konduktorem, a mąż Teczy sierżantem; rzeczywiście, miała powód do dumy, szkoda, że nie oprawiła go w złote ramki, tak samo zginął na wojnie jak Imre.

Na pogrzeb Katy przyszła tylko dlatego, żeby pokazać kapelusz, miała ich z pięć, pewno i do łóżka kładła się w kapeluszu. Wtedy jeszcze Erzsi nie było na świecie, Marcsa była panną, Imre już laził za nią, ale tylko z daleka, nawet na cmentarz za nią przylazł.

Począł, aż Zsófiika przełknie ostatni kęs — nie, nie będzie wycierał talerza chlebem! Po co się uczyć porządku? Energicznie odsunął tacę, aż zadzwoniło.

— Możesz powiedzieć babce, że jeżeli jeszcze raz przyniesiesz obiad, wywalę cię za próg razem z twoim jedzeniem. Od dzisiaj albo będziesz jadła to, co ja, albo będziesz głodna, ale z menażką nie waż mi się pokazywać, do cholery jasnej!

„Może to dobrze, że wrzeszczy — pomyślała Zsófiika — dla płuc na pewno, ale dla serca — nie, za duży

wysilek. Boże, przecież nie mogę wymagać, żeby jeszcze mnie karmił!"

Zmyła naczynia i właśnie wieszala ścierkę, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Jezus Maria! Kto to może być? Nie umie czytać? Nie widzi kartki na drzwiach? Może pani Marta? Albo inny nauczyciel? Ale nie. Był to Torbogłowy, który wszedłszy zdjął torebkę i spytał pana Istvána, jak się czuje. István Pongrácz mruknął coś pod nosem.

— Dobrze, że chociaż ten robaczek tu jest.

Torbogłowy pogłodził ją po głowie, jego dłonie pachniały wapnem, świeżo i czysto, podobnie jak ręce tatusia, które roztaczały woń chloru.

— Pomagasz dziadkowi, prawda?

Dziadkowi!

Pan István zaprzeczył ruchem ręki.

— To wnuczka Karcsi Juhosa. Tego ślusarza z Fabryki Narzędzi. Jej ojcem jest Feri, Feri Juhos, ma tyle rodzeństwa, że zliczyć trudno.

Torbogłowy usiadł.

— Ale chodzi koło was, dziadku, całkiem zręcznie.

— Chodzi, chodzi, aż zajdę do grobu — bąknął pan István.

Torbogłowy wyciągnął papierosa.

— Nie tak zaraz, jeszcze mamy czas.

Przystawił sobie popielniczkę z końskim łbem.

Zaraz zapali papierosa, a palenie w pokoju chorego jest niewskazane. Nie może jednak zwracać uwagi dorosłemu. Co zrobić? A w ogóle już powinna iść do domu, bo znowu się spóźni, i tak nie porozmawia z panem Istvánem, Torbogłowy przeszkodził.

— Wszystko w ręku Boga — powiedział pan István. — Ani się pan obejrzysz, a tu był człowiek, nie ma człowieka. Gdy chodziłem leczyć tę moją newral-

gię, lekarz umarł przy mnie, nawet nie jęknął. Co tam znowu zbiłaś, ty ciele malowane?

Zsófiika stłukła szklany wkład do menażki; mamusia zawsze przypominała, żeby szczególnie na niego uważać, bo nowego się nie dostanie. Pan István zachichotał.

— Już po tym cudeńku, co? W czym jutro przyniesiesz ten lepszy domowy obiad? Któż to wymyślił, żebyś dzwigała jedzenie z domu, niech go szlag trafi!

— Lekarz umarł? — zainteresował się Torbogłowy.

— A umarł. Nic mu nie było, nawet żartował, panie Pongrác, powiada, wykurowaliśmy pana, mógłby pan nawet na bal iść, i w tej samej chwili głowa mu fajnęła na stół. Tej dziewczyny, która zawsze się koło nas płatała, akurat nie było. Łapię go za rękę, potrząsam, nic. No, pomyślałem, coś niedobrze, bo zrobił się szary na twarzy i oparł głowę o pieczątki i papiery na stole.

— Stary był? — dopytywał się Torbogłowy.

Stary?

W sierpniu skończyłby czterdzieści trzy lata. Tatuś na każde urodziny dostawał tort ze świeczkami, tak samo jak ona, grube świece znaczyły dziesiątki, a małe — pojedyncze lata. Trzeba by zamieść odłamki szkła, ale raczej pozbiera je rękoma. Teraz nie wyjdzie po szczotkę.

— Dobrze ci tak — rzekł pan István. — Zajechałaś się w paluch. Wyciągnij szufladę, tam jest szmata, to sobie zawiniesz. Niedojda. Nie powiedziałem wczoraj, że niedojda z ciebie? Co ty myślałaś, że z czego jest ten wkład do menażki? Z cukru? Głupia. Nieźle się ciachnęłaś, dobrze ci tak.

Ponownie zwrócił się do Torbogłowego.

— Nie był stary, mógł mieć koło czterdziestki. Krzyczę do niego, a on nic. Wybiegam, przychodzi drugi

doktor z tą dziewczyną, a on już nie może podnieść głowy.

— I nic nie powiedział? — dopytywał się dalej Torbogłowy.

— Wystękał nieszczęśnik parę słów, żebyśmy powiedzieli coś Zsóficie czy komuś tam, ale niewiele można było zrozumieć.

— Żebyście co powiedzieli? — spytał murarz.

— Bóg jeden wie. I on. Gdy pochyliłem się nad nim, już był na tamym świecie.

Kawałki szkła zagrzecotały spadając do skrzyni od śmieci. W szufladzie pod szmatami leżała piłka, czerwona piłka. W domu owinie rękę gazą i zajodnyuje, tak nie można zostawić. Włożyła do siatki pustą mnażkę.

— Już idziesz? — spojrzał na nią pan István.

— Ja też pójdę — podniósł się Torbogłowy.

— Gdzie, u diabła, tak się spieszysz?

Zsófiika myślała, że pytanie dotyczy murarza, toteż nie odpowiedziała. Ruszyła ku drzwiom.

— Jutro masz być wcześniej. Będę deklamował wiersze.

I znowu roześmiał się tym skrzekliwym, starczym śmiechem.

— Masz tu swoje trzy forinty?

Zabrzączało blaszane pudełko.

— Do widzenia — pożegnała się Zsófiika. Torbogłowy zaczął gwizdać, wsunął torebkę na głowę, wetknął Zsóficie do kieszeni forinta na lody i wbiegł na schody nucąc: *Jesienią dojrzewają, miła, czarne winogrona.*

Na ulicy znowu zacinał deszcz. W tym samym czasie w świetlicy dziewczynki robiły leniwe pierogi. Stojąc przy stole można było wyjrzeć na ulicę, Dóra zobaczywszy Zsófikę dumiała nad tym, gdzie ona mogła podziać koszyk, mięso i mleko, i w ogóle, czego ona

w szkole szuka, raz z koszykiem, kiedy indziej bez niczego. Rozważała to nawet wtedy, kiedy już wszystko zmyły i zaczęły rozchodzić się do domów. Zsófiika poszła nie na górę, do którejś z klas, lecz do sutereny. Może tam jest coś, o czym Dóra nie wie? Przed wyjściem Dóra zbiegła do piwnicy i rozejrzała się po korytarzu, usiłowała znaleźć jakieś wytłumaczenie bytności Zsófiiki, ale nic nie zauważyła. Zobaczyła tylko drzwi do pokojów woźnych. Dóra nie była w najlepszym humorze, lecz musiała się uśmiechnąć. Doprawdy nie mogła się pohamować. W tym roku pan István nie tylko wrzeszczy, ale i deklamuje wiersze. Już po raz trzeci wykrzykuje swym ochrypłym głosem tak głośno, że aż przez drzwi słychać: *Jam się tu urodził, w tych stronach...*

Na dworze leje. Dla niej to głupstwo, mieszka blisko, na placu Apóczai Csere, ale Zsófiika ma daleko do domu, a była bez płaszcza, nawet bez kapturka.

VII

Ciocia Kató zrobiła wielkie oczy.

Zsófiika wyglądała jak półtora nieszczęścia. Dopiero po śmierci Gábora wyszło na jaw, że Judit jest nieporządna. Dopóki Gábor żył, nie do pomyslenia było, żeby dziecko miało palec owinięty jakąś szmatą i to tak zakrwawioną, że aż przykro patrzeć. Mało tego, od Zsófiiki bił zapach tłuszczu, zapach kuchni i miała na sobie brudny fartuch. Co z niej wyrośnie, ani rozumu nie ma, ani nie pomyśli o swoim wyglądzie. Zapewne Judit każe jej nosić obiady, nie ma czasu gotować, gdyż jest zajęta swoją pracą naukową. I jakie to charakterystyczne: nie da jej normalnego naczynia, tylko jakąś turystyczną menażkę. Pod zewnętrznym blichtrzem kryje się pustka. Jakież to dziecko zaniebane! Od samego początku czuła, że Judit nie będzie dobrą żoną dla Gábora, ale Gábor nie dał sobie nic powiedzieć, papa również poza Judit świata nie widział, uważał ją za wyjątkowy rarytas, mamy zaś nikt nie słuchał. I oto rezultat, cała rodzina może być dumna z wyjątkowo udanego dziecka.

Jaka ta Zsófiika roztrzępana, już drugi raz jej mówi, żeby poszła do łazienki i wytarła włosy ręcznikiem, a ona nawet nie słyszy. Przycupnęła na krześle i wpastruje się w jeden punkt jak gnom. O, Marianna jest zupełnie inna, umie zadbać o siebie, wieczorem bez żadnego przypominania starannie zakręca włosy, w ogóle zachowuje się jak dorosła kobieta, nie jak dziecko.

A urodziły się w tym samym miesiącu, różnica wynosi zaledwie dwa tygodnie. Razem z Judit wyjeżdżały z wózkami na spacer — Judit snuła fantastyczne marzenia, układała sobie, jak wspaniale wychowa dziecko. I oto Marianna doskonale się uczy, w nagrodę wyjechała na międzynarodowy obóz do Niemiec, bez powodu by jej nie wzięli, tak samo jak tej bez powodu nie zostawiliby w domu. Ładnie reprezentowałyby szkołę.

Judit zawsze miewała poronione, arcyważne pomysły: Zsófiika nie powinna wiecznie sama siedzieć w domu, więc dopóki Judit nie dostanie urlopu, mała po obiedzie będzie przychodzić do nich; w ten sposób będzie pod okiem Kató i wśród swoich, a w razie ładnej pogody na powietrzu, ich podwórze bowiem to prawie ogród. Co Kató z nią pocnie, to już Judit nie interesowało, całe szczęście, że dziewczynka nie sprawia wiele kłopotu, zaszywa się w kącie z zabawkami Marianny, a o piątej idzie do domu.

Nawet trudno zrozumieć, jakim cudem Zsófiika dostała trójkową cenzurę. Potrafi tylko patrzeć tym swoim bezmyślnym wzrokiem, jakby była głuchoniema. Chyba Judit nie wyobrażała sobie, że ona będzie siedzieć przy Zsófiice, akurat ma pranie, dziewczynka może sobie coś gryzmolić, czytać albo bawić się lalką, a jej niech da święty spokój.

Kató odważyła nową porcję bielizny i wrzuciła do pralki. We wrześniu zapisze Mariannę do innej szkoły, najchętniej przeniosłaby ją do innej dzielnicy. Ale na to musiałyby dostać pozwolenie, jakoś to umotywować, a to jest niemożliwe. Nie z uwagi na Kálmána, bo on już i tak nie ma za grosz honoru, pod tym względem może nie mieć skrupułów. Ona sama nie potrafi o tym mówić, nie jest w stanie nikomu opowiedzieć o udrękach ostatniego roku. Jakże mogłaby wyznać swoje

nieszczęście, zwierzyć się z rozkładu pożycia małżeńskiego tej samej Marcie Szabó, która teraz jest wychowawczynią jej córki, a przed maturą była pierwszą, której zakomunikowała o swoich zaręczynach, bo już wówczas wszyscy mówili, że Kató do końca życia nikt nie zechce — nie, to niemożliwe. W Radzie Narodowej siedzą sami znajomi, do szkoły nie może się udać, pojęcia nie ma, jak to załatwić.

Cud boski, że Marianna nic nie spostrzegła. Dokoła wszystko padało w gruzy, a Marianna tylko połykała obiad, wyciągała książki i zaczynała się uczyć albo szła na lekcję baletu, ona zaś chodziła płakać do łazienki, a wypłakawszy się pudrowała zaczerwieniony nos i zapuchnięte powieki. Marianna wspaniale umie się skoncentrować, jest niebywale pracowita i ambitna. Kochane maleństwo, jeszcze z wagonu pocieszała ją pochlipującą na peronie: „Nie płacz, mamusiu, jeszcze nigdy nie widziałam morza, a poza tym nie zaszkodzi, jeśli nauczę się trochę niemieckiego!” Była bardzo dzielna, nie uroniła ani jednej łzy, a przecież wiedziała, że wyjeżdża na parę tygodni. Mariannie można ufać, Marianna myśli o przyszłości, Marianna zawsze wie, co wolno, a czego nie. Kiedy zapowiedziała jej, że więcej nie wolno jej spotykać się z Dórá, pogodziła się z tym, nie wyrzekała, choć dotąd Marianna, Dóra i Zsófiika stanowiły nierozłączną trójkę. Jedyne wieczorem podczas kąpieli usiłowała ją wybadać, dlatego nie wolno jej przyjaźnić się z Dórá, a usłyszawszy, że ta znajomość nie wychodzi jej na dobre, zanurzyła się w wodzie, zaczęła gniesć gąbkę i przestała się dopytywać. Dóra nie pokazała się więcej, w tym wypadku nawet Judit stanęła na wysokości zadania i Zsófiika także nie odważyła się zamienić słowa z siostrą Vadászowej — jakżeby miała się odważyć, przecież tchórz z niej nad tchórze.

W tej samej chwili Zsófica również pomyślała o Dórze.

Siedziała przy stoliku Marianny, gdzie zwykły się razem bawić: Marianna obraca w palcach swoje loki, Dóra przeważnie coś majstruje, a ona przygląda się im i przysłuchuje. To tutaj Marianna im kiedyś powiedziała, z jakiego powodu pewnego popołudnia Icy Rózsa zrobiło się słabo, zaczęły szeptać z wielkim przejęciem, gdy nagle Zsófica wybuchnęła śmiechem, Marianna bowiem plotła potworne głupstwa, a cała historia z tym zasłabnięciem była zupełnie prosta i jasna, tatuś inaczej jej to wytłumaczył, a tatuś nigdy nie kłamał. Marianna pogniewała się na nią, Dóra przeciwnie, w drodze powrotnej do domu zafundowała jej wafelki. Dóra miewała czasem dużo pieniędzy, ale nigdy się nimi nie cieszyła. Gdy ekspedientka zważyła wafelki, Dóra zwróciła jej uwagę, że jest mniej niż dziesięć deka — Zsófica też to zauważyła, ale nigdy nie odważyłaby się zwrócić uwagi. A Dóra owszem. Teraz Marianna jest za granicą, z Dórą nie wolno rozmawiać, a ona sama siedzi na starym miejscu.

Krew pulsowała jej w palcu. Jak tylko wróci do domu, od razu przyzna się, że stłukła wkład do menażki, mamusia zmartwi się, ale tak bardzo jej nie ukarze. Nie będzie czekać ani ukrywać, lepiej zaraz powiedzieć, co się stało, niż milczeć i przez kilka tygodni, dopóki nie wyjdzie na jaw, dźwigać ciężar przewinienia. Trudno będzie wytłumaczyć, po co wyciągnęła menażkę, zawsze wyjmowali ją tylko przed wycieczką, przewietrzali i wycierali. Jak teraz będzie pracować, zmywać z tak paskudnie skaleczonym palcem? W ogóle dlaczego w ostatnich dniach zrobiła tyle bezsensownych rzeczy? Tatuś nic nie powiedział. Po rozpoczęciu nowego roku szkolnego pan István rozpozna ją i znowu będzie heca, dlaczego chodziła do niego sprzątać

i gotować. Zapomni o tym, że mu pomogła, nie daruje jej, że go nabrała, nie jest bowiem córką Juhosów, tylko tatusia. A przecież mięso było smaczne i w owo-carni specjalnie poprosiła o dojrzałe jagody, bo to dla chorego. W sklepie nigdy nic nie mówiła, bo czy ona może udzielać rad sprzedawcom?

Dóra знаła ją i zawsze się z niej śmiała, że ze wszystkim się godzi, wszystkim na wszystko pozwala, sama natomiast przed jakimś świętem rodzinnym przetrząsnęła kwaciarcę cały koszyk, aż znalazła bukiet z największą ilością pąków. W sklepie zawsze wlepiła nieruchomy wzrok w wagę i przeważnie w końcu coś jej dokładali, byle tylko tak nie patrzała. „Ja muszę — tłumaczyła Dóra po wyjściu ze sklepu i poprawiała torbę na ramieniu. — Wiesz, że ja muszę.”

Teraz Zsófiika trochę się do niej upodobni, bo też została sama z mamusią. Teraz i ona będzie musiała robić wiele rzeczy, których dotychczas nie musiała. Ale gdyby mamusia stała się taka jak pani Viki Vadász, siostra Dóry, to byłoby straszne. Nie, to niemożliwe. Chyba wdowy, kobiety, które spotkało wielkie nieszczęście, nie są takie, tylko rozwódki. Gdyby jednak mamusia przypadkiem stała się taka jak Viki, ona naprawdę nie wiedziałyby, co robić, chyba uciekłyby z domu. Nie czekałyby na to, żeby i u nich wszystko przewróciło się do góry nogami, żeby ktoś zaczął umizgać się do mamusi, tak jak wuj Kálmán, ojciec Marianny, do Viki. Ciocia Kató daremnie farbuje sobie włosy i dzień w dzień wypatruje zza szyby w „Pierwiosnku”, i tak nic nie zmieni, wuj Kálmán co dzień będzie chodził do Viki. Viki nie robi wrażenia kobiety, lecz dziewczyny. A ona już więcej nie pójdzie na korepetycje, niepotrzebnie uczyła się tej fonetyki. Mamusia niedługo dostanie urlop, za kilka dni wróci Marianna.

Tatus i mamusia nie wiedzieli, że wuj Kálmán umizga się do Viki, co więcej, że się jej oświadczył, chce zostawić ciocię Kató i Mariannę, a przecież tatuś był bratem cioci. Teraz będzie jeszcze gorzej, gdyż zabronili im spotykać się z Dórą i nie będą miały żadnych świeżych wiadomości.

Och, jak Marianna ślicznie powklejała fotografie do albumu! Ona nawet nie ma albumu, trzyma zdjęcia w drewnianym pudełku.

„Niech sobie ogląda album — pomyślała Kató przechodząc przez pokój, by opuścić roletę na oknie. — Siedzi cicho, nie biega, nie kotłuje dywanu. Jakie to głupie dziecko, jakie beznadziejnie głupie i pozbawione taktu.” Wpatruje się właśnie w to przekłete zdjęcie z Dobogókő, na widok którego jej od razu zaczynają drżeć ręce. A tak pięknie się ów dzień zapowiadała, taki pachnący był ów zeszłoroczny, wrześnieowy poranek, gdy maszerowali pod górę. Jeszcze sama powiedziała Kálmánowi, że oderwanie od pracy świetnie im zrobi, a w szkole także nie zapomną, że zaopiekowali się dziećmi, od lat należy do Komitetu Rodzicielskiego i jeszcze nigdy w niczym nie pomogła. Mogliby pojechać oboje, Kálmán też jest zmęczony, popatrzą na góry, posiedzą z dziećmi, pewno oprócz nich wybierze się jeszcze parę matek, a jeśli nie, to też nie będzie nieszczęścia. Jeżeli będzie się nudził, usiądzie sobie w schronisku albo zaszyje się na jakiejś polance, popołała się, poczyta, kilka godzin takiej swobody wyjdzie mu tylko na korzyść. Tak, to ona nalegała, Kálmán nie miał ochoty, Marianna też odradzała, bo w charakterze opiekunki już zgłosiła się pani Vadász, siostra Dóry Gergely.

„Ładną będą mieli pomoc” — pomyślała wówczas.

Znała Vadászową z zebrań rodzicielskich, była małą blondynką o drobnych kościach i dużych oczach, dziecinnie malutkich kończynach i dziecinniej buzi. Nic dziwnego, że Vadászowa się zgłosiła, skoro za darmo można pojechać autobusem w góry, żyje z siostrą w tak nienormalnych warunkach, że bezpłatna wycieczka też ma swoje znaczenie. Jej mąż przed kilku laty uciekł za granicę, a ona męczy się z Dórą. Marianna opowiadała, że nigdy nie można wyciągnąć od nich miesięcznej składki, a potem nagle płacą zaległą sumę, i to większą niż należy.

W ogóle dlatego do tego wszystkiego doszło, że ona zawsze tylko dobro Kálmána miała na względzie, wечно rozmyślała nad tym, jakby urządzać mu przynajmniej jeden miły dzień. Całe swoje życie mu poświęciła, dla niego pracowała i oto jak się jej odplacił.

Ta głupia smarkuła tak wpatruje się w zdjęcie, jakby szczególną radość znajdowała w oglądaniu Vadászowej w rybackich portkach i z bezwstydnymi dziecinnymi warkoczykami. No cóż, głupia jest, zawsze taka była. Marianna jest zbyt niewinna, żeby zorientować się, co się dzieje w domu, a ta zbyt głupia. Ale Dóra wiedziała, to widać było po jej oczach, ostatnio nawet odnosiło się wrażenie, iż rozgląda się u nich i planuje, jak urządzą mieszkanie. Ta sama perfidia co u siostry. „Gap się na to zdjęcie, gap! Jesteś cudownie wychowana, Judit odniosła prawdziwy triumf. Takt? Rozsądek? Och, żeby Marianna już była w domu!”

Za górą Dunaj zakręcał i biegł dalej ściśnięty wśród brzegów; koło wieży obserwacyjnej zawsze wiał wiatr. Na dole piętrzyły się wierzchołki wzgórz, z góry widać było tylko korony leśnych drzew i nawet poprzez har-

mider głosów przebijał się ostry, nie milknący ptasi jazgot. Ciocia Kató była po uszy wymazana kremem i pochłonięta rozmową z panią Martą, na nic nie zwracała uwagi, a szkoda, bo byłaby wiedziała, że wszystko zaczęło się od cebuli. Viki otworzyła torbę i poczęła zajadać chleb z masłem i cebulą, wuj Kálmán powiedział jej „smacznego”, w odpowiedzi na co ona poczęstowała go chlebem z masłem i cebulą; wuj Kálmán, spałaszowawszy pierwszą porcję, poprosił o następną, one z Marianną spojrzały po sobie, ponieważ w domu wujowi nie wolno było jeść nawet młodej cebulki, ciocia Kató nie znosiła tego zapachu, nie mogła wówczas z wujem spać. Teraz zaś zajadał jeden kawałek po drugim, Viki ze śmiechem wkładała mu je prosto do ust. Zsófiika zobaczywszy, że Dóra podnosi się i gdzieś idzie, po chwili zaczyna biec, coraz szybciej przebierać nogami, podążyła za nią. Przez dłuższy czas widziała ją, potem nagle straciła z oczu; gdy zeszła ze zbocza, zobaczyła Dórę leżącą w trawie, pochylwszy się nad nią poczuła ciepło jej szyi zmieszane z zapachem farbki i krochmalu, bijącym od jej niebieskiego fartucha. Dóra ścisnęła w dłoni rogal i pęczek rumianku.

Zsófiika od razu zauważyła, że Dóra płacze, przestraszyła się nie na żarty, bo choć od wielu lat chodziły razem do szkoły, pierwszy raz ujrzała łzy w jej oczach. O nic nie spytała, bo od Dóry nigdy nie można było nic wyciągnąć, mówiła tylko wtedy, kiedy miała ochotę, czekała więc, aż przyjaciółka przestanie płakać i wstanie. Dóra bardzo szybko się podniosła, jej oczy wydały się tak osobliwe, tak nienaturalnie duże, jakby nie miała twarzy, tylko same oczy. Otarła twarz, gdyż ziarenka piasku przylepiły jej się do czoła i w jasnym słońcu lśniły na skórze. Tego dnia już więcej nie stawała na rękach, chociaż była najlepszą gimna-

styczką, nie śpiewała, siedziała nie odzywając się i od czasu do czasu grzebiąc w ziemi, z której usypała niewielki kopczyk. Marianna przyniosła w manierce wodę ze schroniska, ale nie chciała dać się napić, trzeba ją było bardzo prosić. Wtedy Dóra podeszła do Marianny, uścisnęła ją i pocałowała; Marianna początkowo roześmiała się, nie wiedziała, co Dórze strzeliło do głowy, bo Dóra nigdy nie była zbyt skora do całowania i nie lubiła pieśczot, ale w południe przestała się śmiać, ciocia Kató bowiem trajkotała i trajkotała pani Marcie, iż w klasie należałoby zawiesić firanki, że dobrze by było zorganizować jakąś imprezę z płatnym występem, na której Marianna mogłaby zatańczyć, a tymczasem Viki i wuj Kálmán poszli razem na kawę, książka, którą wuj wziął do czytania, została na polanie, tylko kartki smętnie pozwijały się na słońcu.

Wieczorem tatuś wyszedł po nich na plac Vörösmartyego, prosto ze stopnia autobusu rzuciła mu się na szyję. Tatuś powiedział, że Zsófiika pachnie słońcem, i pochwalił kwiaty, choć tak pogniotły się w drodze. Zsófiika jeszcze raz się obejrzała i zobaczyła Dórę, która przyglądała się tatusiowi tym samym poważnym, tajemniczym wzrokiem, co jej tam na górze. Przypatrywała im się, jak szli trzymając się za ręce do pięćdziesiątki szóstki, by pojechać do domu, gdzie mamusia czekała z kolacją.

„Nawet nie umie porządnie siedzieć” — pomyślała Kató. Radziła Judit, żeby zapisała Zsófikę na naukę baletu, niechby dziewczyna trochę wysubtelniała, ale nie, Judit zaczęła się spierać, że gimnastyka wystarczy, i tak tancerka z niej nie będzie. Z Marianny także nie będzie — chociaż kto wie — ale jak ona się porusza, ile wdzięku ma w każdym geście, jak się obraca, jak stąpa.

Och, jak pięknie tańczyła na występach szkolnych,

zupełnie niczym nimfa, nimfa wiosny, którą kreowała. Kató nie pożalowała pieniędzy, zamówiła dla Marianny koszyczek z żywych kwiatów, żeby mogła sypać prawdziwe płatki. Ta druga, Dóra, wyglądała jak diabełek. Chuda, o dużych oczach, podobna do siostry, usta jej się nie zamykały, grała wieśniaczkę, włosy miała przewiązane chustką do tyłu. „Daj, Boże, ładne dni, złote słońce aż do winobrania...” Paplać to ona umie, zachowuje się jak doświadczona kobieta, dzieci pozostawione samym sobie szybko dojrzewają. Nie ma ani ojca, ani matki, musi sama sobie radzić, zresztą sprytu nauczyła się od siostry. A Zsófiika w ogóle nie występowała, posadzili ją w kasie i w końcu musiała dopłacić sześć forintów, bo głupia nie ośmieliła się poprosić o pieniądze Kelemenowej i Lembergerowej.

Och, gdyby Gábor żył, gdyby mogła uzalić się bratuli. Kiedy opowiedziała Judit, co zaszło, od jej mądrych rad, zdawało się, głowa pęknie, ale najlepsze było to, że Judit jej przypisała winę. Całe szczęście, że nie tylko jej. „Cebula — rzekła Judit. — Dlaczego nie pozwalasz Kálmánowi jeść cebuli? I dlaczego nie możesz wytrzymać, gdy nastawia radio na pełny regulator? W poważnych sprawach dałaś mu całkowitą swobodę, a drobiazgami zatruwasz mu życie!” Nigdy nie lubiła Judit, zresztą jak ją można lubić? Ona jest winna! Czy się sprzeciwiała, gdy Kálmán chciał kupić sad? Ani słowa nie powiedziała, bo widziała, że ma wielką ochotę, a przecież musieli sprzedać jej część domu, inaczej nie starczyłoby pieniędzy. Czy kiedykolwiek miała pretensję o gości, których Kálmán zapraszał? Nieraz na urodziny czy na Sylwestra przyjmowali blisko dwadzieścia osób, nigdy nie oponowała, choć to ona musiała się uwijać i zmywać stopy brudnych naczyń po gościach. Ale Judit posiadała wszystkie mądrości, ona najlepiej wie, od czego zależy szczęście

w małżeństwie. Od cebuli. I od radia. I od tego, że Kató nie lubi filmów sentymentalnych, jedynie komedie, więc na smutne filmy Kálmán musiał chodzić sam.

„Zbliża się piąta — pomyślała Zsófiika — już mogę iść do domu. Ale co powiem mamusi, gdy spyta o fartuch? Powiem prawdę, że byłam w szkole, odwiedziłam pana Istvána i pomogłam mu posprzątać pokój. Nie wolno kłamać, mamusia nie zasłużyła na kłamstwo, mamusia zawsze mówi prawdę. Nie zawsze wszystko mówi jak tatuś, ale nigdy nie kłamie. Gdybym zdołała się przełamać, powiedziałabym, że wolałabym zostawać w domu, nie lubię chodzić do cioci Kató, której na mój widok prawie słabo się robi, gdyż przypominam jej Dórę i wszystko, co wiąże się z wujem Kálmánem. Wtedy jednak mamusia zorientowałaby się, że coś wiem o tych sprawach, a chyba sobie tego nie życzy, gdyż sama by o tym wspomniała. Dzieci dużo łatwiej spostrzegają takie rzeczy niż dorośli. Ciocia Kató przez długi czas o niczym nie wiedziała, a Marianna już dawno mi powiedziała.”

To też było takie dziwne...

Marianna zawsze okładała zeszyty w celofan, służący do zawijania słoików z konfiturami, szczególnie jeden jej zeszyt, piękny, czeski zeszyt jasnoniebieskiego koloru błyszczał w celofanie jak lustro. Nad zeszytem siedziała Marianna żywa, a w celofanie odbijała się jej twarz; w pewnym momencie uśmiechnęła się i powiedziała, że obecnie wieczorami wuj Kálmán nigdy nie bywa w domu, a rankiem od jego ubrania bije zapach wody kolońskiej. Samo słuchanie o tym było okropne. Marianna wyprostowała róg zeszytu i na bibule napisała jej imię. Marianna ma najładniejsze przybory szkolne. Wtenczas Dóra, siedząca w pierwszej ławce, obejrzała się, z jej oczu można było wy-

czytać drugą część zdania: czyją wodą pachnie ubranie wuja Kálmána. Nic jednak nie powiedziała, poprzestała na spojrzeniu, odwróciła głowę z powrotem i lekcja się zaczęła.

Na występy Viki przysłała w białej sukni i identycznych jak Dóry, czerwonych sandałkach. Zjawiła się jednocześnie z wujem Kálmánem, gdy tymczasem ciocia Kató już od dawna tkwiła w przebieralni i czesała Mariannę. Wuj kupił bilet nie tylko dla siebie, lecz także dla Viki, która rzekła: „Panie Kálmánie, pan jest tak wspaniałym fotografem, że właściwie powinien pan zostać operatorem filmowym.” Wuj Kálmán zaczerwienił się, natomiast Zsófiika przypomniała sobie, że ciocia Kató zawsze wylewa utrwalacz, a zeszłej niedzieli podczas obiadu wykrzykiwała w uniesieniu: „Mam dość bałaganu z tymi idiotycznymi zdjęciami, do łazienki wejść nie można, ciemnię z niej zrobiłeś z czerwoną żarówką, człowiek przewraca się o blaszane pudełka, a w dodatku taki z ciebie niedołęga, że nigdy żadnej nagrody nie zdobędziesz.”

O, to zdjęcie z występów, jej na nim nie ma, bo była tylko w marynarskim mundurku, a poza tym kasjerki się nie fotografuje. Pani Lemberger już wyjęła pieniądze, żeby zapłacić, ale w tej samej chwili zobaczyła Viki i powiedziała do pani Kelemen, że tym razem chyba jej się uda, czy coś w tym rodzaju, na co obydwie roześmiały się; pani Kelemen szepnęła, że Viki jest uparta, po czym obie schowały pieniądze zabierając jednocześnie bilety, a Zsófiika tak zamyśliła się nad tym, co one chciały przez to powiedzieć, że już nie upomniała się o należność.

Jak pięknie Marianna wyglądała w tej białej tiulowej sukience, jak wdzięcznie stukwały jej pantofelki o ołowianych noskach! Przez sekundę Zsófiika też zapragnęła być tancerką, patrzyła na Mariannę z zachwy-

tem, myśl o tym, iż ta śliczna, zgrabna dziewczynka jest jej kuzynką, tak ją wzruszyła, że łzy jej napłynęły do oczu i musiała opuścić wzrok; wówczas przypadkiem zobaczyła, że wuj Kálmán wziął Viki za rękę i coś wsunął jej w dłoń, jakby papierosa, ale raczej był to zwinięty papierek, gdyż Viki nie zapaliła, tylko nadal obserwowała popis Marianny. Zsófiika nie mogła na to patrzeć, Viki bowiem sądząc po twarzy była bez reszty pochłonięta tańcem, a tymczasem mięśnie na jej rękach naprężyły się, czuło się, że właściwie nie widzi sceny, tylko udaje, że patrzy. Potem nadszedł występ Dóry, uwieńczony wielkim sukcesem; wuj Kálmán przyniósł Dórze taki sam kawałek tortu jak Mariannie, później zobaczył Zsófikę i pokręcił głową, bo w gruncie rzeczy ma dobre serce, ją także lubi, najwyraźniej zawstydził się, że zapomniał o siostrzenicy. Wprawdzie ona nic nie robiła, była jedynie kasjerką, i to lichą, mimo to przyniósł jej ciastko tortowe z bufetu, bo tortu już zabrakło, i na dokładkę pałeczkę czekoladową. Marianna zjadła tort i stała czekając na gratulacje, a ona, przełknąwszy ciastko, pobiegła z czekoladą szukać Dóry, nigdzie jej jednak nie było. Wreszcie znalazła przyjaciółkę w ubikacji, opartą o kaloryfer i wyglądającą na podwórze.

Zsófiika nie miała odwagi się odezwać, toteż przełamawszy czekoladę na dwoje, jedną połowę podała Dórze, ale ta raptownie odwróciła się i swój kawałek cisnęła do kosza. Gdy wystraszona Zsófiika schyliła się, na dnie kosza wśród brudnych papierzyków i pestek z owoców zobaczyła kawałek tortu, cudowny kawałek tortu z pianką od wuja Kálmána. Dóra z powrotem oparła się o kaloryfer, a Zsófiika przez chwilę stała bezradnie, szybko jednak powzięła decyzję: swoją czekoladę też wyrzuciła do kosza. Wówczas Dóra przywarła twarzą do jej policzka, przez moment trwały

przytulone, po czym Dóra wybiegła, Zsófi­ka dopadła jej dopiero w klasie. Tam już rozpoczęły się tańce, Viki nastawiała gramofon, Dóra pochyliła się nisko i poprosiła do tańca Kati Lemberger.

Kató skończyła pranie i opuściła żerdź do suszenia. Ma takie duże mieszkanie, a nikogo do pomocy. Ale tu nawet nikt nie pomyśli o tym, że ona sama robi duże pranie. Mariannie za żadne skarby świata nie pozwoliłaby niczego tknąć, ona będzie wielkim człowiekiem, może sławną aktorką, niech no tylko się uczy. Gdy tak długo stoi pochylona, strasznie krzyż ją boli, ledwie może się wyprostować. Biedna mała Marianna, ona nawet się nie domyśla, jakie to męczące. Gdy wchodzi do kuchni po kawałek chleba czy szklan­kę wody i widzi ją przy pracy, przez chwilę patrzy szeroko otwartymi oczyma, po czym odwraca się na pięcie i wychodzi. Gdyby rozumiała, na pewno by do niej podeszła i pomogła, a nie siedziała tylko nad książką. Ona nie zwróci jej uwagi, uchowaj Boże! No, ta przyszła bez wołania, sama z siebie podaje bieliznę tą swoją niezdarną, obandażowaną ręką. Niezłe z niej dziecko, tylko nie nadaje się do życia — nikomu niepotrzebne. Drugiej takiej, jak Marianna, nie ma na całym świecie, z nią nawet nie ma zamiaru Zsófi­ki porównywać, choćby taka Dóra jest stokroć więcej warta, jakkolwiek o Dórze nie może myśleć bez wstrętu.

Zostało już tylko jedno prześcieradło. Tutaj widziały się po raz ostatni we trójkę, wyszły do kuchni, bo w pokoju wybuchła okropna kłótnia. Marianna uważała, że mogą zostać, ale Dóra w żadnym wypadku nie chciała, znalazła sobie pretekst, że musi się napić, i wybiegła z pokoju; w tym okresie Dóra już rzadziej tu bywała, gdy chciały się z nią zobaczyć, chodziły

do niej, mimo że tam nie było przyjemnie, w całym mieszkaniu bezustannie suszyły się szale. „Zrób coś!” — powiedziała Dóra do Marianny ściskając szklankę w ręku. Zsófica przyglądała się wzorowi na szklance, bała się podnieść wzrok, głos Dóry był taki straszny. „Słyszysz, Mari? Zrób coś! Ja sama nie dam rady.”

Marianna przeciągnęła się, wspięła na palce, dotknęła sznura od żerdzi do suszenia, wykręciła pirueta, ugięła nogi w kolanach, po czym wyprostowała je i roześmiała się. „Daj mi spokój — odparła — ja o niczym nie wiem!” Nie powiedziała, co rozumie przez to „nie wiem”, od razu wiadomo było, że znowu kłamie. Dóra zamilkła, poczęła zbierać się do domu. Marianna wyniosła do kuchni wszystkie swoje rzeczy, gdyż w pokoju rozlegały się takie wrzaski, że o nauce nie mogło być mowy. Wtedy już wiedziała, że ma szansę wyjazdu do Niemiec, ale jeśli nie będzie miała samych piątek, zamiast niej zabiorą Kató Lemberger albo Annę Biró, toteż bez przerwy ślęczała nad książkami. Potem otworzyły się z trzaskiem drzwi, najpierw pokazała się ciocia Kató, a za nią wuj Kálmán, który jednak podążył prosto do przedpokoju i zbiegł po schodach na dół. Ciocia Kató złapała kurtkę Dóry, rzuciła ją jej i zawołała, że może iść razem z wujem Kálmánem, i tak idą w jednym kierunku, następnie przytuliła Mariannę i zaczęła ją całować, a ta wyciągnęła ręce zasłaniając książki w obawie, że ciocia Kató wszystko zmiecie ze stołu. „Jagniątko moje — rozplakała się ciocia Kató — biedna, mała sierotko...” Zsófica pobiegła za Dórą, żeby przynajmniej ją odprowadzić, ale na klatce schodowej już nie było nikogo, ani wuja Kálmána, ani Dóry. Gdy jeszcze raz obejrzała się w stronę kuchni, zobaczyła, iż Marianna w dalszym ciągu zakrywając książki patrzy za nią wzrokiem niespokoj-

nym i znudzonym zarazem, takim samym jak w szkole podczas odpowiedzi Ewy Kiss.

Wyszędłszy na ulicę, wreszcie spostrzegła Dórę, która biegła, wprost pędziła, ale sama, bez wuja Kálmána. Zsófiika zawołała ją i też puściła się biegiem, lecz nie zdołała jej dogonić, czerwona kurtka Dóry coraz bardziej się oddalała, aż wreszcie zniknęła za jednym z rogów.

VIII

Mamusia wcale nie gniewała się za stłuczenie wkładu do menażki.

Zsófica od razu wręczyła jej puste pudełko; wystraszona mina i zabandażowana dłoń dziewczynki mówiły same za siebie, tak że Judit bez słów natychmiast wszystko pojęła.

Przez chwilę obracała w rękach aluminiowe pudełko; fakt, że szkło się zbiło, przestało istnieć tak samo jak Gábor, wydał jej się zupełnie naturalny. Menażka oznaczała Gábora, niedziele nad Balatonem lub w górach, owczy ser, który z niej wyskrobywał i na małych kawałeczkach chleba wkładał do ust sobie lub Zsófice.

Grzebie to nieszczęsne dziecko po starych rzeczach, szuka śladów ojca. „Szkoda” — powiedziała lakonicznie Judit, a twarz Zsófiki rozbłysła, zza chmury lęku i skruchy wychylił się pierwszy promyk uśmiechu. Dawniej tak uśmiechała się do ojca, Gábor nazywał ten uśmiech „jaktodobreżerozumiesz”. Teraz tak samo spojrzała na nią, z tym samym „jaktodobreżerozumiesz” na twarzy, i poczęła rozwijać szmatkę na palcu.

Zsófice nie wolno było zaglądać do szafki z lekarstwami, ale przecież zakaz nie miał dotyczyć gazy czy jodyny. No nic, sama jej zabandażuje, na pewno nie tak ładnie jak Gábor, ale przynajmniej zdezynfekuje skałeczenie. I dziś nie da jej zmywać, wystarczy, jeśli powyciera.

A więc Kató prała, to zajęcie w sam raz dla niej,

jest taka głupia. Żaden mężczyzna nie wytrzymałby, gdyby za każdym razem po zgaszeniu papierosa ktoś dopadał go, wyrzekał, że znowu śmieci, wybiegał z popielniczką do kuchni, mył ją i przynosił z powrotem na to samo miejsce. Człowiek wreszcie wychodzi z domu, by napalić się do syta, niepodobieństwem jest żyć wśród wiecznych uwag z byle powodu. Niestety musi do nich posyłać Zsófikę, mała nie może całymi dniami przesiadywać w szkole, jeszcze nie znalazła sobie nowej przyjaciółki, toteż nie ma innego rozwiązania. W domu byłaby zupełnie sama, bez jakiegokolwiek kontroli. Całe szczęście, że zgłosiła się na korepetycje, które wypełniają trochę czasu, dzięki temu tylko co drugi dzień musi chodzić do Kálmánów. Judit wyciągnęła się na chwilę, była zmęczona.

Dobrze byłoby napić się kawy i położyć się spać, miała dziś ciężki dzień, a poza tym gnębią ją jakieś złe przeczucia. Reorganizacja zawsze pociąga za sobą zmiany i to przeważnie personalne, nie wiadomo, czy zmiany te nie dotkną również jej. Dobay nie mówił jasno, ale coś napomknął, że opinie na temat jej nowej książki, o które zwrócono się do pedagogów, nie były najbardziej entuzjastyczne. Spytał ją również, jak długo uczyła, zanim tu przyszła, jakby nie wiedział z jej życiorysu, że w ogóle nie pracowała w szkole, że do Instytutu dostała się prosto z uniwersytetu. Czuje coś złego, nic dziwnego, że jest taka niespokojna. Krytyka zawsze ją rozdrażnia, szczególnie zaś gdy nadchodzi z prowincji. Kiedy ukończy jakąś rozprawę, wydaje jej się, że tezy, twierdzenia w niej zawarte są nie do podważenia, a potem nagle dostaje list z osady o jakiejś dziwacznej nazwie i nauczyciel, który miejscami jest na bakier z ortografią i ma bardzo mizerny styl, pisze, że to czy tamto, co ona konstatuje w swojej książce, on „widzi nie tak”.

Tylko tego brakuje, żeby musiała odejść z Instytutu, żeby ją przenieśli do którejś ze szkół. Gábor nie miałby nic przeciwko temu, zawsze jej to sugerował, twierdził, że pracując w szkole będzie miała więcej wolnego czasu; to prawda, ale praca w szkole jest niebywale nudna. Gdyby Zsófiika była starsza... rozsądniejsza... Ale jest taka niewydarzona, taka niedołączna, przykucnęła koło niej jak jakieś zwierzątko, ale nagle podrywa się i wybiega, lewą ręką otwiera sobie drzwi, widocznie prawa ją boli.

Zanim dziewczynka wróciła i podała jej kawę, Judit prawie zdrzemnęła się. Zsófiika przyniosła kawę w filiżance, której ona zawsze używała, dwie takie mieli, zieloną i niebieską, jedna należała do Gábora, a druga do niej, nigdy nie podawali ich gościom. Kawa była niedobra, słaba, ale była, nawet nie musiała o nią prosić, Zsófiika jakby odgadła jej życzenie. To wyraźny wpływ Kató, trzeba przyznać, że Kató jest dobrą gospodynią, może nawet za dobrą.

Dziecko należy pochwalić nawet za najdrobniejszą przysługę, za każdą udaną błahostkę — przypomniała sobie twierdzenie jednego ze swych artykułów i o mało nie roześmiała się, choć wcale nie była w dobrym humorze. Zsófiika tak rzadko stwarzała okazje do pochwał, że Judit nie była pewna, czy w ogóle nie pierwszy raz ją pochwaliła. Zsófiika będzie wysoka, ma nogi jak komar, o, znowu zaczyna pocierać lewą nogę o prawą, jakież to okropne przyzwyczajenie. Jest zakłopotana. Nudzi się, biedaczka, Marianna nad morzem, z Dórá nie wolno jej się widywać, a innych przyjaciółek nie ma. Do pionierów jej nie przyjęli, wprawdzie ona sama domagała się na zebraniu, by średnich uczniów nie odrywać od nauki, ale cóż, tak naprawdę uważa. Jeżeli ktoś średnio się uczy, mogłby uczyć się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Musi tylko

całą uwagę skoncentrować na nauce, wykorzystać każdą chwilę. Na pewno ma coś na jutro zadane, najlepiej by było, gdyby zaraz wszystko odrobiła. Zasadziła Zsófikę do stolika i kazała jej napisać ćwiczenie z fonetyki.

„Przejrzę, nic mi się nie stanie — pomyślała Zsófika. — Na ostatniej lekcji tak dobrze wszystko zrozumiałam, że właściwie nie potrzebuję jeszcze raz czytać, ale skoro mamusia chce, mogę przeczytać. Mogę także odrobić zadane ćwiczenie, chociaż wcale jutro się tam nie wybieram. Jest coś do napisania, chętnie bym z tego zrezygnowała, bo zacięłam się w środkowy palec prawej ręki i strasznie trudno mi utrzymać pióro. Całe szczęście, że ćwiczenie nie jest długie. Powinnam jeszcze napisać sześć zdań o tym panu Istvánie, wymyślonym przez panią Martę, który strącał wiśnie kijem; w zdaniach tych mają być przykłady na upodobnienie postępowe. Upodobnienie postępowe.”

Idąc do pana Istvána przypadkiem spotkałam Joli Juhos. Joli zatrzymała mnie i powiedziała, że nie może czekać z kinem.

To nie ma żadnego sensu, nie można czekać z kinem. Joli trzymała w ręku bilet do kina. Pan István rozmawiał z murarzem, a ja przysłuchując się rozmowie skaleczyłam się w rękę szklanym wkładem. Przewiązałam palec szmatą. Przyniosłam panu Istvánowi mięso, które kupiłam w halach.

Dlaczego tak się dzieje, że jeżeli jest sama i nauczycielka tylko do niej mówi, to od razu wszystko rozumie i zachowuje w pamięci? Pamięta lekcję, na której uczyły się o upodobnieniach, to było jeszcze na początku pierwszego półrocza, tego dnia pani Marta pierwszy raz włożyła buty na grubej, gumowej podszwie. Kató Lemberger przyniosła maleńką nylonową lalczkę, ilekroć pani Marta odwróciła się do nich ple-

cami, Kató wyciągała lalkę. Zsófi­ka nie mogła wtedy o niczym innym myśleć, tylko o lalce, strasznie chciała ją ścisnąć, wszystkie nylonowe zabawki robią wraże­nie żywych. Są takie mięsiste.

Mamusia nie spytała, gdzie Zsófi­ka zbiła wkład do menażki, dzięki czemu sprawa pana Istvána nie wydała się i gdyby nie nadchodząca jesień, nadal mogłaby pozostać w tajemnicy, ale czyż można rozpocząć nowy rok szkolny bezustannie drżąc, kiedy zostanie się roz­poznany? To jeszcze nie jest najgorsze, choć też wy­starczy; gorzej, że pan István może tylko wstać do mycia i pochodzić koło domu, mały spacer jest na­wet wskazany, ale jeszcze przez dłuższy czas nie bę­dzie mógł wychodzić na miasto i pracować. Chory musi mieć stałą opiekę. Tatuś został kiedyś wezwany do chorego w momencie zapalania świeczek na choi­nce, w dodatku nie był to pacjent prywatny, lecz z ubez­pieczalni, mimo to tatuś pobiegł, nie poczekał nawet na zapalenie zimnych ogni.

Nie, jednak jutro pójdzie na korepetycje, w czwart­ki zaczynają się o dziewiątej rano. Chyba najlepiej zrobi, jeśli opowie Torbogłowemu, co zaszło, i ewen­tualnie odda mu tego forinta. Torbogłowego nie boi się tak bardzo, jak pana Istvána, za jego pośrednictwem może przedstawić całą sytuację, a jeśli Torbogłowy jest w dobrej komitywie ze starym, zawiadomi Juho­sów, których, zdaje się, też zna. W najgorszym razie sam zaopiekuje się panem Istvánem.

Chciała to załatwić od razu rano, gdy tylko przy­szła do szkoły, ale oczywiście zawsze wszystko jest inaczej, niż człowiek sobie ułoży. Choć obiegła cały budynek dookoła, Torbogłowego nigdzie nie było, nie znalazła go ani koło wejścia, ani na rusztowaniach, nie pomogło też zadzieranie głowy i wyciąganie szyi na ulicy, gdzie na ogrodzony chodnik sypał się tynk

ze ściany. Natomiast w portierni siedział pan Székely i znowu, jak dawniej, paliła się w niej lampka. Woźny nawet krzyknął na nią, żeby wytarła nogi, bo naniesie wapna. Ostatecznie nic złego jeszcze się nie stało, przecież właściwie przyszła na korepetycje. Przez ten czas Torbogłowy chyba się znajdzie.

Dziś były we dwie, o dziwo, zjawiła się także Juli Deák. Pani Marta podyktowała tekst, a one jednocześnie robiły ćwiczenie na dwóch tablicach, przy jednej ona, przy drugiej Juli; podczas gdy Zsófiika czerwoną kredą podkreślała wypadki upodobnienia wstecznego, a Juli szukała przypadków zlewania się spółgłosek, nauczycielka przeglądała zadanie domowe. Chyba napisała złe przykłady, bo pani Marta już szósty raz czyta. Cóż ona tak rozmyśla nad tymi paroma zdania-
mi? Może powinna była napisać o wiśniach, gdyż w pierwotnym tekście pan István był zdrowy, ale to tak dziwnie, że kijem zgina gałęzie, gdy w rzeczywistości leży i jest biedak taki chudy. Juli maże po swojej tablicy, dotychczas wszystko źle zrobiła. Cóż dopiero, gdyby miała upodobnienie wsteczne, które naprawdę nie jest łatwe. Ale żeby nie zauważyć zlewania się spółgłosek! Ona już swoje zadanie zrobiła.

„To jest tak pasjonujące — pomyślała Marta Szabó — że z trudem mogę spokojnie usiedzieć.” Nie pierwszy raz jej się to zdarzyło, kilkanaście razy w roku spotyka się z tym, że dzieci w układanych przez siebie przykładach opisują swoje ostatnie przeżycia. W ten sposób dowiedziała się o rozwodzie Baloghów, o śmierci babki Zsuzsi i o tym, że Olga Vigh boi się ciemności. Zdanie o Joli Juhos i bilecie do kina nie ma żadnego sensu, ale może tylko jej tak się wydaje. Na razie zdania Zsófiiki dzielą się na zrozumiałe i niezrozumiałe.

Szmatka i skaleczenie w palec mogą być wzięte z rzeczywistości, bo istotnie ma owiązaną rękę i z trudem trzyma kredę. Możliwe również, że skaleczyła się jakimś szklanym wkładem, ale jeśli ta część jest prawdziwa, to zdarzenia te w jakiś sposób muszą być związane z owymi nieznanymi Juhosami i biletem do kina, skoro pisze o mięsie kupionym w halach dla pana Istvána, to najprawdopodobniej załatwiała sprawunki dla Pongrácza. Bytność w halach musiała być ostatnim wydarzeniem, które zaprzętało jej głowę w czasie pisania.

Nie ulega wątpliwości, że Zsófiika chodzi do Pongrácza. Ta skryta, płochliwa dziewczynka, która tak boi się obcych, i ten zgryźliwy, stary mężczyzna... Jak do tego doszło? István Pongrác od czasu tragedii, jaka spotkała jego rodzinę, wyraźnie stroni od dzieci, a Zsófiika nigdzie chętnie nie chodzi, nawet jeśli się ją wyśle. Czy jej matka wie o tym? Nagle Marta Szabó uświadomiła sobie, dlaczego ostatnio Zsófiika zaczęła przychodzić na korepetycje. Ależ to oczywiste, że nie dla nauki, lecz po to, by bez wywoływania sensacji chodzić do Pongrácza. Zawsze czuła, że jeżeli Zsófiika kiedykolwiek nabierze ochoty do nauki, to tylko pod wpływem jakiegoś wstrząsu psychicznego, czegoś, co wykracza poza szkołę. Judit tak ją wychowała, tak zamęczała we wczesnym dzieciństwie, że raz na zawsze obrzydł jej widok liter, na lekcjach słucha tylko tego, co ją interesuje. Marta Szabó raz już miała do czynienia z podobnym dzieckiem, Róza Tamási była taka sama, kiedyś wprost jej powiedziała, że jeżeli nie chce, to nic nie słyszy. Teraz jakiś wstrząs psychiczny przełamał u Zsófiiki wstręt do nauki, uczęszcza na korepetycje, a gdy już przyjdzie, to uważa, bo jest grzeczna, zresztą zawsze taka była, i nie chce nauczycielki urazić nieuwagą, szczególnie gdy ta specjalnie jej coś tłu-

maczy. Jest niejako zmuszona do zapamiętania tego, co słyszy. Zresztą dużo szybciej chwyta niż Anna Biró. Jeżeli kiedyś coś ją naprawdę zafrapuje, zakasuje wszystkie koleżanki.

Ale co ją mogło zbliżyć do Pongrácza? Może dowiedziała się, że cała jego rodzina zginęła w czasie wojny, i teraz, gdy sama kogoś straciła, stała się bardziej wrażliwa na te sprawy? Od czasów uniwersyteckich Marta Szabó nie czuła takiego podniecenia. Gdyby przez cały rok szkolny potrafiła podtrzymać w Zsófcie wysoką temperaturę uczuć, wówczas dziewczynka by się uczyła. Ale jakie to mogą być uczucia? Dowie się. Dowiadywała się już trudniejszych rzeczy.

— Dziś poćwiczymy ortografię — zwróciła się do Juli. — Zsófiika nie będzie pisać, bo ręka ją boli. Ty napiszesz, a Zsófiika powie, czy i względnie gdzie zrobiłaś błąd, następnie obie poszukacie słów z przykładami jakichś zjawisk fonetycznych. Dyktuję, Juli, pisz.

„Gdy wojna dotarła do stolicy, bomby nie oszczędziły również domów mieszkalnych. W 1944 roku wiele osób straciło wszystko, ale najboleśniej były ofiary w ludziach.” (Tekst jest dość szablonowy, ale tak na poczekaniu nie potrafi lepszego wymyślić. Okropne by było, gdyby okazało się, że nie występuje w nim żadne zjawisko fonetyczne.)

„Nasza szkoła też nie uniknęła zniszczeń, pół skrzydła zarwało się, pocisk przebił ścianę schronu. Wszyscy znajdujący się tam ludzie zginęli. Biedny pan István, który jeszcze nie otrząsnął się po śmierci żony, w tym schronie stracił resztę rodziny: córkę, zięcia i dziesięcioletnią wnuczkę Erzi.”

A jednak Zsófiika nic o tym nie wiedziała. Poruszenie tak wyraźnie maluje się na jej twarzy, że nie mogła wiedzieć. Pierwszy raz o tym słyszy. Z takim samym, najsmutniejszym, jaki można sobie wyobrazić, niewia-

rygodnie żalonym wyrazem twarzy słuchała lekcji o bitwie pod Fehéregyháza. Zsófi nie poderwała się wówczas jak Botár, nie krzyknęła, że to nieprawda, że Petöfi nie zginął, że on żyje. Przyjęła ten fakt do wiadomości, zgodziła się z tym, że Petöfi poległ, ale napełniło to ją tak głęboką goryczą, że pani Marta zaczęła zastanawiać się nad koniecznością pewnej korekty programu: lekcji o życiu Petöfiego nie powinno się kończyć fragmentem z książki Illyésa. Nie wolno rozstawać się z poetą leżącym na drodze w kałuży krwi, wśród białych kartek rękopisów. Dlaczego Judit o tym nie napisze? Dlaczego nie zaproponuje, by życiorys Petöfiego zamknąć jego wierszem *Jedna myśl mnie trapi wroga* — wówczas wśród burzy bitewnej, grzmotów dział śmierć unosząca się nad polem bitwy nie zionęłaby beznadziejnością klęski, w zatrwożonym sercu dziecka nie powinien pozostawać obraz obalnego na wznak martwego człowieka, lecz śmierci wspañiałej, dumnej, nie lękającej się kopyt tratujących wszystko rumaków; taka scena pozwoliłaby dziecku zachować w pamięci poetę w całym jego umiłowaniu wolności i bogactwie uczuć, wiecznie młodego, pierwszą gwiazdę wśród najlepszych synów ojczyzny. Zamiast pisać bezużyteczne artykuły, niechby lepiej tym się zajęła, ale kiedyż Judit uczyła o Petöfim, kiedy, tak jak ona, przez długie, długie lata w każdej klasie obserwowała te same dziecięce przeżycia, widziała zaciśnięte ręce i słyszała zduszone szepty: „To nieprawda. On żyje.”

Nie ulega wątpliwości, że Zsófi nic nie wiedziała, bo oto nagle znowu przestała uważać, już nie pamięta żadnego prawidła fonetycznego i nie może usiedzieć, chce natychmiast iść, bąka, że ma coś do załatwienia. Natomiast Juli ciężko stęka i mówi same głupstwa, tekst wprowadzie przypadkiem, ale aż roi się od naj-

rozmaitszych zjawisk fonetycznych, mimo to Zsófi-
ka nic nie widzi, stoi szarpiąc fartuch i patrzy na drzwi.
Niech idzie, dalszego ciągu dowie się od Pongrácza.

„Ta już uciekła — pomyślała Juli Deák po wyjściu
Zsófi-ki. — Udało jej się.” Co też pani Marcie przyszło
do głowy? Przez cały rok pisałyśmy o jakiejś nie istnie-
jącej Annie, występowała ona w każdym ćwiczeniu:
Anna myła, Anna kazała myć, Anna myła się, Anna
podlewała kwiaty i chodziła na wycieczki na Górę
Wolności. Teraz znów nauczycielka przyczepiła się do
pana Istvána, tego wstrętnego dziada. Naturalnie Juli
też nie wiedziała, że stracił całą rodzinę. Może woźny
dlatego wrzeszczy, że zawsze jest w ponurym usposo-
bieniu. A czymże miałby się cieszyć? Teraz już będzie
mu się kłaniać nie tylko w szkole, ale także na ulicy.

IX

W suterenie było dużo chłodniej niż w klasie. Torbogłowego nadal nie było widać, natomiast pan Székely obrzucił Zsófikę uważnym spojrzeniem, ale dziewczynka już nie przejmowała się tym, czy ją ktoś widzi, czy nie. Przestała się bać, poczuła się bezpieczna, tak jak kiedyś, gdy kilka słów tatusia pozwoliło jej rozwikłać pewną zagadkę; dziś znalazła klucz do zrozumienia pana Istvána.

„Bomby nie oszczędziły również domów mieszkalnych.” Za chwilę wszystko mu wyzna, nie będzie czekać do obiadu, powie, że od dziś będzie się nim opiekować, choćby nawet musiała regularnie uczęszczać na korepetycje. Będzie kupować, sprzątać, gotować. I nie będzie brała żadnych pieniędzy, pan István dowiedziawszy się, kim ona jest, chyba zrozumie, że robi to tylko przez zyczliwość dla niego. Jakżeby mogła zostawić go samego! Ona straciła tylko tatusia i też nie może tego pojąć ani do tego przywyknąć, a cóż dopiero, jeśli ktoś postradał wszystkich, których kochał, córkę, zięcia i wnuczkę, małą Erzs! Jest wdowcem, nie ma żony, która by go pocieszyła i rozweseliła, nic dziwnego, że odwykł od śmiechu, że tak dziwnie się śmieje. Boże, mój Boże! Jak to dobrze, że pani Marta opowiedziała historię pana Istvána, ona nawet się nie domyśla, jakie to wszystko ma znaczenie. Gdyby przypadkiem podyktowała inne zdania, to Zsófika poprzez Torbogłowego przedstawiłaby całą prawdę panu Istvánowi albo Juhosom, a do nich właściwie

nie ma zaufania, Joli nieładnie się zachowała, powinna była poświęcić kino, przecież jej dziadek jest przyjacielem Istvána Pongrácza.

Sprzątanie nie poszło łatwo, Zsófiika odczuwała bowiem rwący ból w ręce. Mimo usilnych starań wszystko robiła wolniej niż zwykle, a nie załatwiła jeszcze zakupów do domu, nie sądziła bowiem, że dziś tu zostanie, ułożyła sobie, że po lekcji porozumie się z Torbogłowym i w powrotnej drodze wszystko kupi. Nie posprzątała mieszkania, nawet łóżko zostawiła niezasłane, tak się spieszyła, by zdążyć na dziewiątą.

Tym razem pan István nie naigrawał się z niej, przeciwnie, spostrzegłszy, że rozluźnił jej się bandaż na palcu, przykuśtykał i ściskając zębami poprawił opatrunek. Wracając z hal, Zsófiika ugiwała się pod dwiema torbami, musiała załatwić sprawunki dla dwóch domów. W lewej ręce niosła szpinak, mleko i pół kilograma chleba dla pana Istvána, to jeszcze było głupstwo, natomiast ich torbę ledwie mogła utrzymać, nawet nie była ciężka, tylko dokuczał jej skaleczony palec. I pan István, i mamusia kazali dziś kupić szpinak. Jak się to gotuje?

Okazało się, że szpinak trzeba obmyć, posiekać i wrzucić do wrzącej wody. Jeżeli mamusia kiedyś będzie bardzo zmęczona, Zsófiika ugotuje szpinak, to nic trudnego. Na końcu trzeba go podsmażyć, całe szczęście, że u pana Istvána zasmażka stoi gotowa. Trzeba jeszcze dodać czosnku, ale ile? Dla pewności wzięła całą główkę, pan István jednak krzyknął na nią, więc wrzuciła tylko pół ząbka.

„Nabiera zręczności — stwierdził w duchu Pongrácz. — Tylko do nikogo nie jest podobna, ani do Tocy, ani do Feriego, ani do starych. Oni wszyscy byli czarni, a ta ma raczej czerwone włosy, oczy też nie czarne, tylko zielone. I wszystkich ich prze-

rośnie, już dziś chyba sięga Teczy do ucha, nie będzie takim pokurczem jak Juhosowie. Erzsi, gdyby żyła, nie wyrosłaby na wysoką dziewczynę, wdała się w ojca, a ten był nie większy niż kaczan kukurydzy."

Żeby tę Sárę pokreć, czego ona uczy tego szczeniaka, gdyby nie wrzasnął na nią, toby gotującą wodą rozprowadziła zasmażkę i musieliby zjeść gorzki szpinak, nawet nie wie, że gotująca się woda jest gorzka. W zasmażce zostawiła krupki jak orzechy, ale nie jej nie powie, durnej, i tak jest smaczne, można zjeść. No, powoli jakoś uczy się moresu, już nie przyniosła tej śmierdzącej puszki, ale wyciągnęła, bezczelna, talerzyk w maki, mogła go zostawić w spokoju, są przecież i inne talerze, dlaczego wzięła akurat ten, który należał do Erzsi? Obraca go, idiotka, i stuka widelcem w dno, jakby się dziwiła, że jest z blachy, jakby w domu nigdy nie jadła z blaszanej miski, tylko zawsze ze złotej. Cholera jasna! Ale szpinak dobrze zrobiła, więc daruje jej, nie zabierze jej talerza w maki, jeszcze by spytała, dlaczego nie może z niego jeść, musiałby wówczas opowiedzieć o Erzsi, tam do licha, tylko by tego brakowało, żeby zaczęli gadać o Erzsi.

Zsófiika jadła obiad siedząc na podnóżku, za stół służył jej stołek, który w braku obrusa przykryła czystszejszą ścierką, lnianą ścierką do wycierania szklanek. Przypomniało jej to odrabianie lekcji u Takácsów, o ile przyjemniej jeść na stołku niż na stole. Szpinak naprawdę jest wyborny, nie wiedziała, że może być taki dobry, szczególnie te krupki w zasmażce mają taki delikatny mączny smaczek. Mamusia zawsze psuje wszystkie jarzyny przecierając zasmażkę przez sito. Zsófiika wylizała talerz do cna, ale nie wzięła się do zmywania, siedziała z założonymi rękami i patrzyła na pana Istvána, który też spojrział na nią wywracając oczyma pod krzaczastymi brwiami niczym stare psisko.

Dziewczynka zupełnie przestała się go bać, w pewnej chwili nawet oboje roześmieli się. To było okropnie zabawne: jeszcze przedwczoraj drżała na widok tych oczu, a przede wszystkim tych ogromnych, kłębiastych brwi, grubych niczym wąsy.

— I co szczerzysz zęby? — spytał pan István. — Mam zadeklamować jakiś wiersz?

— Czy mogę coś powiedzieć? — zaczęła Zsófiika, ale tak cichutko, że ledwie można było ją zrozumieć.

— Gadaj.

Dziewczynka nie mogła się zdecydować.

— No!

— Za chwilę.

— A przez ten czas co będziemy robić? Mam zaśpiewać czy będziesz zmywać?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy ktoś zastukał do drzwi. Torbogłowy! Akurat w najmniej odpowiedniej chwili. Trudno, poczeka, aż sobie pójdzie.

— Wlazł! — zawołał pan István. — Nie widzisz, że napisane: nie pukać!

„Czy dziś znowu da mi forinta?” — zastanawiała się Zsófiika, gdy tymczasem na progu zamiast Torbogłowego ukazał się drobny, starszy mężczyzna. Trzymał w ręku małej kuferek, właściwie nie kuferek, lecz skrzyneczkę z rączką. Kto to może być? W przeciwieństwie do pana Istvána nie ma wąsów, jest łysy, małego wzrostu. Zsófiika wstała, by wymknąć się na korytarz i poczekać, aż pójdzie, ale pan István burknął na nią, więc z powrotem przysiadła na podnóżku.

— Dzień dobry! — odezwał się przybyły. — No, chwała Bogu! A już miałem stracha, bo stary przyk z ciebie, młodnieć już raczej nie będziesz.

— Ty też nie — mruknął pan István. — Ciebie kostucha prędzej zabierze, boś lepszy kasek, grubszy. Co się stało, potrzebujesz czego, żeś przylazł, co cię

tak przypiliło? Tydzień mija, jak wyszedłem ze szpitala, a ty nic, ani nie przyjdiesz, ani się nie odezwiesz.

— Odezwać się odezwałem — zaprzeczył gość kładąc czapkę na stole.

— Diabła tam, ale wszystko jedno. Najważniejsze, że dziecko przyszło i brud mnie nie zeżre.

— Właśnie widzę. A lepszej pomocy żeś nie znalazł? Bo to jeszcze niemowlę przy cycku.

Zsófica odwróciła się. Niemowlę! Spróbowałyby jej szpinaku! A w ogóle najlepiej by zrobił, gdyby już poszedł z tą swoją skrzynką, przecież ona musi porozmawiać z panem Istvánem.

— Nie przysłałeś większej, stary, to musi być taka. Widać na więcej was nie stać.

Pongrácz zerknął na Zsófikę, czy się na niego nie pogniewa, ale nie zobaczył jej oczu, jedynie pochylone do przodu, bielutkie jak kreda czoło.

— Wstydz mi — odrzekł tamten i otarł szyję — ale nic na to nie poradzę. Wiesz, że u nas w tych sprawach rządzi Sára. Najstarsza nie dała się namówić, jej tylko Jancsi i ślub w głowie, ale poczeka do winobrania, bo wcześniej się nie zgodzę. Dopóki nie będą mieli mieszkania, nic z tego, nie będą mi tu siedzieć na karku i pętać się pod nogami. Tak więc najstarsza nie przyszła, bo jak raz powie nie, to święty Boże nie pomoże, a matka jej wybacza; dopiero wczoraj dowiedziałem się, że siedzisz sam, więc przyszedłem zobaczyć, co się z tobą dzieje, bo jeżeli Bóg już tak zdarzył, że inne dziewczuchy też nie mają czasu, to, pomyślałem, pójdę, pogadamy, może coś umyślimy. Ale widzę, że sobie poradziłeś.

Woda do zmywania zaczęła bulgotać. Zsófica odruchowo sięgnęła za siebie i zamknęła gaz.

— Tak — przytaknął po dłuższej przerwie pan István. — Teraz już rozumiem.

— Skoro radzisz sobie z tym pętakiem, to ja już pójdę, mam dzisiaj popołudniową zmianę i tylko dlatego zajrzałem, żeby kogoś, do diabła starego, ci przyśłać. Ale już nie trzeba. A może chcesz melona?

— Nie — potrząsnął głową pan István. — Jest w halach.

— No tak, wiedziałem, że będziesz zadzierał nosa, od razu to Sárze powiedziałem. Na mnie możesz tak nie patrzeć, Joli dopiero wczoraj mi się przyznała, że w ogóle u ciebie nie była, tylko dała znać przez jakąś dziewczynkę, bo dla niej kino ważniejsze niż słowo dziadka. Z początku nawet nie chciałem jej wierzyć, ale widzę, że nie zełgała.

— Ano nie — zgodził się pan István. Zsófiika stała bez ruchu.

— Przysłać obiad w niedzielę? Rosół z kury?

— Nic nie przysyłaj, Juhos! Kurę też można dostać w halach. I ma kto ugotować. No, bywaj, jeszcze się spóźnisz!

„Wypchaj się!” — pomyślał stary Juhos znalazłszy się za drzwiami; idąc po schodach łamał sobie głowę nad tym, co zobaczył wychodząc od Pongrácza: otóż ta długonoga dziewczynka, która tam się plątała, przysunęła się do starego i przytuliła głowę do jego brody. Może jednak została mu jakaś krewniaczka i ją wziął do pomocy? Licho go wie.

Zsófiika została przy łóżku, bo gdy chciała odskoczyć, pan István przytrzymał ją za rękę. Co by mamusia na to powiedziała, gdyby zobaczyła, że tuli się do kogoś obcego? Wuj Kálmán jest jej ojcem chrzestnym, a nigdy nie przyszło jej do głowy, by się do niego przytulić. Ciekawe, co pan István teraz o niej myśli? Krew raz po raz uderzała jej do głowy, na szyi wystąpiły plamy.

— Tobie kazała powtórzyć, bezwstydnica jedna? — spytał pan István.

Zsófiika skinęła głową.

— I ty przyszłaś zamiast niej?

Nie, ona nie przyszła zamiast Joli. Przyszła, żeby dowiedzieć się, co tatuś powiedział, a potem jakoś została. Ale jak mu to powiedzieć? Jak w ogóle można o tym mówić?

— Po co przyszłaś? Zlitowałaś się nade mną?

Ależ skąd, z początku mowy o tym nie był! Wtedy współczuła tylko sobie i mamusi. Ale teraz i jemu współczuje, z całego serca, tylko dlatego wróciła, żeby nie był sam.

— Ty chyba na zawsze zostaniesz niemową. Nie bałaś się mnie?

— Bałam się — wyszeptała Zsófiika.

— Teraz już się nie boisz?

Pokręciła głową, że nie.

— To źle, powinnaś się bać!

Już kiedyś słyszała ten głos. Jeszcze opryskliwy, ochrypły, ale już nieco inny niż choćby przed godziną. „Ham! Połknę cię!” — wołał tatuś, gdy była mała, śmiała się wówczas, jakby ją ktoś polachotał. Wyciągnęła rękę z dłoni pana Istvána i wróciła do stołu. Nie chciała skłamać, ale też nie powiedziała prawdy. Jakoś nie może zdobyć się na rozmowę o ostatnich słowach tatusia. Pan István oczywiście sądzi, że od samego początku robiła to wszystko z dobrego serca, chciała mu po prostu pomóc, że nie kierowała się żadnym interesem. To nie jest zupełne kłamstwo, ale jednak kłamstwo. Co teraz powinna zrobić? Gdyby powiedziała, o co jej chodziło, pan István chyba nie cieszyłby się tak bardzo jak w tej chwili, gdy myśli, że przyszła sama z siebie, tylko po to, by mu pomóc. Chyba nie cieszyłby się tak, gdyby wiedział, że zrobiła

to tylko po to, by dowiedzieć się ostatnich słów tatusia. Nie, na pewno nie. A radość choremu dobrze robi. Później mu powie, innym razem.

Pan István nie dopytywał się wiele. Gdy powiedziała, że spotkała Joli, i co tamta kazała jej powtórzyć, spytał tylko, kim ona właściwie jest; dowiedziawszy się, że nazywa się Zsófi Nagy i chodzi do tej szkoły, uśmiechnął się. Zsófi nie wiedziała, dlaczego się uśmiechnął, ale uśmiech ten, poruszywszy obrzydliwe, zaniedbane wąsiska, nadał panu Istvánowi tak młodzińczy i nie znany wygląd, że nie mogła od niego oczu oderwać, przyglądała mu się niczym jakiemuś fenomenowi natury, jakiemuś zjawisku.

„Biedna mała — pomyślał pan István — niezdarna, ale pomysłowa. Potrzebuje pieniędzy, więc poszła na służbę, chociaż z początku bała się mnie. Teraz już się nie boi.” Erzs też by się do kogoś zgodziła — mówił uśmiech spod wąsa. — Za dwa fillery podejmowała się wszystkiego. Kiedyś przewaliła się o miotłę brzozową i to jak! Wytaszczała ją z komory, żeby pozamiatać, i potłukła sobie kolana, bo miotła była dwa razy większa od niej. Marzyła o wózku dla lalki, ale nie chciała prezentu, uparła się, że sama na niego zarobi. Niech i ta sobie zarobi, od dzisiaj będzie dostawać nie trzy forinty, lecz cztery. Tylko nic nie chce powiedzieć o ojcu, gdy przypiera ją do muru, od razu zaczyna beczeć. Mówi, że nie ma ojca. Jej rodzice są na pewno biedni, ojciec albo umarł, albo łobuz rzucał rodzinę.

X

Gdy wreszcie wyruszyła z powrotem do domu, znowu natknęła się na Dórę. Tym razem Dóra nie była sama, schodziła ze schodów z całym zastępem koleżanek przygotowujących się do sprawności kucharki. Kató Lemberger z uwagą przyjrzała się wyładowanej torbie Zsófikii; dziwne — o tej porze, w południe, wychodzi z sutereny z torbą pełną szpinaku. Gorzej, że za dziewczynkami ukazała się pani Marta i zawołała Zsófikę. Nauczycielka przed dziesiątą zwolniła ją z korepetycji, a jest już po pierwszej, gdzie ona chodziła i co robiła? Pani Marta o nic jednak nie pytała, chciała tylko, żeby Zsófikaa się do nich przyłączyła, co niestety oznaczało ponowne zetknięcie się z Dórą.

Zaledwie wyszły na ulicę, oczywiście natychmiast objawił się Torbogłowy. Gdzieś z góry zawołał: „Hej! Hej!”, wszystkie dziewczynki naraz podniosły głowy, a on wychylił się przez barierę rusztowania, zaczął machać i krzyknął: „Łap!” I już coś szybowało w dół, Zsófikaa ze strachu zamknęła oczy i gdyby pani Marta nie chwyciła, piękna gruszka rozprysnęłaby się na ziemi. Pani Marta jednak złapała ją, Torbogłowy zaś zachichotał i spytał, czy chce jeszcze jedną. Zsófikaa miała wielką ochotę, ponieważ gruszki były jej ulubionymi owocami, a w tym roku prawie ich nie jadła, gdyż były drogie. Nie śmiała jednak się odezwać. „Prosimy!” — wrzasnęła zamiast niej Aczél i nadstawiła rękę. Torbogłowy jeszcze bardziej się wychylił, a Zsófikaa ze wstydu omal nie zapadła się pod ziemię. „Was nie znam,

wam się nie należy!" — stwierdził murarz i odwróciwszy się, jakąś łyżką zaczął skrobać po ścianie. Widać było tylko jego plecy, przestał się nimi interesować. Zsófiśka ścisnęła gruszkę w lewej dłoni. Jeszcze nigdy nikt nie rzucał jej prezentów z rusztowania! Jaki on miły, ten Torbogłowy!

Po raz pierwszy, od kiedy chodziła do szkoły, stała się ośrodkiem zainteresowania koleżanek. Nie objawiło się ono w jakiś namacalny sposób, ale Anna Biró, zastępowa, pierwszy raz naprawdę na nią spojrzała, nie jak na przeciętną uczennicę, której nie warto przyjmować do zastępu, bo nawet nie jest zdolna, jak na przykład ten leniuch Sada, lecz jak na znajomą murarza z rusztowania. Żadna dziewczynka nie znała nikogo spośród robotników odnawiających szkołę, a Zsófi, proszę, dostała gruszkę, i to jaką śliczną. Anna nigdy w życiu nie pragnęła niczego tak gorąco, jak teraz tego owocu.

Zsófi została zasypana gradem pytań. Anna Biró, taktowna z natury, nie wdawała się w szczegóły, ale Taki koniecznie chciała wiedzieć, skąd i od kiedy Zsófi zna murarza, Ewa zawsze była dociekliwa i wścibska jak kot. Dóra nie zapytała ani słowem, ale nie odstępowała jej na krok. Pani Marta szybko się z nimi pożegnała, mieszkała bowiem naprzeciwko szkoły, koło apteki; gdy zastęp począł się rozchodzić, Zsófi pomyślała, że nareszcie zostanie sama. Zresztą musi zdrowo wyciągać nogi, mieszkanie nie posprzątane, naczynia nie zmyte, a nuż mamusia wcześniej dziś wróci niż zwykle. Mieszka ją teraz dalej od szkoły, więc w końcu wszystkie dziewczynki ją opuszczą. Dóra powinna pierwsza się pożegnać, przecież mieszka na placu Apáczai Csere pod dziewczątym. Ale nie, idzie z nią dalej, jakby się nic nie stało, jakby nie wiedziała, że nie wolno im rozmawiać.

Szły w milczeniu. Zsófi­ka prze­ło­ży­ła torbę do drugiej ręki, rzeczy­wiście była ciężka. Dóra złapała za jedno ucho i nagle Zsófi­ce o po­ło­wę ulżyło, poczuła tylko po­ło­wę ciężaru. Daw­niej za­wsze so­bie po­ma­gały, ale daw­niej wszy­stko było inaczej. Jak to przy­jem­nie, że nie musi sama dźwi­gać! Mi­mo to Dóra po­win­na so­bie pójść, prze­cież wie, że nie wolno im się spo­ty­kać. Jak jej po­wie­dzieć, że­by so­bie po­szła?

— Wczoraj po po­łu­dniu szu­ka­łam cię w szkole — zaczęła Dóra. — My­śla­łam, że tam je­steś. Ale nie zna­la­za­łam cię.

Zsófi­ osłupiała. Przy­rzekła ma­mu­si, że nie bę­dzie roz­ma­wiać z Dó­rą.

— Gdy­by­śmy się dziś nie spo­ta­ły, przy­szła­bym do was.

— Do nas? — Zsófi­ka wy­trzeszczyła oczy. — Prze­cież wiesz, że ci nie wolno.

Dóra zatrzymała się. Zsófi­ka poczuła na­głe szarpnięcie torby, aż ją ręka zabo­łała. Dóra nie za­wsze była deli­katna, czasem po­trafiła strasznie krzy­czeć, nawet umiała już brzyd­ko prze­kli­nać. Nie­kiedy ro­biła wra­żenie do­rosłej.

— Chcę ci coś po­wie­dzieć. Mam nie mó­wić? — spy­tała. W jej oczach po­ka­zały się dzikie błyski.

— Nie. Nie wolno.

— Dobrze.

Torba znowu zwi­snęła w rękę Zsófi­ki ca­łym ciężarem, a Dóra już bie­gła przez jezdnię, między trą­biącymi i gwałtownie ha­mu­jącymi sa­mo­cho­dami, po czym znikła w bramie swego domu. Zsófi­ poczuła ucisk w sercu. Nie może się na­wet odezwać do swojej je­dy­nej przy­jaciółki! Ma­rianna na­praw­dę po­trafi roz­ma­wiać tylko o so­bie, o szkole czy o domu je­dy­nie wtędy, kiedy ona to uzna za sto­so­wne albo o ile to się do niej od­nosi. Na­to­miast Dó­rę in­te­re­so­wało wszy­stko, umiała

udzielić mądrej rady i dotrzymać tajemnicy, nigdy niczego nie zdradziła. Zsófiika miała olbrzymią ochotę podzielić się z nią tym, że chodzi sprzątać do pana Istvána, już nawet gotowała mu szpinak i smażyła mięso. Przed Dórą chyba nawet nie zataiłaby tego, w jaki sposób trafiła do pana Istvána.

Doszła do domu, zaściła łóżka, posprzątała, ale przez cały czas nie opuszczała jej smutna myśl, że z powodu wuja Kálmána i Viki już nigdy nie będzie mogła rozmawiać z Dórą. Tylko cóż temu wszystkiemu Dóra winna? Albo ona? Obiad znalazła w lodówce, dokończywszy sprzątanie zjadła go ze smakiem — była głodna. Posprzątała dwa mieszkania, zrobiła zakupy dla dwóch domów, pozmywała w dwóch kuchniach i jeszcze ugotowała coś niecoś dla pana Istvána, nic więc dziwnego, że zjadła dwa obiady. Je już prawie tyle, co Teri.

Po południu Judit była jeszcze smutniejsza niż zwykle. Początkowo nawet nie zwracała uwagi na słowa córki, chociaż dziewczynka właśnie dziś przemogła się i postanowiła opowiedzieć matce o wszystkim, nie ma sensu ukrywać, że dopóki pan István nie znajdzie nikogo innego do pomocy, będzie mu robić zakupy, sprzątać i gotować. Judit najpierw w ogóle nie słuchała, potem nagle podniosła głowę i spojrzała na córkę takim wzrokiem, jak gdyby ta raptem przemieniła się w jakąś nieznaną dziewczynkę.

„Przedziwna historia — pomyślała Judit. — Zsófi chodząca do obcego domu i opiekująca się starym woźnym, to wprost w głowie się nie mieści. Z drugiej strony to typowe dla niej — wołała zostać służącą, niż zrobić coś dużo prostszego, powtórzyć staremu to, o co ją proszono.

Ale czy rzeczywiście takie typowe?

Że raz u niego została ze strachu, to owszem, typowe. Ale że chodzi tam co dzień — to już nie. I chyba dobrze się tam czuje, bo opowiada o tym wszystkim ze śmiechem. W szkole oczywiście zapiszą jej to na plus, nawet nie zdaje sobie sprawy, ile na tym skorzysta, jeżeli to wyjdzie na jaw. Zresztą już kiedyś o tym pisałam, że wolny czas dziecka należy wypełnić pożytecznymi zajęciami, praca dodatnio wpływa na kształtowanie się charakteru.

Coś podobnego jednak do głowy by mi nie przyszło. A jaką piękną ma gruszkę, może w końcu nauczy się kupować. Dotychczas przynosiła zawsze marne owoce, teraz zaś wybrała najładniejsze. Z daleka widać, że gruszka jest bez najmniejszej skazy, ma cudowny kolor i aromatyczny zapach. Na nic nie mam ochoty, nawet na kawę, ale gruszkę bym zjadła."

Poprosiła Zsófikę, żeby jej jedną umyła.

Dziewczynka na chwilę zastygła w bezruchu, patrząc przed siebie tym zamyślonym, dociekającym, smętnym wzrokiem, który Gábor nazywał „spojrzeniem do wewnątrz". Co ona w takich chwilach widzi? Nad czym дума, dlaczego tak nagle markotnieje? Judit nie musiała jednak drugi raz powtarzać, bo Zsófi już pobiegła, umyła i przyniosła gruszkę na talerzyku, nie zapomniała także o nożu do owoców i serwetce. Och, co za delicje, po prostu rozplywa się w ustach! Oddając talerzyk powiedziała, żeby Zsófiika też zjadła, bo owoc jest wyjątkowo smaczny, ale dziewczynka potrząsnęła głową i spojrzawszy tak samo, jak przed chwilą, okręciła skórkę gruszki na palcu. Przez moment delektowała się jej zapachem.

Dzisiaj nie była u Kató, nic dziwnego, zmęczyła się przed południem. Teraz niech sobie posiedzi i poczyta. Sama również by odpoczęła, gdyby mogła, ale telefon

dzwoni, trzeba się podnieść. W słuchawce cisza, ktoś zabawia się głupimi żartami, a ona naprawdę nie jest w humorze. Ubierze się i wyjdzie, nie wytrzyma w domu.

Zsófica usłyszawszy telefon weszła do pokoju, a gdy zobaczyła, że mamusia bez słowa odkłada słuchawkę, zaczerwieniła się. Judit odniosła wrażenie, iż Zsófi wie, kto dzwonił. Dziewczynka powiedziała, że to prawdopodobnie Dóra, gdyż w południe chciała ją odprowadzić do domu i porozmawiać z nią, ale ona sprzeciwiła się.

— Zabroniłaś, więc powiedziałam, że nie mogę.

Ależ oczywiście, miała rację. Kálmán coraz bezczelniej się zachowuje, uchowaj Boże, żeby miały zaplątać się w tę przykrą historię. Ciekawe, ile rzeczy dzieci się domyślają? Co wie Marianna, co Dóra, a co jej córka? Dóra najwięcej, Marianna też sporo, daremnie Kató wyobraża sobie, że nic, a Zsófica zapewne najmniej. Przed końcem roku chyba o tym nie rozmawiały, a teraz od paru tygodni Zsófica nie widziała Dóry. Nie, nie, niech ta dziewczynka tu nie przychodzi i nie telefonuje, jeszcze by tego brakowało.

Chętnie zjadłaby jeszcze jedną gruszkę. Zje i wyjdzie. Jeżeli zostanie w domu, zaraz przypomni jej się Instytut i aluzje Piroski, teraz już nie ulega wątpliwości, że obydwie zostaną skierowane do pracy w szkole. W domu nie potrafi o niczym innym myśleć. Chodzenie na cmentarz jest straszne i nie ma sensu, ale może trochę się tam uspokoi. Nie pójdzie na długo, zresztą niebawem i tak będą zamykać bramy, ale poczucie bliskości Gábora na pewno przyniesie jej ulgę.

Wyszła do kuchni i zaczęła szukać gruszek, lecz nigdzie ich nie znalazła, choć wszystko, co Zsófica kupiła na kolację, stało w lodówce. Na dolnej półce znalazła tylko śliwki. Gruszek nigdzie nie było. Chyba

to głupie dziecko nie kupiło jednej gruszki? Rozejrzała się po kuchni. Najniższa szuflada kredensu, zwana przez Gábora „stajnią”, gdyż służyła Zsóficie za skład „do wszystkiego”, była otwarta. Zsófika musiała ją źle zamknąć, a ona tak nie lubi, gdy szuflady wystają. Na pewno jest pełna gratów i na czymś się zacięła. Judit przykucnęła, wyciągnęła szufladę i cicho wsunęła ją z powrotem: na wierzchu oprócz szmatek, nóg lalki, wstrętnej myszy z białego futerka, nie znanego jej pudełka po jakimś lekarstwie i dużej torebki malinowych cukierków leżała skórka od gruszki. Była zawinięta w jedwabny papier, ale jeden jej koniec wystawał. Judit znieruchomiała, łzy pociekły jej po twarzy, choć nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego płacze. „Zsófika jest szlachetna i ma szeroki gest” — przypomniały jej się nagle słowa Gábora wypowiedziane w czasie jednej z rozmów. Od kogo ona mogła dostać tę gruszkę, skoro ją tak bardzo ceni?

Zsófika stała w swoim pokoju przy oknie; po południu, gdy już nie miała nic do roboty, prawie zawsze w ten sposób spędzała czas; na pytanie, czy nie zechciałaby pójść na cmentarz, przerażona odpowiedziała, że nie. Judit ani razu nie udało się skłonić Zsófikę, żeby poszła na grób ojca, zresztą nie nastawała, gdyż cmentarz wyraźnie napawał ją lękiem. Prawdopodobnie uważa, że pójście na cmentarz oznaczałoby zaakceptowanie i przyjęcie do wiadomości śmierci Gábora, z którą jeszcze nie może i nie chce się pogodzić. W dawnym mieszkaniu Judit od czasu do czasu znajdowała Zsófikę wpatrzoną w drzwi gabinetu, jakby oczekującą na ukazanie się Gábora, któremu tylko reguły jakiejś wspólnej gry kazały się dotąd ukrywać. Niech więc zostanie w domu. Nie ma również ochoty zajrzeć do Takácsów? Nie, woli posiedzieć w domu. „Co za odludek z niej — pomyślała Judit na scho-

dach. — A może źle zrobiła pisząc, że średnich uczniów nie należy odciągać od nauki? Żeby przynajmniej miała rodzeństwo. Całe dnie w samotności, to straszne."

Na przystanku tramwajowym spotkała Martę Szabó. Marta nie miała najweselszej miny. Nie zatrzymała się, by porozmawiać, tylko skinęła jej z daleka i wsiadła do wozu zmierzającego w przeciwnym kierunku. Judit z wielkim trudem wcisnęła się na platformę, ale zdołała się obejrzeć i wydało jej się, jakby do ich bramy skręciła dziewczynka o włosach i sylwetce podobnych do Dóry. Oczywiście to nie mogła być ona, Dóra jest dzika, lecz inteligentna i ambitna, wątpliwe, żeby chciała ponowić przedpołudniową próbę.

A jednak to była Dóra. Zsófica usłyszawszy dzwonek wyrzała przez szybę w przedpokoju i aż ręce jej zlodowaciały z przerażenia.

— Wpuść mnie! — powiedziała Dóra. — Szybko!

— Nie mogę.

— To wyjdź do mnie!

— Nie wolno mi z tobą rozmawiać. Już ci mówiłam. Nie rozumiesz?

Zsófica omal się nie rozplakała. Oczy ich spotkały się na tej samej wysokości po dwóch stronach uchylonego okienka. Dóra mrugała nerwowo.

— Już więcej nie przyjdę!

W jej głosie było coś przerażającego. Zsófica nie mogąc wytrzymać niesamowitego spojrzenia Dóry zamknęła okienko i usiadła na dywanie. Nie może jej wpuścić ani z nią porozmawiać. Nikt jednak nie zabronił jej Dórze wysłuchać. Tylko gdzie? W mieszkaniu — nie, poza mieszkaniem też nie, bez pozwolenia bowiem nie wolno jej wychodzić. Zerwała się na równe nogi. Nieoczekiwanie opanował ją potworny lęk, że Dórze

znudziło się czekanie i poszła sobie, że może stać się coś okropnego, a wszystko przez to, że odprawiła ją bez słowa. Otworzyła drzwi. Dóra jeszcze nie odeszła, stała oparta plecami o ścianę, zobaczywszy Zsófikę zbliżyła się do niej o krok. Zsófiika zamknęła drzwi na klucz. Gdy usłyszała dzwonek, rysowała, więc teraz wsadziła ołówek do kieszeni z chusteczką do nosa.

— Tutaj nie mogę ci powiedzieć — zaczęła Dóra. — Musimy gdzieś iść!

Och, gdyby знаła ten dom! W dawnym żaden kąć nie był jej obcy, ale tu jeszcze nigdzie nie chodziła, nawet nie wie, którądy idzie się na strych, a którądy do piwnicy. Czy w tym domu, tak jak w dawnym, jest osobne podwórko do trzepania? O tej porze już nie wolno trzepać, mogłyby ewentualnie tam pójść.

Okazało się, że jest. Mniejsze niż gdzie indziej, ale jest. Pod murem kwitły wątle, blade nasturcje. Dziewczynki, przysiadłszy na ceglach okalających wąskie paski kwietników, poczuły łagodną woń kwiatów. Między ceglami rosła też portulaka, która jednak już o zachodzie słońca zwinęła płatki i zapadła w sen.

Przez jakiś czas siedziały nie odzywając się ani słowem. Zsófiika oddychała głęboko, a Dóra wrywała spośród kamieni trawę i plotła z niej kółko. Po trzepaku pełzła w górę gąsienica, Bóg wie skąd się na nią znalazła. Tylko latem bywa na podwórkach taki leniwy spokój. W ogóle w lecie chyba nic się nie dzieje. Nie, to nieprawda. W lecie przecież umarł tatuś.

— W przyszłym tygodniu uciekają — powiedziała Dóra.

W pierwszej chwili Zsófiika nie zrozumiała, o czym Dóra mówi, ale gdy wreszcie pojęła, tak się zaczer-

wieniła, że aż schowała twarz w dłoniach. Zsófiika uważała Viki za wroga, tak samo jak zawsze wiedziała, że Dóra jest przyjacielem, poczuła to już w Dobogókő, gdy Dóra na stoku wzgórzka położyła się na ziemi i ziarenka piasku przyklepiły się jej do czoła; najwyraźniej jednak zdała sobie z tego sprawę wtedy, gdy w koszu ze śmieciami znalazła kawałek tortu Dóry. Ciocia Kató przepędziła Dórę, gdyby tego nie zrobiła, może nie doszłoby do tego, może Zsófiika nie musiałaby słuchać takich potwornych rzeczy. Od Dóry zawsze można by było dowiedzieć się, co się dzieje, i ewentualnie w jakiś sposób zapobiec rozwojowi wypadków. A tu nawet nic nie wolno jej odpowiedzieć! Nie wolno odezwać się do Dóry!

Jeśli nie dowie się dokładnie, o co chodzi, a wuj Kálmán i Viki rzeczywiście uciekną, nigdy w życiu nie zazna spokoju. Nie wolno jej się odezwać ani o nic spytać. Co robić? Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę i natrafiła na ołówek. Dóra jednym szarpnięciem zerwała kółko z trawy.

— Wyjechałoby już w zeszłym tygodniu, tylko Viki nie chciała, bo jeszcze nie wiedziała, co ze mną zrobić. Wuj Kálmán wolałby, żebyśmy została, ale Viki mnie kocha, zawsze, przez całe życie byliśmy razem. Najpierw więc poszła do mojej mamusi i spytała, czyby mnie nie wzięli z powrotem, lecz pan Dezső, obecny mąż mamusi, sprzeciwił się twierdząc, że skoro Viki raz się podjęła, to już musi mnie wychowywać; wówczas Viki udała się do mojego tatusia, który też się nie zgodził, bo rozchodząc się z mamusią ustalili, że ja nie będę u niego, zresztą niedługo spodziewają się przyjścia na świat małego bobaska, a w ogóle po co Viki zabrała mnie od mamusi, jeżeli teraz jestem jej niepotrzebna. Viki jest moją opiekunką i teraz oczywiście nikt mnie nie przyjmie.

Dóra nigdy nie mówiła o swojej rodzinie, historia więc nadal była mglista, nasuwała niejedną wątpliwość. Zsófiika bardzo powoli ją pojmowała, a słowa Dóry padały zbyt szybko, pojęcia, którymi operowała, były zbyt zawile. Nagyowie czasem spędzali lato w Almádi nad Balatonem u pani Piros, która była przekupką. Pewnego razu zaniósła ona białą kokoszkę na targ; Zsófi widziała, jak przekupka rozdmuchując kokoszcze pierze zachwalała ją i pokazywała wszystkim kupującym — proszę tylko spojrzeć, jaka piękna, naprawdę warto kupić — ale jakoś nikt jej nie chciał. Zsófiice zrobiło się żal ptaka, więc opowiedziała o tym tatusiowi, który kupił kurę, ale strasznie się śmiał, gdyż Zsófiika oznajmiła, że nie będzie jej jeść, toteż w końcu nic nie powiedzieli mamusi. Tatusz wiedział, dlaczego Zsófiika zlitowała się nad kokoszką: kurce na pewno było wstyd, że nie jest nikomu potrzebna. Włożywszy kokoszkę do koszyka weszli na Starą Górę, na którą prowadziły tylko wąskie, strome uliczki, i przed jednym z domów tatusz przerzucił ją przez żywopłot, po czym oboje puścili się biegiem, żeby przypadkiem ktoś ich nie zatrzymał. Mamusia przez ten czas kąpała się w jeziorze. Gdy schodzili w dół, tatusz przystanął na jednym z zakrętów i pocałował Zsófikę w czubek głowy. Zsófiika odczuła wielką radość, tatusiowi bowiem nigdy nie musiała wiele mówić, rozumiał ją bez słów.

Dóra znowu wyrwała trochę trawy i milcząc zaczęła pleść nowe kółko, gdy tymczasem Zsófiice setki pytań cisnęły się nã usta. Wiedziała, co to znaczy uciekać, ale sama myśl o tym, przepastna jak otchłań, przyprawiała ją o zawrót głowy. Jak w ogóle można uciekać będąc ojcem? Viki jest rozwódką, nie ma męża, to zupełnie co innego, ona może uciekać. Ale wuj Kálmán ma córkę i żonę. I co stanie się z Dórá? Choć

z całej siły przyciskała ołówek, słowa na betonie były ledwie dostrzegalne:

— Ty też uciekasz?

— Tak — odrzekła Dóra i znowu porwała na strzępy uplecione kółko. — Viki zabiera mnie z sobą. Zresztą nie pierwszy raz. My co jakiś czas uciekamy.

Zsófiika poczuła, że nogi jej drżą.

— Tym razem tylko dlatego chciała mnie zostawić, że ucieka za granicę i nie zamierza więcej wrócić. A to, jak wiesz, jest niebezpieczne, Viki boi się o mnie, nie mamy paszportów, więc musimy się przekraść. Granicy pilnują psy i żołnierze, którzy mogą strzelać. Właśnie dlatego miała zamiar mnie zostawić, ale nikt mnie nie chciał.

Znowu zapadła cisza. Ktoś otworzył okno i wyjrzał, jakaś tłusta, nieznajoma twarz, a po chwili z tego samego okna doleciały słowa piosenki. *Ptaszku, ptaszku, czarne twoje nóżki* — śpiewał nieznajomy głos.

Czy powiedziec cioci Kató? Porządny, prawdziwy ojciec nie ucieka. Marianna jest nad morzem. Wraca dopiero w niedzielę.

Dóra też zaczęła mówić o Mariannie.

— Powiedziałam jej, żeby coś zrobiła, ale udawała idiotkę, tylko obóz miała w głowie. Musisz wyjść po Mariannę na dworzec i powiedziec jej, żeby w poniedziałek po południu nie pozwoliła ojcu przyjść z muzeum do nas. Jeżeli wuj Kálmán nie zjawi się punktualnie, uciekniemy bez niego. Pieniądze już dał, może nie przychodzić. Do granicy jedziemy samochodem, ruszamy punktualnie o piątej, pan Seres zapowiedział, że ani minuty na nikogo nie będzie czekał.

— I co dalej? — napisała Zsófiika na betonie.

— Wuj Kálmán wcale nie jest Viki potrzebny, chodziło tylko o pieniądze, Viki jedynie przez uprzejmość

chce go zabrać ze sobą. Za granicą i tak go rzuci i wróci do Gyuri, któremu dobrze się teraz powodzi. Viki nigdy nie kochała żadnego mężczyzny prócz swego męża.

Ołówek potoczył się po pochyłym betonie, turlał się i turlał bez końca, aż wreszcie znikł w kanale. Zsófi objęła Dórę. Przytulone policzkami przyglądały się gąsienicy, która wolniuteńko pełzła po murze do góry. Była piękna, kolorowa, miała brązowe i czerwone owłosienie. Marianna nigdy nie była naprawdę dobra dla Dóry, była dobra tylko dla siebie, dla nikogo więcej. Dórę wyrzucono od nich, a ona jednak przyszła, obejmuje ją i przyciska swoją głowę do jej głowy. „Och, jak ja mam dobrze — pomyślała Zsófi. — Mamusia mnie kocha, nawet jeśli nie klapuję, i tatuś mnie kochał, tatuś kochał mnie najbardziej na świecie. I pan István już odrobinę mnie kocha, i Torbogłowy, dał mi przecież piękną, żółtą gruszkę. I Teri mnie kochała, i Valika. Tatuś nie byłby uciekł z Viki i nigdy nie wcisnąłby jej żadnej kartki do ręki. Tatuś nas kochał.”

Za parę dni Dóra wyjedzie, ucieknie za granicę. Jak ta zagranica może wyglądać? Zsófikę nawiedziła chmara wspomnień z lekcji geografii, mapy, obce słowa, pisownia imion własnych. „Przy obcych nazwach miejscowości zachowujemy pisownię oryginalną: *Rio de Janeiro, New York.*”

Dóra wyprostowała się i wyswobodziła z objęć Zsófi. „Ja muszę” — powiedziała kiedyś Dóra domagając się w sklepie dołożenia wafelków, oczywiście, że taka sierota, która nie ma ani ojca, ani matki, tylko Viki, że taka sierota musi. Dóra, gdy tylko coś miała, zawsze wszystko rozdawała, Marianna natomiast nigdy nic nie dała, właściwie trudno zrozumieć, dlaczego one ją lubią. Czy dlatego, że ładnie tańczy albo że jest mądra, albo że począwszy od pierwszej klasy zawsze

wszędzie razem chodziły? Takich rzeczy się nie wie. Teraz Dóra rzeczywiście nie ma nic do dania oprócz wskazówki, żeby w poniedziałek po południu nie pozwolić wujowi Kálmánowi iść do nich. Boże, jak one to zrobią?

Może mogłaby powiedzieć mamusi? Och, nie, nikomu! Dóra miała na szyi łańcuszek z małym, złotym aniołkiem, Zsófiika musiała złożyć na niego przysięgę, że będzie milczeć. Ależ naturalnie, jak mogła zapomnieć, że jeżeli milicja przyłapie kogoś na próbie ucieczki za granicę lub się o tym dowie, aresztuje go. Nic nikomu nie powie. Marianna wraca w niedzielę, będą miały tylko jeden dzień na wymyślenie czegoś. Ale Marianna jest mądra. Zastanowią się.

Dóra wstała, już musiała iść. Nie, więcej nie zajdzie do szkoły. Po co? Dziś jest czwartek, a w poniedziałek wyjeżdżają. Może zabrać ze sobą tylko plecak, gdyż w niektórych miejscach na granicy trzeba będzie posuwać się na czworakach. Nie, już więcej się nie zobaczą, Viki nie może zauważyć, że jeszcze się spotykają. Po ich wyjeździe trzeba powiedzieć wujowi Kálmánowi, że na dobrą sprawę Viki nigdy nie rozeszła się z mężem, Gyuri po to uciekł przed czterema laty, żeby dorobić się, zdobyć mieszkanie, wszystko, co potrzeba, tylko dłużej to trwało, niż przypuszczali.

Za oknem nadal ktoś śpiewał: *Ptaszku, ptaszku, czarne twoje nóżki*. Gąsienica gdzieś znikła, nagle, bez żadnego przejścia, ochłodziło się. Nie będzie mogła przyznać się mamusi, że jednak rozmawiała z Dórą, uwikłała się w nową tajemnicę, jakoś nie może się od nich uwolnić. Trzymając się za rękę doszły do wąskiego przejścia w bramie.

Tu Dóra stanęła. Twarz przyjaciółki wydała się Zsófiice przez łyzy zniekształcona, krzywa. Dóra zdjęła z szyi łańcuszek z aniołkiem i wetknęła go Zsófiice

w rękę. Teraz już naprawdę nic jej nie zostało. Gdy ruszyła w stronę domu, ani razu się nie obejrzała, szła wolno, bez pośpiechu, jak dorosły człowiek.

Zsófiika schowała łańcuszek w „stajni” pod skórkami od gruszki; przedtem jeszcze owinęła go w futerko myszy, którą kiedyś sama zrobiła z jakichś skrawków i na grzbiecie której wypisała wielkimi atramentowymi literami: JANIKA. Poszła do pokoju, ale zaraz wróciła do kuchni, musiała zająć się czymś, co można było robić rękoma, za dużo miała zmartwień, by o czymś innym myśleć. Mamusi jakoś nie widać, pewno wypłakuje swe żale tatusiowi, ma biedaczka jakieś kłopoty, chyba nieprzyjemności w pracy. Biuro czasem strasznie człowieka umęczy. Długo nie wraca, będzie głodna. A poza tym wuj Kálmán. Marianna. I Viki. I Dóra.

Judit rzeczywiście późno wróciła, już na klatce schodowej poczuła gwałtowny przypływ głodu. Bytność na cmentarzu przyniosła jej ulgę, spłakała się jak bóbr, oczy jej zapuchły, ale jakoś pogodziła się z tym, co ją spotkało. Nie chodzi o to, że będzie mniej zarabiać, najgorzej boli urażona ambicja, obawa przed wyśmianiem, że w dotychczasowej pracy poniosła klęskę. Będzie musiała coś sobie ugotować, to straszne, jest taka zmęczona, że najmniejszy ruch sprawia jej trudność. Żeby tak zdarzył się jakiś cud i mogła zasiąść do jedzenia bez żadnego szykowania. Pewnego razu, gdy konferencja w Instytucie przeciągnęła się do jedenastej, zadzwoniła do domu, że wróci dopiero koło północy — gdy przyszła, drzwi otworzył jej Gábor w nylonowym fartuszk, Zsófi już była nakarmiona i od dawna spała, w kuchni panował nieład, ale na nakrytym stole czekały dopiero co wyjęte z piecyka zapiekane ziemniaki, oblane śmietaną.

Zadzwoniła. Po krótkiej chwili usłyszała za drzwiami

szybkie, znajome kroki. Zsófiika otworzyła drzwi. W przedpokoju pachniało szpinakiem i czosnkiem. Jej nylonowy fartuszek zwiisał dziewczynce poniżej kolan, końce warkoczy umazane były w tartej bułce.

— Umyj ręce — powiedziała Zsófi. — Ugotowałam na kolację szpinak.

XI

Marta Szabó otrzymawszy list zdenerwowała się i do reszty straciła humor. W lecie co dzień o tej porze zaglądała do szkoły, gdy któraś z dziewczynek zgłaszała się na korepetycje, siadała z nią w sali muzycznej, a gdy nikt nie przychodził, rozmawiała z sekretarką, grzebała w swoich rzeczach, przyglądała się, jak postępuje remont. Prawie zawsze wpadał ktoś z kolegów, miała więc z kim rozmawiać, poza tym podlewała kwiaty i sypała świeży pokarm rybkom w akwarium. Lubiła atmosferę szkoły, zapach kredy i atramentu, który nawet w lecie unosił się na korytarzach; jeżeli wyjeżdżała na urlop, już pod koniec drugiego tygodnia ciągnęło ją do domu, a w ostatnich dniach sierpnia ogarniał ją jakiś niepokój, dni pozbawione szkoły nie miały dla niej treści. Wrzesień był najbardziej pasjonującym miesiącem w roku, znowu spotykała się z dziećmi, niektóre zjawiały się wyższe o dziesięć centymetrów, niejedna wątpła dawniej dziewczynka na uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego zaledwie mieściła się w dawnej bluzce.

Drugim takim entuzjastą szkoły był Hidas, nauczyciel matematyki, który codziennie w pokoju nauczycielskim musiał przeczytać swoją porcję gazet i nigdy nie pozostawił bez komentarza żadnego artykułu poruszającego kwestie pedagogiczne. Z Hidasem znakomi-

cie się rozmawiało. Marta przychodziła do szkoły z szy-
ciem, niekiedy nawet w czasie korepetycji cerowała
albo naprawiała jakiś stary obrus. Dziewczynki łatwiej
wszystko chwycyły, gdy na nie nie patrzyła, Erdei
z siódmej klasy najlepiej uczyła się wtedy, gdy miała
w rękę jakąś ścierkę do obrębiania. Jej ręce musiały
wykonywać jakąś mechaniczną pracę, dopiero wów-
czas mogła się skupić. Jeżeli w czasie lekcji darła pa-
pier na kawałki, to znaczyło, że wykład ją intere-
suje.

Po wyjściu Zsófi ki Marta jeszcze z pół godziny mę-
czyła się z Juli Deák, po czym zajrzała do świetlicy,
by zobaczyć, jak sprawuje się zastęp kucharek. Wizyta
w świetlicy nieco zmąciła jej dobry nastrój. Nie
dlatego, żeby dziewczynki źle się zachowywały. Prze-
ciwnie — w ciszy i największym porządku stały sku-
pione wokół kuchenki gazowej; do zastępu należały
same grzeczne i dobre uczennice. Humor popsua jej
pani Biró. Gdy powstał projekt letniego obozu i kursu
gotowania, Marta od razu powiedziała pani Baumann,
komendantce hufca, żeby o pomoc zwrócić się do któ-
rejs z niezamożnych matek, takiej, która dysponując
skromną pensyjką potrafi przyrządzać smaczne po-
trawy. Oczywiście żadna z nich nie miała czasu. Pani
Tamás, której jedna pensja musiała wystarczyć na
ośmioosobową rodzinę, nie przyjęła propozycji, pani
Szücs również odmówiła, a właśnie na nie dwie Marta
miała największą ochotę; tylko pani Biró znalazła czas
na zajmowanie się dziećmi, miała bowiem służącą,
która prawie wszystko za nią w domu robiła. Ale
Marta od samego początku nie miała do pani Biró za-
ufania, wprawdzie nie wątpiła w jej umiejętności, lecz
uważała, że jest zbyt zapaloną kucharką, a jej mąż zbyt
dobrze zarabia. Wszystko, co pokazywała dziewczyn-
kom, było wzorowo zrobione i smaczne, nie odpowia-

dało jednak wiktowi obozowemu ani możliwościom skromnie zarabiających rodzin.

Nauczycielka zobaczyła, co zastęp gotuje. Najbardziej zasmuciło ją to, że wszystko robi sama pani Biró, a dziewczynki wciąga jedynie do prac przygotowawczych. One mogły obierać ziemniaki, natomiast nad gazem z nieukrywaną rozkoszą pochylała się tylko pani Biró, gdy tymczasem zastęp, podrażniony miłymi woniami, znudzonym i trochę zgłodniałym wzrokiem obserwował pączki skwierczące w tłuszczu. Pani Biró miała na sobie biały fartuch, niczym chirurg, głowę zaś obwiązała białą chustką. Marta Szabó przeczytała tygodniowy jadłospis, podziękowała za łaskawą pomoc, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła na dół. W tej formie kurs nie ma żadnego sensu. Trzeba zadzwonić do Baumann, plażę może odłożyć na później, muszą natychmiast porozmawiać o zastępie kucharek. Pączki. Kotlety cielece. Nie tylko nie widziała w karcie ani jednej prostej jarzyny, ale także ziemniaków z papryką czy gulaszu.

Gdy zeszła, akurat przyniesiono pocztę. Od razu zobaczyła list, ekspres polecony z okrągłą pieczęcią Doświadczalnego Instytutu Pedagogicznego na kopercie. Przeczytawszy go, tak się zdenerwowała, że zaczęła tam i z powrotem biegać po pokoju.

Czego ten Dobay od niej chce? To naprawdę nieładnie, że w każdym piśmie przychodzącym z Instytutu ona podejrzewa rękę Judit, choć Judit jest tylko pracownikiem naukowym, a Dobay dyrektorem, ale nic na to nie może poradzić. Cóż oni sobie znowu wbili do głowy? W jakim celu Dobay prosi ją na piątą po południu? Od dawna się znają, jego cechą charakterystyczną jest to, że zawsze łamie sobie nad czymś głowę. W zeszłym roku pewnego dnia zjawił się u nich w szkole i poprosił dyrektorkę o pozwolenie posłuchania lekcji

prowadzonej przez Martę Szabó — cóż, musiała go wpuścić. Po lekcji chciał obejrzeć zeszyt, w którym ona notuje swoje uwagi o uczennicach, jeszcze by tego brakowało. Powiedziała, że nie ma nic do pokazania, nie prowadzi zeszytu regularnie, w tym roku jeszcze nic nie wpisała. Pokazałaby, a on później powtórzyłby Judit jej uwagi o Zsóficie i Mariannie Haller. Daliby jej spokój z takimi rzeczami! W całej szkole jedynie ona i Hidas systematycznie prowadzą zeszyty wychowawcy, robią to jednak wyłącznie dla siebie, nie dla kogoś, tylko na własny użytek. Ją rozwój dzieci interesuje, ale czy można mieć za złe małej Váry, nauczycielce geografii, że po rozpoczęciu zeszytu we wrześniu do stycznia w ogóle go nie otwiera i przed półroczem biega zapłakana? Kiedy ma to robić? Jest wiecznie załatana, sama gotuje, pierze i karmi dziecko, naprawdę nie ma czasu. A ona chyba dlatego tak sumiennie odrabia każdą pisaninę, że w ogóle nie ma prywatnego życia.

Ale po co wzywają ją do Instytutu?

Marta zawsze lubiła dyskutować. Ilekroć zapraszano ją na jakąś konferencję, nigdy nie zgadzała się z tym, co mówiono, w każdym razie rzadko, niekiedy nawet ku zgorzeniu niektórych ostro ścierała się z referentem. Ech, nawet ich widok ją drażni! Jeszcze Dobay jest dość inteligentny, ale ci jego naukowcy! Ślęczą za potężnymi zwałami książek, a gdyby znaleźli się w prawdziwej szkole, po dwóch dniach uciekliby, gdzie pieprz rośnie, poruszyliby niebo i ziemię, żeby ich stamtąd zabrać, bo nie mogą wytrzymać. Przeczyta taki jeden z drugim dziewięćdziesiąt dziewięć książek i komponuje z nich setną, zasypują szkoły lawiną wniosków, biedni nauczyciele tylko włosy sobie rwą z głowy. Po co oni ją wzywają, i tak nikogo nie chcą słuchać. Tak zmądrzeli od tego czytania, że nie zwa-

żają na niczyje rady. Właściwie to nawet lepiej, że trzymają się na dystans od nauczycieli, gdyż każde zbliżenie wywołuje kłopoty i niepokoje.

Hidas spytał, dlaczego tak się miota po pokoju. Gdy mu powiedziała, chrząknął i rzekł, iż prawdopodobnie potrzebują jakiegoś artykułu. Od niej? Przecież autorów mają pod dostatkiem, cały Instytut nic innego nie robi, tylko pisze artykuły.

Cóż ona mogłaby im napisać? Stuk, puk, cześć, chata i szaf sześć? Tylko by tego brakowało, przecież to oni właśnie tak mądrze wymyślili, że dziecko dotknąwszy ręką gardła potrafi rozróżnić głoski dźwięczne i bezdźwięczne. O jednym tylko nie pomyśleli: że każde dziesięcioletnie dziecko zawsze czuje drganie w gardle, niezależnie od tego, co mówi. Artykuł. Niedoczekanie ich! Gdy tak wspólnie z Hidasem wymyślali na Instytut, usłyszeli pukanie do drzwi i na progu stanęła Lemberger z talerzem w ręku. Pani Biró przysłała na spróbowanie śliczne, rumiane pączki, obsypane mielonym cukrem i obłożone dokoła złocistą marmoladą z moreli.

Marta poczęstowała Hidasą, on jednak nie przepadał za słodyczami, sama zaś nie miała ochoty na jedzenie, tak ją ten list zirytował. Resztę czasu do południa spędziła na przeglądaniu szuflad, starych konspektów lekcji, zeszlórocznych wypracowań z węgierskiego Dulovics. Cóż to za zdolne dziecko, ciekawe, co z niej wyrośnie, czy zostanie prawdziwą pisarką? W czeluściach szuflady znalazła pudełko z kolorową kredą, którego dotąd daremnie szukała. A tę szpulkę zabrała Taki, jutro, gdy przyjdzie na zajęcia zastępu, odda jej, rzeczywiście prześliczna szpulka, cała oblepiona wycinankami, z jednej strony same kocie łebki. Uśmiechnęła się. Powrót do codzienności, do normalnego toku życia, kocie łebki na szpulce Taki wpłynęły na nią

kojąco. Jest i zeszyt, na którym tak zależało Dobayemu. Czemu nie! Niech pójdzie do szkoły uczyć i sam sobie taki zaprowadzi. Dobrze, że zeszyt wpadł jej w rękę, musi coś zanotować o Zsófcie Nagy.

Zapisawszy kilka zdań zaczęła przerzucać kartki. Pod nazwiskiem Marianny Haller wpisała notatkę o wysłaniu na obóz międzynarodowy. Gdyby Dobay przeczytał uzasadnienie, to dopiero by się zdziwił. Coś podobnego tym jego mędrcom nie przyjdzie do głowy. „Dziewczynka nie dlatego wyjechała na obóz, że jest najlepszą uczennicą, lecz po to, by przekonała się, że oprócz niej istnieją dziesiątki równie zdolnych i dobrze uczących się dzieci, tyle że innej narodowości.” Pod nazwiskiem Lemberger obok ostatniej daty stał znak zapytania. To już wyjaśnione, Lemberger przyniosła zaświadczenie z lekarskiej przychodni specjalistycznej, nic jej nie dolega. Tym lepiej. Widocznie tylko dlatego jest taka straszliwie chuda, że rośnie. Naturalnie od czasu do czasu trzeba ją wysyłać na badanie, nie wolno zapominać, że jej ojciec umarł na płuca. Dóra Gergely. No tak. Tej sprawy nie potrafi rozwikłać.

Było niewiele rzeczy, o których mogła powiedzieć, że niechętnie się nad nimi zastanawia. A ta naprawdę wpływała na nią deprymująco. O ile prostsza była sprawa Zsuzsi Szakáll, tam musiała tylko uporać się z ojcem-pijakiem, albo Györgyi Nemes, której zwariowała matka. Wszystko da się załatwić, jeżeli można dotrzeć do rodziców, łatwiej ułożyć życie takiemu dziecku, któremu oszalała matka czy umarł ojciec, niż takiemu, którego rodzice są nieuchwytni, nieosiągalni. Prawną opiekunką Dóry Gergely jest jej starsza siostra, pani Vadász, na temat której wszyscy snują jakieś podejrzenia i coś szepczą, ale ona ma stałe miejsce zamieszkania i zajęcie, jako chałupniczka maluje

chustki, w jej domu, ilekroć je odwiedza, panuje porządek, dziewczynka zawsze jest czysta i schludna, dobrze się uczy, nikt się na nią nie skarży. Mimo to Dóre otacza coś straszego, groźnego, złego i czarnego, Marta nie wie co, tylko czuje, a na podstawie jej odczuć Rada Narodowa niestety nie może nic przedsięwziąć. Za każdym razem zastaje u nich wzorowy porządek, nigdy nie spostrzegła nic skandalicznego, Viki albo nie ma w domu, albo maluje chustki. Matki naturalnie opowiadają, że Viki chodzi wieczorami w męskim towarzystwie do restauracji i teatrów, na tej podstawie jednak nie można wszcząć żadnego postępowania.

Gdy tylko zaczęła się ta nieszczęsna historia z Kálmánem Hallerem i matki przyniosły pierwszą wiadomość, że ludzie często widują ich w dzielnicy we dwoje, zadzwoniła do Hallera prosząc, by do niej wpadł, ale on oczywiście nie przyszedł. Odczekała kilka tygodni, po czym sama wybrała się do niego do muzeum, gdzie bardzo niegrzecznie ją przyjął. Nawet nie lubi tego wspominać. Ostatnio jakoś nic o nich nie słyszała, może do jesieni cała sprawa się skończy. Już nieraz tak się zdarzało, wprawdzie rodzice są okropnie niedyscyplinowani, ale czasem opamiętywują się. W takich razach niebezpiecznie się wtrącać, bo zawsze się obrywa. Ileż razy już oberwał! Biedna Dóra, od kiedy ta heca się zaczęła, wszyscy ją opuścili, i Marianna, i Zsófi, również inne dziewczynki po zajęciach omijają ją z daleka, pod tym względem matki są surowe. Tak jakby Dóra była odpowiedzialna za Viki! Mimo wszystko wybierze się do Rady Narodowej, a nuż wydali jakieś nowe zarządzenie, które by miało zastosowanie w takim wypadku. Dziecko, które ma wszystkich najbliższych, a mimo to jest sierotą — dlaczego Judit o tym nie napisze?

Gdy wychodziła na obiad, zastęp kucharek dudniąc zbiegał bocznymi schodami. Tym, co ugotowały, oczywiście nie mogły się najeść, więc spieszyły do domów na prawdziwy obiad. W tej samej chwili z sutereny wyszła Zsófiika niosąc szpinak i butelkę na mleko. Niechby się do nich przyłączyła, przynajmniej kawałek pójdzie z koleżankami, one tak rzadko się do niej odzywają. Zsófiika przyszła do szkoły o dziewiątej, a już minęła pierwsza, co ona do tej pory robiła? Ten wiecznie roześmiany, młody murarz zrzucił jej gruszkę z rusztowania. Od razu autorytet Zsófiiki wzrośnie. Skąd ona go zna? I po co siedziała tu taki kawał czasu? Trzeba będzie wybadać Pongrácza.

Zostawiła dziewczynki i weszła do domu. Ugotowała coś, zjadła, potem położyła się, by trochę poczytać, ale nie mogła się skupić, zamiast czytać patrzyła na ulicę. List od Dobayego nie dawał jej spokoju. Dlaczego to takie pilne? Dlaczego nie mogą parę dni poczekać? Dlaczego od razu dziś o piątej, w dodatku po godzinach służbowych? W Instytucie praca kończy się o wpół do piątej. Ech, chyba wstanie, daremnie zmusza się do odpoczynku, nic nie rozumie z tego, co czyta. Lepiej zrobi, jeśli wyjdzie z domu. Pączek zostawiła w pokoju nauczycielskim, szkoda, że go nie zabrała, mogłaby zanieść Pongráczeni. Jest wpół do czwartej, jeśli zajrzy do szkoły, to akurat w porę zjawi się u Dobayego.

Pączek leżał na tym samym miejscu, trochę się skurczył, ale nadal dość smacznie wyglądał. NIEPÓKAĆ. Dobrze, nie będzie pukać. Och, jakież ten korytarz o tej porze pusty!

Biedny pan István, jak on schudł, twarz mu tak zmałała. Na jej widok nie okazał zbytniego entuzjazmu, ale z czego miałyby się cieszyć, pewno już po raz setny odpowiada, że znośnie się czuje. Łóżko ma ładnie za-

słane, czyste, w pokoju porządnie. Podała mu pączek, ale on nie tknął go, podziękował i powiedział, że zje później.

Ten kapelusik kiedyś pewno należał do jego wnuczki. Robi strasznie smutne wrażenie! Székely i pan István nigdy zbyt dobrze ze sobą nie żyli, a Dobozi ma swoje kłopoty. Ciężko będzie staremu, dopóki nie wyzdrowieje.

— Nie potrzebuje pan jakiejś pomocy? — zagadnęła. — Zastęp co dzień przychodzi do szkoły. To bardzo dobre dzieci. Mogłyby panu to i owo załatwić.

Pongrácz odparł, że już ma kogoś do pomocy.

Ma?

W tej chwili Marta zupełnie zapomniała o liście Dobayego. Na stoliku zobaczyła serwetkę, której ktoś nadał kształt foremnego stożka. Przed oczyma nauczycielki ożyło jakieś szalenie dawne wspomnienie, tak złożone serwetki kładziono przed gośćmi w domu Judit Papp. Ilekroć zostawała tam na podwieczorku, śmiała się z tego cudacznego nakrycia nazywając je w duchu małpią serwetką.

— Ma pan pomoc? I odpowiednią?

— Tak.

Niech sobie wytrzeszcza oczy, nie boi się go. Tak samo wytrzeszczał, gdy jej oznajmił, że nie będzie chodził na kursy wieczorowe, gdyż jest zmęczony i stary. Nie powinna była go zwolnić. Dlatego pisze razem i przez ó „Nie pukać!”

— Do gotowania również?

„Idiotka — pomyślał Pongrácz. — Skończyła sto szkół, a głupia jak but. Nie powinienem wymyślać Zsófi, ona jest całkiem mądra. Tej mówi się, i to nie rozumie.”

— Do wszystkiego.

Powiedział to takim głosem, że chyba się odczepi,

bo już okropnie go znudziła. Przymknął oczy udając zmęczenie.

„Nie nabierzesz mnie, dwa zdania nie mogły cię wyczerpać — pomyślała Marta Szabó. — Przez cały dzień leżysz, pies z kulawą nogą do ciebie nie zajrzy, powinieneś się cieszyć, gdy ktoś do ciebie usta otworzy.”

— A kto przychodzi pomagać?

A jednak! Znowu podniósł wzrok. Więc nie da mu spokoju. Zupełnie jak Sára.

— Jedna dziewczynka.

— Kto ją przysłał? Związki Zawodowe czy Komitet Rodzicielski?

A jakże. Oni o niczym innym nie myślą, tylko o tym, kogo by przydzielić na czas choroby takiemu staremu kulasowi. „Oj, aleś ty głupia, ale głupia, i jeszcze stawiasz stopnie, dokuczasz szczeniakom, na wiosnę zaś powiedziałaś, że na korytarzu jest brudno. Sama byś posprzątała!”

— Powiedziałem, że jedna dziewczynka. Zsófi Nagy. Zgodziłem ją i przychodzi.

Co w tym dziwnego? Dobrze, że z krzesła nie spadła. To on już wygląda na takiego łachmaniarza, którego nie stać na zgodzenie dziewczyny? Na czole ma wypisane, że bierze zasiłek chorobowy? A może ona myśli, że tylko jej wolno mieć dziewczynę, a drugiemu nie? Nigdy nie czuł pociągu do kieliszka, nie kupuje ubrań, pracuje w fartuchu, który dostaje od Rady Narodowej. Ma nawet odłożone pieniądze, ale nie powie jej, co tam gadać z głupią. Stary Juhos też jest głupi. Jeszcze najmożliwsza jest Zsófi.

— Dostaje cztery forinty dziennie.

No, dopiero teraz zacznie się dopytywać! Możliwe, że powinien dawać więcej, ale go nie stać, zresztą po co dziecku więcej, jej praca nawet tyle nie jest warta,

jeszcze by ją znarowił, a potem matka nie mogłaby nastarczyć. Z dziećmi trzeba ostrożnie.

— Kto ją polecił? — zapytała po dłuższej chwili Marta Szabó.

Jeszcze jej mało, widać nie ma innych kłopotów, tylko jego ciągnąć za język. Kiedyś w młodości wlaźł na sierp i strasznie mu krew leciała, może i to chciałyby wiedzieć? Ciekawe, że zawsze ma coś z tą prawą nogą, ciachnął się w nią sierpem, potknął się nią o piłę, a teraz ją złamał. Czy Zsófikę boli ręka? Jutro chyba pomoże jej w zmywaniu, doktor powiedział, żeby w miarę możliwości jak najwięcej się ruszał. Więc będzie się ruszał. To małe Cielę twierdzi, że płuca też trzeba gimnastykować. *Jam się tu urodził, w tych stornach...* Kretynka. Szkoda, że już po południu nie przyjdzie. A gdyby jej więcej zapłacił, czy wówczas by przychodziła?

— Nikt. Sama przyszła. Ta, którą najpierw wezwałem, nie zjawiła się, tylko przez tą przysłała wiadomość i ta się zgodziła. Będzie przychodzić, powiada. Czy pani profesor ją uczyła?

Potakująco skinęła głową. Teraz, gdy jego interesuje, ona nie chce mówić. Ciekawe, czy mała jest najlepszą uczennicą, bo zaiste gada mądrze jak ksiądz. Ale z tą Martą Szabó nie można dojść do porozumienia, tylko wtedy mówi, kiedy sama chce się czegoś dowiedzieć. Dzieci nie są ważne, ona myśli tylko o pieniądzach, dostaje cztery razy więcej niż Székely, prawda, że Székely jest nieporządny, ale Dobozi jest czysta i też bierze cztery razy mniej. Jeżeli nie chce mówić o dziewczynce, to niech nie mówi; nad czymś jednak okrutnie medytuje, chyba nie nad nim, mogłaby już zostawić go w spokoju i iść sobie, bardzo jest jej wdzięczny za łaskawe zainteresowanie.

Jak zrasta się jego noga? Cóż, chyba się zrasta, gdyby miał rentgenowskie oczy, mógłby zobaczyć, bo rentgen widzi nawet przez gips. A tak tylko może się domyślać, że jeszcze się nie zrosła, bo w dalszym ciągu boli. Jaka jest ubezpieczalnia? Ni taka, ni siaka. Jego nogą opiekuje się jakaś ruda, dotychczas tylko go dręczyła. Ale są tam również dobrzy lekarze. Na przykład taki Gábor Nagy, który leczył go na newralgię.

Nic dziwnego, że ruda nie wyszła za mąż, jest taka szpetna. Oczy ma jak garnki. A jaka ciekawa. Wszystko jej opowie, żeby tylko przestała go męczyć, ona strasznie lubi opowiadania o śmierci, powinna zostać doktorem, to doktorzy są tacy ciekawi, na przykład pytali go, na co umarła jego matka. Skąd on może wiedzieć, taki szmat czasu minął, doktor pewnie myślał, że w ich wsi był szpital i że jego matka wiecznie przesiadywała u lekarza. Nie wie, na co umarła, po prostu nagle odeszła, Panie, świeć nad jej duszą.

A newralgia, owszem, dokuczca. Może znowu się rozchorować i nie wiadomo, co z tego będzie, bo dawnego doktora już nie ma. Czy go gdzieś przenieśli? O, tak, na tamten świat. Widocznie pani profesor nie czytuje gazet, tylko męczy dziewczynki, w przeciwnym razie wiedziałyby, że umarł, umarł w przychodni, on akurat tam był, doktor ostatnie słowa wypowiedział do niego. Szkoda go, wielka szkoda, bo dobry był z niego człowiek.

No, chwała Bogu, nareszcie się rusza. Gniece tę piękną serwetkę, którą Zsófi tak cudacznie poskręcała, właśnie przed chwilą podziwiał z łóżka, czego ta mała nie potrafi i gdzie ją tego wszystkiego nauczyli. Pani profesor też lubi historie o śmierci, a przecież nie jest starą babą, ile może mieć lat, pewnie tyle, co Marcsa, to znaczy tyle, ile miałyby Marcsa, gdyby żyła. Powinna wyjść za mąż, Dobozi powiada, że ona czeka

na Hidaśa, jeśli to prawda, to sobie poczeka, bo on lata za tą Lemberger z końskim ogonem.

Tak samo zawsze wszystko trzeba było opowiadać jego siostrze Annus. Annus nie znała liter, więc musiał jej czytać gazety, biedaczka, gdy usłyszała, że Józsefa Simona pocięli na kawałki i wrzucili do Cisy, zaczęła się żegnać krzyżem i łapać za głowę. Pani profesor też ciekawa, jak umarł Gábor Nagy. No cóż, po prostu skończył, co tu tłumaczyć. Czy coś mówił? Nie-wiele, chciał, ale nie mógł dokończyć. Patrzcie ją, wariatkę, łyż jej ciekną, jeszcze zapaskudzi serwetkę, nie ma co beczeć nad tym, że nieborak w ostatnich chwilach życia coś tam plótł od rzeczy; Annus nagle zaczęła wspominać jakiegoś konia i już jej broda opadła, a przecież w życiu nie miała konia, jedynie dwie kury i koguta. Ale czego ta tu chlipie, każdy, kto wybiera się w daleką drogę, plecie bzdury, tak i Gábor Nagy wymamrotał: „Powiedzcie Zsófiце...”

Nareszcie idzie do wszystkich diabłów, najwyższy czas, już go na śmierć zanudziła. Jeśli chce się rozerwać, niech idzie do kina, a nie przyłazi do niego. Co prawda nie powinien tak na nią wyrzekać, zrobił się z niego wstrętny, stary mruk i zrzęda, ona wcale nie chciała źle, tylko jest trochę niespełna rozumu, jak większość ludzi, ale przyniosła mu pączka, więc czego tak na nią warczy? Licho wie, dlaczego się pobeczała, każdy dźwiga na plecach jakiś tłumok, nie wiadomo, co ją mogło zabołec. A on dlatego się na nią rozeźlił, że ani słowa nie chciała powiedzieć o dziewczynce, też durna, czyż nie widziała, że na to czeka? A teraz znowu zacznie się nudzić, chyba zwlecze się z łóżka, ruda powiedziała, że powinien wstawać, aby się tylko zanedo nie zmęczył. W komórce zostało trochę dobrego,

twardego drzewa, kiedyś umiał bardzo ładnie rzeźbić, czasu ma dosyć, mógłby coś tej małej Niedojdzie wystrugać. Ale co? Najlepiej rzeźbił baranki, zawsze strugał je dla Erzsi, jego dziadek bowiem był owczarzem, wszystkiego mogło im brakować, ale jedno małe jagniątko zawsze mieli.

XII

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Zsófiika podawała na stół szpinak, a Judit po powrocie z miasta myła ręce, Marta Szabó wychodziła z bramy Doświadczalnego Instytutu Pedagogicznego. W narożnym pokoju na drugim piętrze, gdzie odbyła rozmowę z dyrektorem, światło jednak nie zgasło; Dobay jeszcze zasiadł do biurka, jeszcze miał coś do napisania.

Marta Szabó nie wsiadła do tramwaju, wołała się przejść. Nie ciągnęło jej jednak do domu, z odpoczynku i tak by nic nie wyszło, dziś wyjątkowo zapragnęła czyjegoś towarzystwa, była nawet zdecydowana iść do lokalu na kolację. Od lat wieczorem jedynie coś przegryzała i zaraz siadała do pracy, czytała albo robiła na drutach — dziś nie miała na to ochoty. Przespacerowała się do budynku Rady Narodowej i usiadła na jednej z ławek stojących przy wejściu, by zastanowić się, co robić. Przyglądała się rzeźbom, robotnikowi i wieśniaczce, i okutym metalowymi sztabami, oszkłonym drzwiom, które o tej porze oczywiście były zamknięte. Ławka jeszcze nie wystygła, deski były niemal ciepłe. Ale słońce musi tu grać!

Koło budynku stała budka telefoniczna, Marta Szabó znalazła żeton w portmonetce i zadzwoniła do Hidasza. Zastała go w domu.

- Jadłeś już kolację? — spytała.
- Nie — odparł.
- Nie zechciałbyś zjeść razem ze mną?
- Naturalnie, bardzo chętnie. Gdzie?

Ba, żeby ona wiedziała! Gdzieś, gdzie można spokojnie porozmawiać. Hidas przypomniał sobie jakąś przyjemną restaurację na ulicy Mészárosa. Zaraz wyjdzie z domu, mniej więcej jednocześnie powinni tam być. Kto przyjdzie pierwszy, zajmie stolik.

Restauracja nazywała się „Pod Topolą”, Marta Szabó przyszła trochę wcześniej niż Hidas, o miejsce nie było łatwo, ale jakoś je zdobyła. Ceny wydały jej się wysokie, toteż zamówiła tylko porcję szynki. Z ogródka dobiegała muzyka, ale na szczęście nikt nie tańczył, orkiestra grała stare walce. Lampy wisiały na drutach przymocowanych do drzew, w powietrzu pachniało piwem i gulaszem. Przed południem Hidas był w gabardynowym ubraniu, teraz włożył garnitur w szare i niebieskie prążki, w którym zawsze występował na konferencjach. Marta Szabó nigdy nie przywiązywała większej wagi do strojów, nawet do Dobayego poszła w kretonowej sukience w groszki, lecz obecnie trochę żałowała, że nie pobiegła do domu przebrać się. Przed końcem roku szkolnego zawsze chudnie, ten kreton wisi na niej jak szmata. W gruncie rzeczy to nie ma znaczenia, ale skoro ten wariat się przebrał...

Hidas także zamówił szynkę, a ponadto pół litra wina. O nic nie spytał, co nagle rozdrażniło i zdenerwowało Martę Szabó. Co on sobie myśli? Że chciała go zobaczyć i dlatego go zaprosiła? Odsunęła talerz, od razu odechciało jej się jeść. Goście przy sąsiednim stoliku regulowali rachunek, mężczyzna wyciągnął sto forintów i prawie nie dostał reszty. Jacy ci ludzie lekkomyślni! A może są tacy, którzy mają dużo pieniędzy?

Hidas spałaszował szynkę i pociągnął łyk wina.

— Czego Dobay od ciebie chciał?

Właściwie nawet mówić o tym nie warto, w ogóle niepotrzebnie tam chodziła, ale komuś musi się wygadać. W Instytucie tak się zdenerwowała, że nie była

w stanie spokojnie wszystkiego przemyśleć. Teraz, opowiadając mu, akurat będzie miała ku temu okazję.

A więc najpierw Dobay poczęstował ją kawą. Oprócz niego w Instytucie była tylko sekretarka, która zresztą zaraz wyszła i zostali we dwoje. Po kawie Dobay wprowadził Martę po Instytucie. Pokazał pokój pracowników naukowych, z których każdy ma swoją podręczną biblioteczkę i żaluzjową szafę na akta. Marta obejrzała również bibliotekę zawierającą trzy tysiące książek. W Instytucie pracuje sześćdziesiąt osób, spośród których dziewięć właśnie zwalnają.

Hidas podniósł wzrok i znowu upił trochę wina.

— Więc nie chodziło mu o artykuł — rzekł. — Zaproponował ci pracę, co?

Ależ zgadł! I co on na to? Z ust samego Wielkiego Mędrca usłyszała, że w Instytucie coś nie jest w porządku. Pewnie, że nie jest, dobrze, że w ogóle to sobie uświadomili. Czyżby raczyli zrozumieć, że nauczyciel też jest coś wart? Marta aż płonęła z podniecenia, nawet wino w kieliszku rozgrzało się od jej rozpalonych dłoni. Judit Nagy odchodzi. Od sierpnia przenoszą ją do szkoły. Judit będzie uczyć! „Lekcja literatury musi mieć odpowiedni nastrój. Nauczycielowi nie wolno dopuścić, by cokolwiek go popsulo” — napisała kiedyś Judit. Jaka ona mądra! Dopiero się zdziwi, gdy wśród nabożnego skupienia, w jakie klasę wprawi — powiedzmy — *Koniec września* *, ktoś nagle podniesie rękę. Judit pomyśli, że uczeń chce coś powiedzieć o pięknie wiersza, a tymczasem usłyszy: „Jest mi niedobrze, czy mogę wyjść?” Marta roześmiała się. Gdyby chciała, mogłaby zostać takim samym Mędrcom siedzącym w pięknym pokoju i mającym do dyspozycji podręczną biblioteczkę. Jeszcze nie zwariowała!

Wiersz Sándora Petöfiego napisany w 1847 r. (przyp. tłum.).

— Chyba nie odmówiaś? — spytał Hidas.

Jak to? Spojrzała na kolegę. Czy on oszalał? Czyżby chciał, żeby opuściła szkołę, odeszła od nich? On, z którym zawsze we wszystkim się zgadzała, którego uważała za najlepszego przyjaciela? Cóż on sobie wyobraża? Że z nadmiaru szczęścia straciła głowę i zostawi dzieci?

— Oczywiście, że odmówiłam — odrzekła ponuro. — Jak to? A ty co byś zrobił?

Hidas przez chwilę bez słowa obracał kieliszek, po czym spytał o przebieg rozmowy. Marta niemal dosłownie ją powtórzyła. Gdy wypili kawę, Dobay zaczął od tego, że Instytut nie działa tak, jakby on sobie życzył, a przyczyna leży w tym, że coraz bardziej traci związek z życiem. Istnieje pedagogika teoretyczna i pedagogika praktyczna. Gałęzie te powinny się uzupełniać, a tymczasem Instytut i szkoły idą odrębnymi drogami, większość jego pracowników zna dzieci jedynie z książek. Na przykład taka Piroska Sipos, której artykuły Marta na pewno czytała, wyjątkowo zdolna, młoda kobieta, jedna z najbardziej czytanych i wykształconych pracowniczek. Zaledwie skończyła studia, wyjechała na stypendium za granicę, skąd trafiła prosto do Instytutu; pomijając parę tygodni praktyki uniwersyteckiej nigdy nie była w szkole, nigdy nie spróbowała życia wśród dzieci. Mniej więcej w podobnej sytuacji jest Judit Nagy, która wprawdzie ma poważniejsze przygotowanie niż Piroska Sipos, ale także nigdy nie uczyła. Dobay poruszył tę sprawę w ministerstwie i wspólnie z Departamentem Pedagogiki ustalili, że w przyszłości do Instytutu nie będą przyjmowani ludzie nie mający za sobą należytej praktyki w szkolnictwie, choćby nawet dysponowali wyjątkową wiedzą teoretyczną. Zmieni się także nieodpowiednich dotychczasowych pracowników. Tylko harmonijny rozwój

pedagogiki teoretycznej i praktycznej może doprowadzić do jakichś rezultatów. By uczynić pierwszy krok, Dobay zaproponował jej stanowisko swojego zastępcy, skłoniło go do tego powszechne uznanie, jakim cieszy się jej działalność pedagogiczna.

Hidas słuchał pogrążony w milczeniu. Przy opróżnionym przed chwilą, sąsiednim stoliku usiadła nowa para: szczupła, niewysoka kobieta z kokiem i mężczyzna w szarym ubraniu. Kobieta siedziała do nich przodem, a mężczyzna plecami, lecz Marta Szabó rozpoznała ich oboje: była to Viki w towarzystwie Kálmána Hallera.

— Jednak trzeba było przyjąć propozycję — odezwał się Hidas.

Marta Szabó spojrzała zdumiona. Sądziła, że wspólnie pośmieją się z oferty Dobayego, a okazuje się, że Hidas poważnie traktuje tę niedorzeczność. Jeszcze usiłuje jej tłumaczyć, prawie słowo w słowo powtarza argumenty Dobayego: jeżeli ona, która zna życie szkolne na wylot, nie chce przyjść im z pomocą, przystąpić do współpracy, przestrzec przed ewentualnymi pomyłkami, powiedzieć, że na podstawie czternastoletniej praktyki szkolnej inaczej daną sprawę ocenia, że doświadczenie co innego jej mówi, to chyba nie kocha dzieci.

Jakby sama nie wiedziała, co leży w interesie jej uczniów! Dobay w końcu ją zdenerwował, z początku nawet odczuwała pewną przyjemność, że Wielki Mędrzec zamiast do swoich uczonych musi uciekać się do niej, teraz jednak pozbawili ją nawet tej drobnej radości. Ładnie ten Jóska jej życzy, każe jej iść pośród Mędrców, zamknąć się w tym ich prosektorium, gdzie podłogi są pokryte gumą, i już więcej nie oglądać

dzieci, tylko pisać o nich i czytać. Viki miała na sobie czerwona nylonową sukienkę, w uszach dwie drobne nylonowe czeresienki.

— Nie próbowałaś się potargować? — podjął Hidas. — Potrzebują ciebie, na pewno poszliby na ustępstwa.

Też coś! Miała już dość wszystkiego, chciała iść do domu. Przez tyle lat się irytowała, nareszcie zaczynają przepędzać tych, którzy nigdy z bliska nie widzieli dzieci, i na ich miejsce ściągać fachowców; uważała to za wystarczającą satysfakcję. Przy pożegnaniu Dobay prosił ją, żeby się zastanowiła, nie odmawiała ostatecznie, jeżeli postawi warunki możliwe do spełnienia, Instytut gotów jest pójść na jak najdalsze ustępstwa. Ale ona nawet o tym nie myślała, miała głowę zajęta czym innym, menu pani Biró, śmiercią Gábora Nagya, Zsófiką i Pongráczem. Ma odejść do Instytutu? Jeśli zostanie Mędrcem, cała jej praca pójdzie na marne. Kto pomoże Zsóficie? Kto zrobi porządek ze sprawą Hallerów? Jeszcze nie jest tak późno, po drodze zajrzy do Dóry. Tym razem może mieć pewność, że nie natknie się na jej siostrę.

Hidas sprawił jej zawód, nic tylko w kółko powtarza, że powinna się dobrze zastanowić. A czy on by poszedł? Nie, on nie, zresztą nikt go nie zapraszał, a poza tym jako matematyk nie umie dobrze pisać, natomiast Marta posiada tę umiejętność i w końcu kto ma pisać o dzieciach, jeśli nie ten, kto je zna?

Marta Szabó wstała. Sądziła, że pośmieją się z Dobayego, który wreszcie zwrócił się do nauczycieli o pomoc, a tymczasem Hidas dziwaczy i plecie jakieś an-

drony. Jeżeli Marta i podobni jej ludzie nie pójdą do Instytutu, to Dobay będzie musiał pracować ze słabymi pedagogami i Instytut znowu nie zrobi kroku naprzód.

— Co mnie obchodzi ten parszywy Instytut? — wybuchnęła rozdrażniona. — Mnie obchodzą Zsófiika i Dóra. Zawołaj kelnera!

Hidas opróżnił kieliszek do dna.

— Będąc tam mogłabyś więcej pomóc.

Zapłacili. Marta nie posiadała się ze złości. Pierwotnie miała zamiar podzielić się z Hidasem swoim odkryciem, rozwiązaniem tajemnicy Zsófiiki, Hidas bowiem uczył Zsófikę, ale teraz mu nie powie. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby powiększyła grono Mędrców! Cóż, zawsze myślała, że byłoby mu przykro, gdyby ich rozdzielili, skierowali do innych szkół. Okazuje się, że nie! Nie, to nie. Ma dość, dzień dzisiejszy wystarczająco ją zmęczył. Gdy wychodzili, Viki ukłoniła jej się, natomiast Haller — nie. Siedział tyłem do wyjścia, nie miał obowiązku jej zauważyć.

Marta i Hidas mieszkali w tej samej stronie, więc doszli razem do szkoły. Marta nie skręciła w kierunku swego domu, lecz zatrzymała się na placu pod numerem dziewiątym.

— No to serwus — rzekła do Hidasu — dziękuję, żeś przyszedł. Jeszcze nie idę do domu.

Hidas spojrzał na numer budynku.

— O tej porze chcesz odwiedzić którąś z uczennic? Już po dziewiątej. Nie za późno? Już mogli się położyć.

— Nie, oni jeszcze nie śpią.

Podali sobie ręce. Hidas miał piękny, nowy krawat, szafirowy jak kwiat gencjany. Siwieje ten Jóska, za rok, dwa, będzie zupełnie siwy. Nigdy by nie przypuszczała, że będzie ją namawiał do zmiany zajęcia. A może ona nie zna dostatecznie ludzi?

— Gdy zadzwoniłaś, pomyślałem sobie, że o czymś z tobą porozmawiam — rzekł. — Ale odłożymy to na kiedy indziej. Na dziś Dobay ci wystarczy.

To powiedziawszy ruszył w swoją stronę. Gdy odchodził zostawiając po sobie tylko to rzucone zdanie, Marta poczuła, że się czerwieni. Skóra zaczęła ją tak palić, że na moment podniosła rękę do policzka. Ma trzydzieści siedem lat. To głupota tak się rumienić. Ciekawe, jak to jest, gdy człowiek ma własne dzieci?

Hidas znikł za zakrętem ulicy Katony. Dobry z niego chłopak, Bóg wie, dlaczego tak dziwnie się dzisiaj zachowywał, dlaczego chciał ją namówić na przejście do Instytutu. Zawsze sądziła, że na wszystko jednako się zapatrują.

W tym domu mieszkały dwie uczennice Marty, na piętrze Anna Biró, a na parterze — Dóra. Z panią Biró też musi rozmawiać, ale dziś do niej nie pójdzie, Dóra jest ważniejsza. Okna Viki Vadász wychodziły na podwórze. Przez opuszczone firanki przesączało się światło. Zadzwoniła.

Drzwi nie otworzyły się, natomiast drgnęła firanka na oknie i po chwili wychyliła się Dóra. Była w nocnej koszuli w kwiaty, ściągniętej wstążką u szyi. Na noc upinała warkocze na czubku głowy, wyglądała w ten sposób poważniej niż w dzień.

— Chwileczkę — powiedziała. — Zaraz otworzę.

Firanka opadła. Gdy Dóra otworzyła drzwi, miała na sobie sukienkę, którą prawdopodobnie narzuciła na gołe ciało. Na nogi włożyła pantofle Viki na wysokich obcasach, oczywiście były wyraźnie za duże na nią.

W maleńkim przedpokoju suszyły się chustki Viki, ale było czysto i porządknie, w sypialni mimo posła-

nych na noc łóżek także panował ład. Marta nie zauważyła nic osobliwego, przerażającego czy podejrzanego, na twarzy Dóry malował się spokój, była tylko odrobinę czerwiejsza niż zwykle.

Marta usiadła. Nie potrafiłaby powiedzieć, czego się spodziewała, ale doznała takiego samego zawodu, jaki towarzyszył każdemu jej odwiedzinom w tym mieszkaniu. Zawsze przestępowała próg tego domu z bliżej nie sprecyzowanym uczuciem, że może tym razem trafi na jakiś namacalny ślad, na koniec nitki, która gdzieś ją zaprowadzi, i niezmiennie się rozczarowywała. Dóra także usiadła i milcząc patrzyła na nauczycielkę.

— Nie potrzebujesz niczego? — spytała Marta. Dziewczynka zaprzeczyła ruchem głowy. Szeroko wycięta sukienka z piki odsłaniała jej chudą szyję. Co ona zrobiła ze swoim łańcuszkiem? Zawsze, czy to szła do prześwietlenia, czy na szczepienie, na wycieczkę czy na pływalinię, na szyi Dóry błyszczał łańcuszek.

— Co się stało z twoim aniołkiem?

Pytanie sprawiło dziewczynce przykrość, spuściła oczy i nie odpowiada, widocznie odpowiedź jest trudna, a nie chce skłamać, Dóra najwyżej milczy, ale nigdy nie kłamie. Co się stało?

— Nie ma go — odrzekła wreszcie. — Już go nie ma.

— Zgubiłaś?

Cisza. Dóra potrząsnęła głową. Ależ to jasne, zastały w lombardzie. Viki mogła mieć nagłe kłopoty finansowe, to bardzo prawdopodobne. Ale nie, szeroka, złota bransoleta Viki leży mieniąc się w małej popielniczce przy jej łóżku. Więc co się stało z aniołkiem? Znosi się na to, że znowu bez rezultatu wróci do domu. Któryż to już raz? Gdyby pracowała w Instytucie, do czego zresztą nie dojdzie, chyba napisałaby artykuł o dzieciach, których sytuacja wymaga jakiegoś roz-

wiązania, a nie ma żadnej podstawy prawnej do interwencji ze strony szkoły czy państwa. Trzeba by zorganizować konferencję z udziałem większej liczby pedagogów albo ogłosić w *Pedagogice* ankietę — co ludzie w takich wypadkach robią. Ona napisałaby o Dórze i zwróciła się z prośbą o radę, bez wątpienia w wielu szkołach zdarzają się podobne sytuacje. Instytut jako instytucja mógłby podjąć rozmowy z odpowiednimi czynnikami prawniczymi. Oczywiście za każdym razem trzeba by było dostarczać dowodów, dlaczego otoczenie dziecka uważa się za nieodpowiednie. A jeśli takich dowodów nie ma? Tak jak w tym wypadku? To wpływ tego głupiego Hidasza, gdyby nie on, nawet by o tym nie pomyślała, nie wczuwałaby się w rolę Mędrca. Gdyby nie zaprosiła go na kolację, dawno wyrzuciłaby z głowy Dobayego i jego propozycję. Wprawdzie wówczas nie spotkałaby Viki i nie znalazła się tutaj, ale właściwie sama dobrze nie wie, czego szuka u Dóry tak późnym wieczorem — znowu niczego się nie dowiedziała.

Wzięła do ręki książkę, którą Dóra przed chwilą czytała. Był to *Cudowny kożuszek* * — dostała go kiedyś w nagrodę. Przy łóżku Viki również leżały książki, na wierzchu *Magdalena* Zsolta Harsányiego.

Nic. Znowu nic. Marta podniosła się.

— Gdzie jest twoja siostra? — zapytała wychodząc.

— O szóstej wyszła do kina.

To możliwe, są seanse, które rozpoczynają się o szóstej, a kończą o ósmej. Mniej więcej kwadrans po ósmej przyszli „Pod Topole”, rzeczywiście mogła być z Hallerem w kinie.

— Jadłaś kolację?

Książka znanego pisarza węgierskiego Ferencza Móry (1879—1934) (przyp. tłum.).

— Tak. Zsiadłe mleko.

Nie może tak odejść, co też dziewczynka o niej pomyśli, jest prawie wpół do dziesiątej, tak późno jeszcze nigdy u nich nie była. Gdyby nie światło w oknie, nie zadzwoniłaby, przecież nie wyciągałaby jej z łóżka. Musi w jakiś sposób uzasadnić swoją wizytę.

— Jutro po zajęciach zastępu przyjdiesz do pokoju nauczycielskiego. Muszę z tobą omówić program na pierwszy tydzień obozu. Pani Baumann prosiła mnie o wybranie tekstów. Przyszło mi do głowy, żebyś tym razem nie tylko wystąpiła w programie, ale również zajęła się reżyserią. Masz ochotę?

Dóra nie spojrzała na nią i nic nie odpowiedziała. Kiedy indziej bardzo by się ucieszyła, lubiła literaturę i chętnie brała udział we wszelkich imprezach. Marta ułożyła sobie, że program będzie poświęcony Petöfimu, i jeśli nie znajdzie nic odpowiedniego, sama spłodzi jakąś niedługą sztukę, Dóra byłaby świetnym Petöfim, a smukła, jasna blondynka Kató Lemberger — Jókaim. W przedpokoju pachniało farbą. Na wieszaku obok liliowego, przeciwdeszczowego płaszcza Viki wisiała pelerynka Dóry, a dalej dwa plecaki, jeden większy i drugi mniejszy. W Dobogókő nie miały żadnego ekwipunku turystycznego. Widocznie Haller lubi wycieczki.

— Wybieracie się na wycieczkę? — spytała Marta.

Dóra znowu spojrzała jej w oczy i podniosła rękę do szyi. Gdy się czymś przejmowała albo martwiła, zawsze ścisnęła medalik z aniołkiem. Teraz ręka dziewczynki bezwładnie osunęła się z powrotem. Marta wiele dałaby za to, żeby się dowiedzieć, o czym Dóra myśli spoglądając to na nią, to na plecaki.

— Wybieramy się na wycieczkę — szepnęła dziewczynka.

— Z Viki?

— Tak.

— Daleko?

Nie odpowiedziała, tylko potakująco skinęła głową. Widocznie nie lubi wycieczek z Viki, mimo że w ogóle jest zapaloną turystką, ale już w Dobogókő była w nieszczęśliwym humorze. W Dobogókő Dóra natychmiast spostrzegła, co się święci, natomiast uwagę Marty zaprzątały dzieci, które rozproszyły się na wszystkie strony. Może jednak w Radzie Narodowej coś wymyśliła? Z kim należałoby pomówić? Chyba z Fehérvárim, to taki rozsądny człowiek. Szczerze mówiąc ona zachowuje się jak tchórz, powinna być energiczniejsza, sprawa Hallerów to nie żarty, dotyczy jednocześnie dwojga dzieci, a właściwie dużo większej liczby, tyle że nie bezpośrednio. Matki nigdy nie chcą wierzyć, że dzieci wszystko wiedzą. Ale jak uderzyć w Viki i Hallera, żeby nie zranić Dóry i Marianny?

— No to idź spać! A jutro nie zapomnij przyjść!

Dóra otworzyła drzwi i wypuściła Martę. Stała na progu patrząc za nauczycielką idącą po źle wybrukowanym i słabo oświetlonym podwórku. W pewnej chwili Marta usłyszała za sobą szybkie kroki Dóry; dziewczynka biegła za nią klapiąc zbyt obszernymi pantoflami Viki. Dogoniła ją w bramie. Gdyby nie Marta, Dóra chyba by upadła, gdyż jeden pantofel zsunął jej się z nogi — podtrzymana stanęła obok nauczycielki i znowu podniosła na nią oczy.

Chce coś powiedzieć, ale nie może, zabronili jej. Przypomina zwierzę nie umiejące wydawać artykułowanych dźwięków. Dóra uwiesiła się Marcie na szyi, przyciągnęła jej głowę, niemal dziko, brutalnie ją pocałowała i pędem puściła się z powrotem, po drodze podnosząc zgubiony pantofel; Marta usłyszała, jak zamyka drzwi.

Dóra nigdy nikogo nie całowała, nie była taka czuła jak Taki, która wiecznie pętała się między nauczycielami, raz po raz gładząc ich po rękach czy płaszczach. Dóra zachowała się jak człowiek, który się żegna. Wygląda na to, że Viki ma zamiar przeprowadzić się do innej dzielnicy, na pewno ze względu na Hallera, i na jesieni zapisze Dórę do innej szkoły. Ale dlaczego już dziś się pożegnała, skoro jutro przyjdzie na zajęcia zastępu, a w sierpniu pojedzie na obóz?

W domu Marta jakoś nie miała ochoty się położyć, grzebała w rzeczach, chodziła z kąta w kąt. Dla Judit, która nigdy nie widziała prawdziwej szkoły, odejście z Instytutu będzie strasznym ciosem. I to już drugim w ciągu tego lata, ona nie mniej kocha swoje zajęcie niż męża. Mimo wszystko powinna się cieszyć, bo będzie razem z dzieckiem; może wreszcie zmądrzeje i przekona się, jaką ma córkę.

Kiedyś, po wielu latach, otworzą się jej oczy, dojdzie do wniosku, że wszystkie przeciętnie uczące się dzieci stanowią zagadkę. Dobrzy uczniowie nie nasuwają żadnych wątpliwości, podobnie jak głupi albo leniwi dwójkowicze, jeśli coś nimi wstrząśnie, na pewno wezmą się do nauki, a jeśli przyszli na świat bez żadnych zdolności, nawet największy wysiłek na nic się nie zda; takie dzieci nie stanowią tajemnicy, można je rozszyfrować. Wybitni, piątkowi uczniowie przysparzają jeszcze mniej trudu; nad czwórkowymi także nie trzeba sobie łamać głowy, jeżeli tylko stać ich na to, zdobędą się na wysiłek, potrzebują tylko częstego dopingu. Jeśli Judit, podobnie jak ona, spędzi w szkole czternaście lat, przekona się, że między uczniem piątkowym a dwójkowym istnieje tylko jakościowa różnica, jako typy uczniów są oni do siebie najbardziej podobni. Zagadkę stanowi tylko przeciętny uczeń, taki, którego nie można zaliczyć ani do dobrych, ani do

złych. Gdyby nie miała nic innego do roboty, lata by poświęciła na studia nad przeciętnymi uczniami — w jaki sposób nimi kierować, by stali się dobrymi lub wybitnymi. W każdym indywidualnym wypadku wystarczy tylko jedno pchnięcie, ale trzeba znaleźć punkt, z którego można dziecko wprowadzić w ruch. Jeżeli pchnięcie będzie udane, dziecko przechyli się na prawo, jeżeli złe, na lewo albo wcale. Ale każdy przeciętny uczeń ma swoją tajemnicę, i to każdy inną. Tylko Zsófiika już nie ma, jej tajemnica została rozszyfrowana.

Ani jej w głowie przechodzić do Instytutu, lecz może teraz w przystępie dobrego humoru zadzwonić do Dobayego i powiedzieć, że jest skłonna udostępnić mu dane z zeszytu wychowawcy dotyczące pewnej dziewczynki? Doskonale pamięta swoją pierwszą uwagę o Zsófiice, zapisaną we wrześniu zeszłego roku, kiedy to zaczęła ją uczyć. „Nie uważał — zanotowała wtedy. — Jeżeli kiedyś z jakiegoś powodu zmusi się, by uważać, nie dla kaprysu, lecz świadomie, wówczas pokaże swoje zdolności.” Oczywiście nie ona ją popchnęła, tylko jej biedny ojciec, ale rozwiązanie tajemnicy należy do niej. Teraz czeka ją praca, na razie bowiem ma w ręku klucz do zagadki, a żadnych rezultatów. Na razie tylko wie, co należy z tym dzieckiem zrobić. Teraz zacznie się wychowanie Zsófiiki.

A jednak przeżyła dziś piękny dzień.

Judit nie potrafi nawet sporządzić konspektu lekcji, wynalezione i opublikowane przez nią wzory są absolutnie niezyciowe. Gdyby nie była taka wyniosła, pomogłaby jej, zresztą i tak spróbuje. Może była trochę niemila dla Hidasza, ale cóż na to poradzić, czemu jest taki uparty? Wszystkiego się mogła spodziewać, tylko

nie tego, że Hidas będzie ją namawiał na pracę w Instytucie.

Posłała łóżko, wzięła do poduszki tom Petöfiiego. Zaczęła wybierać teksty do programu obozowego. Jutro musi porozmawiać z Dórą i zadzwonić do Baumann, komendantki hufca. Musi też wpaść na górę do pani Biró. Baumann osłupieje, gdy dowie się o jej najnowszym pomysle.

XIII

Zsófi w pierwszej chwili nie zauważyła pączka, najpierw bowiem musiała iść po zakupy, a następnie wzięła się do sprzątanía. Pączek leżał na stoliku koło popielniczki z końskim łbem, na czas sprzątanía przykryła go serwetką, żeby się nie zakurzył, a po zagotowaniu mleka i zrobieniu kawy położyła na tacy obok filiżanki. Pan István mruknął, że nie chce pączka, gdyby Zsófi nie była ślepa, już dawno mogłaby go zobaczyć i zjeść, a jemu niech ukraje kawałek chleba, tylko ze smalcem, nie z masłem, jego dziadek też nie znosił masła, kto u Boga Ojca kazał jej kupić masło?

Znowu jedli razem, Zsófi pączek, a pan István chleb. Pączek był nieco klejowaty, lecz mimo to smaczny, może miał trochę za mało marmolady. Najpierw zjadła samo ciasto, a potem wybrała łyżką marmoladę, dzięki czemu ostatnie kęsy miały morelowy smak.

Pan István zerkał na nią znad kubka kawy. Jeść chyba ma co, bo nie pożera, tylko je powoli, widocznie na jedzenie im starcza. Erzsi zupełnie tak samo jadła pączki, wópierw ciasto, a na końcu marmoladę. Ubranie ma przyzwoite, pewnie dostała z Czerwonego Krzyża, który w tym roku rozdzielał trochę. Ale coś musi ją trapić, bo bez przerwy milczy. Baranka nie zauważyła, choć kręci się koło niego, nie spojrzy jednak na szczyt pieca, spuściła oczy i kraje mięso. Co to będzie za gulasz, jak posieka go na takie drobne kawałeczki? Głupia! Całe wczorajsze popołudnie i wieczór nad nim się biedził, ale zabawka wyszła pięknie, szczególnie udał

się łeb i oczy, baranek patrzy jak żywy. A ta nawet nie spojrzy, tylko pracuje. Co jej może być? Nawet przestała go pytać, czy umie jakąś piosenkę albo wiersz, a ostatnio przypomniał sobie jeden, który pozostał mu w głowie z dzieciństwa. Po jednej stronie stawały dziewczyny, po drugiej chłopcy i na przemian zadawali sobie pytania i odpowiadali. Była wśród nich i kania, i myśliwy, i zając, i pies. Dziewczyny były gołąbkami.

Dokąd lećcie, gołąbki?
Do ogrodu, na lewkonie.
A co robi jastrząb?
Czatuje!
A którądy idzie myśliwy?
Pod kładką.
A gdzie jest jego pies?
Pobiegł śladami zająca.
Sio, jastrzębiu, pod lufę,
Sio, sio, sio!

Wówczas jastrząb padał na ziemię, myśliwy głośno tupał, gołąbki przelatywały do ogrodu powiewając skrzydłami. Pamięta, jak pewnego razu chciał być gołąbkami, więc przyłączył się do dziewczyn, och, ale się z niego śmiali! Niechby teraz spróbował pofruwać w tym gipsie, żeby cholera wzięła tego, kto to wymyślił. Rozpostarłby starcze ramiona i biegałby. Roześmiał się. Zsófią obejrzała się, popatrzała przez chwilę, nie zawtórowała mu jednak, lecz z powrotem pochyliła się nad garnkami. Gryzie się czymś, i to nie na żarty. Może nie mają pieniędzy? Albo matka spuściła jej lanie? Zaraz weźmie ją na spytki.

— Czego się martwisz, hę?

Zsófią nie odpowiedziała, tylko pomieszała w rondlu cebulę.

— Może nie macie pieniędzy? No, odezwij się wreszcie!

Zarumieniła się i powiedziała, że mają. Pewno nie za wiele, niechybnie to jest powodem, prawie zawsze o to chodzi. Po jej wyjściu zwlecze się z łóżka, w szafce ma parę forintów, mało, właściwie nie powinien ich ruszać, gdyż zasiłek wystarczy akurat, żeby nie zdechnąć z głodu, w końcu sam zostanie bez pieniędzy, ale skoro tak bardzo się smuci, to jej da. Źle jest, gdy człowiek nie ma pieniędzy, a im na pewno nigdy nie zbywa, inaczej nie chciałaby się tak męczyć za cztery forinty. Ciekawe, co robi jej matka, pracuje w fabryce czy chodzi sprzątać? Mała nie jest rozmowna, to pewne, on też nie lubi dużo gadać, ale nie miałby nic przeciwko temu, gdyby częściej się odzywała. Może kiedyś solidnie oberwała i dlatego teraz tak milczy. Erzsi tylko raz przyłożył po tyłku, a przez dwa dni się do niego nie odzywała. Mała była i już miała taką rogatą duszę. Po jakiego diabła podnosił na nią rękę? Zasmarowała ścianę, to zasmarowała, i tak bomba ją potem rozwaliała. Zsófi też musiała dostać i dlatego tak zaniemówiła.

— Za co dostałaś lanie? — spytał.

Dziewczynka z przerażeniem zaoponowała. Nikt nigdy jej nie bił. Mamusia nawet pisała o tym, że dzieci nie wolno bić. Dlaczego pan István zadaje takie dziwne pytania? Co mu przyszło do głowy? Ona i tak ledwie pamięta, co kiedy trzeba zrobić, choć mamusia jej tłumaczyła, tyle myśli kłębi jej się w głowie. A więc trzeba przyrumienić w tłuszczu cebulę, następnie wymieszać ją z papryką, wrzucić kawałki mięsa, posolić i zalać wodą. Papryka zanurzyła się w tłuszczu i po kuchni natychmiast rozszedł się osobliwy, gryzący zapach. A teraz wody i niech się gotuje. Godzinę to potrwa.

Jaka ona nieufna, a może raczej wstydliva. Tyle czasu już siedzi i jeszcze nie zauważyła baranka, ale

choćby miał stać do zimy, on jej nie powie; na drugi raz niech lepiej wytrzeszcza gały. Sam jej nie da, gapie jednej. Ale coś musi ją bardzo trapić, bo objęła się za kolana i patrzy przed siebie. Chyba nie wywalili jej matki z fabryki? Bo gdyby miały żyć z tych czterech forintów, to długo by nie pociągnęły. Uparty dzieciak, nic nie chce powiedzieć!

— Martwisz się z powodu matki?

Chciał spytać przyjaznym głosem, a warknął. Zsófi-ka ze strachu odparła, że tak. Z powodu mamusi też.

No, nareszcie! Więc dobrze się domyślał, chodzi o matkę. Jest jeszcze coś innego, ale jeśli z powodu mamusi też, to jest na dobrym tropie. Tylko dlaczego, do stu tysięcy diabłów, musi ją ciągnąć za język, a nie powie sama?

— Wyrzucili ją?

— Jeszcze nie — oczy Zsófi-ki zaszyły łzami.

Jeżeli jeszcze nie, to niedługo. Okres wypowiedzenia trwa dwa tygodnie, więc prawie zgadł. Nic dziwnego, że jej wypowiadają, Zsófi-ka jest ślamazarna i matka pewnie nie lepsza. Jeszcze dobrze, jeżeli nic złego sobie nie zrobiła, nie obcięła palca jakąś maszyną. Taka sama niedojda jak córka. Co prawda nie powinien tak kobiety oczerniać, przecież jej nie zna. Dziecko ma dobre serce, jest całkiem nieprzytomne ze zmartwienia. Nikt z rodzeństwa nie może pomóc? Nie ma rodzeństwa. Nikogo nie ma, ani ojca, ani rodzeństwa, zostały dwie niedołęgi niezdatne do życia, co z nimi będzie? Nikt szybko nie dostaje pracy.

Chyba że...

— Pogadaj z Andrássem! — mruknął.

Zsófi-ka spojrzała na niego. A to kto? Okazało się, że Torbogłowy.

— Dopóki twoja matka czegoś lepszego nie znajdzie, może popracować przy murarzach, András Kis ją tu wsadzi. Mało ich tu, a roboty sporo. Gdy coś jej się trafi, odejdzie. No, powiedz mamusi!

Tak, mamusia przestanie pracować w Instytucie, tylko jeszcze nie wiadomo, do której szkoły ją przeniosą. Mamusia powiedziała jej o tym wczoraj po kolacji, a potem strasznie płakała, chcąc ukryć łzy wyszła do komórki, ale ona usłyszała i też zaczęła płakać, tak bardzo mamusi współczuła. Mamusia pracująca przy remoncie szkoły, w chustce na głowie, nosząca skrzynię i podająca cegły... nie, to niemożliwe. Dlaczego nie? „Wolę robić cokolwiek innego — stwierdziła wczoraj mamusia i spuściła głowę na piersi. — Zostać kelnerką albo siedzieć w kiosku, wszystko jedno. Tylko nie pójdę do szkoły. Wszyscy będą się ze mnie śmiać.”

Jeżeli więc wolałaby robić *cokolwiek innego*, to może zechciałaby pomagać murarzom, trzeba wieczorem spytać. Torbogłowy jest taki miły, Gabi Hegedüs też ma ojca murarza, który zawsze przywozi z prowincji takie dobre rzeczy do jedzenia.

No, chyba trochę się rozweseliła. Jakie one muszą być naiwne i bezradne, dwie sieroty boże! Jeżeli im nie poradzi, nie będą wiedziały, co robić. No, już się uśmiecha. Gulasz całkiem smakowicie pachnie, wreszcie się nauczyła, nawet pokrywki bierze przez ścierkę, co prawda pięć razy trzeba było powtarzać, zanim zapamiętała. Ale już posmutniała, znowu oklapła, skuliła się jak chora kwoka i wzdycha. Nie zwraca uwagi, nie chce rozmawiać, po jakie lichy tam sterczy, niech podejdzie bliżej, z łóżka widzi tylko czubek jej głowy, niech choć trochę przysunie podnózek.

Zsófiika pomyślała o Dórze. Szkoła zawsze niesłychanie wyraźnie kojarzyła jej się z przyjaciółką. Dóra znikła tak samo jak tatuś, z tą tylko różnicą, że Dóra przyszła się pożegnać, a tatuś nie. Już nigdy się nie zobaczą. Po Dórze zostanie jedynie łańcuszek z aniołkiem ukryty w „stajni” tuż koło Janiki. Już nigdy nie będzie miała takiej przyjaciółki. Teraz sama będzie uważać w sklepach, czy ekspedientki prawidłowo ważą, nawet nie będą mogły do siebie pisywać, Dóra przestanie istnieć, tak samo jak Teri, dawne mieszkanie, Tóbiás i książki lekarskie. Skończy się także praca mamusi w Instytucie, powoli wszystko, co ich otaczało, zniknie. Co zrobić, żeby zatrzymać wuja Kálmána? Marianna wraca w niedzielę, ale one są tylko dziećmi, a wuj Kálmán i Viki dorosłymi, do nikogo zaś nie może zwrócić się o pomoc, złożyła przysięgę na medalik z aniołkiem, nie może sprowadzić nieszczęścia na głowę Dóry.

A jeżeli Marianna nic nie pomoże? Jeżeli jej nie będzie zależało na zatrzymaniu wuja Kálmána? Ciocia Kató wszystkim opowiadała, i jej, i Teri, i Valice z ubezpieczalni, że wuj Kálmán jest złym mężem i one tylko przez niego cierpią. Marianna nic innego w domu nie słyszy poza tym, że tatuś jest taki, tatuś jest owaki, tatuś znowu się spóźnia; sama kiedyś powiedziała, że wuj Kálmán jest okropny, a ona zawsze świetnie będzie się uczyć, chce jak najprędzej zacząć pracować, zamieszkać gdzieś, gdzie nie będą wiecznie krzyczeć. „Będę miała posadę — rzekła — i osobne mieszkanie!” Zsófiika strasznie się zdziwiła, ale potem Dóra również powiedziała, że będzie pracować i osobno mieszkać; na podwórzu dawnego domu narysowały mieszkania Dóry i Marianny, Dóra miała mniejsze. Ona przyglądała się tylko, nie mogła sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek miała mieszkać nie z rodzicami, we włas-

nym mieszkaniu, w którym sama decydowałaby o godzinach posiłków.

Pan István jeszcze przez jakiś czas ją nagabywał, ale widząc, że milczy jak zakłeta, zrezygnowany poprosił o gazetę i okulary, zaczął czytać i więcej na nią nie spojrzał. Po obiedzie pospiesznie opłukała naczynia i wyszła nie zauważywszy baranka stojącego na piecu. Pan István poczuł się urażony do żywego. Ledwie zamknęły się drzwi, opanowała go taka wściekłość, że litery zaczęły mu skakać przed oczyma. Wygrzebał się z łóżka i cisnął baranka do skrzyni ze śmieciami. Postanowił, że jeżeli jutro Zsófiika będzie w takim samym ponurym humorze, nic jej nie da i wyrzuci ją za drzwi. Nie ma zamiaru oglądać min Zsófiiki Nagy, jeśli mu przyjdzie ochota na miny, wybierze się do kina, niech no się tylko lepiej poczuje.

Nazajutrz Zsófiika wcale nie była weselsza. Zobaczywszy mamusię po powrocie z pracy, wręcz przeraziła się, choć mamusia nic złego jej nie zrobiła, w ogóle się do niej nie odzywała. Na twarzy mamusi malował się bezradny smutek, taki sam znieruchomiały, niemy smutek jak po śmierci tatusia. Roześmiała się tylko raz w ciągu całego wieczoru, ale to nie był wesoły śmiech, Zsófiika usłyszawszy go o mało nie wybuchnęła płaczem. Stało się to wówczas, gdy Zsófiika powiedziała: jeżeli mamusia tak bardzo nie chce iść do szkoły, mogłaby spróbować pracy na budowie, kobiety też tam pracują, wszyscy są pogodni, ona zna jednego murarza — nazywa się András Kis, jest strasznie miły, bezustannie gwizdże i śpiewa. „Dobrze, zgłoszę się do nich!” — rzekła mamusia, po czym zapaliła papierosa i roześmiała się. Zsófiika zawstydyła się, po co w ogóle zaczęła o tym mówić, ale pan István tak

życzliwie zaproponował, a mamusia sama powiedziała, że woli robić cokolwiek innego. Mamusia jest dość silna, w młodości uprawiała szermierkę, nawet kiedyś zdobyła nagrodę, na pewno uniosłaby te skrzynki. Ale jak nie, to nie. Tylko po co przedwczoraj mówiła, że wolałaby robić cokolwiek innego?

Po kolacji Judit wysłała Zsófikę spać, a sama nie położyła się, lecz grzebała w szufladach, czytała i porządkowała swoje prace: książki oraz rozprawy publikowane w czasopiśmie. Nazajutrz rano podczas sprząwania Zsófiaka znalazła książki. Biedna mamusia, czytała w nocy swoje własne dzieła, jaka musi być niešťczęśliwa! Zsófiaka bardzo się tym przejmowała, sprawa Dóry też nie dawała jej spokoju, ucieczka przez zieloną granicę jest niebezpieczna, co będzie, jeżeli Dóra zostanie schwytana i psy ją rozszarpia? Dziś już sobota, pojutrze poniedziałek, Marianna jutro przyjeżdża, zostaje jeden dzień na obmyślenie, co zrobić z wujem Kálmánem. Od czwartku łamie sobie głowę i nic nie wymyśliła.

Gdy sprzątała, pan Székely zawołał, żeby wyniosła śmieci. No tak, wczoraj zapomniała wystawić skrzynkę na schody. Wybiegła i gdy pan Székely przesypywał śmieci do wielkiego, blaszanego zbiornika, znalazła baranka. Wyłowiła go, otała fartuchem, na moment zapomniała o wszystkich troskach. Baranek był z jasnożółtego drzewa, na szyi miał dzwoneczek. Pocałowała go, tak jej się podobał. Och, jakby chciała takiego mieć! Lecz cóż, jest własnością pana Istvána albo tej biednej, zmarłej dziewczynki. Trzeba go oddać.

Wróciła z pustą skrzynką i podała baranka panu Istvánowi.

Ten nie leżał, lecz siedział na krześle i macał zdrową nogę — była spuchnięta w kostce.

— Nie chcesz go? — mruknął.

— Ja?

— A kto? Dla kogo strugałem? Wczoraj przez cały czas leżał na piecu, tuż koło twego nosa, ale ciebie jakiś zły duch opętał, ledwie przyszedł, już poleciałaś. Cud, że go znalazłaś, że śmieciarz go nie zabrał.

Dziewczynka, zaczerwieniona po uszy, obracała baranka w rękę. Jaki ładny prezent! Zdawała sobie sprawę, że ma idiotyczną minę, tatuś jej kiedyś powiedział, że gdy spotyka ją jakaś niespodziewana radość, ze szczęścia robi głupią minę. „Ciesz się, gapa — stwierdził w duchu pan István odwracając spojrzenie. — Och, jak się cieszysz! Pewno rzadko coś dostaje, szczególnie teraz, gdy nie mają pieniędzy, a jej matka ma odejść z fabryki.” Zsófiika przydreptała do pana Istvána i wyszeptowała: „Dziękuję!” Burknął, nie lubił bowiem, gdy mu dziękowano. Badał opuchniętą nogę, ale musiał zabrać rękę, gdyż Zsófiika przytuliła się do niego, przysunęła buzię do jego zarosniętej twarzy. Nie pocałowała go, tylko stała przyciskając policzek do policzka. Ten lichy baranek, ten dzieciak... „Zrób dziadziusiowi ojo! — mawiała Marcsa do Erzsi, gdy ta zaczęła stawiać pierwsze kroki. — Jak robisz dziadziusiowi ojo?” Wówczas Erzsi ruszała na swych krótkich nóżkach, rozpędzała się, a gdy on łapał ją i sadzał sobie na kolanach, przyciskała buzię do jego twarzy i jakimś niemożliwym do naśladowania, wysokim głosem wołała: „Ojo! Ojo!” Zaraz się rozbeczy, a ta smarkata roztrąbi to po całej szkole. Diabli nadali tego baranka! Odsunął Zsófikę i znowu począł ugniatać nogę. Spytał ją, czy matka będzie pracować przy murarzach i czy już rozmawiała z Andrássem Kisem.

Pytanie sprowadziło Zsófikę na ziemię. Gotowała rosół, którego nie trzeba było specjalnie pilnować;

postanowiła częściej go robić. Nie, mamusia nie będzie tu pracować, mamusia tylko ogląda swoje książki, i już jest sobota, a jej nic nie przychodzi do głowy. Jeżeli wuj Kálmán wyjedzie z Viki, osieroci ciocię Kató i Mariannę, która daremnie utrzymuje, iż wuj Kálmán jest okropny, lepiej mieć nawet okropnego ojca, niż wiedzieć, że umarł albo uciekł z kimś za granicę. Och, mój Boże, mój Boże!

— Co się znowu stało? — zapytał pan István. — Nie przyjdzie do szkoły?

— Nie — odparła Zsófiika patrząc na baranka.

— Nie, to nie. Na powrozie jej nie przyprowadzimy. A ty czym się znowu gryziesz, hę?

— To tajemnica — rzekła Zsófiika.

— Bzdura! Dopóty tajemnica, dopóki nie wystękasz. Potrzeba wam pieniędzy? No powiedz!

— Nie.

Nie potrzebują pieniędzy? To co jej jest, czym się od tyłu dni dręczy? Rodzeństwa nie ma, przecież wczoraj powiedziała, więc chyba nikt jej nie męczy. Nie może się domyślić. Ee, co tam będzie medytował, niech daje obiad i idzie z Panem Bogiem. Przedwczoraj myślał, że każe jej przychodzić również po południu, bo z początku bezustannie paplała, wygadywała niestworzone rzeczy, do wieczora by mu powtarzała, z ilu kości składa się ludzka kostka i że trzeba przewietrzać płuca, a teraz nie odzywa się, tylko patrzy i wzdycha. Błagać jej nie będzie. Chce mówić, to niech mówi, nie chce, to nie. Tajemnica. Jaką ona może mieć tajemnicę? Zapewne piękną, skoro boi się powiedzieć.

Zsófi zamieszła zupę. Idąc do pana Istvána kupiła arkusz brystolu, który obecnie przecięła na pół. Przyniosła także piórnik, uklękła przy stole kuchennym i zaczęła liniować papier. Pan István zerkał jej zza pleców. Stawiała litery i malowała je. Gdyby nie miała

takiej poważnej miny, sądziłby, że się bawi, ale nie, znowu czymś się sierota kłopotuje. Teraz już widzi, co napisała. Nikt jej nie prosił o nową tabliczkę, a ona zrobiła. NIE PUKAĆ! Dlaczego stary napis jej nie dogadzał?

Tego dnia po raz pierwszy jadł obiad przy stole obok Zsófik. Nie było nic prócz rosołu, mięso zjedli osobno z chlebem, a gdy pan István spytał, co się stało z ziemniakami, Zsófi pobała — najwidoczniej zapomniała. Wszystko jedno, najadł się, nawet mu smakowało. Po obiedzie zjedli po jabłku, Zsófi kupiła miękkie, każde osobno macała, gdyż pan István miał niewiele zębów. Gdy skończyli, wyciągnął się na łóżku, siedzenie przy stole zmęczyło go, chciał jednak z wolna się przyzwyczajać. Któregoś dnia spróbuje wczłapać się na schody, popatrzeć na słońce. Ktoś go podeprze, może na powietrzu humor mu się poprawi. Prawie się zdrzemnął, w pewnej chwili jednak poczuł, że Zsófi stoi obok łóżka. Otworzył oczy. Dziewczynka przysiadłszy na skraju łóżka ciągnęła za róg poduszki. No, pewno teraz wyzna tajemnicę.

— Wystękać wreszcie — zaczął — może będę mógł ci pomóc.

A jednak okaże się, że to pieniądze, biedni ludzie nigdy nie mają ich za dużo.

— Jak zrobić, żeby ktoś nie poszedł tam, gdzie chce? — spytała Zsófi.

W oka mgnieniu wytrzeźwiał ze snu. Ważył zdanie w głowie, czy dobrze je zrozumiał.

— A kto? Dziecko?

— Nie. Dorosły.

— To dlaczego ma nie iść?

— Bo to złe miejsce.

— A co cię z tym kimś łączy?

— To wuj Kálmán.

— Będzie źle, jak pójdzie?

— Bardzo źle.

Biedactwo, coraz więcej się o niej dowiaduje. Nie dość jej zmartwienia z matką, ma jeszcze wuja, wuja Kálmána. Czy to prawdziwy wuj, może jej matka wyszła drugi raz za mąż i biedne dziecko ma ojczyma. Ale czemu ta kobieta wyszła za takiego nicponia? Ten cały Kálmán na pewno łązi po knajpach, to murowane, upija się, a po powrocie do domu tłucze żonę i dziecko. Nieszczęsna kobieta daremnie pracuje, on i tak wszystko przepija. I ta sierotka już w tym wieku musi zastanawiać się, co na to poradzić. Bo i pewnie, co w takim wypadku można zrobić? Matka powinna wziąć chłopą w garść, ale pewno jest słaba, nie wykluczone nawet, że słuca tego łobuza jak niewolnica, pozwala mu pić, oddaje pieniądze, aby tylko ich nie rzucił, bo lepiej być nieszczęśliwą mężatką niż wdową. Ta kruszyna zaś zamordowuje się na śmierć, ale jeżeli on się dowie, że wuj Kálmán zagarnia również zarobione przez nią forinty, to się z nim rozprawi. Stary jest, ma złamane kości, ale rękę silną, a bić się zawsze umiał i jak wyzdrowieje, będzie z niego jeszcze chłop na schwał.

Zsófiika uspokoiła się nieco. Pan István coś wymyślił. Pan István jest bardzo mądry. Teraz nikomu nie wolno źle o nim myśleć, posądzać go o głupotę. Właśnie dlatego przyniosła śliczny, nowy brystol i zrobiła nowy napis. To, że nie umie poprawnie pisać, jeszcze nic nie znaczy, widocznie nie nauczyli go w szkole. Nowa tabliczka od razu podniesie jego autorytet. Na żadnej lekcji rysunków tak się nie przykładła jak teraz, gdy kolorowała napis. NIE PUKAĆ!

Pan István zapalił papierosa. Gdy on nie chciał, żeby jego żona gdzieś szła, krzyczał na nią i ona się nie ruszała, była bardzo posłuszna. Marcsy nie musiał nawet niczego zabraniać, tak się go bała. Natomiast Erzsi

wcale się nie bała, nieraz zamykał ją w pokoju, kiedyś bezczelna wdrapała się na okno i wydostała na kupę węgla. Koniecznie chciała iść na odpust, ale on był zajęty, więc nie miała z kim; Erzsi postanowiła uciec, ruszyła więc na przełaj przez węgiel, lecz z drugiej strony nie znalazła żadnych drzwi, węgiel bowiem wsypany przez otwór, który następnie zasłaniano kratą — nikt nie mógł się przez niego przedostać. Ku swemu wielkiemu zawstydzeniu musiała drapać się z powrotem. Gdy otworzył drzwi, już siedziała na parapecie machając nogami, a kolana i sukienkę miała czarne jak święta ziemia. Chciał dać jej lanie, ale w końcu uśmieł się zdrowo z jej wyglądu i po służbie zabrał ją na odpust, uprzednio przebrawszy w czyste ubranie, bo nawet majtki powalała węglem.

Imre? Poczciwy był z niego chłopak, nie musiał go tresować. Już więcej roboty miał z młodszym bratem Janim; to był zawiadyka i moczymorda, tego ciągnęło do szynku, więc parę razy zbił go na kwaśne jabłko, dobrze mu to zrobiło, co prawda raz niezłe rozwalił mu głowę. Biedny Jani, gdy w szesnastym roku zginął na wojnie, jeszcze mu się wąsy dobrze nie puściły.

Och, gdyby nie był kulawy! Bo wiadomo, że lanie jest najlepszym lekarstwem. Należałoby tego wuja Kálmána przyłapać, gdy się będzie wybierał do szynku, i nauczyć moresu. András Kis na pewno by pomógł, stary Juhos też by swoje dołożył. Trzeba by wypatrzeć, kiedy chodzi do szynku, i złożyć mu skórę. Jeden pilnowałby, czy nie nadchodzi milicjant, a dwaj by mu wleli. Jaka ta mała cicha, chyba dlatego ją wytrzymuje, na wszystkie inne dzieci gniewa się, bo tylko brudzą i wrzeszczą, a ta patrzy na niego swymi wielkimi oczyma i oczekuje pomocy. Jakoś jej pomoże.

— Gdzie pracuje wuj Kálmán?

— W Muzeum Numizmatycznym.

Aha, na placyku za tym żółtym kościołem. Na pewno nie przepracowuje się, tam nie ma dwudziestu sal, wystarczy dwóch woźnych. To nie szkoła. Jeżeli lubi pić, to może źle się skończyć, bo po woźnym od razu widać, że jest pijany, a gdy straci pracę, to już doprawdy nie wiadomo, co się stanie z Zsófiką i jej matką.

— A kiedy on musi zostać w domu?

— Nie w domu. W muzeum. W poniedziałek od wpół do piątej do wpół do szóstej po południu.

Widać ma kumpli do picia i co poniedziałek chodzą na wino. Porządny człowiek nie zaczyna tygodnia od picia. Któż to słyszał! Jeszcze w sobotę, no! W niedzielę też się nie godzi, ale w sobotę ostatecznie można wybaczyć. Gdy Jani szedł do szynku w sobotę, nigdy go nie bił, gorzej było, gdy w dzień powszedni się zawieruszył.

— Tylko tego jednego dnia?

— Tylko tego.

— A poza tym nie?

— Nie. Tylko w najbliższy poniedziałek. Między wpół do piątej a wpół do szóstej.

Sam diabeł nie zrozumie. Ale skoro chodzi tylko o ten jeden dzień, może jakoś da się załatwić. Prawdopodobnie tego dnia ma przyjść kontrola, dziewczynka boi się, że wuja Kálmána zaciągną do szynku i kontroler nie zastanie go na miejscu. Niezawodnie o to chodzi, kontroler przyjdzie, tamten powinien być na służbie, ale że to poniedziałek, polezie do szynku. No, coś się wymyśli.

— Jak twój wuj się nazywa?

— Haller.

Haller. Dracznе nazwisko. Ale to obojętne, nie o to chodzi. Jest dopiero sobota.

— Jeżeli coś poradzę, nie będziesz beczeć?

Zsófika po raz drugi przytuliła policzek do jego twa-

rzy. „Ojo” — usłyszał znowu Pongrącz głosik Erzsi dobiegający z przepastnej dali. Niech to szlag trafi, ona musi cholernie kochać tego wuja Kálmána, jest zupełnie nieprzytomna. Ale on jakoś to załatwi. Już nawet wie jak.

— Nie rycz, głuptasie. Od wpół do piątej do wpół do szóstej nie ruszy się z pracy. Możesz mi wierzyć. Porozmawiam z Andrássem Kisem, pošlę go tam, już on mu nie da wyjść.

Pocałowała go i zaczęła śpiewać obracając baranka w rękach. Musiał jej, głupiej, wielki kamień spaść z serca. Jakie biedne są niektóre dzieci! Ojciec jej umarł, matka znalazła sobie kogoś, a ta trzęsie się ze strachu, co z nimi będzie. Łobuz, mógłby szanować pracę w Muzeum Numizmatycznym, tam nie ma nic do roboty, w muzeum stoją oszklone szafki i te wszystkie rupiecie nawet się nie zakurzają, tylko od wielkiego dzwonu trzeba umyć szkło, a poza tym siedzi się, czyta gazety i patrzy, czy kto nie włamuje się do jakiegoś pokoju. Nawet nie trzeba co dzień sprzątać. Raczej powinien łobuz pomyśleć o jakiejś pracy, a nie o piciu. Jeszcze żeby chlał w soboty, słowa by mu nie powiedział. Ale w poniedziałki! Czegoś podobnego jeszcze nie słyszał.

Jak ona tuli tego baranka, a teraz podchodzi, by pocałować go na pożegnanie. No, niech leci, jutro ma być na czas, a dziś jeszcze musi mu sprowadzić Andrása Kisa.

Torbogłowy jadł obiad: chleb z kwaszonym ogórkiem i kotлетem. Dał Zsóficie ogórek, wyczytał bowiem w jej oczach, że ma na niego ochotę. Ogórek szalenie jej smakował, był ciepły, a w ogóle zawsze wolała kwaśne rzeczy niż słodkie. Torbogłowy natychmiast się po-

zbierał, wziął torebkę, w której miał obiad, i zbiegł do sutereny. Zsófiika spojrzała na drugą stronę placu, ale przed domem Dóry nie zobaczyła nikogo. Co też pan István wymyślił? Powiedział, że załatwi, to załatwi. Od razu jej ulżyło. Marianna też inaczej się poczuje, gdy po powrocie dowie się, że ktoś im pomoże. Och, gdyby wszystko mogła w ten sposób załatwić! Gdyby mamusia mogła zostać w Instytucie! Gdyby Dóra nie musiała zniknąć na wieki!

Tymczasem w suterenie Torbogłowy napełnił kubek wodą, napił się do syta i wreszcie spytał pana Istvána:

— Jak, u licha, ten gość się nazywa?

Prawda, jak on się nazywa? Ma jakieś frymuśne nazwisko.

— Coś od heblowania.

— Hebel?

— Nie. Podobnie, ale nie tak. Zapomniałem.

— Pewno Keler — Torbogłowy usiadł. — Poznałem go na Stadionie Ludowym, siedział obok mnie, gdy graлиśmy z Belgami. Doił piwo, aż mu się uszy trzęsły. Keler. Mówił, że jest woźnym w jakimś muzeum. No, stary, co dostanę, jeżeli to będzie wuj Zsófiiki?

XIV

Marta Szabó także nie miała spokojnych dni.

Dobay co dzień do niej dzwonił i pytał, czy nie zmieniała decyzji, natomiast Hidas, ilekroć we dwoje pozostawali w pokoju nauczycielskim — ostatnio zresztą rzadziej to się zdarzało, tego lata Hidas tylko czasami zaglądał do szkoły — za każdym razem wracał do tego samego: że nie może zrozumieć jej stanowiska. Dotychczas na wszystkich konferencjach utrzymywała, iż teorię nauczania powinni opracowywać pedagodzy praktycy, źródło wszelkiego zła tkwi w tym, że tak nie jest, a teraz, kiedy ma okazję wszystkich o tym przekonać, nie chce przyjąć oferty. Jak gdyby Hidas zapomniał, że nikt z ludzi przebywających w świecie dzieci nie ma ochoty zasiąść za biurkiem! Nadal podtrzymuje swoje zdanie: teorię powinni opracowywać nauczyciele mający za sobą wiele lat nauki w szkole. Na pewno znajdzie się ktoś chętny, ona — nie. Jej do dobrego samopoczucia potrzebny jest stały kontakt z dziećmi.

Ostatnim razem Hidas spytał, dlaczego nie zaproponowała przejścia na pół etatu, wówczas mogłaby zatrzymać jedną klasę jako doświadczalną, a pozostałą część dnia względnie pewne dni w tygodniu spędzać w Instytucie. Bez wątpienia, to byłoby dobre rozwiązanie — Hidas zawsze miał głowę na karku — mogłaby i tu zostać, i tam pracować, ale mimo wszystko to oznaczałoby kompromis, a ona nie ma zamiaru prowadzić

żadnych rozmów czy też układać się z Instytutem. Nie, nie zostanie Mędrce. Nowy rok szkolny zapowiada się pasjonująco, nie może się go doczekać. Zsófi jeszcze w lecie zostanie przyjęta do drużyny, jeżeli samodzielnie potrafi ugotować te wszystkie wyszukane potrawy, jakich może zażądać Pongrácz, to od jesieni będzie mogła objąć kurs gotowania. O pączkach wprawdzie nie będzie mowy, ale niech tylko nauczy koleżanki najważniejszych, prostych potraw, to wystarczy. Oczywiście nie obejmie dowództwa zastępu kucharek, funkcje mogą sprawować jedynie dobre uczennice. Ale jeszcze wszyscy się przekonają, co Zsófi potrafi, jeżeli się skupi. I naturalnie trzeba coś zrobić z Dórá, to będzie trudniejsze, niż myślała: jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby Dóra nie dotrzymała słowa.

Dóra nie przyszła na zajęcia zastępu ani w piątek, ani w sobotę, nie zjawiła się po materiały o Petöfim, chociaż tak lubiła występować; to było jeszcze bardziej zaskakujące i niepokojące. Marta Szabó posłała nawet do Vadászowej Ewę Takács, ale Taki wróciła z tym, że rozmawiała tylko z panią Viki, która nie wpuściła jej do środka, powiedziała, że Dóra jest chora, nie może wychodzić, wyzdrowieje dopiero za parę dni. Na szczęście miała na tyle rozumu, że nie wpuściła Taki do mieszkania, a nuż to jakaś zakaźna choroba, zresztą Bóg jeden wie. Człowiek z wiekiem staje się okropnie podejrzliwy; nie podoba mu się, kiedy dziecko, które w czwartek wieczorem było zdrowe jak ryba, w piątek nagle zachorowuje, a przecież to wierutna bzdura! Z własnego doświadczenia wie, jak w ciągu jednej lekcji dziecko potrafi oklapnąć, nagle ulec drzemiącej w jego organizmie gorączce. Tylko że Dóra ostatnim razem wcale nie wyglądała na osowiałą, przeciwnie. Jakoś nie może wyzwolić się od wrażenia, że Dóra pożegnała się z nią, ciągle ma w uszach stukot

jej zbyt obszernych pantofli na wysokich obcasach, rozlegający się za nią na podwórku.

Nieobecność Dóry do tego stopnia zaniepokoiła Martę, że w sobotę po południu wzięła sztukę o Petöfim i pobiegła do niej do domu, ale nie dostała się do mieszkania. Okno było zasłonięte firanką, na dzwonek nikt nie podchodził do drzwi, żona dozorczy zaś poinformowała, że pani Vadász wczesnym popołudniem wyszła z domu. Możliwe, że Dóra rzeczywiście leży, nie wolno jej wstawać i nie może otworzyć drzwi. W poniedziałek znowu wysła Ewę Takács na zwiady. W powrotnej drodze spotkała Fehérvárieo z Wydziału Spraw Osobowych Rady Narodowej i wspomniała mu o sprawie Dóry. Znowu jednak usłyszała to, o czym doskonale wiedziała: takie wypadki nie są objęte żadnymi rozporządzeniami. Gdyby opiekunka postępowała niezgodnie z prawem, można by jej odebrać dziecko i wyznaczyć z urzędu innego opiekuna, dopóki jednak krążą tylko jakieś nie sprawdzone plotki, nic nie można zrobić. Tak, sama o tym wie, ale miała nadzieję, że może wydano jakieś nowe zarządzenie.

Pożegnawszy Fehérvárieo, w narożnym kiosku kupiła trochę owoców. Wieczór był ciepły, łagodny, toteż na chwilę przysiadła na ławce przed szkołą. W oknie pokoju nauczycielskiego jeszcze paliło się światło, potem lampa zgasła i po niedługim czasie w drzwiach ukazał się Hidas, a Székely zamknął za nim drzwi na klucz. Hidas, choć trochę postął przed szkołą, nie zauważył Marty, zapalił papierosa i wyrzucił zapałkę. Od owej wspólnej kolacji nie powiedział, o co mu wówczas chodziło, jakkolwiek i wczoraj, i dziś był w szkole. Po chwili ruszył, jednak nie w stronę domu, lecz w przeciwnym kierunku. W jaki sposób Jóska spędza sobotnie wieczory?

Marta Szabó lubiła ten plac, zabudowany ze wszystkich czterech stron i dzięki temu tchnący bezpieczeństwem i spokojem. Z marmurowej fontanny stojącej przed szkołą kapał cieniutki sznureczek wody, klęcząca na szczycie fontanny wiejska dziewczyna prała swoje suknie; strumyczek spływał prosto do marmurowej muszli. Rosnące wkoło liczne, sędziwe klony, gdy wydadzą owoce, zaścielą ziemię lepкими noskami. Większe popękają i dzieci będą je sobie przyklejać do nosów niczym małe zielone trąbki.

Odezwał się dzwon. Na tym placu dźwięczał zawsze głębszym, masywniejszym tonem niż gdzie indziej. Niebo było wysokie, lśniąco błękitne, w lecie zawsze wydawało się wyżej zawieszony niż w zimie. Ludzie, chłodzący się na ławkach, z wolna rozchodzili się do domów. Za kilka minut we wszystkich oknach rozbłyśnie światło, ludzie zasiądą do kolacji. Plac sprawiał wrażenie małomiasteczkowego, a nie wielkomiejskiego placu, był łagodny, czujny, zaciekawiony. Prostokąt piasecznicy i krzywe linie huśtawek przypominały rysunki z podręcznika do geometrii. Równoległe i równia pochyła. Dlaczego Dóra Gergely nie przyszła po materiały o Petöfim?

Na tym placu nie ma mieszkania, w którym by ktoś nie znała. Sklepy i warsztaty już ucichły; gdyby jeszcze wrzała praca, na pewno ktoś z właścicieli by ją pozdrowił: szewc, ojciec Mancí Erdei, czy handlarka jarzyn, matka Mariki Mucsi. Annus Tóth jest księgową w spółdzielni stolarskiej, a Juli Csató sprzątaczką u fryzjera. Zna też praktykantkę ze sklepu spożywczego, uczyła także kasjerkę z cukierni. Już od ośmiu

lat pracuje w tej dzielnicy. Ewie Incze niedawno urodził się drugi synek.

Wypali jeszcze jednego papierosa i pójdzie do domu. Ten duży budynek, którego dach widać aż na placu, to Rada Narodowa, a tam dalej przy ulicy Zöldfa, w tym dwupiętrowym domu mieszkali dawniej Nagyowie. Domu Hallerów stąd nie widać, stoi on na ulicy Katony równolegle do tylnej ściany szkoły. Na tej samej ulicy mieszkają Jóska Hidas i Kati Lemberger. Gdzie ten wieczór spędza Viki i co może robić w łóżku Dóra?

W bramie szkoły zapłonęło światło. O tej porze to było niezwykle, więc Marta Szabó spojrzała na szkołę. W drzwiach pojawił się Székely, później długo nikt nie wychodził, wreszcie z przesączającej się jasności wyłoniła się biała głowa Pongrácza. Székely chciał mu pomóc, ale stary odepchnął jego rękę, w lewej dłoni trzymał kij i powłóczył nogą w gipsie. Szedł bardzo wolno, ale szedł. Székely zawołał, że za pół godziny po niego wyjdzie, i zamknął drzwi. Pan István poznał Martę Szabó dopiero w chwili, kiedy usadowił się obok niej na ławce. Przywitani się. Pongrácza był wyraźnie niezadowolony ze spotkania, ale skoro już usiadł, nie chciał się ruszać.

— Trzeba było wyjść w południe albo zaraz po południu, na słońce — zaczęła Marta. — Słońce dobrze by panu zrobiło.

Pan István dopiero po chwili odrzekł, że w dzień plac jest wypełniony ludźmi. Nie lubi, gdy mu się przyglądają, co jest ciekawego w kuternodze? Ależ na dworze ciepło, nigdy by się nie spodziewał, u niego w suterenie wilgotno jak w grobie.

Marta Szabó spytała starego o nogę. W poniedziałek ma iść na kontrolne badanie do ubezpieczalni. Ponieważ założyli mu opatrunek gipsowy, przystosowany

do chodzenia, nie przyślą karetki; pojęcia nie ma, jak tam dokuśtyka. Całe szczęście, że niedaleko.

— Mała panu pomoże — pocieszała go Marta.

— Ona musi gotować — mruknął pan István i nagle spojrzął na Martę, jak gdyby jej słowa nasunęły mu jakąś inną myśl związaną z dziewczynką.

— Pani profesor jest jej wychowawczynią czy tylko ją uczy? — zapytał.

— Chodzi do mojej klasy.

— Czy nie mogłaby pani czegoś zrobić, żeby ten pijak jej nie dokuczał?

O czym on mówi? I jak spode łba na nią patrzy, tym swoim wzrokiem, który zdaje się pytać: „Za co wy tam na górze bierzecie tyle pieniędzy?”; tak samo patrzy, gdy przybija oberwaną tablicę albo wstawia wybitą szybę, a ona siedząc na katedrze analizuje wiersz, czyli najwyraźniej nic nie robi. „Ganiacie wiecznie po mieszkaniach uczennic i wtykacie nos w sprawę biednych ludzi — czytała teraz z twarzy Pongrácza — a kiedy naprawdę trzeba pomóc, wytrzeszczacie gały i o niczym nie wiecie.”

Rzeczywiście, musiała przyznać, że nie wie, o czym on mówi. Pan István wyciągnął fajkę, jakby trochę poweselał. Zawsze cieszył się, gdy wiedział coś lepiej od nauczycieli albo o czym nikt poza nim nie wiedział.

— Ten zapijaczony łajdak całymi dniami pije i dziecko wracając do domu drży ze strachu. W poniedziałek przyjdzie kontrola, jeśli nie będzie w pracy, wyrzucą go.

Ale kogo? Skąd? Dlaczego? Pongrácz uniósł się.

— To jest ważniejsze niż te wszystkie gramatyki. Biedna mała zarabia, bo jej matka odchodzi z fabryki, powiedzieli jej, że może sobie iść, dokąd jej się po-

doła. Czy o tym pani profesor też nie słyszała? Ani ojca nie ma, ani pieniędzy, a ten typ jeszcze pije.

Co się w takich wypadkach robi? Zsófi nie kłamie, nigdy nie kłamała, nawet nie potrafi. Jej wypracowania z węgierskiego są rozsądne i suche, nigdy nie będzie miała zainteresowań humanistycznych. Kłamią raczej dzieci o zdolnościach literackich, rzadko te, które interesują się przyrodą czy fizyką. Nie do wiary, żeby Zsófi powiedziała, iż jej matka jest robotnicą fabryczną, a o ile wie, poza Hallerami w Budapeszcie nie ma żadnych krewnych. A może Judit ma przyjaciela, który lubi zaglądać do kieliszka? Nie, to bzdura.

„Siedzi i gapi się — pomyślał Pongrácz. — Bierze kupę pieniędzy, jest *zasłużonym pracownikiem oświatowym*, a nawet nie wie, co się w domu dziecka dzieje. Biedna mała, jeżeli w poniedziałek jest tak źle, to co musi wyrabiać się teraz, w sobotę wieczorem? Pewnie, sobota to co innego, w sobotę wieczorem włóczę się po mieście nawet takie potulne baranki jak Hidas, który wina do ust nie bierze, uznaje tylko mleko. A dziś spaceruje z kobietą i to jaką młodą. Tej tu chyba serce pęknie! Dobrze, że jest pogrążona w rozmowie, nic nie widzi ani nie słyszy, koło fontanny ciemno, Hidas tu nie patrzy, nie trzeba mu się kłaniać.”

Marta również spostrzegła Hidasę i rozpoznała dziewczynę. Była to starsza siostra Kati Lemberger, studentka, taka sama jasna blondynka jak Kati, tyle że szarooka. Włosy uczesane w koński ogon, sukienka w grochy. Alice Lemberger. Gdy przechodzili przed sklepem korzennym, potknęła się, Hidas chwycił ją za łokieć i już nie puścił. Szli dalej trzymając się pod rękę. Ona musi mieć strasznie długie włosy, gdy je rozpuści, chyba sięgają do pasa.

Marta odczekała chwilę, po czym wstała, chciała już iść do domu. Pongrácz zamamrotał, że na szczęście

biedni ludzie pomagają sobie w nieszczęściu i András Kis (a to kto znowu?) zrobi z tym porządek. Marta nic nie mogła zrozumieć. Pożegnała się z Pongráczem i ruszyła w stronę domu. Apteka jeszcze była otwarta, przez szybę wystawową i drzwi padało na ulicę jaskrawe światło. Dyżur miał Riegler, ojciec Kriszti Riegler z piątej klasy, który mieszał coś w porcelanowym tygielku. Apteka szalenie uspokaja. Umieszczony nad dzwonkiem, oświetlony czerwony krzyż zdawał się mówić, że każdy cierpiący winien tylko wejść, Riegler zadzwoni kasą elektryczną, zakręci rączką wystukującą cyfry, wyda lek i chory wyzdrowieje.

Jakie głupie myśli przychodzą czasem człowiekowi do głowy!

W domu najniespodziewaniej w świecie przypominały jej się lata gimnazjalne, Judit Papp z bujnymi, rozpuszczonymi włosami i Kató Nagy, obie rozchichotane wesoło. Kató Nagy już w ósmej klasie miała pierścionek zaręczynowy, w szkole nie mogła go nosić, więc rano zawieszała pierścionek na łańcuszku, obok medalika z Matką Boską, a na ostatniej stronie jej zeszytu od łaciny, tam gdzie prowadziła wykaz fragmentów, których musiały uczyć się na pamięć, widniał napis: *żona praktykanta muzealnego Kálmána Hallera*. Potem nagle przypomniał jej się Pally, profesor pedagogiki, i szklany dach dziedzińca uniwersyteckiego, w zimie zawsze zasypany śniegiem; biegały pod tym dachem tam i z powrotem, wściekały się i buntowały, przeklinały senat uniwersytecki, który zgodził się na to, żeby w najgorętszym okresie nauki chodziły do kliniki na badania. Co za idiotyczny pomysł! Akurat przed egzaminem z pedagogiki, kiedy człowiek odbywa praktykę i jak nieprzytomny lata między szkołą a uniwersytem! Wyniki badań są potrzebne do jakichś statystyk, dlatego uniwersytet interesuje się, ile z nich ma sucho-

ty, a ile zeza. Długo zwlekały, wreszcie jednak musiały pójść, badali je sami młodzi lekarze, zaledwie o parę lat od nich starsi, to było szczególnie oburzające. Judit okropnie się buntowała, ale włożyła najładniejszą bieliznę i gdy z opuszczonymi ramiączkami weszły na badanie serca, a młody lekarz zwrócił się ku nim, zaczerwieniła się jak piwonია. Natychmiast rozpoznały w nim Gábora Nagya, starszego brata Kató, którego już od lat nie widziały.

A więc Hidas chciał jej powiedzieć, że się żeni. Ma rację, samotne życie nie jest łatwe. Wyjątkowo starannie przygotowała sobie kolację, wyjęła z lodówki pół kurczaka, upiekła go, zostało jeszcze tyle, że następnego dnia nie będzie musiała gotować, przez całą niedzielę będzie mogła odpoczywać. Mimo wszystko powinna była gdzieś wyjechać na lato, jest jakaś nerwowa i przewrażliwiona, bez żadnego konkretnego powodu jej oczy raz po raz zachodzą łzami.

„Fontanna podczas największego bombardowania też się zvaliła — pomyślał pan István. — Ta nie jest oryginalna, tamta rozleciała się.” Gdy pocisk uderzył w szkołę, odłamek zawadził o fontannę, oderwał piorącej dziewczynie głowę i ręce, upłynęło sporo lat, zanim przytwierdzili jej nową głowę. Ma taką samą twarz, a jednak nie jest taka sama, bo człowiek wie, że jest nowa. Mimo to fontanna jest ładna, dziewczyna pierze klęcząc, włosy zwisają jej do przodu na taką samą długość jak Zsófica. Erzsi miała krótkie włosy, nie cierpiała długich, ciągle gdzieś się wdrapywała jak chłopak, wrzeszczała, że włosami o coś zaczepia, a ta głupia matka ustąpiła jej i kazała ją ostrzyć. Jak ona lubiła tę fontannę, ile razy ją tu wynosili! Tu także, na tym placu, uczyła się chodzić, co to była za ra

dość, gdy już doczłapywała do fontanny. Doszedłszy do niej klaskała w rączki i jak mały prosiak sapała z dumy.

O tej porze tramwaj rzadziej chodzi, ludzie spieszący do teatru już pojechali, wróćą do domu dopiero koło jedenastej, przynajmniej konduktor może na chwilę usiąść. To ciężka praca, męcząca, przez cały dzień wydawać bilety, a jak przypadkiem się pomyli, zaraz na niego krzyczą. Imre był młody, a mimo to całe nogi miał pokryte żylakami, gdy go wyciągali spod gruzów, on najbardziej przyglądał się żylakom, licho wie dlaczego. Klęczał między kamieniami, wystarczyło, że zobaczył jego nogi, i od razu go poznał. Erzsi miała białe sandaiki, też nie musiał długo macać, by ją rozpoznać.

O tej porze wszystkie hałasy cichną w porównaniu z dniem, a mimo to nabierają mocy, diabli wiedzą czemu. Człowiek słyszy nawet takie odgłosy, na które za dnia nie zwraca uwagi. Chyba ze sześć tygodni nie wychodził na dwór, od śmierci biednego doktora, wracał wówczas do domu jak nieprzytomny, na nic nie patrząc; wiedział, że tam stoi skrzynia z zaprawą wapienną, ale zupełnie o niej zapomniał, jakby nigdy jej nie widział; gdy się ocknął, już Székely i András Kis taszczyli go w dół po schodach, a noga w kostce dyndała, aż obrzydzenie brało patrzeć.

Po przeciwnej stronie placu, za jego plecami ktoś otworzył bramę. Mogliby ją naoliwić, piszczy jak prosiak. O tej porze nawet kroki ludzkie daleko słyhać. Ktoś przemknął koło niego po wyźwirowanej alejce szybkim, lekkim krokiem. Diabli go nadali, ledwie został sam i zaczął naprawdę dobrze się czuć. W dodatku usiadło koło niego dziecko, czego u licha może dziecko szukać po dziewiątej wieczorem przy fontannie?

Chłapie się w wodzie. Nie ma milicjanta, który by je przepędził, ani nauczyciela, a jego zasłania postać piorącej dziewczyny. Zanurza rękę i miesza wodę. Możliwe, że chodzi do ich szkoły, bo wyszła spod dziewiątego, a ten dom należy do ich rejonu. To dziewczynka, mniej więcej w wieku Zsófik. Jak widać, niewiele sobie z matki robi, matka też o nią nie dba, skoro tak późno wypuszcza dziecko na dwór i nie woła go. Dziewczynka pochylała się, podstawiła usta pod strumień wody i pije jak kaczką.

Och, jaka ona smutna, nawet głupstwa jej nie chodzą po głowie, tak jak w ciągu roku szkolnego. Wszystkie one całą złośliwość chowają dla niego, w szkole wrzeszczą, biegają, kurzą, na próżno odmalowuje się klasy, daremnie on wbija wszystkie gwoździe w ściany, dziewczuchy piszczą na korytarzu i zasmarowują wszystko. Tam pieskie nasienie nie żałuje głosu, tylko tu milczy, a w ogóle po cholere tak gapi się na tę fontannę?

Palcem pociąga po złoconych literach wypisanych u podstawy fontanny. Erzsi miała książkę z czytankami, w której opisana była historia tej piorącej dziewczyny; historia dobrze się skończyła, bo wprawdzie dziewczyna umarła, ale wówczas zjawił się husarz, który wrzucił różę do wody i z kwiatu wykluła się dziewczyna, stokroć piękniejsza niż przedtem. Nie byłoby źle, gdyby człowiek mógł podejść do fontanny i wrzucić kwiat, z którego nagle wyszedłby ktoś, kto kiedyś żył, ale umarł. Niech to kule biją, co mu przyszło do głowy?! Boi się wytrząsnąć fajkę, bo się bachor spłoszy, a miesza wodę ze świętym przekonaniem, iż jest sama na świecie.

A przecież nie jest sama. Nie jest, no, wreszcie go usłyszała, podniosła głowę, przycaila się, patrzy, och, ale się przelękała. W świetle księżycy twarz dziewczynki wyraźnie widać, po chwili jednak mała kuca, chowa

się za muszlę fontanny. Od placu nadchodzą trzy osoby, dwaj mężczyźni i kobieta. Kobieta malusieńka, ma odkryte ramiona, po co ona w ogóle się ubiera, jeżeli tak lubi pokazywać swój cherlawy kręgosłup. Po jej lewej stronie kroczy mężczyzna, którego twarzy nie widać, bo jest odwrócony w stronę kobiety, blondyn w koszulce z krótkimi rękawami. Muszą się bardzo lubić, gdyż trzymają się za paluszki, ich można się nie obawiać. Jeżeli się bać, to raczej drugiego mężczyzny, idącego po prawej stronie kobiety, którym jest monter Karcsi Seres; jak oni się spiknęli, Seresowi tak źle z oczu patrzy, lichy wie, co robił, zanim pojawił się w dzielnicy. Na autach się zna, ręce ma jakby stworzone do motoru, na dźwięk jego głosu auto by chyba samo pojechało. Coś mu Dobozi o nim mówiła, jakieś banialuki, uleciało mu jednak z pamięci, bo ona bezustannie miele jęzorem, jest największą plotkarą w dzielnicy, wszystko wie. Już parę tygodni temu puściła wiadomość, że Hidas co sobotę jada kolację u Lembergerów. Czort wie, co ona klepała o Karcsim, ale coś niedobrego. Ciekawe, kogo dziewczynka się wystraszyła i czym może być dzieckiem, chyba nie Seresa, bo on nie ma żony. Prawdopodobnie tamtych dwojga, jeżeli są małżeństwem. Przeszli koło fontanny, kobieta trzyma jakiś kwiat w ręku, rumianek, jeśli go wzrok nie myli. Tak, czerwony rumianek. Gniecie nieszczęsny kwiatek, pewno myśli, że mu dobrze w jej suchych łapach. W końcu cisnęła go na ziemię, niegodziwa, prosto w ten kurz. Szkoda w ogóle było zrywać.

Seres coś mówi. Że już dalej nie pójdzie i jutro się nie spotkają, żeby w poniedziałek ani minuty się nie spóźnili, bo nawet na własną matkę by nie zaczekał, niech no o tym pamiętają. On i tak nigdzie by z nim nie poszedł, ale swoją drogą, ile Pan Bóg zwała na jeden dzień, ile osób ma coś do załatwienia w ponie-

działek. Oni z Andrássem Kisem także, żeby tylko murarz nie zapomniał pójść do muzeum.

Dziewczynka nadal siedzi skulona za fontanną, teraz już wiadomo dlaczego, bo oto kobieta weszła do bramy pod dziewięcym. Nic dziwnego, że smarkata się wymyka, jeżeli matka włóczy się po nocy z mężczyznami. Seres zniknął, a chudy postać trochę przed bramą, po czym ruszył w kierunku ulicy Katony.

Dziewczynka wstała, zanurzyła ręce w wodzie i opryskała sobie twarz. Myje się. Co ona myje, nie miała na twarzy żadnych plam. Może beczała tam w ukryciu. Chłapie się w wodzie, wreszcie wyciera fartuchem twarz i znowu gapi się na piorącą dziewczynę. Ta też niewiele weselsza od niej, zdaje się, że biedaczka była sierotą. Mała wreszcie odchodzi, żwir chrzęści pod jej nogami, chociaż ma sandały na gumie, a nie drewniaki jak w czasie wojny. Nosi białe sandałki, takie same jak Erzsi.

W szkole skrzypnęły drzwi, ukazał się Székely. Murowane, że punktualnie; sprzątać to on nie lubi, ale nigdy się nie spóźnia. Tu da sobie radę bez niego, gorzej będzie ze schodzeniem w dół. Trochę powietrza dobrze mu zrobiło. Nie lubi się schylać, ma już stary krzyż, ale nie zostawi tego pięknego kwiatka na ziemi. Człowiek, który rzuca kwiaty, nie ma serca. Székely z zainteresowaniem patrzył, co on tam grzebie, czego szuka na ziemi.

Gdyby rumianek miał dłuższą łodygę, zabrałby go ze sobą, u niego w pokoju jest tak zimno, że kwiatek by jeszcze trochę pożył. Ale w kurzu go nie zostawi. „Pożyj jeszcze troszkę!” — pomyślał pan István i mijając fontannę wrzucił kwiat do muszli.

XV

Dawniej niedziela była dniem jednej wielkiej radości.

Już na początku tygodnia układali trasę wycieczki i jeśli tatuś nie miał dyżuru, nigdy nie pozostawali w mieście. Dwa fakty nadawały niedzieli szczególnie odświętny i pasjonujący charakter: obiad jedli nie tak jak zwykle przy stole i mamusia nic nie pisała. Nie zawsze wyjeżdżali we trójkę, czasem wybierali się z nimi wujostwo z Marianną, a czasem zabierał ich autem wuj Balázs. Ale nawet czyjeś towarzystwo nie puło uroku niedzieli. Był to najdłuższy dzień na świecie, kiedy indziej człowiek nawet nie dostrzegał, ile zdarzeń może pomieścić się między brzaskiem a zmierzchem: niedziela rozpadała się na rano, przedpołudnie, popołudnie i wieczór, nieraz nawet, gdy wyjeżdżali dalej, dochodziła jeszcze noc; w pociągu zasypiało się trochę, oparłszy głowę na ramieniu tatusia, w drodze z dworca do domu zawsze mignęło jakieś nie zauważone za dnia, niespodziewane światło, rozbrzmiało pijackie zawodzenie, syrena karetki pogotowia czy strażnicy pożarnej.

Seria tych niedziel rozpoczynała się wiosną, a kończyła dopiero z nadejściem zimy. Letnie niedziele pachniały owocami i trawą, gdy wchodzili na szczyty skał, bluzka Zsófikki furkotała i pęczniała, jak gdyby kryły się pod nią piersi dorosłej kobiety, a to tylko wiatr ją tak wydymał, zaś na opalonym ramieniu dziewczynki połyskiwał blond meszek.

Teraz naturalnie znikły i niedziele. Mamusia posprzątała, a potem w zaciemnionym pokoju usiadła przy stole i zaczęła czytać; od śmierci tatusia zawsze robiła to samo. Szczęście, że ona ma posadę i może wyjść z tego smutnego domu, pan István na nią czeka. Wczoraj powiedział, że dziś na obiad wystarczą ziemniaki w papryce, już spytała, jak się je robi, zaraz pójdzie, rano na ulicy nie jest tak gorąco.

Gdy przysła, pan István był na nogach, nie musiała nawet słać łóżka, sam przetrząsnął i wywietrzył pościel. Dobrze, że zażywa trochę ruchu, przyzwyczajają nogę do chodzenia, praca zdrowych części ciała zmusza chorą kończynę do wysiłku, jakby jej nic nie było. „Surowo trzeba się z nią obchodzić — przypomniała sobie Zsófi słowa tatusia. — Złamana kość zachowuje się jak tchórz, dopóki jest w gipsie, trzeba na nią bardzo krzyczeć, wówczas przestraszy się i posłucha.”

Jak już przyzwyczaiła się tu przychodzić! Pan István czyta gazetę, ona sprząta, oswoiła się już z tym pokojem; jest duży, tylko jedno łóżko posłane, drugie natomiast przykryte kapą, to robi dziwne wrażenie. Na nie posłanym łóżku leży bardzo dużo pościeli, kiedyś zapewne sypiało tu wiele osób, może nawet ktoś spał na tapczanie. U pana Istvána zawsze jest coś do roboty. W domu, gdy wypełni swoje obowiązki, objęta się po kątach. Mamusia jest taka strasznie smutna, a ona nie wie, jak ją pocieszyć. Mamusia nie cierpi szkoły, widocznie zapomniała, jak w szkole jest dobrze, jak dawno była dzieckiem. Dziś podczas sprzątkania Zsófi wzięła do ręki kapelusz wiszący na ścianie, nie był jednak zakurzony, jest to chyba jedyna rzecz, którą pan István wyciera z kurzu.

Ziemniaki w papryce nieźle się udały, tylko zdaniem pana Istvána „za bardzo rozcieńczyła sos”. Następ-

nym razem wleje mniej wody. To oczywiście nie jest prawdziwe gotowanie, ot, taka sobie zabawa, co innego zastęp kucharek, tam naprawdę gotują, pani Biró kupiła dziewczynkom piękne, białe chusteczki na głowę, ona nawet chustki nie ma; wprawdzie włosy jej nie opadają, bo zaplotła w warkocz, ale jednak. I zamiast białego fartuszka ma niebieski. Tam na górze gotują doskonałe rzeczy, ale ona nie może się do nich przyłączyć, ponieważ zbyt słabo się uczy.

Mamusia usmażyła kotlety i zrobiła sałatkę z ogórków, to było bardzo dobre, poza tym upiekła ciasto, co prawda zwyczajny biszkopt, ale z cytrynowym nadzieniem. Szkoda, że nie była w domu i nie widziała, jak się piecze biszkopt, mogłaby kiedyś zrobić panu Istvánowi. Mamusia jadła mało, ciągle częstowała Zsófikę, która od razu odłożyła kawałek; zanieśie jutro do szkoły. Gdy jadły owoce, mamusia powiedziała, że dzwoniła ciocia Kató. Marianna o tydzień później wraca z obozu, zaprosili ich do jakiejś osady górniczej.

Dobrze, że mamusia zachowała tę wiadomość na deser, gdyż Zsófice gardło ścisnęło się z emocji, zaczęła łykać ślinę, straciła ochotę na morele. Marianna wraca dopiero za tydzień! A więc sama będzie musiała przeżyć jutrzejszy dzień! Jeżeli Torbogłowy nie zatrzyma wuja Kálmána, wuj przepadnie na wieki. Pierwotnie umyśliła sobie, że pójdą razem z Marianną i z jakiegoś ukrycia będą obserwować Torbogłowego, ewentualnie Marianna też wejdzie do muzeum. A teraz co? Pozostała sam na sam z potworną tajemnicą. Omal się nie rozplakała.

Bez wątpienia dlatego wybrali ten dzień, że Marianna już dziś powinna być w domu, a wuj Kálmán na pewno chciał ją jeszcze zobaczyć. O czym on teraz myśli pakując rzeczy, szykując się do drogi? Czy na-

pisze do niej pożegnalny list, czy zostawi jakąś wiadomość? Wiadomości chyba nie zostawi, bo co mógłby powiedzieć, a przede wszystkim kim się posłużyć?

W poniedziałek Zsófiika zdradzała taki niepokój, że pan István gołąc się syczał i przeklinał łobuzów, przez których musi tak się skrobać, i co chwila zwracał ku niej wzrok. Jest bardzo niespokojna, w ogóle nie zwraca na niego uwagi, nawet nie słyszy, gdy coś do niej mówi, pobladła, jakby nie spała, natomiast ciasto, które przyniosła, było wyjątkowo dobre, szczególnie to zimne, zółte nadzienie przyjemnie odświeżyło mu w ustach.

Po jakie лихо gryzie się tym nędznym moczymordą? András Kis ma ręce jak łopaty, wychodząc powiedział, że jeśli inaczej nie da rady, stłucze pijaczynę na kwaśne jabłko, dawno się nie bił, chętnie się rozrusza. Ale tego jej nie powie, niech się dziewczyna nauczy, że jeżeli raz powiedział, to sprawa będzie załatwiona. Kiedy pękła deska w katedrze, dyrektorka zaczęła beczeć, załamywać ręce, jak teraz będą uczyć, wówczas oznajmił jej, żeby się zdała na niego, i na południe ta przeklęta katedra była gotowa; niechaj nikt nie śmie wąpić w jego słowa.

Nadzwyczajnego humoru to on też nie ma. Nienawidzi chodzić do ubezpieczalni, a na dziś jest zapisany do rentgena. Mała mu pomoże, tylko najpierw przyniesie fasolę z hał i posprząta, gotować dziś nie będzie, wystarczy, jeżeli z nim posiedzi i poczeka w kolejce do rentgena. Niech mu tylko pomoże dojść tam i z powrotem, potem może lecieć do domu. Sam ugotuje tę odrobinę zielonej fasoli, którą ona przyniesie, dotąd nie miał kucharki i od śmierci Marcysy sam gotował. Gdy mała dowie się, jaka zabawa ją czeka, ucieszy się, dzieci lubią takie hece, jeżeli same nie są chore. Będzie miała na co patrzeć, na te mnóstwo maszyn, kupę

ludzi i windę wiecznie latającą do góry i na dół, może nawet wpuszczą ją do rentgena, tylko on się nie zgodzi, bo kto będzie pilnował jego czapki i kija?

Sam diabeł nie odgadłby jej myśli: nie cieszy się! Stoi, ściska torbę w rękach i krzyczy, że nie pójdzie. Akurat będzie ją pytał, słuchał jej rad, jej, Zsófiiki Nagy, bo jest bardzo mądra i zawsze ma coś do powiedzenia. Jeżeli nie słyszała jego wrzasku, to może usłyszeć. Ale z niej uparciuch, zbladła jak ściana, rzuciła fasolę i w kółko powtarza, że może ją ugotować, ale do ubezpieczalni na ulicę Hattyú nie pójdzie, nie pójdzie, nie pójdzie i koniec. Co robić, trzeba jej dać po tyłku. Jeśli nie rozumie, jak się mówi, to trzeba przyłożyć. O, proszę. Ładnie klasnęło, co?

Patrzcie ją, nie ryczy, tylko wlepiła w niego wzrok, zła, aż jej iskry sypią się z oczu, a on nie wie, co robić, rozzłościć się i na serio spuścić jej lanie czy wybuchnąć śmiechem. Idiotka. Jeszcze śmie go pouczać, krzyczeć, że dzieci nie wolno bić.

Ach, więc to w szkole ich uczą ci durni nauczyciele, że dzieci można tylko głaskać, tak, głaskać. Gdyby spytali jej matkę, dowiedzieliby się, że jest mu wdzięczna za to, że dał małej po tyłku, oduczył ją upor. Biedna kobieta, nie ma nikogo poza tym pijanicą, może się tylko cieszyć, jeżeli ktoś pomoże jej trzymać panniekę w ryzach. Jeszcze tego by brakowało, żeby rodzice mieli z nią kłopot. To Marta Szabó tak uczy, aż do znudzenia prawi morały: „Tylko proszę nie bić dziewczynki, pani Takács, tylko dobrym słowem i cierpliwością, pani Gál!” Nic dziwnego, sama nie ma dzieci, ani małych, ani dużych, nikt jej nie dokucza, ciekawe, co by robiła, gdyby miała ze dwanaścioro.

O, patrzcie, naczupurzyła się jak kogut, poczerwie-

niała i znowu powtarza, że dzieci nie wolno bić. Ma odwagę drugi raz to powiedzieć! Pan István wziął czapkę i podszedł do kredensu, gdzie leżało wykładane muszelkami pudełko — trzymał w nim papiery. Wyjął kartkę z ubezpieczalni, z którą miał się zgłosić do rentgena. Czeką go ładny kawałek drogi, a ta mogłaby się wreszcie przymknąć. Dziwny dzieciak, patrzy na niego, nawet nie ma łez w oczach, tylko o mało nie pęknie ze złości. Biedna jej matka, urodziła sobie córkę na własne utrapienie, charakterną jak rzadko.

— Ruszamy! — zarządził. — Myślisz, że chodzę jak młody chłopak, he? Trzymaj kartkę i ciągnij mnie po schodach. Najpierw dojdziemy do placu, tam wyspię się na ławce, potem do ulicy Katony, gdzie ponownie odpoczniemy, i w końcu się dowleczymy. A jeżeli ktoś będzie się na mnie gapił, dostanie po pysku. Ty też możesz oberwać, jeśli będziesz mi tu stroić fochy.

— Pójdę tylko do bramy — odparła Zsófiika.

Pan István odwrócił się i nacisnął czapkę. Dawno jej nie nosił. Kijem się posługiwał, lecz czapka leżała bezużytecznie. Dziś ją włoży. Tylko do bramy! Z jaką dumą to powiedziała, jakby robiła mu uprzejmość. Podła dziewucha!

„Nie mogę wejść do środka — pomyślała Zsófiika. — Jesteś dla mnie niesprawiedliwy, przebrałam ci fasole i ślicznie posprzątałam pokój. Przychodzę co dzień, żebyś nie siedział sam, żeby wszystko ci zrobić. A ty uderzyłeś mnie, wykręciłeś mi rękę, nie wiesz, że nigdy w życiu nikt mnie nie uderzył. Mamusia twierdzi, że bicie prowadzi tylko do złego, teraz, gdy mnie uderzyłeś, może mi się coś złego przydarzyć. Nie ma kto cię zaprowadzić, więc pójdę z tobą, co byś sam zrobił, ale nie dalej niż do bramy, do środka za nic nie wejdem.”

Ulica Hatyú leżała o dziesięć minut drogi od szkoły. Pan István potrzebował na ten kawałek dobre pół go-

dziny. Co jakiś czas przystawał, wspierał się na Zsófi, zdejmował czapkę i ocierał czoło. Przyglądał się dziecku postępującemu u jego boku, stawiającemu dużo mniejsze kroki niż zwykle i wiernie towarzyszącemu we wszystkich przystankach. Też głupia, wzięła sobie do serca te trzy klapsy, jest okropnie wrażliwa. Jeszcze będzie z nią wiele kłopotów! Powinna się cieszyć, że ją ze sobą zabrał, dla zdrowego to świetna zabawa. Gdyby żył Gábor Nagy, zaprowadziłby ją do niego i poprosił o pokazanie tych wszystkich elektrycznych świństw, którymi leczył jego newralgię, ale niestety już nie ma znajomych w ubezpieczalni, więc widowisko małą ominie.

Było ciepło, mimo czterech odpoczynków serce mu waliło. „Jestem stary — pomyślał — na tym się skończy, że będę nosił gips, aż wyciągnę kopyta. Po jakie licha kazali mi przyjść do rentgena, kiedy ciężko mi łązić jak kulawemu psu.” Gdy doszli do bramy, oparł się o framugę drzwi, na moment pociemniało mu w oczach, myślał, że upadnie. Zsófi chwyciła go za ramię i jakoś wziął się w garść. Przeraziła się, durna, że stary się zwali, tego by jeszcze trzeba było. Niezła z niej dziewczyna, tylko czasem dostaje bzika, wtedy trzeba jej upór wybić z głowy. Jednak wchodzi do środka, chociaż dotychczas upierała się jak osioł, że nie wejdzie, dojdzie tylko do bramy. Jak by on, do cholery, wlaźł po tych sześciu schodach, we łbie mu się kręci, w ogóle cieszy się, że żyje. Dobrze, że Zsófi trzyma go za rękę, ma krzepę, choć jest taka mała.

Wydawało mu się, że do rentgena idzie się na lewo, na tablicy jednak zobaczył, że na prawo. Na lewo był gabinet, w którym leczono elektrycznością. E l e k t r o t e r a p i a. Patrzcie ją, wariatkę, znowu płacze. Płacze? Skowyczy. Ze złości minęły mu nawet zawroty

głowy, które przed chwilą tak go osłabiły. Gdy dał jej w skórę, nie beczała, a teraz zaczyna. I to jak wstrętne, jak obrzydliwe, aż wszyscy na nich patrzą. Ktoś nawet podchodzi, jakaś kobieta w okularach, i pyta, co jej się stało, na niego nawet nie spojrzy, choć po gipsie mogłaby się domyślić, kto jest chory; on nie ma zwyczaju narzekać, choćby go najbardziej bolało, a ta smarkata drze się wniebogłosy, powinien ją stąd wyrzucić. Jeszcze ją głaszczą, niech lepiej ta baba wynosi się, bo ją zdzieli.

— Może do laryngologa? — spytała okularniczka. — Wnuczka się boi?

Boi się! Erzsi nie bała się, na widok doktora rozdziewiała buzię, jakby chciała mu głowę odgryźć. Beksa, żeby choć wiedział, co jej się stało. Twarz wykrzywiła szkaradnie jak żaba, nie patrzy na nic, zamiast mu pomóc, ją trzeba prowadzić, niedorajdę jedną. Piękną ma z niej pociechę, szkoda, że nie przyszedł sam. Jeśli nie przestanie się drzeć, znowu ją uderzy i ludzie w ubezpieczalni zobaczą cud.

Gdy oddali karteczkę i usiedli w poczekalni, dziewczynka odsunęła się od pana Istvána na koniec ławki i ukryła twarz w dłoniach. Jej plecy raz po raz drgały konwulsyjnie. Ciągłe beczy, że też jej tchu nie zabraknie, ma jakieś diabelskie gardło. Jakiś chory przysuwa się do niej i wypytuje, co jej dolega, zaczyna ją pocieszać, że rentgen nie boli, oj, bo nie wytrzyma i powie mu coś brzydkiego. Niechże ją wreszcie zostawią w spokoju! Jak długo jeszcze będzie tu siedział, przecież był zapisany, skoro go wezwali, niech patrzą, kiedy będzie można ściągać to świństwo z nogi. Gdy go wreszcie poprosili, wcisnął Zsóficę czapkę w rękę. Ma ją trzymać, a nie rzucać byle gdzie, bo jeśli ukradną, źle z nią będzie. Zrozumiała?

Rentgen wykazał, że kość została prawidłowo zło-

żona, ale jeszcze jest słaba, musi pozostać w gipsie około trzech miesięcy. Przez ten czas nie powinien nogi nadmiernie oszczędzać, lecz codziennie trochę chodzić. Druga noga może jednak odczuć ciężar całego ciała i spuchnąć, to nic groźnego. W takim wypadku należy ją obandażować, wypisali mu nawet receptę na bandaż.

A więc teraz obandażuje drugą nogę, może najlepiej by było, gdyby mu jeszcze zaaplikowali talerz cynowy na głowę, wówczas byłby z niego pajac na całego. Zsófią w dalszym ciągu siedzi skulona i patrzy w podłogę, znowu trzeba na nią wrzasnąć. No, nareszcie przestała się mazać, a i czapkę upilnowała. Tak samo, jak przedtem, idzie ze wzrokiem wbitym w ziemię, nic jej nie interesuje, widocznie lubi oglądać spluwaczki. Zgoda, że plakaty nie są zbyt ciekawe, ta kobieta, która w trakcie karmienia okrywa głowę dziecka chustką, jeszcze ujdzie, ale ta druga, która twierdzi, że rak jest uleczalny, nie bardzo się udała. Żeby przynajmniej była barwna, tak jak chustka tamtej kobiety, ale nie, cała żółta, nie warto przed nią stawać.

W hallu nie ma już takiego zgiełku. Cholera jasna, jeszcze tyle czasu będzie musiał nosić ten przeklęty gips, wyglądać jak chrząszcz utyłany w wapnie. Ta dziewczyna o kuso podstrzyżonych włosach i z mnóstwem papierów wydaje się znajoma; gdyby odwróciła się twarzą, mógłby powiedzieć, czy to ta, o której myśli. Ale nie chce tu spojrzeć, stoi i gada. No, wreszcie się ruszyła, spojrzała i uśmiechnęła, już do nich idzie. Ależ oczywiście, to Valika czy jak ją tam u Boga Ojca nazywali, Fryga, która u Gábora Nagya prowadziła karty chorych.

Zsófi poznała Valikę dopiero wtedy, kiedy się do nich odezwała. Do tej pory dziewczynka nie podnosiła wzroku, obserwowała podłogę, czystą, lśniącą,

cztery razy dziennie zmywaną podłogę. Aby tylko nigdzie nie patrzeć, szczególnie na lewo, nawet gdyby miała się wywalić. Po lewej stronie jest Elektroterapia, pokój numer dwanaście na parterze. Tam przyjmował tatuś. Tam umarł.

Pan István poczuł się dotknięty. Fryga najpierw zagadała do małej, a nie do niego, skąd mała ją zna, może nie trzeba było jej bić, może ciągaliby tu dziewczyninę z wszystkimi chorobami i któryś z lekarzy odpowiednio ją wymęczył. Bo Fryga też zna Zsófikę, już po raz drugi ją pyta, co tu robi.

— Przyszła ze mną — powiedział naburmuszony przekładając kij do drugiej ręki.

— Teraz pana poznaję. Więc jednak spotkaliście się? — zdziwiła się Valika.

Kto? I z kim? Ta też jakaś durna.

— Wreszcie pana znalazła. Ileż się naszukała! Jak to się stało?

Zsófika wyrwała rękę z dłoni pana Istvána i rzuciła się do wyjścia. Ktoś zwrócił jej uwagę, o mało nie przewróciła wchodzącego do budynku człowieka. Pongrácz zaczął za nią wołać, ale nie zatrzymała się, po chwili w ogóle znikła z oczu. Pan István chciał zakląć szpetnie, lecz ugryzł się w język.

Tego już za wiele! Niech no tylko mu się pokaże, a kij będzie w robocie! Taki wstyd i akurat przy Frydze, której od tak dawna nie widział.

— Dokąd ona poleciała? — zapytała Valika.

— Diabli ją gdzieś ponieśli — odrzekł pan István. — Przez cały dzień była jak dojrzały wrzód, to beczała, to wrzeszczała, w domu ją nawet stłukłem. Nie dam jej dzisiaj ani fillera.

— Pieniądze? Zsófice?

Tam do licha, cóż takiego, czemu wszyscy się tak

dziwią, i nauczycielka, i Fryga. Czyż on nie może wziąć sobie kogoś do pomocy? Ma tłumaczyć Frydze, o co chodzi? Cholerę w bok, nie będzie tłumaczył. Milczał skrobiąc kijem po podłodze. Przyjemna droga go czeka, podła smarkata puściła go w trąbę.

— Od razu się domyślałam, po co pana szuka — ciągnęła Valika. — Ale nic nowego biedaczka nie mogła się od pana dowiedzieć.

Gdyby wiedział, o czym Fryga mówi. Chrząknął czekając na wyjaśnienie.

— Mam dla niej nowe pudełko, a ona poleciała. Proszę jej powiedzieć, żeby przyszła i zabrała. A jak pana newralgia?

— Widzi pani — odparł pan István wskazując na gips. — Tym razem wlaźła mi w nogę.

Valika z uśmiechem pokiwała głową, poprosiła o wyniki badania, obejrzała i stwierdziła, że jak na jego wiek wcale nie są złe; wygląda na to, że szybko wraca do zdrowia. Tylko oczywiście każde leczenie wymaga cierpliwości.

— Skąd pani zna tę dziewczynkę? — zapytał pan István. — Ona też się tu leczyła?

Valika roześmiała się i rzekła, iż zna Zsófikę niemal od urodzenia. Pan doktor przyniósł ją, jak jeszcze była w pieluszkach.

Pongráczył przeląkł się. Chyba nie była ułomna, żeby ją mieli pokazywać? Mogła być chorowita, pewnie dlatego nosili tu biednego robaczka. Może dlatego jest taka dzika, że już w pieluszkach różniła się od innych dzieci. Chyba da jej te cztery forinty. Jeżeli od najmłodszych lat nieprzerwanie ją tu męczyli, ma prawo nienawidzić tego budynku. Ale czemu taka z niej niemowa, nigdy nic nie powie.

Ktoś poprosił Valikę, żeby się pospieszyła, gdyż jest potrzebna.

— Pan jednak dotąd nie powiedział mi, gdzie się spotkaliście.

Znowu to bezsensowne pytanie!

— Nigdy bym nie uwierzyła, że pana odnajdzie.

— W domu — mruknął pan István.

Gdzież go mogła znaleźć, jak nie w domu? Ależ ta Fryga głupia.

— I gdy się dowiedziała, zrobiło jej się smutno?

— Czego się miała dowiedzieć?

Lekarz, który przed chwilą wołał Valikę, wyszedł na korytarz i zbliżył się do nich.

— Proszę się nie gniewać — rzekła Valika — to pan Pongrác, ostatni pacjent doktora Nagya. Okropnie się zdziwiłam widząc go z nogą w gipsie i w towarzystwie Zsófik, córki biednego doktora Nagya. Wie pan, to ta mała, która za wszelką cenę chciała dowiedzieć się nazwiska pana Pongrácza. Pamięta pan, w zeszłym tygodniu szukałam dla niej karty pana Pongrácza.

— Naturalnie — przytaknął lekarz. — Biedactwo. Nie chciała uwierzyć, że ojciec nic nie kazał jej powtórzyć. Niestety, Valiko, musi pani skończyć rozmowę, sam nie dam sobie rady.

Valika uściskawszy Pongráczowi rękę pobiegła do gabinetu.

„E-lek-tro-te-ra-pia” — sylabizował pan István. Z tego miejsca doskonale widział drzwi oznaczone numerem dwanaście, za którymi od śmierci doktora noga jego nie powstała. Warto by gdzieś usiąść, tym bardziej że Zsófik uciekła, nie ma z kim iść do domu, trzeba zebrać siły. Znalazł pustą ławkę, przysiadł na jej skraju. Tu wolno zapalić, ma ochotę na fajkę. Zaczął oglądać napisy; w jednym miejscu było napisane: SZATNIA, a na innej tabliczce: AMBULATORIUM.

Nie wolno bić dzieci, krzyczała zasłaniając tyłek rękoma. Już jej więcej nie zobaczy, i tak cud nad cuda, że dotąd przychodziła, chyba już drugiego dnia mogła się zorientować, że daremnie przychodzi, on i tak nic nie wie; szkoda, że od razu nie powiedziała, o co chodzi, coś by wymyślił, że ojciec pozdrawia ją stamtąd albo kazał jej powiedzieć, żeby była dobra i uczyła się, coś w tym guście. Och, cielę malowanel

Gdy rozmawiał z Andrásem Kisem, paskudnie zacięła się w rękę, a on jeszcze z niej szydził, już od wtedy nieszczęsna wiedziała, że na próżno do niego łązi, więc po co chodziła dalej, skoro nie potrzebowała tych jego czterech forintów? On jeszcze namawiał jej matkę na pracę przy murarzach, ale czemu od razu jasno nie mówiła?

Po to tylko krążyła po korytarzu, dlatego natknęła się na Joli Juhos, po to w ogóle sierotka się u niego zjawiała, chciała się czegoś dowiedzieć, nie miała jednak odwagi prosto z mostu zapytać, bo on rozdarł się na nią, takie z niego stare bydlę, że zaraz wrzeszczy i bije, od kiedy mu wszyscy zginęli, umie tylko drzeć się, nic dziwnego, że dzieci przed nim uciekają i drżą na jego widok.

Dlatego też nauczycielka zrobiła wielkie oczy, gdy usłyszała, że przyjął Zsófikę do służby. Dlatego mała udzielała mu tylu rad, dlatego kazała mu śpiewać i deklamować wiersze, zna się bowiem na tym, nauczyła się od ojca. Że raz przyszła, to zrozumiałe, nawet drugi raz można zrozumieć; ale po co przychodziła później, gdy dowiedziała się, że nie ma czego po nim oczekiwać, tego już nie rozumie. Po co przyszła po raz trzeci i czwarty, dlaczego dotąd tak wiernie przychodzi?

Tym razem już nie przyjdzie. I nie to jest najgorsze, że nie będzie mu pomagać, bo ta ruda od rentgena ka-

zała mu możliwie jak najwięcej się ruszać, zakupy ktoś mu robi, posprzątać sam potrafi, a gotować też sam gotuje od trzynastu lat, gorzej, że już przyzwyczaił się do jej obecności, krzątanimy przerywanej jego poleceniami: skocz tu, zrób to. Mowy nie ma, żeby przysłała, tak ją stłukł i rękę jej wykręcił.

Daremnie siedzi niby nastroszona kwoka, lepiej będzie, jeśli weźmie się w kupę i pójdzie do domu. Taki stary pryk nie powinien pchać się między młodych. Dziś jeszcze wszędzie odnajdzie ślady jej rąk, nawet przyniosła kwiaty, wyrzuciła pokrytą kurzem ostnicę, powiedziała, że w mieszkaniu muszą być świeże kwiaty, więc przyniosła z domu róże i teraz w jego wielkim, zatechłym pokoju wszystko pięknie pachnie. Przyniosła też ciasto z cytrynowym nadzieniem i czego nie napaplała przez te kilka dni. Nawet serwetkę potrafiła tak cudacznie złożyć. No, ale nie ma rady.

Dźwignął się. Jazda, ty niedobra nogo, ciągnij kulasa! Szybkobiegaczem to on już nie będzie. Południe, słońce pali, zdziwią się ludzie, gdy go zobaczą samego. Jeżeli znowu zakołuje mu się w głowie, tak jak przed chwilą, będzie musiał oprzeć się o ścianę, ot, najwyższej, szlag go nie trafi.

Wyszedłszy za bramę, chwycił się kraty. Za ogrodzeniem, plecami do niego, siedziała Zsófiika, widać było tylko jej kark, pochylony do przodu. Gdy pan István ruszył w jej stronę, usłyszała szuranie nogami, odwróciła się i wstała. Podeszła do niego, wyciągnęła rękę, by go poprowadzić.

Czy się do niej odezwać? Ona milczy. Co powiedzieć? Ruszyli jednocześnie z południowym biciem dzwonów, w szkole zastęp kucharek akurat siadał do obiadu. W bramie pod dziewiątym nie było nikogo,

przed szkołą spacerowała tam i z powrotem Alice Lemberger; ujrząwszy Pongrácza i Zsófikę stwierdziła, że przedstawiają dziwny widok — kroczą z niebywałą powagą, trzymają się za ręce i milczą niby dwie niemowy.

Gdy zeszli po schodach, Zsófika doprowadziła pana Istvána do łóżka, po czym zaczęła czyścić fasolę. Co ona ma jej powiedzieć? Siedzi i gotuje, wzrok utkwiała w garnku, z jej twarzy nic nie można wyczytać, nawet tego, czy gniewa się za to, że ją zbił. Ona wie, że jest zmęczony, gdyby został sam, nic nie wzięłby do ust, bo tylko w łóżku mu dobrze, nie męczyłby się z fasolą, po jaką cholere? Dostał obiad do łóżka, tak jak pierwszego dnia, Zsófika zjadła przy stoliku kuchennym, siedząc na podnóżku, również tak jak w pierwszych dniach.

Powinien się odezwać, ale słowa więzną mu w gardle. Klaps na jej tyłku głośniej klasnął niż talerz, który miała płucze.

No, wreszcie podeszła do niego, patrzy swymi wielkimi oczyma, pewno zaraz wygarnie, że od jutra nie będzie przychodzić, już więcej jej nie zobaczy.

— Jutro przyjdę na dziewiątą — przemówiła Zsófika.

Pozwolił jej dojść do drzwi, nic nie powiedział. Później przypomniał sobie o czterech forintach i zaczął grzebać pod poduszką. Zsófika odwróciła się, zobaczyła, co robi. Zaciśnęła usta i pokręciła głową.

„Rozumiem — pomyślał pan István. — Stłukłem cię, więc teraz nie weźmiesz ode mnie pieniędzy. Widzisz, przeżyłem tyle lat nie będąc niczym dłużnikiem, u ciebie pierwszej zaciągnąłem dług.”

Pudełko brzęknęło, pan István wetknął je z powrotem pod poduszkę.

Gdy Zsófi­ka zamk­nęła drzwi i usły­szał tupot jej przyspieszonych kroków na korytarzu, nagle uprzytomnił sobie, że w ogóle nie rozmawiali ani o Kele­rze, ani o Andrásu Kisu. Chciał ją zawołać, lecz było za późno, skrzypnięcie wahadłowych drzwi ozna­czało, że Zsófi­ka już wybiega na ulicę.

XVI

Gdyby Marianna przyjechała, wszystko wyglądałoby inaczej.

We dwie ponosiłyby odpowiedzialność, Marianna zawsze była zaradniejsza od niej, z pewnością by coś wykombinowała, teraz zaś pozostała sama z tą odrobiną nadziei w sercu, że Torbogłowy jakoś to załatwi. Zamiast sterczeć w kuchni i łamać sobie głowę, mogłaby pójść do cioci Kató, mamusia by się ucieszyła, ale to nie ma sensu, najwyżej jeszcze bardziej by się zenerwowała, a nuz ze słów cioci Kató wynikłoby, że wuj Kálmán wyszedł rano z dużym plecakiem albo że jakoś niezwykle czule ciocię ucałował. Ciocia Kató zawsze o wszystko wypytuje i wszystko wszystkim opowiada, nawet dzieciom.

Dóra nie może mieć do niej pretensji, zrobiła, co było w jej mocy. Ma obiecaną interwencję Torbogłowego. Co więcej mogła zrobić? Nie była w stanie usiedzieć na miejscu, coś gnało ją z mieszkania. A co by było, gdyby tam poszła? Jest czwarta, za kwadrans znalazłaby się na miejscu, muzeum mieści się na placu Istvána, w parku, wejście jest widoczne z każdej ławki.

Nie mogła tylko nic wymyślić na wypadek ewentualnego spotkania kogoś znajomego, czym uzasadni swoją obecność, po chwili jednak uspokoiła się, nie musi koniecznie wchodzić do środka, nikt w ogóle nie dowie się, że tam chodziła, a ona tylko przekona się, czy Torbogłowy przyszedł, i zaraz zawróci.

Na biurku zostawiła kartkę do mamusi: „Poszłam do

wuja Kálmána." Mamusia w pośpiechu nie zauważy, że nie jest napisane „do wujostwa Kálmánów”, i pomyśli, że poszła do cioci Kató, więc nawet będzie rada. Jeżeli będzie miała szczęście, zdąży wrócić do domu przed mamusią, wówczas po prostu zabierze kartkę, podrze ją i całe wydarzenie można będzie uznać za niebyłe.

Początkowo spokojnie maszerowała w kierunku placu Istvána, na którym stał gmach Krajowego Muzeum Numizmatycznego, dopiero wówczas przyspieszyła kroku, gdy przyszło jej do głowy, że ktoś, kto zamierza porzucić pracę i kraj, niekoniecznie będzie przestrzegał godzin urzędowania, może nie czekać do piątej. Och, jaka ona głupia, że o tym nie pomyślała! A jeżeli wuj już wyszedł do Viki albo akurat szykuje się do wyjścia i Torbogłowy, zamówiony przez nią na wpół do piątej, przybędzie za późno? Gdy przemyślała wszystko do końca, zaczęła biec stukając sandałami po rozgrzanym betonie. W pobliżu muzeum zatrzymała się i przez jakiś czas lustrowała czworokątny budynek. Dobrze go znała, nieraz po nim chodziła, miała w głowie cały jego rozkład, wzdłuż trzech boków ciągnęły się sale wystawowe, a czwarty zajmowały pomieszczenia biurowe. Napis na tabliczce informował, że muzeum można zwiedzać tylko we wtorki, czwartki i soboty, dziś jest poniedziałek, a więc nie ma zwiedzania.

Stała przed bramą wpatrując się, kto wchodzi do środka, ale nikogo nie spostrzegła. Przed wejściem parkowały auta, dwa wozy zagraniczne z żółtymi tabliczkami rejestracyjnymi i trzeci węgierski. Może Torbogłowy już przyszedł, bez specjalnej prośby i przestrogi zjawił się wcześniej i ona niepotrzebnie się lęka, gdyż András Kis siedzi w środku, rozmawia z wujem Kálmánem i jakoś go zatrzymuje. Koło schodów kierowcy zagranicznych wozów palili papierosy i rozmawiali, Zsófi jednak nie rozumiała, o czym, gdyż mó-

wili nie po węgiersku. Szofer węgierskiego wozu nie wyszedł na zewnątrz, czytał siedząc przy kierownicy.

Kiedyś przyszły do wuja Kálmána całą szkołą, to była dosyć ciekawa wycieczka, głównie podobały im się złote monety, choć żadna z oglądanych nie była z prawdziwego złota, widziały jedynie kopie, prawdziwe przechowywano w pancernym skarbcu. Przychodziła tu również z Marianną, kiedyś nawet była sama, przysłana przez mamusię w przeddzień imienin cioci Kató; prezenty dla cioci zawsze składali w muzeum, nic nie można było z góry kupić, żeby nie wyszperała, ciągle grzebała w szufladach i w szafie wuja Kálmána, wszystko, co miało sprawić niespodziankę, trzymali tutaj, by ciocia za wcześnie nie znalazła.

Zsófiika odsunęła się od bramy, gdyż ze środka dobiegł odgłos kroków. To byłoby potworne, gdyby człowiek miał wypisane myśli na czole, prawdziwymi literami, gdyby każdy mógł wyczytać, że ona myśli teraz o wuju Kálmánie i to w dodatku jakie okropne rzeczy. Och, żeby Torbogłowy wreszcie przyszedł! Nie, najbardziej chciałaby się z nim spotkać dopiero po wpół do szóstej i dowiedzieć się, że wszystko zostało załatwione. Wówczas mogłaby spokojnie udać się do domu.

Okazało się, że słyszała kroki portiera muzeum, który wyszedł zażyć trochę powietrza, ziewnął i przeciągnął się.

— Czego chcesz? — spytał Zsófikę. — Czekasz na kogoś?

— Na ojca chrzestnego — odrzekła. Zawsze w chwilach podniecenia mówiła tak, jakby miała zapalenie gardła, głos jej raptownie cieniał. Tatuś to zauważył.

— Kto jest twoim ojcem chrzestnym?

— Kálmán Haller.

— No to będziesz musiała poczekać, bo on teraz oprowadza.

Oprowadza? Jak to oprowadza? Po czym?

— Już by wyszedł, ale akurat zjechała kupa zagranicznych i oprowadza ich. Poczekaj, jak tylko goście odjadą, natychmiast zejdzie.

A więc jest jeszcze w muzeum, nic złego się nie stało. Piętnaście po czwartej. Może ci goście nie wyjdą do szóstej. W takim razie Torbogłowy nie byłby potrzebny, cały problem zostałby rozwiązany. Torbogłowy już na pewno przyszedł. Przecież obiecał panu Istvánowi.

— Nikt o niego po południu nie pytał?

— O Hallera? Nie.

Twarz Zsófi posmutniała. To nieładnie ze strony Torbogłowego. Ale czy portier go nie przegapił? Może jednak?

— Jak mówię, że nikt, to nikt. Oprócz tej komisji i jakiegoś człowieka, który chciał rozmawiać z Sanyim Révészem, nikt nie przychodził. Jeśli ci gorąco, możesz usiąść w środku i poczekać, aż zejdzie.

Nie, raczej woli zostać na dworze. Sama nie wiedziała, czy uspokoiła się, czy niepokój jej wzrósł. To dobrze, że przyjechała jakaś komisja, to bardzo dobrze. Natomiast niedobrze, że Torbogłowy się nie zjawił, szczęście, że dotąd nic się nie stało. Oczywiście w każdej chwili może nadejść.

— Wybieracie się na wycieczkę? — zainteresował się portier. — Twój ojciec chrzestny już wychodził, ale na swoje nieszczęście w bramie natknął się na gości i musiał zawrócić, taszczyć z powrotem tę wyładowaną teczkę. Jeżeli wybieraliście się gdzieś na oznaczoną godzinę, to macie pecha.

Zsófi nic nie odpowiedziała. Portier odezwał się do niej jeszcze parę razy, po czym odwrócił się. Ależ ten Haller ma głupią krewniaczkę, taka duża dziewczyna, z dzieckiem w jej wieku już można pogadać, a ta, mowy

nie ma, żeby otworzyła buzię. Za pięć wpół do piątej, nie długo po służbie. No, chwała Bogu, wychodzą, chyba cały wóz wyładują prospektami i informatorami. Dyrektor ich odprowadza, musiał się ucieszyć, gdy w drzwiach spotkał Hallera wychodzącego z teczką.

Gdzież ta dziewczynka się podziała, mogłaby pobiec na górę, pewnie spotkałaby ojca chrzestnego po drodze. Chodź no tu! Ależ dzika, przecież ci Bułgarzy cię nie zjedzą. Kiedy usłyszała, że może wejść na górę, ani odrobinę się nie ucieszyła, jakby nie po to przyszła, żeby zobaczyć się z Hallerem. No, wreszcie się odważyła. Inne dzieci latają po schodach, a ta pełźnie niby ślimak, raz po raz ogląda się, jakby na kogoś czekała.

„O dziesięć minut drogi stąd jest szkoła — pomyślała Zsófi. — Biegiem albo autobusem nawet tyle nie trzeba, wystarczy pięć minut i już jest się na placu Apáczai Csere pod dziewiątym. Torbogłowy nie przyszedł, a zagraniczni goście odjechali.” Nie ma za wiele czasu, powinna pędzić na złamanie karku, lecz nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Co powiedziec chrzestnemu ojcu, który chce uciec? Nikt jej nie pomoże. Marianna nie wróciła do domu. Torbogłowy nabrał ją.

Drzwi do pokoju wuja Kálmána były uchylone, nie musiała więc pukać. Wuj mył ręce, wypchana po brzegi teczka leżała na biurku. Zsófiika wyobraziła sobie, że zastanie wuja w turystycznym stroju, grubych, sznurowanych butach, ale przecież nie mógł tak przyjść z domu i siedzieć w biurze w krótkich spodniach. Pan István ma rację, ona jest czasem bardzo głupia.

Wuj Kálmán spostrzegł ją w lustrze umieszczonym nad umywalnią. Nie wytarłszy ręk odwrócił się i popatrzał zdziwiony: czego ona może tu szukać?

Co by było, gdyby powiedziała prawdę? Gdyby poprosiła, żeby nie uciekał, bo z tego nic dobrego nie wyjdzie. Złożyła jednak Dórze przysięgę na złotego

aniołka, że będzie milczeć, a dorośli raczej nie lubią prawdy. Jak skłamać? Nie umie kłamać, nigdy nic nie przychodzi jej do głowy. A poza tym właściwie nie ma tu nic do roboty, przyszła tylko dlatego, że Marianna nie przyjechała, żeby ktoś był.

— Przyszedłam zamiast Marianny — powiedziała.

Wuj Kálmán wytarł ręce.

— Więc jednak przyjechali?

Jego głos nie zdradzał radości, Zsófiika wyczuła, że wuj Kálmán wolałby nie przypominać sobie o Mariannie. Myśli, że drużyna nieoczekiwanie wróciła. A przecież ona tego nie powiedziała.

— Czy wujek jeszcze nie idzie do domu?

— Jak najbardziej. Jak tylko będę mógł, przyjdę. Powiedziałem cioci, że o piątej mam konferencję.

Marianna czasem tak strasznie kłamała, aż człowiek się zdumiewał. Kiedyś oświadczyła, że urodziła dwoje dzieci, tylko one umarły. „Co ty wygadujesz?” — spytała z oburzeniem Dóra, Marianna zaś patrząc w ziemię kręciła w palcach jeden ze swych loków. Teraz widać, że nauczyła się tego od wuja Kálmána.

— Biegnij do domu, Zsófiiko, nie czekaj na mnie! Idę na konferencję do Muzeum Zamkowego.

Jedna Dóra potrafiłaby to załatwić, Dóra, która zawsze każdemu ma odwagę odpowiedzieć, która przy kupnie wafelków zwróciła nawet uwagę na niedokładność wagi. Dóra powiedziałaby teraz coś mądrego i wuj Kálmán zrozumiałby, że musi zostać. Jej nic nie przychodzi do głowy. Oczywiście Marianna też dałaby sobie radę, bądź co bądź wuj Kálmán jest jej ojcem, nawet jeśli kłamie i chce uciekać, muszą mieć jednak jakąś wspólną tajemnicę, musi istnieć coś, przed czym wujek by ustąpił, ale gdzież Marianna w tej chwili jest, znowu sama musi coś wymyślić, nawet Torbogłowy nie przyszedł. Właściwie mogła z góry przewi-

dzieć, że nic się nie powie, cały dzień był okropny, pan István ją zbił i musiała pójść do ubezpieczalni.

Oto nadeszła chwila, przed którą drżała od czwartku, stoi przed wujem Kálmánem, który kłamie, że ma konferencję, a ona doskonale wie, dokąd on idzie, dlaczego chce się od niej odczepić, mimo to musi tak się zachowywać, jakby mu wierzyła. Z drugiej strony, jeżeli tak postąpi, będzie musiała pójść, a więc nic nie wskóra, daremnie przyszła, bo jest tylko zwykłą dziewczynką, której nawet nie chcą przyjąć do drużyny i na którą pan István bezustannie krzyczy, że jest niedojdą i ciełciem malowanym.

— Dlaczego chlipiesz? — spytał wuj Kálmán.

Marianna kiedyś mówiła, że płacz od razu wyprowadza wujka z równowagi. Tak jest, łapie teczkę, ale nie wychodzi, gdyż w gruncie rzeczy nie jest złym człowiekiem i zawsze ją lubił. Jeśli nie będzie mu odpowiadać, tylko w dalszym ciągu płakać, może wujek zdenerwuje się i nie popatrzy na zegarek.

Niestety jednak spojrział.

— Wytrzyj nos, idziemy! Nie rozumiesz, że się spieszę?

Musi płakać, koniecznie musi płakać, wówczas wuj będzie się dopytywał i ewentualnie zostanie, a w międzyczasie może nadejdzie Torbogłowy i wyzwoli ją. Ale musi płakać głośno, tak żeby pół Budapesztu się zleciało, nie tak grzecznie. Niestety łyzy nie bardzo chcą napływać do oczu, czasem zupełnie nie może płakać, jakby jej oczy całkiem wyschły. Na pogrzebie też nie płakała, dopiero w domu, w samotności. Za to dziś przed południem darła się, aż wszyscy ludzie się zbiegli, pan István o mało nie pękł ze złości.

Przed południem...

Nie chciała pójść do ubezpieczalni i nie chciała przyjść tutaj. W ostatnich dniach ciągle robi coś, czego

nie chce i nie umie. Valika podaje karty chorych komu innemu, tak samo podaje je młodemu następcy tatusia jak tatusiowi, w ubezpieczalni wszystko idzie po staremu, nie zmienione, tylko tatusia nigdzie nie ma, tak jak nie ma niedziel, mamusia w ogóle się nie śmieje i nie pisze, choć dawniej pracowała nawet w święta Bożego Narodzenia; tatuś został pochowany, a groby są strasznie głębokie, Tóbiás zabrany, ona zamiast siedzieć w domu musi wojować z wujem Kálmánem, patrzeć, jak wychodzi; skoro nie będzie tatusia ani Dóry, którą wywiozą za granicę, niech też nie będzie wuja Kálmána, jeśli nikogo nie będzie, jeżeli tatuś umarł, ona też chciałaby zniknąć ze świata. Tatuś. Tatuś. Tatuś!

Takiego głosu Kálmán nigdy nie słyszał. Marianna najwyżej popiskuje, a Kató, jeśli coś jej się nie podoba, płacze rzeczowo i tendencyjnie, szlocha urywanym głosem, najzupełniej świadomie, aż człowiek przestaje współczuć i ucieka myśląc jedynie o tym, żeby jak najdalej się od niej znaleźć, bo ona tylko gra, udaje smutną. Ale tej małej za chwilę serce pęknie z rozpacz. Nad trumną Gábora Zsófiika ani pisnęła. Co za zły los ją tu dziś zesłał, kiedy on tak bardzo się spieszy, a jeśli Marianna przyjechała, to dlaczego do niego nie przybiegła, chciałby ją jeszcze raz zobaczyć, dlaczego przysłali Zsófikę? No proszę, już ktoś idzie, nic dziwnego, bo Zsófiika drze się, łka jakimś nienormalnym głosem, chociaż wcale nie jest czerwona, lecz biała jak trup.

Ktoś zajrzał, ale natychmiast cofnął głowę. Był to Révész, dozorca muzealny. Głos Zsófiiki jest makabryczny, dolatuje aż do końca przeciwnego skrzydła budynku, w którym siedzi Révész.

— Przestań, na miłość boską! Powiedziałem, że muszę iść. Chodź, córeczko, muszę zamknąć korytarz.

Będzie musiał się z nią szarpać, gdyż usiadła na dywanie, a zabezczaną twarz skłoniła na gobelinowy fotel, nie należący zresztą do nich, tylko dla przyozdobienia pokoju wypożyczony z oddziału historii meblarstwa. Pochylił się nad dziewczynką, lecz nie zdołał jej podnieść; Zsófi uczepiła się pazurów pozłocanej nogi fotela.

Teraz już i tak wszystko jedno, mogła z góry przewidzieć, że jej nic się nie uda, że nie zatrzyma wuja Kálmána. Jest tylko dzieckiem, Marianna, mądrzejsza od niej, nie przyszła, gdyż jest na wakacjach, a Dóra została wyklęta. Cóż ona może zwojować z wujem Kálmánem? Już nie przez niego płacze; zrozumiała, przyjęła do wiadomości, że Torbogłowy ją opuścił i że pan István był dla niej zły, zaciągnął ją do ubezpieczalni i w dodatku wykręcił jej rękę, tak że jeszcze boli. A przecież dla niego skaleczyła się w palec i stłukła wkład do menażki, mamusię zwolnili, więc już nie będą miały nawet połowy tych pieniędzy, co dotychczas, ale żeby najbardziej ją zbili, to by nic nie znaczyło, gdyby tylko tatuś zostawił dla niej jakąś wiadomość.

Co począć? — dumał Haller. — Co się w takich wypadkach robi? Gdy Marianna będąc małą przeszkadzała mu w pracy, dawał jej coś i uspokajała się. Zsófi jednak ma inne usposobienie niż Marianna. Och, gdyby wiedział, jak się tu znalazła! To prawdopodobnie pomysł Kató, ona ją przysłała, znowu chce go kontrolować, w ubiegłym tygodniu raz nawet sama przyszła; możliwe, że dziś Zsófi, nic o tym nie wiedząc, pełni dyżur. A czas leci. Jeśli zaraz nie wyruszy, gotów się spóźnić.

— Wstawaj, idziemy!

Zsófi ani drgnęła, tylko wcisnęła twarz w fotel. Niech sobie idzie, a ją tu zostawi. Już i tak wszystko prze-

padło. Dóra też zniknie. Wszyscy znikną. Na fotelu jest gryf w zielonej koronie.

Teraz, gdy będzie wychodził, wszyscy zwrócą na niego uwagę. Miał pecha z tymi gośćmi, natknął się na Bułgarów przed samymi drzwiami. Wieczorem portier, woźni, w ogóle wszyscy tylko o tym będą mówić, że przyszło po niego jakieś dziecko, które darło się wniebogłosy. Jak ją uciszyć? Gdy była maleńka i płakała, Gábor klaskał w ręce, wówczas od razu przestawała, buzia jej się rozpromieniała. Tak nie mogą wyjść, nie może drzeć się na ulicy, to niepodobieństwo!

A w ogóle co jej jest? Co się mogło stać? Co ona ukrywa? Może Judit dostała wymówienie i mała płacze z żalu nad matką? Co powiedzieć, żeby się uciszyła, zechciała się ruszyć i zachować spokój przez te dzieśnięć metrów dzielące bramę od przystanku.

— Jeśli przestaniesz płakać, pokażę ci złote monety.

Chwała Bogu, nareszcie podniosła głowę. Tylko minutka i zaraz będą mogli pobiec. To jeszcze dziecko. Za ostatniej bytności obie z Marianną błagały go, żeby dał im do ręki prawdziwą monetę, oczywiście przez głowę mu to nawet nie przeszło, dzieła sztuki nie są od tego, żeby je wyciągać na każde zawołanie dziecka. Ale teraz za cenę spokoju gotów jest pokazać jej prawdziwą złotą monetę.

Drzwi do skarbcza mieściły się w przeciwległej ścianie. Za nimi spoczywała jedyna pełna kolekcja złotych monet na Węgrzech. Otworzył zamek, sięgnął poprzez szparę i zapalił światło. Dopiero co zamykał te drzwi, zagraniczni goście kazali mu niemal wszystko pokazać.

Nareszcie wstała, podchodzi bliżej. Wyniesie coś, pokaże, po czym schowa z powrotem w skarbcu i poleci.

— Nie podchodź bliżej, bo przypadkiem możesz

mnie zatrzasnąć — przestrzegł Zsófikę, gdy ta ruszyła w kierunku drzwi. — Wewnątrz nie ma klamki, te drzwi można otworzyć tylko od strony pokoju.

Jak ona dziwnie patrzy! Kató nie ma racji, Zsófika nie jest głupia, tylko człowiek nie wie, czego może się po niej spodziewać. Ma olbrzymie oczy. Ciekawe, jak będzie wyglądać, gdy dorośnie? Czy on kiedykolwiek zobaczy ją jako dużą pannę?

Dóra leżała na brzuchu, Marianna zaś siedząc pod krzakiem mówiła: „Bo mój tatuńcio ma w muzeum taki pancerny pokój, jeżeli ktoś się do niego dostanie, to już więcej nie wyjdzie, gdyż pokój ten tylko z zewnątrz zamyka się i otwiera. Jeżeli złodziej zamknie drzwi za sobą, żeby go nie widziano, to już zostanie w środku.” Taki i Lemberger słuchały z przejęciem, poprosiły o kawałek placka, ale Marianna żadnej z nich nie dała. Wówczas Taki wyjęła chleb z zieloną papryką i poczęła go gryźć.

— Pokażę ci pieniądze Karola Roberta.

Już wyciera nos, wreszcie łyż jej obeschły. Kálmán wszedł do skarbcza i otworzył jedno z pudełek. Dobrze by było choć jeszcze raz zobaczyć Mariannę. Ale jeżeli przyjechała i Zsófikę wysłali naprzód, to czemu do niego nie przyszła? Oczywiście matka jej nie puściła, zachowała Mariannę na przynętę, która ma go sprowadzić do domu. No to poczeka sobie. Szczęście, że jeszcze nie jest tak późno, za dwadzieścia piąta, może w końcu Zsófika pozwoli mu wyjść, nie będzie musiał biec. I tak dziś miał zupełnie zwariowany dzień. Niestety akurat dzisiaj wypadł jego dyżur na piętrze i nie mógł spławić gości.

Wyjął złotą monetę z pudełka i poprzez uchylone drzwi podał ją Zsófice. Spodobała jej się, obraca ją, nawet wacha i przykłada do policzka.

— Wujku, proszę mi pokazać jeszcze jedną!

Dobrze, jeszcze jedną, a potem koniec zabawy. Całkiem nieźle ją podszedł, zresztą to takie spokojne dziecko, chyba dlatego zawsze ją lubił, że nie była psotna, nigdy nie robiła głupich kawałów.

Dlaczego ona tak płakała? Niech zobaczy jeszcze jedną monetę, jakąś ładną, z czasów Macieja Korwina. Wszedł głębiej do skarbcza. Swoją drogą co za bogaty zbiór, to on zaprowadził w nim porządek, on też sporządził katalog. Już więcej nie będzie miał z nim kłopotów. Właściwie to szkoda. Wielka szkoda.

Przez szparę w drzwiach ujrzał Zsófikę.

Stała bezpośrednio przy nich, w jednej ręce trzymała monetę, a drugą oparła o kant drzwi. Powinna się cofnąć, nie wolno tak blisko podchodzić! Och, ten jej wzrok, to spojrzenie, jakby przez szczeliny oczu spoglądał na niego ktoś inny, obcy, jakiś groźny nieznamy, którego nigdy nie widział. Chciał się odezwać, wykrzyknąć, ale nagle poczuł, że ręce mu wilgotnieją, opanowuje go jakieś niejasne uczucie, potworne, przerażające i nieco zawstydzające, pokrewne czemuś, co nawiedzało go tylko w dzieciństwie. Ściana w skarbcu była żółta od światła, na dworze poprzez korony drzew przeświecało słońce. Po drugiej stronie szpary, w tym letnim, zielonym oświetleniu stała Zsófi, inna niż zwykle, nie znana Zsófi, a wszystko przypominało jakiś ciężki sen, w którym człowiek śpiący chce się poruszyć, zawołać, by złamać zaklęcie, ale nie może. Zresztą na jakiegokolwiek zawołanie nie starczyłoby czasu, bo oto ręka Zsófi wyciągnęła się do przodu, drzwi wśliznęły się między pancerne zatrzaski, a on pozostał w rozświetlonej i rozgrzanej jamie, z pięćsetświecową żarówką nad głową i złotą monetą z czasów Macieja Korwina w dłoni.

„Dlaczego ten Haller nie schodzi? — pomyślał portier na dole. — Po obiedzie spieszyło mu się jak do pożaru, a teraz siedzi bez końca. Może dziewczynka przyniosła mu jakąś wiadomość, bo wysłał ją naprzód i to z teczką. Do widzenia oczywiście mu nie powiedziała, bo i po co, w szkole ich tego nie uczą, niewychowane to wszystko, bezbożne, tylko głupie żarty im w głowie. Okropnie wytrzeszcza oczy, pewnie przyniosła jakąś wiadomość, bo zaraz za bramą pognała jak wariatka, na huc nie zważając, o mało ją auto nie przejechało na rogu.”

Haller ciągle nie schodzi, może dostał reprimendę od dyrektora. A jakże, o wpół do trzeciej z szumem i hałasem galopuje po schodach w dół, a tu akurat wchodzi Bułgarzy. Dobrze mu tak, przecież zawsze jeden dzień w tygodniu ma wolny, przeznaczony na pracę badawczą, tylko raz na sto lat wypada mu dyżur, a poza tym siedzi sobie na górze, ogląda monety, przychodzi, kiedy chce; sam diabeł go nie skontroluje, gdy mówi, że idzie na wykopaliska. Nieraz przez trzy dni się nie pokazuje i dopiero telefonicznie go szukają. Na Zamku odpowiadają, że jeszcze go nie ma albo że już wyszedł. Niech raz trochę popracuje, że chciał wyjść, to jasne jak słońce, ale najpierw zagranicznicy nie pozwolili mu umknąć, a gdy przyszło dziecko, było już za późno, dyrektor na pewno objechał go od ostatnich i teraz nie śmie ruszyć się przed piątą, czyli przed końcem dyżuru.

Nie ma co, odpracowuje za wszystkie czasy, kwadrans po piątej, a on ciągle nie schodzi. Niech sobie siedzi, ale o szóstej wyrzuci go bez pardonu. Pisaninę może zabrać do domu, on o szóstej zamyka, dozorczy też wychodzą.

Można skonać w tym upale. On też z chęcią wybrałby się na wycieczkę, nad Dunajem musi być bardzo przyjemnie. Jeszcze przeczyta gazetę, a po służbie porządnie się umyje, w tym skwarze pot ciurkiem się z człowieka leje.

Po wpół do szóstej odezwał się telefon wewnętrzny. Dzwonił Révész wzywając go, żeby przyszedł na górę, gdyż ktoś tam łomocze. Czy ten Révész zwariował? Kto zostanie przy bramie? Czy jeszcze jest ktoś w gmachu? Oczywiście, że jest, ten futbolista, który po południu szukał Révésza. Chyba to nie jakiś bandyta. Révész siedzi sam koło sali B.

Akurat w tym samym momencie w parku ukazał się Papik, drugi dozorca. Portier posadził go na swoim miejscu, a sam pobiegł po schodach na górę. Révésza jednak zastał nie przy sali wystawowej, lecz na korytarzu biurowym przed drzwiami Kálmána Hallera; obok Révésza wyciągał szyję popołudniowy nieznamy. Révész kiwnął na niego, żeby się pospieszył. Przecież się spieszy, nie widzi, że aż język wywalił na brodę, prędzej w tym upale nie może. Co to za łomotanie, do cholery jasnej?

XVII

W poniedziałek Torbogłowy zaczął pracę o siódmej, tak więc koniec wypadł na trzecią. Przyszedł w ubraniu wyjściowym, robocze przyniósł w papierze pod pachą; po pracy umył się w umywalni przy sali gimnastycznej i z powrotem włożył lepszy garnitur. Rzeczy zostawił u Székelya w portierni oświadczając, że nazajutrz je zabierze, teraz ma coś do załatwienia. Może idzie do kina, dopytywał się Székely, albo ma bilet na mecz? Diabła tam bilet, musi coś załatwić i nie chce iść powalany wapnem, w odświętnym garniturze wzbudzi większy szacunek.

Székely bąknął, żeby Torbogłowy zeszedł do starego Pongrácza, gdyż ten chce mu coś powiedzieć, lecz Torbogłowy poprosił o powtórzenie Pongráczeni, że nie ma czasu, właśnie idzie w jego sprawie, jutro opowie mu, co załatwił, teraz już nie chciałby zwlekać. Zanim umył się i przebrał, dochodziło wpół do czwartej, najwyższy czas, żeby wyruszyć, tym bardziej że poczuł głód, ostatni raz jadł o wpół do dwunastej, już nawet zapomniał, jak obiad smakował. W barze na rogu placu przełknął coś naprędce. Gdy dotarł do Muzeum Numizmatycznego, była za parę minut czwarta.

Wszystko od razu źle się zaczęło, gdyż według informacji na tablicy tego dnia muzeum było dla zwiedzających zamknięte. Wprawdzie stare monety nie interesowały go, sądził jednak, że w normalny dzień

łatwiej dostałby się do środka. Koło wejścia stały samochody, szczególnie jeden był ładny, taki duży, zielony. Portier siedział w rozpiętej koszuli, czytał gazetę, zajadał morele i pocił się.

Torbogłowy nie czekając na pytanie portiera podszedł do niego:

— Czy jest tu jakiś Keler?

Portier odłożył torebkę z owocami.

— Nie ma.

— I nigdy nie było?

— Nie, takiego nigdy nie było.

— A Hebel?

— Mówię, że nie ma. Ani takiego, ani takiego. A o co chodzi?

— Kiedyś, kawał czasu temu, byliśmy razem na Stadionie Ludowym, siedzieliśmy obok siebie, bardzo się pokumaliśmy, powiedział, że pracuje w tym muzeum. Dziś jestem wolny, przechodziłem tędy, więc pomyślałem, zajrzę do niego, skoro mnie tak bardzo zapraszał.

— Papik na pewno nie — rozważał portier. — On nie ma jednej stopy, od kiedy stracił ją na froncie, przestał interesować się piłką nożną. Máté też nie, no bo Máté... Keler... Tak się nazywa? Czy pan się nie myli? I u nas pracuje?

— Tak, tu, a nazwisko ma jakieś podobne.

— To będzie Révész, tylko pan źle zrozumiał. Sanyi Révész, który ma domek do sprzedania. On ciągle łązi na Stadion Ludowy.

Révész. Oj, panie Pongrácz, to człowiek na starość ma taką dziurawą głowę? Keler! Hebel! Ma się rozumieć, że chodzi o Révésza!

— Mogę zajść do niego?

Portier pokiwał głową.

— Trzeba na niego poczekać. Teraz go nie ma.

— Ale mnie się bardzo spieszy. Kiedy przyjdzie?

— W każdej chwili może nadejść, wyskoczył do szynku, powiedział, że ząb go rozbolał i musi popłukać rumem.

To on, niech go kule biją, co za łajdak, czwartą po południu, a ten pije. Ale on go znajdzie. Przyjrzał się mundurowi portiera, by łatwiej rozpoznać Révész. Pójdzie i go poszuka. Portier jeszcze zawołał, żeby ściągnął go tu z powrotem, żeby czasem z wielkiej radości tam nie utknęli, bo jeśli ktoś zauważy, to Révész oberwie za swoje. Prawda, że dziś muzeum nieczynne, skrzydło B należące do Révésza zamknięte, ale budynek pełen zagraniczników, on za nikogo nie będzie nadstawiał karku.

Szynk rzeczywiście mieścił się niedaleko, był dość zatłoczony, ale Torbogłowy natychmiast rozpoznał Révésza po mundurze. Wsparty łokciami na ladzie, popijał rum. Co za ponury facet, też te kobiety mają gust, co matce Zsófi się w nim podoba? Niski, mizerny, wąsy wypłowiałe, gęba zielona. Jak on pije, Boże miłosierny, jakby chciał, a nie mógł, tylko popłukuje zęby rumem, trzyma płyn w ustach i kręci językiem. Życie z nim musi być ciężkie. Czwartą po południu, a on w szynku, na taki upał, i to jeszcze pije rum! Żeby choć pociągał szprycerek!

Zamówiwszy dwie setki wina, oparł się łokciami o ladę tuż koło Révésza. Jak go zagadać?

— Grubas z bramy prosił o powtórzenie, żeby pan zbierał manatki i wracał, bo w końcu ktoś zauważy, że pana nie ma.

Révész odwrócił się do Torbogłowego.

— Pan przyszedł z muzeum?

— Tak — potwierdził Torbogłowy. — Po pana. Ale widzę, że pan się bawi.

— Do diabła z taką zabawą. Jestem w aptece. Zaży-
wam lekarstwo.

To powiedziawszy zrobił żalostną minę i znowu po-
plukał zęby. Krętaacz jeden! Ale ma wstrętą facjatę!

„Tego brzuchacza Rácza cholera bierze, że ja się
tu kuruję” — pomyślał Révész. Wszyscy są zawistni
i fałszywi, a najbardziej gazety. Dwadzieścia osiem
forintów kazali mu zapłacić za drobne ogłoszenie i je-
szcze połowę opuścili, wczoraj przez cały dzień był
wściekły. Pójdzie i złoży skargę, nie puści im tego pła-
zem. Teraz znowu ząb. Czego ten człowiek od niego
chce? Może w sprawie ogłoszenia, bo nigdy w życiu go
nie widział.

— Pan w sprawie domku? — spojrzał na Torbogło-
wego.

András Kis potakująco kiwnął głową.

Jeżeli przyszedł do muzeum, to może rzeczywiście
interesuje się domkiem, bo przecież najpierw musiał
być w Zugló i zdobyć adres. Całe szczęście, że kobita
choć raz przytomnie się zachowała i przysłała go tutaj.
Będzie musiał ją pochwalić.

— I jak się panu mój domek podobał? Prawda, że
ładny?

András Kis przyznał, że ładny. Dlaczego nie miałby
być ładny? Tylko drogi.

— Drogi!

„Wszyscy to mówią” — pomyślał Révész. Ale on nic
nie opuści. Przedziwna historia: ten András Kis jest
murarzem, jeżeli ma pieniądze, to dlaczego sam sobie
nie postawi? Ale to już jego sprawa. Dobrze, pójdą do
muzeum, posiedzą na korytarzu i nagadają się do woli.
Dziś i tak diabli nikogo nie przyniosą, muzeum jest
nieczynne.

Gdy weszli do bramy, portier znowu jadł morele,
nie odezwał się do nich, tylko coś burknął pod nosem.

No, znaleźli się, będą mogli porozmawiać o piłce nożnej. Cóż to za paskudny sport ta piłka nożna, zawsze czuł do niego wstręt.

Jak tu przyjemnie, chłodno — pomyślał András Kis idąc korytarzem biurowym. — Facet powinien się cieszyć, że nie stoi gdzieś pod niebem na palącym słońcu, tak jak on. No, panie Révész, teraz już nie ruszysz się stąd do wpół do szóstej. Jest dziesięć po czwartej, gadaj o tym domku, to czas zleci, zdaje się, że pieniądze bardziej cię interesują niż kumple.

Dziwne by było, gdyby sobie nie dał rady z tym szurkiem, małe to i chuderlawe, jak on potrafi z tą swoją wyschniętą facjatą terroryzować żonę? Prawda, że pod wpływem alkoholu ludzie dziczejają; możliwe, że i ten, gdy mu alkohol uderzy do głowy, zaczyna rozbijać się i awanturować. Teraz niewiele wypił, czuć od niego rum, ale jest trzeźwy, ani mu oczy nie zmętniały, ani język się nie płacze. No, popatrzmy na ten domek, jeżeli przyjdą jego kompani, to z nimi też jakoś da sobie radę.

Révész wyjął zdjęcie domku.

Chce łobuz pozbawić rodzinę dachu nad głową, pewno domek nie jest jego własnością, lecz tej biednej kobiety. Czy ona wie, że ten szubrawiec handluje jej majątkiem?

— A żona co mówi na tę sprzedaż? — zainteresował się Torbogłowy. Révész oparł się łokciem na stoliku. Facet rzeczywiście w czepku się urodził, przez cały dzień siedzi przed zamkniętymi, oszklonymi drzwiami, ma pod ręką telefon i jeszcze dwa dzwonki. Ale się zgrywa obłudnik, obmacuje ząb, jakby go rzeczywiście bolał.

— Nie cieszy się — odparł Révész.

„Pewnie, że nie, całkiem w to wierzę — pomyślał

Torbogłowy. — To chyba ojcowizna Zsófi. Ale nie, bo wówczas potrzebna by była zgoda władzy opiekuńczej. Domek musi należeć do kobiety."

— Kobiety już takie są. A co na to dziecko?

Révész wzruszył ramionami. Wolałby porozmawiać o domku, ten człowiek wygląda na gościa z forszą. Ma takie piękne niebieskie ubranie, jakby wybierał się gdzieś z wizytą.

— Nie mam zwyczaju dziecka pytać — odrzekł.

„Domyślam się — stwierdził w duchu András Kis. — Ale bić to masz zwyczaj, dlatego tak cię nienawidzi, gdy tylko przypomni sobie, jak schlewasz się rumem, beczy i drze się wniebogłosy. Wpół do piątej. No, jeszcze godzina. Ciekawe, kiedy przyjdą twoi kompani."

— Za domem jest chlew, pewnie pan widział; sam zaprowadziłem wodę, przedtem nawet wody nie było — opowiadał Révész. — Nie wiem, czy pan liczył, mamy osiemnaście drzew owocowych, głównie morele, ale bardzo dobry gatunek. Tylko dla mnie to za daleko. Ale kto kupi, źle na tym nie wyjdzie.

— Nie — zgodził się Torbogłowy. — Tylko drogo.

— Może przyszedłby pan w niedzielę, będziemy w domu. Wszystko bym panu pokazał, wszędzie by pan zajrzał. Przyjdzie pan?

— Mogę przyjść.

Révész znowu zaczął naciskać palcem brodę.

— Niech pan jeszcze wyjdzie ze mną na jednego — zaproponował. — Nie mogę wytrzymać. Jak zaleję zęb rumem, zaraz odczuwam ulgę.

Nic z tego, bracie, już nie będziesz pił! Widać ma taki zwyczaj. Zaczyna koło trzeciej, potem co jakiś czas wyskakuje, wreszcie zostaje do wieczora. Na pewno prawie wszystko przepija.

— Nie da rady — potrząsnął przecząco głową Tor-

bogłowy. — Grubas z bramy mówił, że ma przyjść jakaś kontrola.

Révész spochmurniał. Parszywy typ z tego starego opasa, nie może go znieść, to jasne. Najwyraźniej lubi Papika i Máté, Papik umie się mu podlizać, zawsze to czy owo przyniesie ze swojego ogrodu, na przykład teraz przywłókł koszyk moreli, którymi Rącz napycha sobie brzuch; a potem wszystko, co Papik robi, jest dobre, on zaś nie może nawet przez chwilę odpocząć. Kiedy powiedział, że chciałby zbiec na łycezek rumu, tamten mruknął, że radzi uważać, a dlaczego nie miałby zejść, skoro szynk jest nie dalej niż apteka, do której każdy może wyskoczyć. Proszka nie weźmie, bo później przez dwa dni nie będzie jadł; alkohol też zatrzyma żołądek, ale chyba mniej niż proszki. Kisowi to opas powiedział, że będzie kontrola, a jemu nie, pewno wcale by się nie zmantwił, gdyby wynikła jakaś draka. Tak jest, kto nie smaruje, nie jedzie. Gdyby robił tak samo, jak ten nędzny Papik, ciągle wtykał coś Rączowi do garści, wówczas miałby więcej do powiedzenia. W tym roku morele tak obrodziły, że gałęzie się łamią, ale wolałyby wszystkie wyrzucić do pomyj niż choć jedną grubasowi przynieść.

— Musicie być w dobrych stosunkach, że to panu powiedział — mruknął Révész.

— Ano w dobrych — zgodził się Torbogłowy. — Powiedział jeszcze więcej. Że dyrekcja nie lubi pijaaków.

Niech cholera weźmie Racza i dyrekcję! Przecież on nie znosi alkoholu, nie dość, że go ząb boli, to jeszcze musi łykać ten śmierdzący rum, choć od dziesięciu lat ma wrzód w żołądku i wódka to dla niego zabójstwo, zresztą nigdy nie robił z tego tajemnicy. Rącz dobrze o tym wie, nieraz słyszał, niemniej łądak obszczekuje go, zarzuca mu pijaństwo zamiast przyjrzeć się sobie;

kto zawsze trzyma w portierni flachę i gąsior, on, który żyje na mleku jak osesek, czy Rącz? I jeszcze śmie podle zwracać mu uwagę! Niech no tylko spróbuje oskarżyć go przed dyrektorem, wówczas on otworzy usta. Dyrekcja nie lubi pijaków! Tak jakby nie wybierali spośród tysiąca ludzi, zanim tu kogoś przyjmą na woźnego! Kto miałby odwagę powierzyć muzeum jakieś chuliganowi, w jego życiu można czytać jak w otwartej książce, zawsze było tak samo. Poczekaj, stary Rączu, jeszcze się spotkamy i zobaczymy, kto będzie miał więcej do powiedzenia.

— Niech Rącz pilnuje swojego nosa — rzekł ze złością Révész.

„Patrzcie, jaki bezczelny — rozgniewał się Torbogłowy — urąga temu niewinnemu grubasowi, a sam co robi? Hej, bracie, podła szuja z ciebie, nad słabymi się znęcasz, a mocniejszych się boisz. Rozumiem już, rozumiem, masz tam kuchnię i jeden pokój, oprócz tego osobno drugą kuchnię na lato, ale nie masz łazienki, bez której nawet za darmo bym nie wziął twojego domku; możliwe, że ty, bydlaku, w tym pięknym muzeum, w którym nawet sikawkę przeciwpożarową trzymacie pod szkłem, nie upaprzesz się, ale ja pod wieczór jestem cały w wapnie i kurzu, zjedz sobie ten swój dom, ja muszę jak najczęściej się kąpać, ta twoja letnia kuchnia też psu na budę, jeżeli kiedyś kupię dom, to na pewno nie twój.”

Kontrola! Zawiadamia go o kontroli! Po co ma przyłączyć kontrola, jeżeli w budynku siedzą Bułgarzy, gdy ból wlaźł mu do zęba, zadzwonił do Papika i spytał, co mówił Haller, po co oni przyszli i co chcą obejrzeć. Od Papika wie, że interesuje ich tylko skrzydło A i zbiory, że do niego nawet nie zajrzą. Po co zresztą,

jeżeli wszystko zamknięte, kobiety zaciągnęły podłogi w salach, pasta dopiero schnie. Sam mu powiedział, łotr obłudny, żeby teraz skoczył, dopóki Haller pokazuje złote monety, bo jeśli coś zechcą oglądać, to wyłącznie skrzydło A, sale Papika. Zresztą jak długo tam był, no, jak długo, András Kis może zaświadczyć, że nie wypił nawet połowy tego śmierdzącego rumu i wrócił, a poza tym kto wierzy w kontrolę, jeżeli w gmachu pełno Bułgarów? Ale gdyby nawet sami święci apostołowie mieli przyjść na kontrolę, i tak musi jeszcze raz wyskoczyć, bo z bólu aż mu świeceki w oczach stają. Jeżeli Rącz będzie tyle gadał, to w końcu powie Hallerowi, że w dni, w które muzeum jest nieczynne, wpuszcza każdego, kto tylko da w łapę. Kontrola!

Podszedł do okna, przez które widać było plac. No, Bułgarzy odjeżdżają. Gdy wrócił z szynku, wozy jeszcze stały, teraz zaś wszystkie ruszyły, łącznie z tą dużą, czarną limuzyną, którą przyjechał dyrektor. Złapać za telefon i pogadać z Rączem? Czort z nim! Mimo to zerknie, czy czasem ktoś się nie kręci, chociaż naprawdę nie warto, Rącz tylko straszy, zawsze lubił ludzi męczyć. Kontrola! Akurat!

Przespacerował się do końca korytarza, gdyż wydało mu się, że usłyszał kroki. Ktoś wchodził na górę, ale nie żadna kontrola, tylko jakaś dziewczynka. Ta na pewno nie będzie go niepokoić. Czego ona tu szuka? To chyba córka Hallera, bo kręci się pod jego drzwiami, zerka do środka. O, nawet weszła. Twarz jej się jakoś zmieniła od ostatniego razu, kiedy ją widział zimą; przyszła wtedy z tą wstrętną matką, która wszędzie naniosła błota i nie raczyła odpowiadać na powitania. Wtedy zdawało mu się, że jest blondynką, a teraz ma ciemne włosy. Ale skoro to nie kontrola, może wyskoczyć do szynku.

Czego, do pioruna, chce od niego ten András Kis, co się tak do niego przyczepił? Gdyby nie interesował się domkiem, już dawno by go przepędził. Jego może nie buntować przeciwko picciu, jego naprawdę nie trzeba, dla niego wszystkie winorośle mogłyby wyginać, wcale nie ciągnie go do wina. Że domek jest drogi? Jeżeli tak uważa, to może iść i nie marnować czasu. Łazienki mu się zachciało! Jakby on nie wiedział, co to za frajda! Niech najpierw dojdzie do jego wieku, przepracuje tyle lat, co on, a wtedy będzie go pouczał. Czy on nie wolałby mieć łazienki niż kąpać się w balii? Niech raz da mu spokój, ząb go tylko rwie od tej gadaniny, a gdy chce zejść, ten zawsze coś wyduma, jakby specjalnie się na niego uwziął.

Ktoś drze się, jakby go obdzierali ze skóry, na korytarzu ryk niczym podczas świniobicia, nawet jeszcze szkaradniejszy, aż strach słuchać. Na kursie uczyli go, kiedy i na co trzeba uważać, nikt jednak nie mówił, co robić, jeżeli w muzeum ktoś wrzeszczy. Mimo wszystko trzeba zobaczyć i ustalić przyczynę, nie można zlekceważyć żadnego hałasu, bo jeżeliby stało się coś złego, i to szczególnie w salach ze zbiorami, wszyscy by mieli za swoje.

Nic groźnego, jakieś dziecko beczy, ale Rącz mu nie powie, że on nie uważa. Sala zamknięta, więc może tego gamonia na chwilę zostawić, a samemu pobiec na koniec korytarza. To u Hallera, pewno tłucze dziewczynkę. Ale po co Kis idzie za nim, może spokojnie na niego poczekać, może się nie denerwować, on i tak nie odejdzie, nie zostawiłby samego obcego człowieka w budynku.

Pobiegł do końca korytarza i zajrzał do pokoju Hallera. Oczywiście, że stąd dochodziły wrzaski, dziecko drze się, ale jak! Kto by się spodziewał, że Haller tak potrafi zbić dziecko. Dlaczego on ją tak sprął? Haller

ujrzawszy go skrzywił się, ale on niestety musiał zajrzeć, gdyby tego nie zrobił, byłoby źle, tu o wszystko człowiekowi zwracają uwagę, w końcu nie wiadomo, co jest dobrze, a co źle.

Ruch dobrze mu zrobił, może gdy ząb boli, trzeba biegać; jakby mu ulżyło. Niech diabli wezmą ten rum, świństwo, ale pomaga. Za piętnaście piąta. András Kis mógłby już sobie pójść, a nie siedzieć i ziewać. Nieźle mu się powodzi, pewnie w ogóle nie pracuje, tylko patrzy, jak inni się męczą, dlatego ma pieniądze na domek. Stolarz chyba jeszcze nie wyszedł, bo aż tu słysząc, jak coś tam tłucze w warsztacie.

Kumpli jakoś nie widać — pomyślał Torbogłowy. — Jeżeli jeszcze długo będzie musiał tu sterczeć, na śmierć się zanudzi. W południe na czwartym piętrze było okropnie gorąco, myślał, że fajnie, ale za to zaprawa świetnie trzymała. Może ten Révész wcale nie jest taki zły, może wina leży po stronie kobiety, co to można wiedzieć? Spróbował raz i drugi, ale w końcu nigdzie nie poszedł, siedzi obok niego, troszkę przysypia, a troszkę gada o domku, o picu jednak nie wspomina. Tylko twarz mu się jakoś zmieniła; jedną połowę ma grubszą, gdy się dobrze przyjrzeć. Dziwna twarz, kiedy się odwróci lewą stroną, wygląda jak chomik. Nie powinien jednak lekką ręką sprzedawać domku, bo co też zrobi z pieniędzmi? Pewno nic dobrego.

Na sporcie się nie zna, potrząsanie *Gazetą Sportową* nic mu nie pomoże, Kepe wcale źle nie strzelał. Dobrze strzelał, tylko Duci jest taki cwany, że nigdy nie wiadomo, co wymyśli. Że piłkarze dużo dostają? Dostają, no to co, czego im zazdrościć? Umie pan tak kopać piłkę jak oni? Nie, no właśnie. Nikt mu nie wmówi,

że Duci nie jest dobrym graczem, kto tak twierdzi, ten nigdy nie widział gry Duciego, a on nie opuścił żadnego meczu.

No, minęła piąta, nadchodzą najgorsze chwile, ale jeśli kompani nie przyjdą, może jakoś przeleci. Stary Pongrącz będzie się cieszył, stanie się według jego woli, ten prawie nie rusza się z miejsca, tylko gęba mu rośnie. Psiakrew, w końcu okaże się, że rzeczywiście ząb go boli. Co on robi? Wyciąga z teczki butelkę i pociąga z niej zdrowo. Szkoda, że nie ma smoczka, mógłby sobie posmoktać. Pije mleko. Fuj!

— Muszę jadać co trzy godziny — rzekł Révész. — Mam wrzód w żołądku, muszę się pilnować.

— Rum świetnie kuruje wrzody żołądka.

— Niech go cholera weźmie. Widzi pan, że piję mleko, nawet nie mogę jeść każdego mięsa, mam zaświadczenie i jadam tylko cielęcinę, ale po nią trzeba strasznie długo stać w kolejkach.

— Co po tym jedzeniu, jeżeli pan pije?

On chyba na głowę upadł, pewnie matka wyrzuciła go z wózka. Ma bzika z tym piciem! Chyba sam jest pijakiem, tak lubi o tym gadać.

— Ja nie piję.

Odstawił butelkę z mlekiem.

— Widziałem — odparł András Kis. — Wody, co?

Idiota. Révész machnął ręką i wypłukał butelkę pod kranem. Czy ten stolarz nigdy się nie uspokoi, co on tam robi, może tę nową szafę? Kwadrans po piątej, niedługo koniec dyżuru. András Kis wyciągnął nogi pod stołem, zdrętwiał od długiego siedzenia. Révészowi jakoś nie spieszy się do domu. Może czeka na kumpli, którzy się spóźniają?

— O której fajerant? — spytał Torbogłowy.

— Dzisiaj o wpół do szóstej, a normalnie raz o szóstej, raz o czwartej. Zależy, o której zaczynam.

— O wpół do szóstej wychodzi pan do domu. W którą stronę?

Ależ ten murarz głupi, przecież był u niego, stamtąd tu przyszedł! Do Zugló, gdzie by mógł do cholery iść?! „Prosto?” — spytał András Kis. Nie, najpierw pojedzie do Hidegkút albo Békásmegyér, tam splunie do Dunaju i zawróci. Co za pytania!

„Jeżeli idzie prosto do domu — pomyślał András Kis — to znaczy, że dziś nie będą pili.” Odprowadzi go kawałek, zobaczy, czy rzeczywiście wsiądzie do tramwaju do Zugló, i koniec. Wpół do szóstej. Do tej godziny obiecał faceta pilnować.

Matka Zsófikki musi być porządną kobietą, Révész miał tak starannie zapakowany obiad, każde naczynie zamknięte, nic nie może się wylać. Nareszcie się rusza. Ale podejrzliwa bestia, bez przerwy coś węszy, przed chwilą poleciał jak wariat, chociaż tylko dziecko się gdzieś rozbeczało. Czego tu nasłuchiwać, stukają albo trzepią dywan i to chyba ten Kálmán Haller, bo stamtąd hałas dobiega. Gdzieś tu jest warsztat, w którym Haller robi nogi do mebli.

Dlaczego on się znowu zatrzymał? Zagląda do pokoju, po czym odwraca głowę z tak wystraszoną miną, jakby zobaczył wycelowaną w siebie lufę karabinu. Gdzie go diabli niosą? Podchodzi do telefonu, dzwoni do portiera. Po jakie licha, przecież z oczu mu widać, że tamtego nienawidzi, w łyżce wody by go utopił. Co on mówi? Żeby portier natychmiast przyszedł, gdyż ktoś łomocze w budynku? Łomotać łomocze, to prawda, teraz przez otwarte drzwi słyhać wyraźnie.

Już chyba może skończyć to stróżowanie, kumple nie przyszli, jeden rum się nie liczy, a to łomotanie tak go zajęło, że chyba nigdzie nie polezie, tylko pójdzie do domu. Najgorsze, że taki blagier i krętacz z niego, raz gada jedno, a za chwilę drugie. Kto, u licha,

może tak łomotać, jakby walił i kopał w ścianę? Ale mają pietra, lepiej być murarzem, nie zgodziłby się na strażnika w muzeum, gdzie byle łomot i zaraz człowiek ma cykorię.

Zjawił się Rącz. Był czerwony aż po czubki uszu.

— Niech już pan sobie idzie — zwrócił się do Torbogłowego. — Chyba dość się nagadaliście. Teraz mogą tu pozostać tylko osoby urzędowe.

— Jak długo jeszcze zostaniecie w muzeum? — zainteresował się Torbogłowy.

— Diabli wiedzą. Niech pan już idzie! Papik siedzi w portierni, on pana wypuści.

No, oni tu jeszcze będą niuchać, nie ma się czego obawiać, zanim skończą, będzie szósta; kontrola nie przyszła, można iść do domu. A jeśli ten nedorajda myśli, że on przyjdzie w niedzielę obejrzyć jego domek, to się grubo myli.

Portier zamknął za sobą drzwi. Ktoś siedzi w skarbcu i dobija się do wewnętrznych drzwi. Klucz tkwi w zamku, ale cóż z tego, on nie umie otworzyć, trzeba znać specjalny kruczek, jedynie dyrektor i Haller potrafią ten klucz przekręcać, a Hallera ani śladu, przepadł jak kamień w wodę. Nie wyszedł, to murowane, tylko dziecko wybiegło z jego teczką. Révész musi sprowadzić dyrektora, wykopać go choćby spod ziemi. Trzeba pozamykać wszystkie zewnętrzne drzwi. Zbiory!

Révész popędził do telefonu, dopiero teraz było widać, jak mu twarz spuchła. Nagle Rącz zauważył coś błyszczącego. Zmartwił. Na stole stała popielniczka z brązu, wypożyczona tak samo jak gobelinowy fotelik, a w popielniczce lśniła moneta. Portier nigdy nie widział leżących obok siebie oryginalnych monet i kopii, lecz mimo to był pewien, że ta moneta jest prawdziwa, a leży sobie w popielniczce niczym ciśnieńta niedbale dziesięciofillerówka.

XVIII

Mamusia pierwsza wróciła do domu; Zsófica zastała ją w kuchni gotującą kawę i nie zdradzającą żadnego zainteresowania nieobecnością córki, a swoją kartkę znalazła w koszu od śmieci, co znaczyło, że mamusia czytała ją.

Zsófica dostała podwieczorek, poczekała jednak, aż mamusia wyjdzie z kuchni, i wylała kawę do zlewu, nie była w stanie jej przełknąć. Próbowała ułożyć sobie, co w razie czego powie, przez chwilę kręciła się koło biurka mamusi, daremnie jednak usiłowała zwrócić na siebie uwagę. Mamusia otwierała i zamykała szuflady, robiła porządki. Wyjmowała z teczki różne papiery i książki.

„Mamusia wyprowadza się z Instytutu” — pomyślała Zsófica. Och, gdyby przestała układać papiery i spytała ją, co robiła po południu, gdyby mogła sama wszystko opowiedzieć, oczywiście tyle, ile można. Mamusia jeszcze dziś wszystkiego się dowie, to będzie straszne.

Zsófica wyszła do kuchni i usiadła na skrzyni do śmieci. Przysłuchiwała się odgłosom dobiegającym z dwóch stron. Jeżeli przyjdą, to dzwonek odezwie się w przedpokoju, a jeżeli zatelefonują, to w pokoju mamusi. Chyba jednak najlepiej byłoby posiedzieć koło mamusi. Wróciła do biurka i poczęła przyglądać się szybkim ruchom jej rąk, umiejącym znaleźć miejsce dla każdej książki i każdej kartki, po jakimś czasie jednak mamusia powiedziała, że nie lubi, jak ją obserwują, że Zsófi powinna się czymś zająć, dziewczynka

wycofała się więc do swego pokoju i usiadła na dywanie. Na dywanie pstrzyły się kwiaty, małe zwierzątka i księżyc. Na fotelu wuja Kálmána był gryf.

Nie może powiedzieć, dlaczego to zrobiła. Mamusia pomyśli, że jej córka zwariowała. Jaka spotka ją kara? W przedpokoju zabrzmiał dzwonek. Mamusia zawołała, żeby Zsófiika zobaczyła, kto przyszedł, ale ona nie miała odwagi się ruszyć, położyła się na brzuchu i zatkaną uszy. Mamusia jeszcze parę razy wołała, wreszcie sama wybiegła; ktoś pytał o sąsiadów, którzy nie mają tabliczki na drzwiach. Mamusia weszła do pokoju Zsófiiki, by ją skrzyczeć, lecz stanęła jak wryta na progu. Jednak ten okres poprzedzający dojrzewanie nadwiera system nerwowy. Leży na dywanie i przyciska uszy. „No, wstań, Zsófiiko, nie rób komedii!”

Wyszukała jej jakąś książkę i wróciła do biurka. Zsófiika prosiła, żeby z nią posiedzieć. Jak może z nią posiedzieć, ma tyle do zrobienia. 15 sierpnia zmienia pracę. Jest tak rozgoryczona, że swoją goryczą mogłaby zatruć cały świat. Z własnym dzieckiem ledwie sobie radzi, ma taką nieukładną, dziwną córkę, a cóż dopiero z czterdziestoma, czterdziestoma cudzymi dziećmi... Nigdy nie wybaczy Dobayemu, że wbrew woli przenieśli ją do szkoły.

Wiadomość przyszła przez telefon. Zsófiika od razu wiedziała, gdyż ciocia Kató nawet w normalnych okolicznościach mówi ostrym, donośnym głosem, teraz zaś tak wrzeszczała, tak ryczała, że trzaski w słuchawce dolatywały aż do szpary w drzwiach, przez którą Zsófi podśluchiwała. Ciocia mówiła nienormalnie długo, nawet płakała. Zsófiika przywarła do framugi drzwi i słuchała. Mamusia prawie się nie odzywała, jedynie na końcu powiedziała, że wszystko załatwi.

Właśnie idzie, zbliża się, za chwilę stanie się coś okropnego, bo Zsófiika może powiedzieć tylko połowę prawdy, reszty nie wolno jej zdradzić. Ciocia Kató nie wie, co by się stało, gdyby Zsófiika nie zamknęła tych drzwi, wówczas dopiero by płakała. Mamusia zmar-twiona zacznie ją wypytywać, a jej nie wolno będzie odpowiedzieć. Na pewno nie zrozumie tego, tak samo jak wielu innych rzeczy.

Mamusia po raz pierwszy w życiu o nic nie pytała i nie prosiła o żadne wyjaśnienia. Gdy weszła, wargi jej drżały ze zdenerwowania. Zsófiika podniosła się, w szkole przyzwyczała się, że jeżeli coś jest nie w porządku, trzeba wstać. I tak wszystko na próżno, nie wolno jej nic powiedzieć, mamusia daremnie będzie pytać. Ale mamusia o nic nie pytała, tylko ją zbiła.

Zsófi podniosła ręce do twarzy, właściwie zrobiła to nieświadomie, instynktownie, jak człowiek, który nagle oślepiiony światłem zamyka oczy. Mamusia ude-rzyła ją w twarz, po czym biła, gdzie popadło, w pupę, jak przed południem pan István, wreszcie oderwała jej ręce od twarzy, co także bolało. Gdy Zsófiika zaniósła się płaczem, mamusia przestała bić i też się rozplakała. Dziewczynka uciekła do kąta, usiadła na podłodze i przytknąwszy czoło do drzwiczek od pieca westchnęła: „Tatusiu!”

Mamusia wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem, po czym wypadła z pokoju i nie przestając szlochać biegała tam i z powrotem, w pewnym momencie wyszła do kuchni, za chwilę wróciła, trzasnęła drzwiami od szafy i zaczęła się ubierać. Nie wchodząc do pokoju Zsófikę zawołała, żeby sama zrobiła sobie kolację, położyła się i nie czekała na nią, gdyż wróci późno, wychodzi do wujostwa Balázsów, dziś nie chce nawet na nią patrzeć.

Stuknęły drzwi, Zsófiika nie ruszyła się z podłogi, sie-

działa z rękami zaciśniętymi na drzwiczkach zimnego pieca. W środku na metalowym ruszcie obok wieiórki, trzymającej orzech w łapkach, był wytłoczony napis: CALOR.

Judit zbiegła po schodach. Nie odklóniła się nawet dwóm mieszkańcom kamienicy, tylko pędziła przed siebie. Aby dalej, aby tylko dotrzeć do jakichś zupełnie innych ludzi, którzy nie będą jej przypominać Zsófi czy też Kató. Jakżeż ona wrzeszczała w słuchawkę, powiedziała, że jeżeli jeszcze raz Zsófikę zobaczy, zamorduje ją, żeby jej do niej nie przysyłać, bo ją zbije na kwaśne jabłko. Kálmán dostał szoku nerwowego, wezwali lekarza; nie dość tego, że przez to nędzne szczenię o mało nie udusił się w tym upale, to jeszcze musieli wzywać dyrektora, który otworzył drzwi, i wówczas okazało się, że Kálmán dał Zsóficę monety do ręki, a ta idiotka zostawiła je na stole, skąd każdy mógł je zabrać. Dyrektor powiedział, że napisze do Rady Narodowej, takie nieznośne dziecko trzeba nauczyć rozumu. Kálmán ledwie trzymał się na nogach, był tak wyczerpany nerwowo, że zapomniał, gdzie mieszka, nie poszedł prosto do domu, lecz błąkał się po mieście; Zsófi zabrała mu teczkę, Kató zażądała, by ją natychmiast odesłać. Kálmán jest w domu, ale przeszedł taki wstrząs, że leży na tapczanie i płacze jak dziecko.

„Skąd ona się tam wzięła? — zastanawiała się Judit wchodząc po schodach do Balázsów. — Co jej strzeliło do głowy, żeby iść do muzeum? Kálmán też jest winien, po co dawał jej monety, Zsófi na pewno sama nie prosiła, jest zbyt tchórzliwa, żeby w ogóle o czymś podobnym pomyśleć. Z pewnością pokazywał jej, a ona przypadkiem zatrzasnęła za nim drzwi, co ją tak wy-

straszyło, że nikomu nie miała odwagi powiedzieć, tylko zostawiła monety i wróciła do domu. Coś jej chciała powiedzieć, tak się koło niej kręciła. Pewno właśnie to."

To dziecko przysparza samych rozczarowań, a tak się na nie cieszyła przed urodzeniem, tak wierzyła, że będzie inne niż wszystkie, odważne, niezwykle, z charakterem. I oto jest, niewydarzona, nieporadna, tchórz nad tchórze. Przez Dobayego ją zbiła, nigdy mu tego nie wybaczy. Judit zatrzymała się i wytarła nos. Takich rzeczy się nie wybacza. Gdyby nie gnębił jej od kilku tygodni, gdyby nie denerwował jej tym przeniesieniem, potrafiłaby się opanować. W trzech książkach napisała, że żaden stan psychiczny nie usprawiedliwia bicia, a sama rzuciła się na dziecko i tak je pobiła, że aż ją ręka boli. Teraz jeszcze podjudzą Radę Narodową, odbędą posiedzenie, może nawet wezwą Zsófikę, mało, że jest przeciętną uczennicą, wszystkiego im mało. Marta Szabó może się cieszyć, bo oto Judit poniosła nową klęskę, klęskę matki, która nie umiała wychować dziecka.

Również Zsófice nigdy nie wybaczy — dlaczego stała jak kulek, dlaczego nie uciekła, dlaczego, gdy ją tak strasznie uderzyła, zawołała Gábora? Teraz nawet o Gáborze nie może myśleć, co by mu powiedziała, gdyby nagle się zjawił? „Tatusiu!", zawołała Zsófika i spojrzała na drzwi, jakby rzeczywiście mógł wejść i jeszcze raz jej pomóc.

Balázsowie bardzo się ucieszyli, Matyi, żona Balázsa, akurat szykowała kolację, ukroiła jeden kawałek mięsa więcej i zaproponowała, żeby zjedli razem. Prędko jej nie puszczą, dobre kilka tygodni nie mieli okazji porozmawiać. Judit jadła bez apetytu, pozwoliwszy gospodarzom mówić. Matyi nieco przesoliła mięso. Teraz już nawet do Kató nie będzie można nieboraczki posyłać.

Zsófiika w ogóle nie jadła kolacji. Wiedziała, że w domu są jajka, chleb i mleko, ale na nic nie miała ochoty. Chodziła po mieszkaniu tam i z powrotem, wydało jej się duże, tak bardzo czuła się samotna. Wyjęła spod łóżka teczkę wuja Kálmána, ale zaraz wrzuciła ją tam ponownie. Nie otworzy jej, nawet wiedzieć nie chce, co się w niej kryje, boi się jej.

Kto ją odniesie? Przecież nie ona, ona już nigdy nie będzie mogła tam pójść. Jest ósma, Viki i Dóra wyruszyły o piątej. Zapomniała spytać, czym dojadą do granicy. Jeżeli samochodem osobowym, to już mogą być w pasie granicznym, kiedyś oni też jeździli w tym kierunku, jedno lato spędzili w Sopronie, skąd jest bardzo blisko do granicy. Jeździli wtedy samochodem, wuj Balázs był jeszcze kawalerem. Podróż nie trwała nawet czterech godzin, w trzy i pół godziny byli na miejscu. Czy Viki i Dóra przekroczą granicę w nocy, czy też poczekają do jutra?

Dóra nigdy się nie dowie, co zaszło po jej wyjeździe, w jaki sposób ona zatrzymała wuja Kálmána. Powie tylko Mariannie, choć musi się zastanowić, bo Mariannę może zboleć, że wuj Kálmán chciał wyjechać i to nie pożegnawszy się z nią.

Wpół do dziewiątej. Biedna mamusia, jaka ona smutna. Jak bardzo musiała się zmartwić, jeżeli tak ją zbiła. Dziś przez cały dzień ją biją, ledwie może ruszać ręką. Ale pan István jest silniejszy od mamusi. Biedna mamusia, ma takie niedobre dziecko, które nigdy nie sprawia jej radości. Jeżeli nawet zrobi coś dobrego, musi to ukrywać, nikt nie może o tym wiedzieć. Obecnie czeka ją zupełnie samotne życie, zabronią jej bawić się z Marianną, wuj Kálmán nawet nie będzie chciał na nią spojrzeć, Dóra znikła. Gdy pan István wyzdrowieje, nie będzie wiedziała, po co żyje.

Nie zapaliła światła, zapadł mrok, a ona leżała na

brzuchu na dywanie. O tej porze na ulicy rozbłyskują latarnie, cichną hałasy, miasto odpoczywa. Gdyby nie była taka głupia, po maturze mogłaby pójść na Akademię Medyczną. Miło jest czuć się potrzebnym, a lekarza ludzie zawsze wzywają i szukają. Tylko jej nikt nie potrzebuje. Pan István, gdy wyzdrowieje, pewno w ogóle nie będzie jej zauważał. Torbogłowy. Torbogłowy kłamie tak samo, jak wuj Kálmán.

Dobrze, że zostawiła monetę na stole. To jedno mądrze zrobiła. Początkowo chciała ją zabrać i potem oddać razem z teczką, lecz później przyszło jej do głowy, że może ją zgubić, a przecież taka moneta ma wielką wartość, więc włożyła ją do popielniczki, by łatwo ją było znaleźć.

Biedna mamusia. Co ona robi w szkole, gdy dzieci będą dokazywać? Przecież nie będzie mogła ich bić, choćby były najgorsze; zresztą sama napisała, że nie wolno. Tatuś Aczél złożył kiedyś skargę na nauczycielkę, która uderzyła Aczél w twarz, były wtedy w drugiej klasie i Aczél pluła na lekcji. To byłoby potworne, gdyby ktoś kiedyś złożył skargę na mamusię.

Posłała łóżka, mamusi i swoje. Umyje się i położy, nie będzie czytać, tylko wskoczy do łóżka i zaraz zgasi światło. Dobrze jest poleżeć po ciemku. Ciemność nie jest straszna. Od czasu, gdy tatuś wytłumaczył jej, na czym polega ruch ziemi, ciemność jest rzeczą zrozumiałą.

W łóżku przewróciła się na brzuch, ale nie mogła się dobrze ułożyć. Twarz miała spuchniętą, rękę obolałą, a kiedy obracała się na plecy, bolało ją siedzenie. Najlepiej odpoczywała podpierając się prawą ręką, musiała tylko ugnieść poduszkę pod karkiem. O tej porze zmienia się nawet powietrze, nowe, wieczorne powietrze unosi firanki i wpełza do pokoju. Biedna ma-

musia. Biedna, kochana, dobra mamusia. Jakie to straszne, że ona nie może mamusi pomóc! Czy wuj Kálmán wrócił do domu zaraz po wydostaniu się ze skarbcza? Chyba nie, pewno najpierw pobiegł do Viki. Ale Viki musiała już być daleko, w przeciwnym razie ciocia Kató zadzwoniłaby z inną wiadomością.

Za oknem rozległy się uderzenia wielkiego zegara, wybiła dziewiąta. Zsófi nie była ani odrobinę śpiąca. Jeszcze nie przebrzmiało ostatnie uderzenie zegara, gdy odezwał się dzwonek, zaledwie jęknął; Zsófi nie była pewna, czy rzeczywiście zadzwonił, czy się przesłyszała. Usiadła na łóżku. Czyżby listonosz? Ale kto mógłby przysłać im taką pilną depezę? Dzwonek zaterkotał ponownie. więc narzuciła szlafrok i wyszła. Może mamusia ze zdenerwowania zapomniała klucza. Ale nie, Zsófi słyszała, jak zamykała drzwi od zewnątrz. Mamusia. Biedna mamusia. Co zrobić, żeby ją prześlagać? Mamusia nie znosi, kiedy człowiek mówi: „Przepraszam!”; kiedyś gdzieś napisała, dlaczego uważa to za niewłaściwe. Trzeba zrozumieć, a nie przepraszać, dziecko musi zrozumieć, że zawiniło, nieodpowiednio się zachowało, to wystarczy. Więc nie ma wyjścia, bo ona nie może przyznać, że należało inaczej postąpić, przecież musiała zamknąć wuja Kálmána. Tatusz dawał się przepraszać, mówił: „Już się nie gniewam!”, pociągał ją za włosy i całował w czubek nosa. To było szalenie miłe.

Dzwonek znowu jęknął. Obcym nie wolno otwierać, szczególnie wieczorem, najpierw trzeba wyjrzeć przez okienko. Wyjrzała, ale za drzwiami nikogo nie zobaczyła, klatka schodowa była pusta.

Pomyliła się jednak. Ledwie zamknęła okienko, znowu usłyszała dzwonek. I tym razem jednak za drzwiami nikogo nie było. Ktoś się z nią bawi, jakby ją chciał wywabić. Musi otworzyć, dowiedzieć się, kto robi takie

żarty. Wyszła za drzwi, połą długiego szlafroka zamiatając po wycieracze. Nie ujrawszy nikogo stropiła się, zaczęła nawet trochę się bać, chociaż tatuś powiedział, że wszystko ma swoje naturalne wytłumaczenie. Z lewej strony ciągnęła się klatka schodowa z drzwiami Királyów, którzy nie mieli tabliczki, z prawej zaś były wahadłowe drzwi od korytarzyka prowadzącego do oficyny. Drzwi te poruszały się, jakby niedawno za kimś się zamknęły. Człowiek, który dzwonił, znajduje się za tymi drzwiami, i nie wiadomo, dlaczego nie chce wejść. Czy powinna zobaczyć, kto to?

Wejść do urzędu, odezwać się do nieznanego albo spytać o coś w sklepie — to są straszne rzeczy. Ale zobaczyć, kto stoi za drzwiami, kto dzwonił? Dlaczego nie? Zresztą za każdymi drzwiami wychodzącymi na korytarz od podwórza mieszkają ludzie, ponadto o tej godzinie pani Nánási siedzi na swoim stołeczku, zawsze o tej porze zażywa powietrza, Zsófi ka zaobserwowała to przez okno z kuchni. Nacisnęła wahadłowe drzwi i puściła je za sobą. Miejsce pani Nánási było puste, ale niedawno musiała wrócić do mieszkania, gdyż stołeczek stał jeszcze za progiem, a przez szybę w drzwiach przesączało się światło. Wśród świetlistych smug i cieni stała Dóra z plecakiem na plecach.

A więc wszystko na darmo. Niepotrzebnie oberwała lanie, niepotrzebnie zamknęła wuja Kálmána, one nie pojechały, wszystko zacznie się jeszcze raz od początku, nie może nawet odczuwać zadowolenia, że coś załatwiła.

Oczywiście Dóra bała się głośno dzwonić, bo drzwi mogła otworzyć mamusia, a nie ona. W gruncie rzeczy zakaz mamusi stał się nieaktualny, ale mamusia nie zna prawdy, nie odwołała go, więc nadal obowiązuje.

Dóra usiadła na stołeczku pani Nánási, plecak poło-

żyła na podłodze. Była zakurzona od stóp do głów, kolana i sukienkę miała umazane olejem, a rękę obtartą.

— Wróciłam — powiedziała.

Zsófica zacisnęła ręce na pasku od szlafroka.

— Przed Tahí zeskoczyłam z samochodu, na szosie nie było nikogo. Viki, jak tylko ruszyliśmy z Pesztu, zasnęła, a pan Seres siedział z przodu, prowadził wóz. Samochód był po brzegi wyładowany ziemniakami, które strasznie uciskały mnie w siedzenie. Później spotkałam turystów, z którymi doszłam do Szentendre.

— Dlaczego wróciłaś? — spytała szeptem Zsófica.

Dóra spojrzała na nią, po czym utkwiała wzrok w ścianie. Ściana była oślepiająco biała, akurat odnawiano dom.

Viki pojechała, a Dóra wróciła. Dóra jest! Jedyna osoba pozostała z dawnych czasów!

— Miałam w kieszeni dwa forinty, więc wsiadłam do kolejki.

Spośród nich trzech Dóra zawsze najlepiej we wszystkim się orientowała. Tahí. Gdzie to może być? Szentendre. Kolejką jeździli do Rzymskiego Kąpieliska.

— Czy mogę u was przenocować?

Tu? Zsófica osłupiała. Nie mogłaby u nich przenocować, nawet gdyby dziś nie było tych wszystkich potwornych wydarzeń. Mamusia by nie pozwoliła. Ale dlaczego ona chce tu spać?

— Do domu nie mogę iść, tam wszyscy myślą, że wyjechałyśmy na prowincję. Nawet widzieli, jak odjeżdżałyśmy samochodem. Klucz został u Viki w kieszeni, nie mam czym otworzyć drzwi. Nie mogę włączyć się do mieszkania bez Viki.

Na drzwiach Nánásich wisiała przezroczysta firanka. Pani Nánási podawała kolację, pan Nánási jadł z garnka maczając kawałki chleba w jakimś czerwono-

nym sosie. W radio nadawano słuchowisko, jedna z aktorek akurat śpiewała.

— Jedzenie zostało u Viki — odezwała się Dóra. — Jestem strasznie głodna.

W domu jest wszystko, ale Dóra nie może wejść do środka. Nie mogą nawet pójść na podwórko do trzepania, bo już ciemno, co by ludzie powiedzieli? Zsófica biegiem wróciła do kuchni, zaczęła smarować chleb i kroić ser. Nagle i ona poczuła głód. Korytarz to nie mieszkanie. Stołek należy do pani Nánási, a nie do mamusi.

Zjadły kolację na korytarzu, Zsófica wyniosła też trochę wody. We dwie spałaszowały prawie pół kilograma chleba. Jeżeli Viki wydobędzie się za granicę, niewątpliwie w jakiś sposób da znać Dórze; znają listonosza z placu Apáczaí Csere, to tatuś Sutyí Szücs, na pewno wyda Zsófice list do Dóry, jeżeli po niego pójdzie. Możliwe także, iż Viki zawróci, nie zostawi Dóry samej, na pewno już się obudziła w ciężarówce. Twarz Dóry jednak nic nie mówi, nie wiadomo, czy ucieszyłaby się z tego, czy też nie. Zsófikę na samą myśl o tym aż dreszcz przeszedł.

Niech Viki nie wraca, niech już więcej się nie pokazuje!

— Marianna przyjechała? — spytała Dóra.

Zsófi potrzęsnęła głową.

— Ja to załatwiłam — rzekła i po raz pierwszy od wielu godzin uśmiechnęła się.

Dóra położyła kromkę chleba na kolanach i przyjrzała się Zsófice. Nie przerywała, gdy ta opowiadała o wydarzeniach popołudnia, nawet na końcu nic nie powiedziała, tylko w milczeniu dokończyła chleb. Zsófica poczuła się trochę urażona, czekała na pochwałę, na jakieś dobre słowo — mamusia tak bardzo ją zbiła.

Ale Dóra milczała, rozważała, co z tego wyniknie, muzeum na pewno napisze do szkoły ze skargą na Zsófikę. Według pierwotnego planu — usłyszała szept Zsófikę — kto inny miał to wszystko załatwić, jej przyjaciel, pewien murarz, ale on nie przyszedł. Dóra nigdy nie słyszała, że Zsófika ma przyjaciela. Może ten, który wtedy rzucił jej gruszkę?

Dóra jest zmęczona — uspokoiła się Zsófika — może jutro, jak odpocznie, okaże większe zainteresowanie. Powinna się położyć, taki kawał przeszła pieszo. Ale gdzie? Dokąd ją zaprowadzić? Oprócz wujostwa nie ma żadnych krewnych, z nikim nie jest w takich stosunkach, żeby przyjął Dórę o nic nie pytając. Może do pani Marty? Miejsce do spania by się u niej znalazło i może pani Marta nie dopytywałaby się, dlaczego Dóra musi zostać u niej przez parę dni. Margit Végh mieszkała kiedyś u niej przez cały tydzień, pana Végha zabrała milicja, bo coś ukradł, i Margit nie mogła spać, bała się, że znowu przyjdą w nocy i będą robić rewizję. Ale Dóra nie chce iść do pani Marty. Nie, do niej nie, pani Marta zawsze wszystkiego się domyśla, a ze względu na Viki przez pewien czas nikt nie może się niczego domyślić.

Zsófika wsunęła głowę między pręty galeryjki i niczym mały, biedny więzień spojrzała na ciemne podwórze. Gdyby tatuś żył, Dóra mogłaby spać w gabinecie, na pewno nie bałaby się Tóbiása, Tóbiás ma wszystkie zęby. Dokąd ją zaprowadzić? Do kogo się udać? Mieszkanie należy do mamusi i mamusia w nim rządzi. Jeżeli w ogóle kiedyś będzie pracować, będzie miała posadę, to wtedy będzie mogła zapraszać, kogo zechce, nawet na dłuższy czas. Ale teraz — nie. Dóra milczała. Jej buty były kompletnie zakurzone. Zsófi dopiero w tej chwili pomyślała o tym, co będzie, jeżeli Viki nie wróci. Dóra i dotąd nie była nikomu potrzebna.

Ale chyba istnieje jakieś prawo, które określa los nikomu niepotrzebnych dzieci?

Na korytarz wyszła pani Nánási i ujrawszy je roześmiała się. Dóra, wystraszona, podniosła się ze stołka.

— Jeśli chodzi o mnie, to możecie siedzieć — powiedziała pani Nánási wachlując się. — Ale dlaczego nie idziecie spać? Nocne Marki.

Zsófiika wsunęła nogi pod szlafrok. Była w rannych pantoflach. Pani Nánási wróciła do kuchni; po chwili usłyszały, jak opowiada mężowi, że córka sąsiadki i jakaś dziewczynka siedząc na ich stołku zażywają powietrza.

Dóra już nie usiadła, lecz zarzuciła plecak na ramię. Miała rację. Przyszła o dziewiątej, z pół godziny pewno minęło, nie mogąc bez końca sterczeć na korytarzu. Zsófiika nie może jej przyjąć, a do swojego domu nie może wrócić. Co robić? Zsófiika stała bezradnie i usilnie próbowała coś wymyślić. Na wszelki wypadek ubierze się, może przez ten czas coś przyjdzie jej do głowy. Wpadła do mieszkania, wciągnęła sukienkę i sandały. Och, żeby istniał dom, w którym mogłaby zaofiarować Dórze łóżko, talerz, dom, w którym ona by rozkazywała. Dom...

Chodzi tylko o wolne łóżko, ale gdzież w tym wielkim mieście może być wolne łóżko, o którym ona by wiedziała?

Gdy wróciła na korytarz, Dóry nie było. Na pewno zawstydziała się, że potrzebuje jej pomocy, jest harda, więc chwyciła plecak i znowu gdzieś tam idzie przed siebie. Na myśl o tym Zsófikę aż dreszcz przeszedł, tak się przeraziła. Dóra jednak nie poszła, tylko skryła się w mroku i kiedy ukazała się pod drzwiami państwa Nánásich, Zsófiika odetchnęła z ulgą. Teraz ona usiadła na stołku, a Dóra stanęła obok. Istnieje tylko jedno

jedyne wolne łóżko, w którym ewentualnie można by położyć Dórę.

— Chodź! — powiedziała. — Masz jeszcze trochę siły?

— Dokąd chcesz mnie zaprowadzić? — spytała Dóra.

— Chodź!

Ruszyły. Dóra stąpała koło niej o nic nie pytając, szła z widocznym wysiłkiem, ale posłusznie. To ona zawsze była tą sprytną, która w każdej sytuacji znajdowała wyjście. A teraz... Szkołę zamykają o ósmej. Jak człowiek dostaje się do zamkniętego budynku? I co powie Dóra, gdy zobaczy, dokąd Zsófi ją prowadzi? Czy w ogóle zechce wejść do środka?

Boczne uliczki były prawie puste. Zsófi nigdy o tak późnej porze nie wychodziła sama na miasto. Wszystko więc było dla niej nowe, nie znane — i wydłużone drzewa, i nieoczekiwane szmery. Gdy oczom ich ukazał się ciemny blok szkoły, Dóra zatrzymała się na rogu i z jakimś głębokim, ponurym smutkiem spojrzała na Zsófikę. „Chyba nie myśli, że ją nabrałam, odprowadziłam do placu pod jej dom i teraz zostawię ją beztrosko pod bramą?”

— Ja tu pracuję.

Dóra patrzyła bez słowa.

— Zostałam zatrudniona w pewnym mieszkaniu do sprzątnia i gotowania. Pan István mnie przyjął, on nie ma nikogo, całą rodzinę bomba mu zabiła. Pan István jedynie udaje wstrętnego. Wcale taki nie jest, tylko po prostu smutny. U niego możesz spać.

Czasem jest wstrętny i szorstki, to fakt. Dziś zbił ją, a poza tym przeklina, ale nie można Dóry z góry straszyc.

— Mam nocować u portiera? — spytała Dóra.

— Tak. Ja rano przyjdę i razem coś ugotujemy.

— A on się zgodzi?

— Jeżeli ja poproszę, to się zgodzi.

Spojrzała na Dórę i zobaczyła, że płacze. Od czasu, kiedy w Dobogókő Dóra położyła się na brzuchu na zboczu góry, Zsófiika nie widziała łez w oczach przyjaciółki. Jeśli jej coś dolegało, raczej klęła, tak jak pan István. Odezwał się zegar na wieży.

Już miały ruszyć, gdy przed domem Dóry zatrzymał się samochód. Uskoczyły w tył, Dóra przypadła do ściany. Z taksówki wysiedli państwo Biró i weszli do domu. Wówczas pędem puściły się przez plac, Dóra skryła się w bramie, a Zsófiika poruszyła klamką, oczywiście bez rezultatu. Po dłuższej chwili znalazła dzwonek i nacisnęła go. Dzwoniła chyba przez pięć minut, gdy wreszcie pojawił się Székely w nocnej koszuli i czarnym, dziurawym płaszczu narzuconym na ramiona. Wyrzwał przez okienko i zobaczywszy Zsófikę otworzył drzwi.

To już jest chamstwo, wiele rzeczy można wybaczyć, ale to, co wyprawia stary Pongrácz, przechodzi wszelkie granice. Nawet na noc każe dzieciakom przyłączyć, pewno muszą mu czytać, zresztą cholera go wie, i jednej już mu mało, a on musi się zrywać z najrozkoszniejszego snu. Nawet dyrektorka nie włości się po dieśiątej, a te dwie smarkate leżą jak do swego, chociaż cóż one winne temu, że Pongrácz zwariował? I jak to się zgrywa, o, ciemno u niego, zaciemnił od wewnątrz, udaje niewiniątko, że niby o niczym nie wie. Pewno kazał sobie coś ugotować albo pognął Zsófikę Nagy do apteki, boć to jego niewolnica, co dzień ją tak tresuje. Jedna już mu nie starcza, drugiej mu się zachciało, i to w samym środku nocy, diabli wiedzą, po co, a jak skończą, trzeba będzie je znowu wypuścić. Nie lubi skarżyć, ale o tym powie dyrektorce.

Na korytarzu w suterenie paliło się światło. NIE PUKAĆ! — informowała nowa tabliczka sporządzona przez Zsófikę. Székely z hukiem zatrzasnął drzwi swego pokoju. Dóra zatrzymała się.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała Zsófi. — Najpierw ja wejdę.

W pokoju pachniało stęchlizną, w nocy wilgotne, chłodne powietrze robiło wrażenie jeszcze bardziej zaćmiałego niż w dzień. Z początku Zsófi usłyszała tylko sapanie pana Istvána. Namacała kontakt, nieraz wycierała go z kurzu, więc wiedziała, gdzie szukać.

Gdy zabłysła lampa, pan István obudził się. Usiadł, przesłonił rękoma oczy, zaczął mrugać, wreszcie spojrzał na dziewczynkę przenikliwie, ale tak, jakby nadal spał i przez sen się o coś gniewał.

— Czy nie chciałby pan mieć dziecka? — zapytała Zsófika.

Pongrácz spojrzał na zegarek. Było siedem minut po dziesiątej. Tak, to Zsófi, Zsófi włóczy się po nocy.

— Ona nie ma gdzie się podziać, nie miałam gdzie jej zaprowadzić.

Co ona bredzi, na Boga Ojca? Czy on nie chciałby mieć dziecka? Przed chwilą myślał, że to sen, bo rzeczywiście dziewczynka mu się śniła, ale nie, to rzeczywistość, Zsófika gapi się na niego i plecie jakieś bzdury. Rozzłościł się.

— Gdzież ty, u diabła, szwendasz się po nocy?

Nie powinien od razu tak wrzeszczeć, ale inaczej nie potrafi. Ona jednak nie gniewa się, nawet nie odpowiada, tylko otrząsa się jak pies, który wyskoczył z wody, uśmiecha i zaczyna słać wolne łóżko. O, to jasiek Marcsy, diabli wiedzą, skąd wzięła powłoczkę, ale już ją naciąga. Czyżby naprawdę przyprowadziła mu dziecko? On chyba wyskoczy z tą nogą w gipsie przez

okno i zamieszka na kupie węgla. We łbie jej się pomieszało. Cielę malowane!

Plecie, że tylko na parę dni, bo na razie nie ma gdzie spać. Cóż to, przytułek u niego czy szpital? Nie raczyła spytać, tylko posłała łóżko, a on, stary baran, nawet nie powie jej, żeby rządziła się u siebie w domu, a nie tu. Jeżeli już takiemu dziecku pozwala się wodzić za nos, to lepiej by było, żeby odwalił kiteę. Gdyby nie stłukł jej rano, raz, dwa by ją przepędził.

— Kogo, u licha, sprowadzasz mi na kark? — burknął. Znowu jakaś mętna historia, jak wszystko, o czym Zsófi opowiada, jak praca jej matki i Keler, do którego wysłał Andrása Kisa, do dziś nie wie, kto zaczął ten Keler, którym tak go wymęczyła, ciekawe, co murarz zdrał, w ogóle do niego nie przyszedł, a byłby go ostrzegł, żeby uważał, bo Zsófi jest córką Gábora Nagya, więc Keler pewnie nie jest woźnym w muzeum. Nie przyszedł, też nie słucha, choć pochodzi z tych samych stron, co on, jest wnukiem Kapás-Kisów.

No, ale to już szczyt wszystkiego! Rzeczywiście wybiega na korytarz i zaraz mu kogoś sprowadzi. Czy nie chciałby pan mieć dziecka? Do pioruna z dziećmi!

Przyprowadziła. Pan István usiadł w łóżku, Zsófi podeszła do niego i jakby chcąc go ułagodzić, położyła rękę na jego poduszce, druga dziewczynka zaś stanęła w drzwiach. Utkwiła w nim nieruchome spojrzenie, nie odrywając ręki od klamki, jakby w każdej chwili gotowa zawrócić. Gdzież ona ją wytrzasnęła, ale nawet nie warto pytać, czy choć raz coś mu jasno i prosto powiedziała?

— Chodź tu! — odezwał się do nieznajomej dziewczynki.

Ta nie poruszyła się, stała zakurzona, z plecakiem na ramieniu, jakby zesza pół świata. Skąd, u licha, ona się tu wzięła, cóż to, na starość będzie musiał za-

łożyć ochronkę? Na samą myśl, że ktoś w nocy będzie obok niego sapał, aż go obrzydzenie bierze. Przez trzy-
naście lat nikt obcy w tym pokoju nie spał. Wygnać ją? Trochę mu wstyd. Niedojda powiedziała, że ta
mała nie ma gdzie mieszkać.

— Wynoś się do domu! — napadł na Zsófi. — Zaraz
jedenasta. Żebyś mi więcej o tej porze nie włóczyła
się po ulicy!

Co to za matka, która pozwala dziecku wałęsać się
po nocy, taką matkę powinno się smażyć w oleju! Zsó-
fika pochyliła się nad nim i zaczęła szeptać mu do
ucha. Idź sobie, zabierz rękę, Erzsi tak samo szeptała,
widać wszystkie dziewczynki są jednakowe! Zsófi
prosi, żeby położył Dórę do łóżka i nie robił jej
krzywdy, gdyż Dóra jest bardzo smutna. Jak, do stu
tysięcy diabłów, ma nie być smutna, jeżeli tak się na-
zywa, kto słyszał o takim imieniu? Teraz podchodzi do
Czarnej, obejmuje ją, coś szepcze i wybiega na kory-
tarz. Székely już wrzeszczy, żeby go pokręciło, czego
się drze, idiota, i tak za dobrze mu się dzieje, sadła na-
bierze, niech przynajmniej coś robi za te pieniądze,
wałkoni się brudas jeden i jeszcze narzeka, i donosi.

Dziewczynka zdjęła plecak, ale nie ruszyła się
z miejsca.

— Czego stoisz jak słup soli, toć już noc! Taka brud-
na byś się chciała położyć? Tam jest woda, umyj się!

Jakie to chudziutki! Czy chociaż ma coś do wło-
żenia na noc? Kręci głową, że nie, niech ją diabli
wezmą, musi wyleźć z chorą nogą i szukać koszuli.
Jedwabnej jej nie da, bo nie ma, wyjątkowo prześpi
się w jego koszuli, będzie jej sięgała do pięt. Dóra. Też
niemowa, nic nie gada. Skąd ona, u licha, się tu wzięła?
Jakaś znajoma twarz, to go najbardziej korci, chyba
gdzieś ją widział, ale gdzie? Włazi do łóżka i nakry-
wa się kołdrą na głowę. Nie, nie będzie ściągał jej

kołdry z głowy i wypytywał, co jej dolega, guzik go to obchodzi, będzie spał. Jedną noc wytrzyma z nią, a jutro niech się zabiera, tu nie hotel.

Chyba umarła, bo nie słyhać, żeby oddychała, i nie kręci się, chociaż śpi w cudzym łóżku. Niech to krew zaleje, po cholereę zwała mu się na głowę, nie ma nic lepszego do roboty niż nasłuchiwać po nocy? Gdzie ją Niedojda wytrzasnęła, dlaczego nie ma gdzie się podziać? Jednak nie umarła, bo sapie, musi być bardzo zmęczona, buty ma zakurzone, chyba przysła pieszo spoza Budapesztu i teraz matka gdzieś tam oczy za nią wypłakuje. Nie, ona nie ma matki, zapewne uciekła z przytułku. Widać, że nawykła do porządku bardziej niż Ciele, bez sztorcowania umyła po sobie miskę i ubranie pięknie złożyła. Zasnęła, twarz jej wysunęła się spod kołdry. Po ciemku nie wygląda tak paskudnie jak w pierwszej chwili. Na stare lata wielki pan się z niego zrobił, ma nawet towarzyszkę do spania.

Pongrącz wyszedł z łóżka, wziął w ręce plecak Czarnej i pomacał go. Co tam może być? Wyjął zawartość na stół. Nie było tego wiele. Czerwony pulower, szczotka do zębów, futrzany zajaczek i czytanki węgierskie dla piątej klasy.

XIX

Rano mamusia musiała ją obudzić, była bowiem tak zmęczona i śpiąca, że spałaby dalej. Zrobiła to zupełnie obojętnie, tak jak budzi się kogoś obcego, po prostu potrząsnęła ją za ramię, a gdy Zsófiika otworzyła oczy, wróciła do swego pokoju, nie odzywając się ani słowem. Mamusia nie wie, że ona wczoraj wieczorem wychodziła, gdyż zdążyła wrócić przed zamknięciem bramy i powrotem mamusi; mamusia przyszła dobrze po północy, Zsófiika słyszała, jak otwierała drzwi od przedpokoju.

Teraz mamusia wyszła nie pocałowawszy jej, na dobrą sprawę w ogóle z nią nie rozmawiała, powiedziała tylko, żeby odniosła teczkę do wujostwa, zostawiła ją u dozorczy i żeby po południu o przyzwoitej godzinie była w domu. Odnieść teczkę? Jeżeli nawet odważy się zbliżyć do domu wujostwa, to przecież nie zostawi teczki u dozorczy, bo ten odda ją cioci Kató, która do wszystkiego zagląda, od piórnika Marianny poczynszy, a na urzędowych listach wuja Kálmána skończywszy. Ciocia Kató przetrząsa wszystkie kieszenie.

Wuj Kálmán na pewno włożył do teczki rzeczy na drogę, których ciocia nie może zobaczyć. Właściwie powinna oddać teczkę w muzeum, ale tam też boi się iść, gdyż portier ją pozna, poza tym może natknąć się na wujka — nie. I tak wszyscy myślą, że zwariowała, wuj Kálmán jest o tym święcie przekonany. Może Torbogłowy? Wczoraj nic nie działał, więc może chociaż oddałby teczkę temu grubasowi w portierni?

Mamusia zapomniała zostawić kartkę z zakupami, co więcej, nie zostawiła pieniędzy, możliwe zresztą, że zrobiła to rozmyślnie. Może w ten sposób, bez słów, chce dać jej do zrozumienia, że zrywa z nią wszelkie stosunki i nie ma zamiaru się o nią troszczyć. Biedna mamusia, jaka musi być samotna, od kiedy tatusia nie ma! Wygląda na to, że dziś też nie przyjdzie na kolację. Zsófi ma pieniądze w skarbonce, wyjmie je i kupi mleko, chleb i dziesięć deko salami, to się nie zepsuje, nawet jeżeli mamusia nie zje. Gdyby pan István nie zbił jej, zarobiłaby cztery forinty, które starczyłyby na najpotrzebniejsze rzeczy, ale w takiej sytuacji nie mogła przyjąć. Dopóki nie wyczerpie pieniędzy ze skarbondki, nie będzie sobie łamać głowy, a jak się skończą, rozejrzy się za jakąś pracą.

Zsófi niosła teczkę i torbę. Już z daleka zobaczyła Torbogłowego, który kiwał do niej z góry. Jaki on wesoły, widocznie nie wie, w jakie tarapaty ją wpędził. Dlaczego ludzie nie dotrzymują słowa? Gdyby Torbogłowy poszedł i zrobił to, co obiecał, nie zaznałaby losu opuszczonego dziecka.

— No — powiedział Torbogłowy błyskając zębami. — Czy domek już sprzedany?

Zsófi spojrzała na niego. Torbogłowy zachichotał.

— Prawda, że nie wypił tyle co zawsze? O której wrócił do domu, co? Powinien być o siódmej.

O kim on mówi? I jak się śmieje, o mało nie zleci z rusztowania.

— A ty się go nie bój, bo to szmata, i powiedz matce, żeby się nie bała. W muzeum go rozpaskudzili, ale można się z nim dogadać, bo tchórz z niego nad tchórze, tylko nie dawajcie mu się straszyć. I powiedz staremu na dole, że jacyś Bułgarzy tam byli, ale on wy-

pił tylko jeden rum, poza tym, że strasznie łąał, wszystko było w porządku. A ty nie ucz się od niego kłamać, rozumiesz?

Torbogłowy zasypał Zsófikę lawiną słów. Dziewczynka patrzyła nic nie rozumiejąc. Był w muzeum i jest pewien, że wyświadczył jej wielką przysługę, za którą powinna być mu wdzięczna. Tylko co on zrobił? I gdzie był? Z kim rozmawiał? Znowu jakieś potworne nieporozumienie, a ona nie może nic powiedzieć. Musiał być u kogoś innego i z kim innym rozmawiać, niż należało.

„Strasznie wrażliwe dziecko — pomyślał Torbogłowy. — To blednie, to czerwienieje, by wreszcie wybełkotać jakieś podziękowania.” Przecież chętnie to zrobił, nic takiego, dziecku trzeba pomóc. Do starego przez parę dni nie będzie zachodził, jeszcze pomyśli, że oczekuje od niego wdzięczności. Zagwizdał i wrócił do przerwanej roboty. Czy rzeczywiście ten Révész pije tyle mleka? Ciekawe, jak się mieści w jego brzuchu takie morze mleka i wódki?

„Teraz nie mogę go poprosić, żeby jeszcze raz poszedł do muzeum — pomyślała Zsófika. — Wykluczone. Gdybym poprosiła o odniesienie teczek, domyśliłby się, że zrobił coś nie tak, jak powinien. Nie, trzeba coś innego wymyślić. Na razie zostawię ją u pana Istvána.”

W suterenie przyszło jej do głowy, że obecnie trzeba by zdjąć kartkę z drzwi pana Istvána. Dotychczas każdy mógł wchodzić bez pukania, ale teraz, dopóki Dóra będzie, tak być nie może. Dóra przez jakiś czas musi pozostać w ukryciu. Zsófika oderwała tabliczkę i wyrzuciła do śmieci. W pokoju zastała normalny widok, ktoś posłał drugie łóżko, pan István siedział przy stoliku, pokój wyglądał tak jak zawsze przed sprzątnięciem. Zsófi zaczęła się rozglądać, nawet zapomniała

powiedzieć „dzień dobry”. Dóry nigdzie nie było. Chyba nie uciekła?

— Wyłaż! — odezwał się pan István. — Mówiłem, że to Zsófi, nie chciałaś wierzyć. Znam jej kroki.

Dóra weszła przez okno z podwórka nanosząc na butach węgiel, który Zsófi ledwie zdołała wymieść. Warto by się dowiedzieć, co powiedziała panu Istvánowi, poradzić się, co zrobić z teczką, ale nic z tego nie wyszło, ponieważ pan István zasypał ją poleceniami, musiała przygotować śniadanie, całe szczęście, że zostało wczorajsze mleko, w przeciwnym wypadku bowiem musiałaby polecieć do sklepu.

Dóra ani razu nie otworzyła ust, nie wypila kawy i nie tknęła chleba. „Do lepszego przywykłaś? — pomyślał pan István. — Możesz nie jeść.” Zsófi miała nadzieję, że Dóra pomoże jej sprzątać, ale ta usiadła na parapecie i przerzucała kartki książki. Pan István zerkał na nią spod oka. Udaje, że czyta, a o czym innym myśli, bez przerwy mruga oczyma, jest niespokojna. Ona na coś uważa, diabli wiedzą na co, i na coś czeka, nic innego nie potrafi, tylko bać się i czekać. Ale czego? I na co? Okropnie na coś czeka, od wczoraj wieczór nie puściła pary z gęby, raz tylko spytała, gdzie jest ustęp. Pierwszy raz w życiu widzi taką niemowę, w sam raz nadawałaby się na morderczynię, bo umie trzymać język za zębami. Tylko patrzy, jak ta druga, córka Gábora Nagya, uwija się, ale go uszczęśliwiły, w dodatku on, ponieważ Zsófi nie płaci, nie ma odwagi powiedzieć, żeby zabrała niemowę, robią więc sobie nawzajem uprzejmości, niech to piorun spali!

Czarna siedzi na parapecie tak samo jak Erzs, opuściła książkę i patrzy. Skąd Niedojda przytaszczyła taką piękną teczkę, wyładowana, aż unieść trudno, po co jej teczka, i to jeszcze pcha ją pod łóżko. Gapi się na mleko, jakby miała pusty brzuch, pij, do cholery,

nie żałuję ci, pij i ukrój sobie chleba. Ma apetyt, można by pomyśleć, że matka nie daje jej jeść, że ją głodzi, tylko wstyd tak myśleć o matce.

Patrzcie, jak jej oczy rozbłysły, a przecież on chciał jak najlepiej, naprawdę uważa, że dziecko nie powinno przez cały dzień siedzieć w suterenie, nie ma się czym oburzać. Dlaczego Zsófi się rozzłościła, kiedy jej powiedział, żeby zabrała Czarną do hal, żeby się trochę przewietrzyły? Na pewno Czarna uciekła z poprawczaka, od razu się domyślił, rozesłali za nią listy gończe i dlatego zaledwie usłyszysz jakiś hałas czy kroki na korytarzu, chowa się, hop, już jest na podwórku i przypada do ziemi. Nie robi tego bez powodu.

Jeżeli Niedojda chce iść sama, to niech idzie. Czarna zostanie i podczas gdy tamta będzie załatwiać zakupy, ta pozmywa, korona jej z głowy nie spadnie. Dóra. Co za dziwaczne imię? Przez gardło mu nie przejdzie.

— Nie masz innego imienia? — spytał, gdy Zsófi znikła za drzwiami.

Patrzy jak dzikus i łąze w żywe oczy, powiada, że nie ma, a przecież każdy ma dwa imiona, jedno nadane na chrzcie i drugie, dziewczyna jednak ma wyraźnego stracha, boi się, że on odda ją w ręce milicji. Musi mieć coś poważnego na sumieniu, to murowane, bezustannie drży, że wpadną na jej trop. Skoro tak, to zmywanie poczeka na Zsófikę, on i tak nie wymówi jej imienia.

Jeżeli Czarna tak mu nie ufa, to niech idzie na złamanie karku, Zsófi wiedziała, że u niego może ją schować, choć wczoraj tak ją stłukł, a ta tylko oczy wytrzeszcza i milczy. Wstrętna dziewczucha! Powinien był zainteresować się sprawą Kelera, dowiedzieć, co on właściwie za jeden i na czym w ogóle stanęło, ale przez te tajemnice wszystko wyleciało mu z głowy. Nawet

zapomniał Niedodzie powiedzieć, żeby dziś więcej wszystkiego kupiła, dał jej tyle samo pieniędzy co zawsze, a przecież jest Czarna, jeżeli za mało przyniesie, to dla którejś z nich nie starczy. On nie może wyjść, Czarna boi się, więc w razie czego Zsófiika jeszcze raz się przejdzie.

Nie musiała jednak drugi raz chodzić, sama się domyśliła, że trzeba więcej kupić. Dopóki mamusia nie będzie zostawiać kartki z zakupami, musi jadać u pana Istvána; nie ma żadnej pewności, czy mamusia przygotowuje jej obiad na jutro, a nuż zdecydowała, że takie złe dziecko, które zamyka wuja w muzeum, powinno samo zarabiać na chleb. Zsófiika nie miała o to do mamusi pretensji, niepokoiła się tylko, co będzie, gdy wyczerpie siedemdziesiąt dziewięć forintów, złożone w skarbonce.

W sklepie ekspedientka pomogła jej obliczyć, ile czego trzeba na trzy osoby. „A jednak Torbogłowy był w muzeum — przeleciało jej znowu przez głowę. — Był, tylko gdzie indziej trafił. Postąpił podobnie jak pan István, który wziął mnie za kogo innego.” W jednej chwili poczuła olbrzymią ulgę. Kiedyś Torbogłowy rzucił jej piękną gruszkę z rusztowania, teraz był w muzeum, nie jest więc zupełnie sama na świecie. Wprawdzie nie widziała, żeby takie małe dzieci pracowały na budowach, ale może Torbogłowy znajdzie jej jakąś lżejszą pracę. Dziewczynki z siódmej klasy dostały pozwolenie na pracę w lecie, a ona w tym roku idzie do szóstej. Mogłaby nosić robotnikom wodę albo podawać cegły, wszystko jedno co. Gdyby zechcieli, mogłaby gotować, nie musieliby chodzić do „Beczki” czy przynosić jedzenia w torebkach, tak jak András Kis.

Biedna mamusia, ileż ma z nią zmartwień! To okropne, że nigdy nie będzie mogła jej powiedzieć, co się

naprawdę stało. Mamusia tylko zmartwiłaby się, że niesprawiedliwie ją zabiła. Siedzi teraz w Instytucie półżywa z upału, z tyloma kłopotami na głowie — już tylko przez parę dni tam zostanie, a potem będzie musiała iść do szkoły, której tak bardzo nie lubi.

W tym samym czasie Judit co tchu biegła do domu. Tak się spieszyła, że nawet nic miała cierpliwości czekać na tramwaj czy autobus. Dostała wezwanie do Wydziału Spraw Osobowych Dzielnicowej Rady Narodowej Budapeszt I w celu ustalenia nowego miejsca pracy. „Resztę załatwi Rada Narodowa — oświadczył uprzejmie Dobay. — My zaproponowaliśmy rejon, w którym pani mieszka.” Co za troskliwość Judit nie poszła jednak do Rady, lecz pobiegła do domu, z pośpiechu aż włosy jej się zwichrzyły. Rano nie została pieniędzy, Zsófiika nie miała co jeść, głodna poszła do Pongrácza, wróci zmęczona i też nie znajdzie jedzenia, bo ona wczoraj nic nie ugotowała. Jeszcze dziś rano było jej tak wstyd za wczoraj, że nie miała odwagi na Zsófikę spojrzeć, wybiegła z domu nie wydawszy żadnych dyspozycji. Co też Zsófiika o niej pomyślała? Wpadłaby na chwilę do Pongrácza, ale mogłaby natknąć się na Martę Szabó, która najprawdopodobniej zajmie jej miejsce w Instytucie. Nie, nie zniosłaby tego!

Biedna Zsófiika z tą swoją nieporadną, skaleczoną ręką! Kálmán jest winien, po co wyciągał monety? Nawet dokładnie nie wiadomo, czy ona rzeczywiście zatrasnęła za nim drzwi. To prawie nie do wiary. Gdy tak na trzeźwo pomyśleć, to albo sam Kálmán mógł je niechcący potrącić, albo jakiś przeciąg je zatrasnął. Biedactwo, musiała mieć wczoraj straszny wieczór, ona nawet z nią nie porozmawiała, nie spytała, jak to

w rzeczywistości było, wie tylko tyle, co Kató narzeszczała, a Kató nie ma za grosz życzliwości dla ludzi, nigdy nikogo nie wysłucha, tylko swoje powtarza.

Teraz mała sprząta u tego starego, gdy wróci do domu, nie będzie miała co jeść. Coś trzeba dla niej kupić, chyba na zimno, bo ugotować już i tak nie zdąży; zsiadłe mleko, parę ciastek, owoce, trochę sera. Jest tak gorąco, że można obyć się bez mięsa i gotowanego jedzenia.

W mieszkaniu powitał Judit chłód i porządek, Zsófi posprzątała przed wyjściem. Lodówka była otwarta, co znaczyło, że dziewczynka szukała obiadu, oczywiście bez skutku. Biedactwo! Judit postawiła jedzenie na stole, wyjęła ulubiony serwis Zsófi, nakryła, umyła owoce, po czym zasłoniła wszystko tiulową siatką. Jeżeli nic nie napisze, Zsófi gotowa niczego nie tknąć. Zostawiła więc kartkę w kuchni, że to obiad dla niej, żeby go zjadła.

W Instytucie pewnie nie przypuszczali, że tak późno wróci, ale nie ma zamiaru się tym przejmować. I tak odchodzi, po co się starać, przez tyle lat się wysilała, a mimo to wyrzucili ją. A przecież nic nie mogą jej zarzucić, gdy popełniła błąd, zawsze to uznawała. Ot, choćby tak jak teraz, źle zrobiła, że ukarała dziecko nie wysłuchawszy go. I to jak ukarała! W sposób, który sama jak najbardziej potępia. Wprawdzie mogłaby się tłumaczyć, że w ostatnich dniach była śmiertelnie zdenerwowana i rozstrojona, ale to nie jest usprawiedliwienie. Matka nie ma prawa się denerwować. Tak kiedyś napisała i w dalszym ciągu jest tego zdania. Dlatego też przyszła, przyniosła dziecku obiad, naprawdę nikt ńe może jej nic zarzucić.

Uczesała się, obmyła twarz i przebrała się. Niech sobie Dobay myśli, co chce, ale ona nie ma zamiaru

spocona i wymięta pokazać się w Radzie Narodowej. Przed wyjściem zażyła proszek. Świeża suknia i świadomość, że dziecko nie zostanie bez obiadu, wpłynęły na nią uspokajająco. Gdy dotarła do urzędu, była zupełnie opanowana.

Urzędnik znał jej sprawę. W trakcie rozmowy nie zaglądał do papierów leżących na biurku, lecz raczej obserwował interesantkę. Przeniesienie w okresie letnim właściwie nic nie oznacza, jest tylko teoretyczne, gdyż praca w szkole zaczyna się pierwszego września. Dla kogoś, kto stale i regularnie pisze o dzieciach, chyba nie może być większej radości niż poznanie ich w licznej i zróżnicowanej pod względem wieku gromadzie. Urzędnik był pewien, że Judit z radością powitała przejście do szkoły. „Nie wykluczone, że pani bardziej polubi nowe zajęcie niż dawne” — powiedział.

Judit słuchała nie odzywając się. Trzeba przez to przejść, już i tak nic się nie zmieni. Im prędzej to załatwi, tym lepiej. Gdy człowiek oponuje, zaczynają go przekonywać, nie, nie warto. Szkoda czasu. Wysłucha i zaraz sobie pójdzie.

— Widzę, że na razie dość trudno oswoić się pani z myślą o zmianie — usłyszała Judit głos urzędnika i podniosła oczy. — Nadejdzie czas, że przyzna mi pani rację.

Niech myśli, co chce, może nawet wróżyć, jeżeli ma ochotę. Judit siedziała nieruchoma jak posąg.

— Znam pani rozprawy — ciągnął referent. — Uważam, że są bardzo wartościowe. Proszę tylko pomyśleć, ile nowego materiału zdobędzie pani w szkole.

Odpowiedziała, że dobrze zna te sprawy, gdyż ma dziecko w wieku szkolnym.

— Jedno dziecko to co innego — odparł referent częstując ją papierosem. — W szkole spotka pani

rozmaite dzieci, w jednej klasie aż czterdzieścioro i to każde inne. Przekona się pani. Zanim tu przyszedłem, pracowałem w szkole. Do dziś za nią tęsknię.

„To dlaczego tu siedzisz? — pomyślała Judit. — Dlaczego do niej nie wrócisz? Dlaczego mnie do niej wysyłasz i jeszcze ją zachwalasz?”

— To świat pełen tajemnic — referent wstał. — Ja osobiście wierzę w skuteczność pedagogiki, choć nie twierdzę, że nie będzie pani miała trudności. Dziś w Wydziale Oświaty opowiadali mi, ile jest z dziećmi kłopotów. Rodzice nie interesują się dziećmi, zaniedbują je, a szkoła nie może wszystkiego załatwić. Akurat dziś Wydział Oświaty dostał pismo w pewnej brzydkiej sprawie dyscyplinarnej. Uczennica wywołała skandal w jakiejś instytucji.

Judit stłumiła ziewanie. Proszek zaczynał działać.

— Są i złe dzieci, nie mam zamiaru pani zwodzić. Ale przekona się pani, że za każdym wybrykiem coś się kryje, każdy pozornie pozbawiony sensu postępek ma swoje wytłumaczenie. Ogromna wiedza teoretyczna pozwoli pani łatwo je odnajdywać. Czeka panią dużo radości. Och, ileż radości!

Zatrzymał się przy szafie i położył rękę na jednej z szuflad.

— Niedawno przyszło do mnie pewne dziecko. Dziewczynka mniej więcej w wieku dziesięciu, jedenastu lat. Zachowywała się tak, jakby przez całe życie nic innego nie robiła, tylko chodziła po urzędach. Zapukała i weszła — nigdy tego nie zapomnę.

Judit wyprostowała się na krześle. No, teraz zacznie opowiadać najróżniejsze historie, widać, że lubi gadać. Zamiast powiedzieć, w której szkole ma się zgłosić, będzie ją zabawiał. Nigdy nie lubiła słuchać mało znaczących historyjek.

— I czego chciała? — spytała uprzejmie.

Referent uśmiechnął się, lecz po chwili znowu spoważniał.

— Prowadziła dochodzenie w pewnej sprawie. Nie będę opowiadał szczegółów, bo ciągle wydaje mi się, że to tajemnica. W szkole nieraz zetknie się pani z podobnymi historiami. Jeszcze nie mogę powiedzieć, do której szkoły panią skierujemy; jeżeli uda nam się ściągnąć Martę Szabó do Instytutu, to pani otrzyma przydział na plac Apáczai Csere. Jeśli nie, to na ulicę Délibáb.

Judit zmieniała się na twarzy do tego stopnia, że aż urzędnik to zauważył. Nie, nic, odparła na jego pytanie, tyle tylko, że na plac Apáczai Csere chodzi jej córka. Naprawdę? Należałoby więc raczej wybrać tę możliwość, z pewnością dobrze zna grono pedagogiczne tej szkoły, jest w dobrych stosunkach z nauczycielkami, niewątpliwie często zachodziła dowiadywać się o córkę. Na pewno ucieszyłaby się, gdyby mogła pracować tam, gdzie ma dziecko, czuwać nad nim, być blisko niego. Decyzja zapadnie w ciągu najbliższych dziesięciu dni, zawiadomią ją zaraz po odpowiedzi Marty Szabó. Do tej pory niech jak najlepiej wypocznie, bo o ile mu wiadomo, jeszcze nie wykorzystwała urlopu.

To mówiąc tak serdecznie uścisnął jej rękę, jakby byli najbliższymi przyjaciółmi. Na korytarzu Judit oparła się o ścianę i spojrzała na podwórze. Plac Apáczai Csere! Na miejsce Marty Szabó! Jak on ją romantycznie nastrojał: „Spotka pani najrozmaitsze dzieci...” I te jego historie! Sprawa dyscyplinarna z powodu jakiegoś dziecinnego wybryku, wzruszająca dziewczynka prowadząca *dochodzenie*. Mógłby jej oszczędzić tych swoich anegdotek.

Aż dziw bierze, jak niektóre dzieci mają zdecydowane, wyrobione charaktery: złe dziecko — dobre

dziecko. Jej córka jest niewydarzona, żadna. To osobliwe, ale od kiedy ją zbiła, stokroć bardziej ją kocha.

Czas wracać, nie ze względu na Dobayego, lecz po prostu tak nakazuje przyzwoitość. Anegdota... Idiotyzm. Jak ten referent się nazywa? Na drzwiach wisi jego tabliczka: Fehérvári.

XX

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Judit wyruszyła z powrotem do Instytutu, Zsófi usiadła do obiadu. Dóra znowu nie kwapiła się z pomocą, zeszła z parapetu, usadowiła się na stołeczku i nie spuszczała wzroku z drzwi. To bezustanne nasłuchiwanie tak denerwowało pan Istvána, że prawie nic nie jadł, choć Niedojda ugotowała wcale dobry i obfity obiad. Diabli wiedzą, z jakiego powodu, ale wyraźnie mądrzeje, nic jej nie powiedział, a mimo to kupiła więcej niż normalnie, będzie musiał zwrócić jej pieniądze. I je razem z nimi, już nie przynosi menażki, zajada, aż miło. Z wujem wszystko w porządku, powiada, że załatwili. Ale kto? András Kis? Nie, ona. Pewnie dlatego murarz nie przyłazi, nie pokazuje się. A tak chciałby z nim porozmawiać.

On nie ma zwyczaju nikogo błagać, ale ta smarkata od wczorajszego wieczoru niczego nie tknęła, teraz też nie je, choć kapusta włoska jest zupełnie smaczna. Nie będzie jej pytał, tylko nałoży jej na talerz. Skoro ją przyjął, nie może pozwolić, żeby głodowała, choćby miała najgorsze przestępstwa na sumieniu.

O, proszę, jak to patrzy, wybałusza gały i zaciska usta. Otworzy jej buzię i wepchnie do gardła, cóż ona sobie myśli, że będzie u niego głodować? Nie z takimi już sobie radził, na Niedojdę dotąd wrzeszczał, aż nauczyła się jeść, szczenię zatracone. Najpierw ładnie do niej przemówi, dopiero jeżeli nie posłucha, wrzaśnie.

— Dlaczego nie jesz, co?

Czarna spojrzała na niego, lecz nic nie powiedziała. Zsófiika szepnęła jej coś do ucha. Cóż do cholery, jak ona śmie szeptać w jego obecności i w ogóle co sobie myśli, że ją Czarna posłucha, a jego, który jej daje jeść, nie?

— Wcinaj, pókim dobry, bo zatkam ci nos i wepchnę do gardła.

Dóra odłożyła łyżkę i zacisnęła wargi. Trudno mu będzie dźwignąć się w gipsie, ale się dźwignie i da jej po gębie, bo z łóżka nie sięgnie. Drgnął, gdy Zsófiika chwyciła go za rękę. Patrzcie ją, ścisną, ile ma sił, i bąka, żeby nie robił tamtej krzywdy, zaraz się pobeczy, musi bardzo tę łazęgę kochać, bo trzyma go i nie puszcza, a on, kawał chłopca, pozwala na to, jakby nie potrafił się wyrwać. Skamle, żeby Dóry nie krzywdzić, nie bić jej, Czarna zaś nie przestając na niego patrzeć zrywa się od stołu i podchodzi do zlewu.

Boi się go i ma rację, bo jeszcze w tym domu nie zdarzyło się, żeby ktoś wstał od stołu bez jego pozwolenia. Odwrócona plecami do pokoju odkręca kran i puszcza wodę. Niech puszcza, on za wodę nie płaci, ma darmo.

— Co u Boga Ojca, ona w ogóle nie jada?

Czarna ani drgnęła. Po chwili stanęła bokiem, ukazując pół twarzy, włosy opadające na czoło i krótki nosek. Woda przeciekając przez palce dziewczynki lała się ciurkiem do zlewu. W tym momencie pan István ją poznał.

Ze zdumienia aż serce żywiej mu zabiło. Ileż to lat temu doświadczał podobnych uczuć, zdumiewał się i wzruszał? Od ilu lat potrafi tylko wściekać się i przeklinać, czasem nawet uderzyć? Przyglądając się Czarnej stojącej koło zlewu, nagle zobaczył za nią fontannę z piorącą dziewczyną, Alice Lemberger z końskim ognem, kroczącą pod rękę z Hidasem, i nauczycielkę nie

mającą zielonego pojęcia o Zsófi. Zobaczył też dwóch mężczyzn i kobietę z kwiatem, przed którą dziewczynka skryła się pod muszlą fontanny. Teraz i on odłożył łyżkę.

Niedojda wstała, podeszła do niego i przytknąwszy usta do jego ucha zaczęła coś szeptać. Oddech jej aż parzy, jakby miała gorączkę, ale ona jest zdrowa, tylko uczucie lęku pomieszane z nadzieją przydaje jej słowom żaru. Czarna nadal znęca się nad kranem, w dalszym ciągu na nich patrzy.

Co ta Zsófi bredzi? Czyż jego dom jest oberżą, gdzie dają jeść za pieniądze? Cholera jasna! „Dlatego nie je, że nie ma pieniędzy” — szepnęła Zsófi. Chyba zabije Czarną z wściekłości, zresztą dla niej tak będzie najlepiej. Czy może być szczęśliwa, jeżeli ma matkę, która włóczy się wieczorami, przyjaźni się z tym łobuzem Károlyem Seresem i ściska przed bramą z facetem w koszuli z krótkimi rękawami? Nic dziwnego, że dziewczynka od niej uciekła.

Nagle wymówione przed chwilą słowa ponownie zabrzmiały mu w uszach, ale tym razem doleciały z jakiejś niezmierzonej dali. „Dlatego nie je... Dlatego nie je... Nie ma pieniędzy. Nie ma pieniędzy...” I raptem Czarna znikła, pozostał tylko on, najmłodszy syn Pongrączów, siedzący pod zlewem. Pracował wówczas w warsztacie, ale zwał stamtąd, bo nie mógł wytrzymać z majstrem, i przywędrował do tego zwariowanego Pesztu, gdzie wszystko zbudowane jest z kamienia, nawet podwórka. Przyszedł do szwagierki, Terki, prosząc o przytulenie na kilka dni, dopóki nie znajdzie pracy; zastał ich przy kolacji, dobrze im się wiodło. Wstyd mu było, że nie proszony zwał im się na kark, gdy zasiedli wokół miski i rzucili się na kawałki piersi i udek, niezmiennie powtarzał, że nie jest głodny, tylko zmęczony. Raz po raz łykał ślinę, kiszki marsza mu

grały, aż dudniło. W końcu nic mu nie dali, Terka bowiem była skąpa jak wiewiórka, sami żarli, a on siedział tłumiąc czkawkę, po czym przez całą noc ryczał w komorze nie mogąc zrozumieć, dlaczego są tacy okrutni, ot, uwierzyli mu, że nie jest głodny.

— Chodź tu! — powiedział do Czarnej.

Dziewczynka nadal nieruchomo tkwiła przy zlewie.

— Zaprosiłem cię, jesteś moim gościem, więc musisz ze mną jeść. Rozumiesz?

Niech ją kule biją, jaka charakterna, jeszcze każe się zapraszać. Najważniejsze jednak, że nie jest darmozjadem ani łobuzem. Takich nigdy nie cierpiało.

— Głucha jesteś? — odezwał się do niej znowu, ale Czarna i tym razem nie zareagowała, tyle tylko, że spojrzała nieco łagodniej, jakby trochę zmiękła; pan István od razu poweselał, nawet zachciało mu się śmiać. Patrzcie no, takie to małe, a jakie hardel! Dopóki się nie zaprosi, nie będzie jadła.

— Jak będziesz mogła, to wtedy ty mnie zaprosisz. Wówczas sobie odbiję.

Nałożył jej na talerz, a Niedojda znowu objęła go za szyję i zaczęła szeptać. Jak on nie lubi tego szeptania, tego sapiącego łaskotania. „Niech pan jej powie, że nie robi panu żadnego kłopotu, jej na pewno jest przykro, że tak zwała się panu na kark.” Może jeszcze ma zacząć jej nadskakiwać? Nie rozgniewał się jednak. Czarna nie jest żebraczką, zna honor,

— Możesz u mnie siedzieć — zwrócił się do Dóry. — Nikomu nie przeszkadzasz. I dopóki tu będziesz, nikt cię nie bój, bo tutaj ja rządzę. Jedz, bo cię uderzę!

Czarna usiadła i wzięła widelec. Pan István przyglądał jej się uważnie. Biedactwo, musiała strasznie dawno jeść coś gorącego, bo połyka jak wygłodniałe zwierzę. Miska się opróżniła, całe szczęście, że on nie ma zbyt wielkiego apetytu, bo Zsófiika już mu zabrała

talerz. Czyżby u Nagyów też nic nie ugotowali? No, niech im idzie na zdrowie!

Gdy Zsófi zaczęła sprzątać brudne naczynia, Czarna po raz pierwszy podeszła do niej. Objęła ją za szyję i w milczeniu zetknęły się nosami, ale chyba zrozumiały się bez słów, gdyż nic nie mówiły, tylko patrzyły na podłogę. Po chwili Czarna złapała miskę, Zsófi ścierkę i jedna zaczęła zmywać, a druga wycierać; gdy skończyły, Zsófi poukładała wszystko na miejsce, a Czarna umyła ręce nad zlewem, podeszła do niego i powiedziała: „Dziękuję.”

Niech ją wszyscy diabli wezmą, za co ona mi dziękuje? Burknął coś. Czarna odwróciła się, pofrunęła w płasach na środek pokoju, ujęła w dwóch miejscach rąbek sukienki i zaczęła śpiewać: *Pączek dzikiej róży pochylił się nad drogą*. Zsófi zawniórowała jej, Czarna śpiewała niskim głosem, a Zsófi wysokim, przykryły miskę wilgotną ścierką, objęły się i wybuchnęły śmiechem. Wkrótce jednak Zsófi musiała iść do domu, zebrała manatki i wybiegła, Czarna zaś rozplotła warokocz, uczesała się, po czym usiadła na stołeczku u stóp pana Istvána warując niczym wierny pies. On czytał gazetę, a ona nie przestawała nucić swym dziwacznym, niskim głosem: *Pączek dzikiej róży...*

XXI

W środę Marta Szabó nie dlatego przyszła do szkoły, że przywykła co dzień do niej wpadać, lecz w tym dniu miała godziny przyjąć jako wicedyrektorka. Zaczęła od przejrzania urzędowej korespondencji. Z samego rana przychodziła wraz z książką doręczeń poczta z Rady Narodowej — przeważnie wymagano odpowiedzi w terminach, które już minęły. Zobaczywszy list z Wydziału Oświaty Dzielnicowej Rady Narodowej Budapeszt I z napisem „poufne”, pomyślała, że przysłali zarządzenie o obronie przeciwlotniczej, które zawsze przychodziło pod koniec lata. Pomyliła się jednak. Wydział Oświaty prosił dyrektorkę o opinię w sprawie uczennicy klasy VI, Zsófii Nagy, która według telefonicznego doniesienia dyrektora Krajowego Muzeum Numizmatycznego w poniedziałek o godzinie piątej po południu zamknęła w skarbcu urzędnika muzeum, Kálmána Hallera, zresztą jej krewnego, w lekkomyślny sposób zostawiła w popielniczce wartościową złotą monetę i nikomu o niczym nie mówiąc wyszła z budynku. Gdyby nie woźny, który to zauważył, muzeum mogłoby ponieść dotkliwie straty materialne, a wyżej wymieniony urzędnik ulec poważnemu szokowi.

Wydział Oświaty prosi szkołę o wyjaśnienie okoliczności towarzyszących wydarzeniu, a w razie stwierdzenia, że był to tylko dziecinny wybryk, o zwrócenie uczennicy uwagi na obowiązki wobec współobywateli i na konieczność poszanowania mienia społecznego. Kierowniczką Wydziału Oświaty dodała na zakończe-

nie, że dyrekcja muzeum oceniając postępowanie Kál-mána Hallera weźmie pod uwagę, iż w czasie pełnienia obowiązków służbowych wykazał on brak odpowiedzialności, zachował się w sposób niegodny urzędnika; niezależnie od tego jednak muzeum prosi o jak najszybszą i wyczerpującą odpowiedź.

Sekretarka nie miała żadnego zajęcia, robiła na druckach. Pokój nauczycielski był pusty, Marta Szabó już od dwóch dni nie widziała Hidasa, w poniedziałek spotkała tylko Alice Lemberger, która jednak nie poznała jej, nawet się nie ukloniła. Dziewczyna szła w tłumie ludzi zdążających do domów, patrząc przed siebie tępy, sennym spojrzeniem, zaabsorbowana własnymi myślami. Marta Szabó zapaliła papierosa i jeszcze raz przeczytała list.

Zsófia Nagy, uczennica klasy szóstej. Zgodnie ze zwyczajami przyjętymi w szkole powinna by natychmiast posłać Székelya po dziewczynkę, poprosić kogoś z kolegów i kazać uczennicy klasy szóstej, Zsófi Nagy, opowiedzieć, co zrobiła. Do tego czasu mogłaby pogłowić się jak nad nierozwiązalną zagadką, dlaczego Zsófi bawiła się złotą monetą i kogoś gdzieś tam zamknęła.

Gdyby to chodziło o Dórę, sprawa byłaby jasna, w Dórze drzemią nieokiełznane namiętności, z zemsty, złości, wstydu czy rozpaczki jest do wszystkiego zdolna. Ale Zsófi? Zsófi miałyby sobie pozwolić na taki głupi, ordynarny żart? Zsófi miałyby kogoś zamknąć? Proszą o odpowiedź. Dobrze, udzieli im odpowiedzi. Székely nie będzie musiał daleko chodzić, bo jeżeli w ostatnich dniach rozkład zajęć Zsófi Nagy, uczennicy klasy szóstej, nie uległ zmianie, to jest w tej chwili w suterenie u Pongrácza i szuka wyjaśnienia niedokończonego zdania ojca. Zadzwoniła na Székelya.

Tak, przychodzi, codziennie ją widzi, właśnie przed

chwilą wyszła z siatką w rękę, o tej porze zawsze chodzi po zakupy. Dobrze, że pani profesor to poruszyła, on nie chce o nikim źle mówić, ale stary już dojrzał do emerytury, to, co on wyprawia z dziećmi, zakrawa na skandal. W poniedziałek przyszły w nocy, bo teraz już nie jedną trzyma, lecz dwie; Zsófia Nagy przychodzi tylko przed południem, ale ta druga mieszka u starego, lichy wie, co ona tam robi, bo wystarczy przejść koło drzwi, od razu się chowa. Nawet jeżeli wyjdzie na korytarz za własną potrzebą, a ktoś jest w suterenie, zaraz ucieka z powrotem. Siedzi u Pongrácza od poniedziałku wieczorem, tak, chodzi tu do szkoły, pamięta ją, to ona w zeszłym roku wybiła okno na korytarzu drugiego piętra i kiedy razem z Dobozii wzięli ją w obroty, rzuciła im portmonetkę, żeby sobie odliczyli, ile się należy.

To Dóra! Dóra od poniedziałku mieszka u Pongrácza. Gdy w poniedziałek w porze kolacji Marta zaszła ją odwiedzić, żona dozorczy powiedziała, że dziewczynka o piątej wyjechała z siostrą na lotnisko. Trzeba natychmiast zejść do Pongrácza, zanim Zsófiika wróci z miasta.

Już miała zamiar wejść, gdy zauważyła brak kartki na drzwiach. Widocznie pukanie przestało starego niepokoić, teraz woli wiedzieć, że ktoś chce wejść. Zapukała. Przez jakiś czas nie było odpowiedzi, więc zastukała po raz drugi. Wreszcie Pongrác krzyknął „zarazi!” i wówczas opanowało ją to samo dziwne uczucie jak niegdyś w dzieciństwie, kiedy matka ubierała choinkę, a ją wyrzucano do przedpokoju. Człowiek nic nie słyszał, ale wiedział, czuł, że za drzwiami dzieje się coś; co nie jest przeznaczone dla jego oczu i uszu. Gdyby weszła, ujrzałaby Dórę. Musi jednak poczekać, żeby dziewczynka mogła się schować. Gdzie też ją Pongrác ukryje? I po co? Dlaczego?

— Proszę! — usłyszała. Weszła. Pan István siedział

przy stole, trzymając nogę wysoko na krześle. W pokoju było czysto i porządnie, talerze pozmywane, gaz zgaszony, zasłane tylko jedno łóżko. Dóry nie było. Śoiślej mówiąc nie było jej widać, bo o jej obecności świadczyły pewne oznaki, jak plecak i czerwony sweter na wieszaku oraz wzrok Pongrácza, który niedwuznacznie wskazywał jej drzwi.

— Szukam Zsófi — powiedziała Marta Szabó. — Czy pan ją gdzieś wysłał?

— Poszła po zakupy.

Nie poprosił, żeby usiadła. Dóra musi tu być, ale gdzie? W szafie? Pod łóżkiem? Nie. To absurd. Na otwartym oknie od podwórka drżała lekko firanka. Ależ naturalnie, siedzi za kupą węgla i czeka, aż ona sobie pójdzie. Wystarczy przejść przez parapet, by znaleźć się na podwórku. Na pewno ma czarne kolana.

— Jak Zsófi wróci, proszę przysłać ją do pokoju nauczycielskiego, chcę ją o coś zapytać. A jak pańska noga?

— Jako tako. Tylko jestem zmęczony. Bardzo zmęczony.

„Nie nabierzesz mnie, wcale nie wyglądasz na zmęczonego, pierwszy raz widzę cię takiego ożywionego i podnieconego. Zawsze jesteś obojętny, znudzony i zgryźliwy, a dziś pokój twój wypełnił się życiem, miejsce cieni zajął ktoś żywy, prawdziwy, żywy człowiek, który w tej chwili przyczał się za oknem. Zaraz pójdę, bo Dóra boi się, a ma niezupełnie zdrowe serce, lekarka kazała jej uważać, unikać leków.”

Zsófi zjawiała się po dobrej godzinie, była zarumieniona, bił od niej zapach tłuszczu. Przeprosiła, że tak długo nie przychodziła, ale była zajęta w suterenie. Gdy nauczycielka poprosiła ją do gabinetu dyrektorki i zamknęła drzwi, spojrzała na nią niespokojnie, potem wyrzała przez okno, a jej niepokój przerodził się

w zdenerwowanie. Odnosiło się wrażenie, że niecierpliwie na coś czeka. Patrzy w stronę ulicy Katony, przygląda się bramie pod dziewiątym. Czeką na kogoś. Ale na kogo?

— Dostałam pewien list dotyczący ciebie — zaczęła Marta Szabó. — Proszę, przeczytaj go i powiedz, co mam odpisać.

Dziewczynka przeczytała i zastygła w bezruchu, gdyby nie spuściła oczu, mogłoby się wydawać, że nie zrozumiała listu, że wcale jej nie zainteresował.

— No powiedz, co mam odpisać! — nastawała nauczycielka. — Dlaczego zamknęłaś wujka w muzeum?

Zsófica nadal milczała dłubiąc przy fartuszkach i nie mogąc opanować drżenia warg. Tak samo Judit drżały wargi, gdy się zdenerwowała. Wreszcie Zsófica bardzo cicho powiedziała: „Tak sobie.”

Tak sobie.

Na jednej z lekcji wychowawczych Marta Szabó posłała gdzieś Zsófikę, żeby swobodnie porozmawiać o niej z dziewczynkami; tłumaczyła im, żeby nie żartowały z niej, ponieważ Zsófi nie zna się na żartach. Coś, co dla innych jest bardzo śmieszne, ją przeraża, onieśmiela, nie umie bawić się wspólnie z innymi, wydaje jej się, że chciano ją skrzywdzić, markotnieje, do reszty się peszy. „Tak sobie!” Zsófi?!

— Dobrze — odparła Marta Szabó bez namysłu. — Wobec tego odpiszę. Na pewno nie zaliczą ci tego na plus, źle zrobiłaś. Nie można pozwalać sobie na takie żarty.

Zsófi, śmiertelnie blada, patrzyła na dywan.

— Właśnie chciałam przyjąć cię do drużyny, miałam jeszcze inne plany. Bardzo cieszyłam się, że pomagasz biednemu panu Istvánowi. On nikogo nie ma, zresztą wiesz o tym. Pomyślałam sobie, że przez lato

nauczysz się gotować i od jesieni będziesz mogła objąć zastęp kucharek.

Zsófi oblała się ciemnopąsowym rumieńcem i jeszcze niżej zwiesiła głowę. Musiała to bardzo odczuć: kusząca okazja błysnęła jak meteor i w tej samej chwili zgasła. Nic jednak nie powiedziała.

— Czy twoja matka wie o tym?

— Tak.

— I co powiedziała?

Cisza.

— Pytam, co powiedziała.

Dziewczynka podniosła głowę i nieoczekiwanie uśmiechnęła się. Był to uśmiech zupełnie niezrozumiały, nielogiczny, kryjący coś niedobrego, coś głęboko smutnego.

— Skrzyczała mnie — odpowiedziała po dłuższej przerwie i przejechała dłonią po policzku.

Marta obrzuciła ją wzrokiem pełnym przerażenia. Judit uderzyła ją, to było widać po drzeniu jej palców, po tym nieświadomym, nieporadnym geście ręki, którą podniosła do twarzy.

— Więc co mam odpisać?

— To — wyszeptała Zsófi.

— Prawdę?

— To, co powiedziałam.

Nauczycielka wzięła od niej list, złożyła go i wtknęła pod szklaną kulę na biurku. Na ulicy pokazał się listonosz, ojciec Sutyi Szücs. Zsófi też go zobaczyła, gdyż akurat wyjrzała przez okno. Od tej chwili przestała patrzeć na nauczycielkę, nie odrywała wzroku od listonosza.

Czego Zsófi może chcieć od ojca Sutyi Szücs?

— Kiedy widziałas Dóré? — spytała niespodziewanie Marta Szabó.

Zsófioka okropnie się przelękała. Marta Szabó przenio-

sła wzrok ponad głowę dziewczynki, zaczęła bawić się nożem do przycinania papieru, przepołowiła arkusz. Zsófi zastanawia się, jak wykręcić się od odpowiedzi; nie może powiedzieć prawdy i nie chce skłamać. Dlaczego nie może powiedzieć prawdy? To jeszcze w tej chwili zagadka. Ale ta zagadka się wyjaśni. Zawsze wszystko wychodzi na jaw.

— Niedawno — odrzekła Zsófi.

— Dóra i jej siostra wyjechały — ciągnęła Marta Szabó. — W poniedziałek po południu. Wiesz o tym?

— Wiem.

Wiedziała, że wyjechały, ale teraz wie więcej: że Viki pojechała sama, a Dóra z jakichś niezrozumiałych powodów jest u Pongrácza. W tym momencie Zsófi odwróciła się do nauczycielki plecami, gdyż do gabinetu wszedł listonosz, który położył na biurku plik kartek z pozdrowieniami i kilka numerów *Wychowania Pedagogicznego*.

— Czy mogę odejść? — spytała Zsófi.

Nigdy nie odzywała się bez pytania, szczególnie gdy coś przeszkobała i była wezwana do pokoju nauczycielskiego. Bardzo dobrze wie, że tylko nauczycielka może zakończyć taką rozmowę. Na jaki list ona czeka? Od kogo? Dlaczego? A może nie ona, tylko Dóra? Ależ tak! Dóra boi się pokazywać, z jakiegoś powodu nie może mieszkać w domu, więc schowała się u starego. Co się za tym kryje?

— Możesz.

Zsófi odwróciła się w stronę biurka. Wysła razem z listonoszem, a Marta Szabó stanawszy w drzwiach popatrzała za nimi. Dziewczynka początkowo milczała, potem najwidoczniej zebrała na odwagę i zapytała o coś pana Szücsa. Listonosz przecząco pokręcił głową. Zsófi nie zeszła z nim po schodach, lecz zatrzymała się przez chwilę u ich szczytu, odprowadziła go wzrokiem,

po czym znowu przycisnęła dłonie do twarzy. Gdy poczuła na sobie czyjeś spojrzenie, odwróciła się, a zobaczywszy Martę zbiegła skręcając ku suterenie.

Około południa zajrzał Hidas. Był opalony, oznajmił, że wraca z Wyspy Małgorzaty, a następnie przez jakiś czas kluczył wokół tego, co chciał powiedzieć. Marta Szabó obserwowała, w jaki sposób próbuje sformułować myśl. Robiła to z takim samym rzeczowym zainteresowaniem jak przed chwilą w odniesieniu do Zsófi. Ale ten Jóská głupi, przecież nie ma obowiązku nikomu składać sprawozdań. Gdy wykrztusił, że w sierpniu się żeni, uścisnęła mu rękę życząc wiele pomyślności. Hidas zaraz potem wyszedł, jakby tylko po to się zjawił, żeby wreszcie zrzucić ciężar z serca. Idiota, robił wrażenie człowieka, który poczuł ulgę, bo nareszcie zdobył się na wyznanie. Głupiec. Jakby rzeczywiście musiał się tłumaczyć. Po co? Komu?

Sekretarka odebrała telefon, powiedziała: „Proszę zaczekać” i weszła do gabinetu. Dzwoniła żona Kálmána Hallera oświadczając, że jej bratanica prawdopodobnie jest w szkole; jeśli tak, niech natychmiast odniesie teczkę wuja, jej matka obiecała, że dziewczynka odda idąc rano do szkoły, a tu nic. Marta poprosiła Hallerową o trochę cierpliwości i przyrzekła, że wyda odpowiednie polecenia. Wcale nie miała ochoty na rozmowę z Kató, na wysłuchiwanie jej płaczów i narzekań. Znowu zadzwoniła na Székelya i wezwała Zsófikę.

Zsófi stawiała się natychmiast, nauczycielka znowu ujrzała taką samą twarz jak na początku roku, zalęknioną i smutną; z jej oblicza znikły ta radosna pewność i ten spokój, które promieniowały od niej, kiedy z siatką w skaleczonej dłoni wybiegła z sutereny i wzięła od niej gruszkę rzuconą przez murarza. Teraz Zsófi czegoś się bała.

— Był telefon w sprawie jakiejś teczki. Czy wiesz coś o niej?

Dziewczynka kiwnęła głową.

— Podobno miałaś ją dzisiaj odnieść do domu.

— Tak.

— Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Po dłuższej chwili milczenia dziewczynka odparła, że nie miała odwagi zostawić teczki w muzeum, ponieważ nie chciała spotkać się z wujem Kálmánem.

— Miałaś odnieść cioci, a nie do muzeum.

Tego nie chciała zrobić. To było niemożliwe.

— Jak to niemożliwe? Dlaczego?

— Bo niemożliwe.

Nagle stanęła Marcie przed oczyma jej dawna koleżanka szkolna, Kató. Podejrzliwa, wścibska, szperająca po torebkach i czytająca wszystkie listy koleżanek, wypisująca z dziennika klasowego wszystkie informacje, podsłuchująca w czasie konferencji pod drzwiami pokoju nauczycielskiego, podglądająca zza drzwi, jak jej brat całuje się z narzeczoną, Judit Papp. Cóż może być w tej teczce, czego zdaniem Zsófikki Kató nie może zobaczyć?

Marta zastanawiała się, co robić.

— Przynies teczkę do kancelarii, wuj sam ją zabierze. Ja to załatwię.

Zsófikka wybiegła, a po chwili wróciła zasapana i położyła teczkę na biurku. Z teczką wiąże się jakaś tajemnica, tajemnica należąca do Zsófikki i Kálmána.

Marta zauważyła, że dziewczynka oddawszy teczkę odetchnęła z ulgą. „Wolno ją oddać tylko wujowi Kálmánowi!” — powtórzyła dwukrotnie i wyszła. Nauczycielka zaczęła, aż Zsófi zniknie za drzwiami, i otworzyła teczkę. Znalazła w niej wiatrówkę, przybory do golenia i szczoteczkę do zębów. W bocznej przegródce — indeks uniwersytecki i kopię dyplomu doktor-

skiego Kálmána Hallera, stwierdzającego, iż na podstawie dysertacji pt. „Złote monety na Węgrzech” Uniwersytet im. Pétera Pázmánya nadał mu stopień doktora. Znalazła też indeks z uniwersytetu w Perugii, gdzie Haller wysłuchał dwóch semestrów z historii sztuki. Między kartkami indeksu była koperta, a w niej dwieście szylingów austriackich.

Marta wyjęła list z Rady Narodowej. „W poniedziałek 22 bm. o godzinie piątej po południu...” W tym momencie przypomniała sobie dozorcę spod dziewiątego, siedzącego przed domem i zjadającego pomidora, gdy wieczorem poszła odwiedzić Dórę. „Dziś o piątej wyjechały samochodem — powiedział wypluwając zielony kawałek pomidora. — Oby w ogóle nie wróciły!”

Zamykając teczkę Marta wiedziała już, dlaczego w poniedziałek o piątej po południu Zsófi zatrzasnęła drzwi skarbcza, a Dóra Gergely najbliższej nocy sprowadziła się do Istvána Pongrácza.

Przed wyjściem zadzwoniła do Kálmána Hallera, nie zastała go jednak, był w Muzeum Zamkowym, za pół godziny miał wrócić. Nie kazała mu nic powtórzyć, tylko zatelefonowała do Kató i powiedziała, że nigdzie nie może Zsófi znaleźć, ale postara się, by teczka jak najprędzej została im odniesiona.

Wróciwszy do domu ugotowała coś, lecz nie miała apetytu. Podeszła do okna i wyrzała na ulicę. Kató. Marianna. Haller. Zsófi i pan István. Dóra i Viki. Jak można pokierować losami dzieci, jeżeli ich życie jest funkcją życia dorosłych? Trzeba by zmienić życie dorosłych, ale jak się do tego zabrać, jaką ona ma władzę i kto w ogóle jej słucha? Na konferencjach przemawia najwyżej do czterdziestu osób. Czasem do dwudziestu, raz nawet mówiła tylko do dziewięciu. Może jednak powinna o tym napisać. Ale co? Rozprawę czy artykuł do gazety? A może książkę?

Ktoś się jej uklonił.

Był to Jani Borbély, który na rowerze nadjechał od placu. Marta kiedyś uczyła go, był jasnoblond, chudym jak glista chłopcem, mówił cichutkim głosem, odzywał się tylko wtedy, kiedy bardzo dobrze coś wiedział — niesłychanie rzadko. Potem zaczął pracować na poczcie jako doręczyciel depeasz. W klasie nazywano go Bubu.

— Strasznie gorąco — powiedział Bubu zsiadając z roweru. — Czy nie mogłaby pani dać mi szklanki wody?

Nieraz zwracano się do niej z dziwniejszymi prośbami niż o podanie szklanki wody przez okno. Ulała sporo wody, żeby była zimna, i podała chłopcu. Bubu powiedział, że została mu tylko jedna depeasz, której nie może doręczyć, gdyż adresatka wyjechała, odda więc ją z powrotem na pocztę. Jeszcze pół godziny i na dziś koniec.

— Najgorzej jest z tymi śmieciami, których nie ma komu doręczyć — użalał się. — Nadawca jest wściekły, pisze do prasy, po czym ukazuje się artykuł, że poczta źle funkcjonuje. A co ja mam zrobić, jeżeli ktoś wyjechał i nie zostawił adresu? Zresztą wcale się nie dziwię, gdybym mógł, sam bym uciekł z miasta, żar tu jak w piecu. Niechby sobie siedzieli na lotnisku, tylko żeby zostawili adres.

Bubu podjechał od placu. Ale z którego domu? Zanim zaczął pić, książkę doręczeń położył na parapecie. Marta pochyliła się nad nią i przeczytała nazwisko adresata. Nic dziwnego, że nie mógł doręczyć.

— Nie musisz zabierać depeasz z powrotem — rzekła. — Możesz zostawić ją u mnie.

Raptem poczuła, że z emocji aż dłonie jej zwilgotniały. Odniosła wrażenie, jakby od tego, co trzyma

w ręku, zależał los Dóry. „Pani Marta starzeje się — pomyślał Bubu — i źle znosi upały. Dlaczego mam zostawić u niej depeszę zaadresowaną na nazwisko Gergely?”

— Od chwili wyjazdu siostry adresatka mieszka u nas w szkole. Jeżeli zostawisz u mnie, oddam jej.

Pani Marta chyba orientuje się, co wolno i czego nie wolno, a on przynajmniej uwolni się od tej depeszy. Już cztery razy z nią przyjeżdżał. Tu proszę podpisać, tak. Rączki całuję. Ale dojdzie do adresatki, bo inaczej będzie miał za swoje, na poczcie nie żartują. Pani rozumie?

Oczywiście. Dojdzie, może się nie bać.

Och, nie może wytrzymać z ciekawości! Miałaby przeczytać cudzą depeszę? Ale Dóra jest jej uczennicą i mieszka w szkole. Może to jakaś sprawa dotycząca szkoły, wówczas mogłaby odpieczętować, jest wicedyrektorką, osobą urzędową, nawet ma prawo odebrać pieniądze w czyimś imieniu. Zwiesiła głowę na parapet, jakby zrobiło jej się niedobrze albo intensywnie nad czymś rozmyślała. Co ta depesza znaczy? Chwała Bogu, to już nie jej zmartwienie.

Zakleiła depeszę syndedikonem i wyszła na rozpaloną ulicę. Nie może zwlekać ani minuty, nastrój oczekiwania panujący w suterenie pewnie aż rozsada ściany. Żeby tylko nikt jej nie zauważył, naprawdę nie może z nikim się spotkać, a przede wszystkim z Székelyem. O Székelyu musi porozmawiać z dyrektorką, jest zawistny, głupi i nie lubi dzieci. Wszyscy zawsze wymyślają na Pongrácza, a Székely niepostrzeżenie się rozpuścił.

Przekradła się chyłkiem przez korytarz i stanęła przed zasłoniętymi firanką drzwiami. W pokoju ktoś mówił, usłyszała mrukliwy głos Pongrácza. Zatknęła depeszę za klamkę. Głosy za drzwiami umilkły, wido-

cznie musieli usłyszeć szmer. Znowu zapanowała ta osobliwa, pełna napięcia cisza.

Nigdy w życiu nie biegła tak szybko jak teraz, musiała zniknąć, zanim stary wykułyka za próg, by sprawdzić, kto stał za drzwiami i grzebał przy kłamce. Gdy otworzył drzwi, na korytarzu nikogo nie było, a przez szczelinę wpadł do pokoju niewielki, prostokątny papierek. Bez okularów nie widział dobrze liter, ale Dóra wyrwała mu papier z ręki i wówczas z jej twarzy wyczytał, że nie jest on przeznaczony dla niego, bez względu na to, kto go przysłał i przyniósł. Dóra nie mogła otworzyć depeszy, tak drżały jej ręce; położyła ją więc na stole i obracała na wszystkie strony. Jeszcze nigdy nie otwierała depeszy.

Gdzież te cholerne okulary, gdzież on je rzucił, gdy usłyszawszy, że ktoś krąży pod drzwiami, tak się wystraszył? Położył na wadze, no proszę, zawsze najtrudniej znaleźć, gdy są potrzebne. Nie tak się otwiera, taka sama z ciebie niedojda jak z tamtej, przewraca na wszystkie strony zamiast zerwać nalepkę. *Dóra Gergely*. No, Bogu dzięki, okazuje się, że ma i nazwisko, Gergely, to już można wytrzymać. Skąd, u licha, mogła przyjść ta depesza? Wiedeń. Aha. Czarna stoi, ściągnęła usta, no, całe szczęście, jednak nie jest z drzewa, a już myślał, że ona właściwie nie żyje, jedynie rusza oczyma. Okazuje się, że żyje, bo mruga, tylko Bóg jeden wie, czy cieszy się, czy martwi. Możliwe, że sama nie wie, idiotka, ma taką minę, jakby nie mogła się zdecydować, czy płakać, czy się śmiać, nie wiadomo, który raz czyta ten świstek: *Nie gniewaj się spróbuj u matki Viki*.

XXII

Székely szalał z wściekłości.

Dobozi w Balatonfüred, Pongrącz chory, a on musi ganiać za wszystkich. Rada Narodowa to głupstwo, ale Muzeum Numizmatyczne, potem Instytut Pedagogiczny, w taką spiekotę... Pilne. Natychmiast. Pędzać to pani profesor potrafi. Ma tylko tę pociechę, że jak Pongrącz się dowie, szlag go trafi, i tak za dobrze mu się dzieje, trochę łązi, leży i wysługuje się dwoma dziećciakami, niech się przynajmniej pozłości. Na każdym ze złożonych we dwoje papierów widniało: *Nr 1957/303. W sprawie dyscyplinarnej uczennicy kl. VI, Zsófi Nagy.*

Pilne? Nie na tyle, żeby przedtem nie zajrzeć do Pongrączca, niech i on ma trochę frajdy. Ale sobie wybrał tę Zsófię Nagy, musi być niezły numer, skoro nawet w lecie wyjeżdżają jej z dochodzeniem, akurat coś dla Pongrączca, jeśli będzie się z nią tak cackał, pewnego pięknego wieczoru poderżnie mu gardło. Warto rozejrzeć się trochę u starego, gdzie też chowa tę drugą dziewczynkę, którą on w poniedziałek w nocy wpuścił do niego.

Głupi ten Pongrącz, zawsze taki był. Na wtorek i środę zdjął kartkę, żeby nie walić w drzwi, a teraz znowu wywiesił. Wielka szkoda, miał ochotę tak załomotać, żeby nawet umarły wstał z grobu. Wszedł. Stary był sam, przynajmniej poza nim nikogo nie było widać, firankę sobie odsunął na oknie, dzięki czemu może zerkać choć na kupę węgla, zupełnie jakby patrzył na

jakieś górki. Na wieszaku tylko jego czapka i fartuch, ani śladu po czarnej dziewczynce. Widocznie już ją wyekspediował. Pongrącz spojrział na Székelya nieufnie — ten niezbyt często przekraczał próg jego pokoju, jeżeli zaglądał, to po to, żeby opowiadać o swoim krewniaku, który kiedyś też złamał nogę w kostce i już kulał do śmierci, kość się nie zrosła, choć był młody, miał pięćdziesiąt lat.

— Dobrze się wam dzieje — rzekł Székely kładąc książkę doręczeń na stoliku. — Leżycie sobie w miłym chłodzie i drzemiecie. Jak noga?

Pongrącz mruknął coś pod nosem.

— A inni muszą latać w tym piekielnym upale. Na górze ani przez chwilę nie ma spokoju, dziś od samego rana Martę Szabó jakaś cholera ciska. Muszę to odnieść, ale natychmiast!

Pongrącz nawet nie spojrział na książkę doręczeń, chociaż Székely podetknął mu ją pod nos.

— Nie widzę tej małej czarnej. Wysłaliście ją dokądś?

„On coś knuje — pomyślał Pongrącz. — Zjawia się jak wieść hiobowa, nigdy nie przychodzi bez przyczyny.” Już w młodości sprawiało mu radość, gdy mógł komuś coś złego powiedzieć. Kiedy uderzył pocisk, Pongrącz stał na dworze przy tylnym wejściu, podmuch powietrza rzucił go o ziemię, krew poszła mu nosem i ustami, słyszeć jeszcze przez wiele godzin porządnie nie słyszał, kiedy się ocknął, zobaczył siedzącego Székelya, który opryskując mu twarz wodą rzekł, że trzeba przejść do dużego schronu, po drugiej stronie prawdopodobnie stało się coś złego. Wytrzeszczał przy tym oczy, jakby współczuł, ale on od razu wiedział, że to nie współzucie, Székely po prostu patrzył, jaką on zrobi minę. On jednak nie zrobił żadnej miny, nawet nie mógł podbiec, laził ledwie powłócząc no-

gami, gdy wybuch rąbnął go o ziemię, paskudnie rozkrwawił sobie kolano; okazało się, że miał rację nie spiesząc się, gdyby nawet leciał jak na skrzydłach, i tak już by nikogo nie znalazł.

Jeżeli Székely śledzi Czarną, to się spóźnił; zaledwie dostała telegram, złapała rzeczy i już diabli ją ponieśli. Powiedziała, że poszłaby do domu, ale nie może dostać się do mieszkania, i poprosiła go o ogólny klucz, którym otwiera klasy, gdy dyżurni zarzuca gdzieś swoje. Obiecała, że odniesie, chyba dotrzyma słowa. Może lepiej, żeby jej u niego nie widzieli, bo jeżeli rzeczywiście ma włamanie na sumieniu, to oboje mieliby się z pyszna.

Poszła, a jego Székely może sobie szpiegować, już jej nie ma, niedługo ją gościł, przez dwa dni. I w końcu nie powiedziała, co właściwie z nią było, a nawet jeżeli dobrze pamięta, nie podziękowała za gościnę, tylko popatrzała na niego przez chwilę, złapała plecak i tyle ją było widać. Chwała Bogu, znowu jest cicho. Jak makiem zasiał. Tylko wstrętne kanalie nie ufają ludziom. On i tak by nie doniósł, jeżeli coś zrobiły, ona i Piórko, po prostu uważała za wskazane na parę dni ulotnić się z domu. Co to za dziewczynka, która dostaje depesze?! I jeszcze Viki! Viki! Takiego imienia nie ma chyba na całym świecie. Dóra. Viki. Fajna rodzinka.

Odburknął coś na pytanie Székelya, gdyby ktoś bardzo chciał, mógłby pomyśleć, że powiedział: „Tak”.

— Warto by zatrzymać ją do pomocy, bo ta druga raczej już nie przyjdzie. A może wiedzieliście o tym i dlatego zaprosiliście czarną?

Dlaczego Cielę miałyby nie przyjąć? To niemożliwe, zawsze przychodziła, nawet wtedy, kiedy wykręcił jej rękę. Székely patrzy na niego swymi zimnymi, fałszywymi oczyma, jakby on był coś winien temu, że Marcsa kochała tylko Imrego, a na Székelya nawet

nie chciała spojrzeć. Proszę, jeszcze do tej pory mu to krew psuje, choć po Marcsy już nawet kości nie ma, jaka piękna z niej była dziewczyna, taka jasnowłosa... Ale skoro nie chciała go, tylko Imrego...

— Nie boicie się, że wam głowa pęknie? — spytał Székelya. — Strasznie dużo wiecie. Jeszcze wam zaszkodzi.

Székely jakby nie zrozumiał.

— Co ona zrobiła? Powiedziała wam? Mam nadzieję, że nic nie ukradła, bo widzę, że posyłacie ją do komórki, a ja tam za wszystko odpowiadam, jeśli czegoś będzie brakować, nie wiem, kto to pokryje.

Patrzcie go, sukinsyna, co on sobie myśli, uważa Zsófikę za złodziejkę? Może poszukałby złodzieja gdzie indziej, powiedział, dlaczego w zimie w jego pokoju jest tak piekielnie gorąco, a w klasach zimno; kto z niewinną miną opowiada, że w piecu nie ciągnie, że zły węgiel, kto obszczekuje Bogu ducha winnych kominiarzy, jeśli nie on, drań jeden? A teraz podtyka mu pod nos książkę doręczeń z dwoma pismami w środku, gdzież on do licha znowu wetknął okulary, naturalnie jak zawsze położył je na wadze. *Judit Nagy, Doświadczalny Instytut Pedagogiczny, Budapeszt I., ul. Zápor 7. W związku ze sprawą dyscyplinarną córki, Zsófi Nagy, uczennicy kl. VI, uprzejmie prosimy o przybycie do szkoły dnia 29 lipca br. o godz. 11. Prosimy także o przyprowadzenie córki. Wicedyrektorka Marta Szabó.*

Pieczeń okrągła i pieczeń podłużna. Ki diabeł? Drugi list brzmi kropka w kropkę tak samo, tylko nie ma w nim mowy o przyprowadzeniu Zsófi. Jest zaadresowany do kierownika działu Kálmána Hallera, czyli owego Kelera, teraz sobie przypomniał, niech to diabli

wezmą, do niego należało posłać Andrása Kisa, przez niego dziewczyna była taka nieprzytomna. Całe szczęście, że nie poszedł i nie spuścił mu manta. Kierownik działu! Na końcu listu napisali, że teczka przyniesiona z muzeum została w związku z dochodzeniem zatrzymana przez szkołę, nie wolno jej ani wydawać, ani odsyłać do domu, można będzie odebrać osobiście po zakończeniu dochodzenia.

Teczka z pięknej, żółtej skóry, przecież on ją widział, była u niego we wtorek, Niedojda schowała ją w jego pokoju. Jeszcze zastanawiał się, co może w niej być, sądził, że należała do Gábora Nagya, ale potem Zsófiika zabrała ją i gdzieś poleciała, od tamtego czasu nie widział teczki. Chyba nieszczęsna nie ukradła teczki Hallerowi? To wina Székelya, że takie myśli przychodzą mu do głowy, to Székely zaraził go takimi podejrzeniami. Zsófiika na pewno dobrze zrobiła, słusznie postąpiła przynosząc teczkę. A może Czarna wplątała ją w jakieś nieszczęście, bo Czarna rzuca uroki. Co teraz będzie? Jak on może Zsófiice pomóc?

Gdy przyłapał się na tym, że najchętniej zaczęłby wrzeszczeć, przeklinać, łamać i rozbijać wszystko dookoła, zdumiał się niepomrotnie. Czego Marta Szabó chce od tej małej? Czyż po jej oczach nie widać, że nie mogła zrobić nic złego?

Székely obserwował minę Pongrácza, ale wychudła, zarośnięta twarz starego nic nie mówiła, Pongrącz nawet mlasnął językiem, jakby to wszystko bardzo przypadło mu do gustu, i rzekł: „Tam do licha! Co mi do tego?” Stary idiota, ma strasznie wredną naturę, nawet się nie rozżłościł. Co prawda to człowiek bez serca, z góry można się było tego spodziewać, a przez ten czas tylko upał się wzmógł i trzeba się będzie powlec z listami. Gdyby choć rozdrażnił starego, ale nie, kraje sobie zieloną paprykę i wcina w najlepsze. Pożegnał

się, wyprowadził rower z komórki. Rowerem szybciej będzie na miejscu.

W muzeum nie zastał Kálmána Hallera, więc przynajmniej nie musiał wchodzić na piętro, tylko zostawił pismo w portierni. Siedzący tam grubas obiecał, że gdy Haller przyjdzie z Muzeum Zamkowego, prawdopodobnie za pół godziny, to zaraz mu doręczy. Judit Nagy z Doświadczalnego Instytutu Pedagogicznego osobiście odebrała list i nie spojrzawszy na papier nabazgrała swoje nazwisko w książce doręczeń, tam, gdzie jej wskazał. Chętnie by jej zaproponował, żeby natychmiast przeczytała, chciał bowiem zobaczyć jej minę, ale nie mógł, zupełnie nie miał do czego nawiązać. Jakżeż on nie cierpi tego parszywego szczeniaka. Gdy sprząta przed drzwiami starego Pongrácza, zawsze zmiata kurz pod komórkę, jakby wiedziała, że to już jego rewir, jemu brudzi. Żeby choć matka porządnie ją sprząła.

Judit, przeczytawszy list, o dziwo nie rozgniewała się na Zsófikę, lecz na Martę Szabó. Zgniotła i cisnęła pismo do kosza. Ze zdenerwowania nie mogła usiedzieć na miejscu, chodziła po pokoju tam i z powrotem. „To jest cała Marta — myślała. — Tak rozdmuchać sprawę, ciągać dziecko, niszczyć jej nerwy... To ma być pedagog? Ależ to kat.” Po raz pierwszy odrobinę spokojniej pomyślała o przeniesieniu do szkoły, ona im dopiero pokaże, że z dzieckiem wkraczającym w okres dojrzewania nie wolno takich rzeczy robić. Czego Marta w tym wszystkim szuka, po co się w tym grzebie, chyba tylko po to, żeby jeszcze bardziej ją rozgoryczyć i udowodnić, iż Judit Nagy nie nadaje się do Instytutu, nie umie wychowywać dzieci. Wróciwszy do domu, ku wielkiemu zdumieniu Zsófiky przytuliła ją, pocałowała i z nieukrywanym oburzeniem rzekła: „Nic się nie bój, ja to załatwię.”

„A więc zaczęło się” — pomyślała Zsófi. Wczoraj była taka szczęśliwa, po raz pierwszy od śmierci tatusia, bo w domu na stole czekał na nią obiad, zobaczywszy go poczuła, że mamusia jednak ją kocha. Całe popołudnie spędziły razem, dużo rozmawiały i choć mamusia ani słowem nie przyznała, że nie powinna była jej uderzyć, mówił o tym każdy jej gest, sposób, w jaki ją pocałowała czy zaplotła jej włosy. Mamusia nie męczyła jej ani muzeum, ani monetą, Zsófi więc przynajmniej niczego nie musiała się wypierać. Najwidoczniej mamusia coraz bardziej skłaniała się ku przekonaniu, że wszystko stało się przypadkiem, a o teczce zapomniała. Tymczasem okazuje się, że wcale się nie skończyło, należało się tego spodziewać już przed południem po tym liście i poleceniu odniesienia teczki. Zsófi wyobrażała sobie, że pani Marta odpowie coś Radzie Narodowej, ją zapisze do dziennika albo dyrektorka udzieli jej napomnienia i na tym się skończy. Wbrew przewidywaniom została wezwana tak samo, jak przed dwoma laty Ewa Percs, która ukradła rower. Co za wstyd!

Również Judit przez całe popołudnie rozmyślała nad tą sprawą. „To niepedagogicznie i nie po ludzku” — stwierdziła w duchu. Spytała Zsófikę, czy zrobiła to przez złośliwość, dziewczynka powiedziała, że nie, a ona nigdy nie kłamie. Więc wszystko było kwestią przypadku, tak jak przypuszczała, po prostu mała za blisko podeszła do drzwi i zatrzasnęła je. Wszyscy wiedzą, że jej córka jest tchórzliwa, nieśmiała, niezdarza i niezaradna, czy można winić ją za to, że przypadkowo narobiła zamieszania? Nie, nie, gdyby to zrobił kto inny, któkolwiek bądź, całe zdarzenie nie byłoby tak wyolbrzymione, ale tu chodzi o dziecko Nagyów, Marcie Szabó szczególnie zależy na tym, by przed odejściem ze szkoły jeszcze raz ją ugodzić. Więc

ona odpowie jej, jak się patrzy, ani myśli przejmować się tym, że znowu będzie musiała prosić o pozwolenie na wyjście z pracy, Dobay nie ma prawa robić jej uwag, ostatecznie wyrzucił ją, pozostawił własnemu losowi. Już piętnastego będzie szczęśliwy, będzie miał Martę Szabó. Cóż z niej za wielki pedagog, jeszcze każe się prosić, chce podnieść swoją cenę. Dobay może mówić, co mu się podoba, ale ona, Judit, zna się na pedagogice, rozumie duszę dziecka, ostatnio nieco straciła zaufanie do siebie, myślała, że popełnia jakiś podstawowy błąd, a jednak nie, to Marta Szabó opacznie rozumie tę łagodną, nieporadną dziewczynkę, czegoż ona o Zsóficie nie przypuszcza. Oczywiście Marta tylko kadzi samej sobie, robi propagandę, by później w Dzielnicy triumfalnie trąbili na jej cześć. Jeśli już musi pracować w szkole, cieszy się, że będzie następczynią Marty Szabó. Z pewnością od razu pierwszego dnia okaże się, że jej uczennice nie znają ortografii, że powierzchownie je uczyła, wszystko tylko pozornie dobrze wyglądało, a w gruncie rzeczy dzieci drżą przed nią, zastraszyła je. Zadzwoił telefon, Zsófika podniosła słuchawkę i z przerażeniem odłożyła ją z powrotem: dzwoniła ciocia Kató. Mamusia powiedziała, że nic złego się nie stało, jeśli ciocia Kató ma coś bardzo ważnego, zadzwoni jeszcze raz, a jeśli nie, to też dobrze, i tak nie ma siły na rozmowę z nią. Marta Szabó siedzi teraz w domu i spisuje pytania, przygotowuje jutrzejszą inkwizycję. Wiele się jednak nie nacieszy, ona jej pokaże, kto jest prawdziwym pedagogiem.

Tymczasem Marta Szabó nie siedziała w domu, lecz poszła do Wydziału Opiekuńczego Rady Narodowej. Zanim otrzymała odpowiedzi na wszystkie pytania, minęła dobra godzina, kierownik wydziału nie mógł nadążyć z wertowaniem zbioru ustaw i dekretów. Wreszcie jakoś doszli do porozumienia, długo potrzęsali so-

bie ręce. Marta nie zdążyła wyjść, kiedy referent zaczął dyktować wezwania do Vilmy Horváth, uprzednio Gergely, i Károlya Gergelya.

No, nareszcie. Teraz pójdzie do domu, zaparzy kawę i położy się, mimo wszystko miała dzień obfity w wydarzenia.

Mogłaby przejść się do Dóry, już na pewno jest w domu, ale dziś jeszcze za wcześnie, może jutro, niech Dóra się uspokoi, wszystko sobie w głowie ułoży. Dziś będzie miała przyjemne popołudnie, lubi mieszkanie i dom, w którym mieszka, taki zabawny budynek, urbanistycznym przypadkiem zapomniany w sercu stolicy. Z tą szeroką, sklepioną bramą ma wygląd prowincjonalnego domu, a ona w parterowym pokoju też czuje się jak na prowincji, gdy wieczorem wygląda przez okno, może ręką dosięgnąć przechodniów. Jest w tym coś przytulnego, bezpośredniego, rodzinnego.

Gdy wyszła z Rady, zmieniła plan, ruszyła w przeciwnym kierunku. Nie zaszkodziłoby się trochę rozerwać, może zajść do cukierni na lody, upał jest nieznośny, albo do kina na jakąś głupią komedię, na której nie trzeba myśleć, tylko pograć się w ciemnościach i śmiać. Zamarzyła o filmie, w którym bohater wpada na kelnera niosącego tacę i talerze rozlatują się na wszystkie strony albo salaterka z bitą śmietaną spada na głowę jakiejś nadętej postaci.

Zdecydowała się na kino. Nawet nie było tak duszno, pod sufitem buczały olbrzymie wentylatory, bezustanny szum czasem nawet zagłuszał słowa aktorów. Seans skończył się o szóstej, potem w parku przed kinem ucieła małą pogawędkę, Feri Asztalos, który w zeszłym roku skończył szkołę, podlewał trawniki, zobaczywszy ją, zaszutował gumowym węzłem i z daleka krzyknął: „Rączki całuję!”. Feri okropnie wyrósł

od czasu, gdy go ostatni raz widziała, głos mu się zrobił niski jak u byka.

Z góry cieszyła się na to, że za chwilę znajdzie się w chłodnym podcieniu bramy swego domu, upał zostawi na ulicy i poczuje zapach oleandrów, jej kwiatów kwitnących w kadzi pod kuchennym oknem wychodzącym na podwórze. Miłe jest to mieszkanie, choć nie najwygodniejsze, w zimie nawet ma kłopot z dwoma schodkami prowadzącymi do oszklonych drzwi od przedpokoju, schodki znajdują się na zewnątrz, w bramie, śnieg je zasypuje i ciągle trzeba zamiatać. Te dwa schodki nie mają najmniejszego sensu.

Wszedłszy do bramy pomyślała, że może jednak mają sens, gdyż na szczycie ich siedział Pongrác, chorą nogę sztywno wyciągnąwszy do przodu. Nie spodziewała się takiego gościa, Pongrác nigdy jej nie odwiedzał, Székely był młodszy i jeśli szkoła nie mogła jakiejś wiadomości przekazać jej przez telefon, on przynosił pocztę. Od kiedy na nią czeka? Pan István mruknął, że przyszedł koło czwartej. A więc siedzi już dobre dwie godziny, pewnie wynudził się za wszystkie czasy. Rozmowa jak zwykle zaczęła się od nic nie mówiących zdań, które pozwalają człowiekowi przygotować się do istoty sprawy. Marta otworzyła drzwi. Wewnątrz wzdłuż ściany biegła poręcz, lecz mimo to pan István z trudem pokonał sześć dalszych stopni, jego blade oblicze zaczerwieniło się z wysiłku. Nie nudził się — rzekł — miał nad czym rozmyślać.

Gdy go posadziła, otworzyła okno i podciągnęła żaluzje, słońce już znikło znad domu. Przez prostokąt szyby widać było szkołę, otwarte okna w pokoju nauczycielskim. Oboje to zauważyli. Pan István pomyślał, że ten podlec Székely nie sprawdził, czy są zabezpieczone, i w razie burzy wytluką się szyby,

a Marta Szabó zastanawiała się, czy to czasem nie Hidas zostawił je otwarte, gdyż przy wyjściu spotkała go podążającego do pokoju nauczycielskiego. Jóska zrobił się zapominalski, co innego ma w głowie.

Nie ulega wątpliwości, że stary przyszedł w sprawie Dóry, przez firankę mógł widzieć, jak zatykała telegram za kłamkę. Wszystko jedno, prędzej czy później ta rozmowa musiała się odbyć, tylko ona najpierw chciała załatwić sprawę Zsófikii, a dopiero potem zająć do starego.

Rozmawiając o pogodzie bacznie przyglądali się swoim twarzom. Pongrác równie dobrze jak ona wiedział, że plony, owoce i susza to tylko pozory, że prawdziwa rozmowa jeszcze się nie zaczęła. „Stary wygląda na zmęczonego — pomyślała Marta Szabó — powinien iść do domu, w suterenie jest chłodniej.” Nie będzie dłużej zwlekać. Czy ma go przeprowadzić przez ulicę, gdy wyruszy do domu? O tej porze na jezdni panuje duży ruch, a stary z trudem chodzi. Jeśli nie będzie bardzo zgryźliwie usposobiony, przeprowadzi go.

— Cieszę się, że pan przyszedł — zaczęła. — Sama chciałam do pana wpaść i podziękować za pomoc. Zdjął mi pan wielki kamień z serca, nawet pan nie wie jaki.

Pongrác popatrzał na nią, lecz zaraz odwrócił spojrzenie. „Czego ona ode mnie chce — dumał. — Co znowu za brednie plecie?”

— Teraz będziemy mogli wziąć sprawę w nasze ręce — ciągnęła Marta Szabó. — Te dwa dni musiały być dla biedaczki najcięższe, jestem panu ogromnie wdzięczna, że nie zostawił jej pan bez opieki. Powoli dojdzie do siebie. Czy była bardzo niespokojna?

Kto, u diabła, miał być niespokojny? Ta też jest durna, daremnie napchała sobie różności do głowy.

— W gruncie rzeczy stało się najlepiej, jak być mogło. Siostra kochała ją, ale zupełnie nie nadawała się na opiekunkę dziecka. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona, że zostawiła małą w domu. Panu na pewno opowiadała, jak do tego doszło.

Stary jest dzisiaj jeszcze mniej rozmowny niż zwykle. Tylko patrzy i chrząka. Cóż, nie będzie chciał powiedzieć, to nie powie.

— W każdym razie to smutna historia. Ojciec i matka założyli nowe rodziny, opiekę nad dziewczynką sprawowała siostra. Teraz, gdy siostra uciekła za granicę, wreszcie będziemy mogli w jakiś sposób pokierować życiem małej. Proszę mi powiedzieć, skąd panu przyszło do głowy, żeby ją wziąć do siebie? Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby w poniedziałek biedaczka nie miała gdzie się podziać. Do domu nie odważyła się pójść, prawda?

Więc ona gada o Czarnej. Szczęście, że nie zdążył otworzyć ust, pozwolił jej mówić. Patrzcie ją, jaka mądra, uczy innych, a wypaplała mu wszystko bez pytania, sama z siebie. Naiwna i gaduła, przyzwyczała się do tego na lekcjach. Wiedeń. A więc Piórko, z którym prowadzał się Karcsi Seres, uciekło do Wiednia i zostawiło sierotkę, co za niegodziwość! Znaczy, że źle się domyślał, to nie matka, lecz siostra, Czarna ma ojca i matkę, tylko każde z nich żyje swoim życiem, a mała nikomu niepotrzebna, mając dwa stołki wylądowała na ziemi.

Przeraził się.

Co ona powiedziała? Że teraz będą mogli pokierować jej życiem? Jak i w jakim kierunku? Kiedy po obiedzie chwyciła plecak i pobiegła do domu, nie przypuszczał, że nikt na nią nie czeka, sądził, że nie jest sama jak palec, tylko dlatego był zły, że w końcu nie powiedziała, z jakiego powodu musiała się ukrywać.

Więc nigdzie się nie włamała, tylko jest sierotą. Co też ona pocznie samusieńka na tym wielkim świecie? Nawet Piórka nie ma, nikogo. Z czego będzie żyła? Może zabierze ją któreś z rodziców? I dlaczego nie wyjechała razem z siostrą, skoro już się spakowała, widział jej rzeczy, wzięła nawet futrzanego zajączka i czerwony sweter. Z jakiegoś powodu raptem znalazła się w domu, może nie zabrali jej do auta albo spadła, kto to może wiedzieć?

— Teraz zajmie się nią Rada Narodowa.

Rada? Jak? Strasznie wstrzemięźliwie mówi, a jego to bardzo interesuje, kopci jednego papierosa za drugim, choć kobieta paląca paskudnie wygląda.

— Zakład, do którego pójdzie, znajduje się na Górze Wolności, pośrodku wielkiego parku.

Chce ją oddać do Domu Dziecka? Tak jest. Może mu nie tłumaczyć, w jak wielkim parku stoi, on wie, co to za zakład, mieszkają w nim same opuszczone dzieci, nic tego nie zmieni, nawet jeżeli sam Pan Bóg je tam piastuje.

— Jeżeli ma rodziców — odezwał się wreszcie — to czemu im jej nie oddadzą?

Marta Szabó potrzęsnęła głową.

— Rodzice zrezygnowali z niej, według prawa jej opiekunką była siostra. Czy pan oddałby dziecko ludziom, którzy już dziewięć lat temu go nie chcieli?

Diabła by oddał, nawet gdyby prosili, przepędziłby ich, gdzie pieprz rośnie, spuścił ze schodów i jeszcze zwałił łobuzom na łeb wiadro ze śmieciami. Toż to dziecko, nawet szczeniaka się nie wyrzuca, mimo że to nierozumny zwierzak, człowiekowi żal, chowa go, choć on ślepy tylko sapie na posłaniu i cycka matkę. Ale żeby do zakładu...

Właściwie po co on się nad tym zastanawia, w innym celu przyszedł. Ach, więc dlatego Czarna potrzebo-

wała klucza, dlatego nie mogła dostać się do mieszkania, stąd to całe wielkie ukrywanie, tylko czemu bała się powiedzieć?... Nie poszedłby do milicji, może gdyby powiedziała, ulżyłoby jej, a tak tylko wytrzeszczała oczy, z początku nawet nie chciała jeść, bo szczeniara dumna, chociaż nikogo i nic biedactwo nie ma. Kto jej da jeść, dopóki nie zdecydują o jej losie? Nie spyta pani profesor, bo ona zaraz zacznie mówić o czym innym, już poznał jej zwyczaje. Trzeba pozwolić jej gadać, to wówczas sama się wypowiada.

— Wybawiłby nas pan z wielkiego kłopotu, gdyby jeszcze przez parę dni ją u siebie potrzymał. Na dziewiątą rano w piątek wezwaliśmy jej rodziców do Rady Narodowej, załatwienie sprawy od strony prawnej trochę potrwa. Dopiero po wyjaśnieniu sytuacji z rodziną zaczniemy rozmawiać z Domem Dziecka. Niech ją pan jeszcze na trochę przyjmie, dziecku na pewno smutno samemu. Oczywiście Komitet Rodzicielski pokryje wszystkie koszty.

„Zdechnij razem ze swoimi pieniędzmi — pomyślał pan István. — Schowaj je na gwoździe do trumny! Wydaje ci się, że nie mogę jej dać jeść, co?” Bąknął pod nosem, niech sobie rozumie, jak chce. Szlag by ich trafił, wszyscy go obrażają tymi pieniędzmi, a czyż on dał kiedyś głodnemu inaczej niż darmo?

— I co powiedziała przeczytawszy depeszę?

Co powiedziała? Więc depeszę też ona im przyniosła? Czarna i on byli święcie przekonani, że to Zsófi wyblagała ją od Szücsa. Okazuje się, że nie.

— Niewiele — odparł i znowu chrząknął. Już dosyć nagadali się o Czarnej, nie po to przez dwie godziny siedział na tych twardych schodach jak żebrak pod kościołem, żeby mówić o czym innym. Licho wie, gdzie pani profesor włączy się o tej porze, po południu. Nie po to na nią czekał, żeby w kółko gadała o Czarnej,

już rozumie, że Czarna nie jest jakimś ladaco, nie uciekła z poprawczaka czy od matki, tylko została na świecie sama jak kołek w płocie. On przyszedł w sprawie tamtej drugiej, a nie Czarnej.

— Czego pani chce od Zsófi? — spytał.

Székely! Trzeba bezwzględnie porozmawiać o Székely z dyrektorką, podsłuchuje pod drzwiami pokoju nauczycielskiego, paple i plotkuje. Pani Biró miała rację, że nie rodzice, lecz Székely wywołał te ostatnie wstrętne gadki. Teraz znów pokazał staremu wezwanie i książkę doręczeń. Co za człowiek, chyba wie, że Pongrácz jest przywiązany do Zsófi. Nie, niestety nie może powiedzieć panu Istvánowi, czego chce od dziewczynki, choć stary się rozzłości, jest bowiem podrażniony i obraźliwy. Mimo to nie może. W żaden sposób.

Marta Szabó milczała.

— Boć ona nie jest z tych, co kradną — ciągnął Pongrácz głosem zdradzającym wzburzenie. — Jej, proszę pani, można powierzyć pieniądze nie licząc ich. Od dawna miała kupę zmartwień, skarżyła mi się, płakała, żeby Haller nigdzie nie szedł w poniedziałek, proszę spytać Andrása Kisa, murarza; teczkę rzeczywiście przyniosła, to prawda, ale wcale nie miała zamiaru jej ukraść, bo wówczas sprzedałaby ją lub wyrzuciła, a nie taszczyła do mnie.

Tak jest, jak sądziła. Zsófi dowiedziała się od Dóry, co zamierzają, i w poniedziałek po południu poszła do Kálmána do muzeum. Teraz i młody murarz, który rzucił dziewczynce piękną gruszkę, zajął swoje miejsce w ogólnym obrazie sytuacji. Marta rozumiała wszystko oprócz tego, że Dóra wyruszyła razem z Viki, a mimo to została w domu. Ale i to się wyjaśni.

„Nie odpowiada, tylko się gapi — pomyślał Pongrácz. — Ani słówka nie piśnie.” Jaka ona wstrętna,

bezduszna i niesprawiedliwa! Za Czarną się ujmuje, natomiast Bogu ducha winną Zsófi wybrała sobie, by ją zadręczyć, ale on jej powie nie zważając na skutki.

— Bo dziecko trzeba znać, proszę pani — głos mu ochrypl z podniecenia. — Od dawna wiedziała, że jej nieszczęsny ojciec, który przy mnie umarł, nic nie kazał jej powtórzyć, a jednak nadal do mnie przychodziła, choć nie wstydzę się przyznać, że nieźle ją ganiałem, nie miałem dla niej dobrego słowa, raz nawet ją uderzyłem, gdyż uważałem, że zasłużyła; mimo to wiernie przychodziła, pielęgnowała mnie, do dziś przychodzi, pieniędzy już nie dostaje, ale przychodzi. Dlatego powiadam, że jeżeli jakiś łobuz ją oczernił, nie trzeba mu wierzyć, szczególnie temu Hallerowi, proszę pani, bo to szuja, niech mówią, co chcą, ale on nie idzie uczciwą drogą. Jeżeli ja mógłbym włożyć za dziewczynę moją starą rękę do ognia, to pani profesor może uczynić to samo.

Oj, stary, stary, ależ ci drży ta ręka, którą byłbyś gotów włożyć za Zsófikę do ognia, żyłasta, stara ręka. „Co on by zrobił, gdybym podeszła do niego i pocałowała go? Wrzasnąłby na cały głos i trzepnął mnie po siedzeniu.”

— Dziewczynka wplątała się w bardzo poważną sprawę — rzekła — ale jakoś ją wyciągniemy.

— Więc proszę i nas wysłuchać — mruknął Pongrącz.

Wcale niezła myśl. Marta otworzyła maszynę do pisania i wkręciła arkusz papieru. Pongrącz po raz pierwszy w życiu coś dyktował, powiedział prawie słowo w słowo to samo, co przed chwilą. Skończywszy podpisał, znowu jednak zachmurzył się, poczuł bowiem, że to, co jest na papierze, nie wystarcza. Że raczej wo-

łałby być tam obecny, również należałoby spytać Andrása Kisa, niesprawiedliwością by było maltretować dziecko, a oni, którzy najwięcej wiedzą o sprawie, żeby nie zostali wezwani.

— Może pan przyjść — rzekła Marta Szabó wyobraziwszy sobie Judit, Kálmána i pan Istvána razem; to wszystko było jednocześnie śmieszne i potworne. — Może pan też przyprowadzić murarza. Każdego, o kim pan sądzi, że pomoże dziewczynce.

Jednak nie powiedziała, o co właściwie chodzi, o co Ciele oskarżają, strzeże tajemnicy, niech piorun spali tego, kto wymyślił tajemnicę służbową, szczególnie wtedy, kiedy osoba urzędowa, tak jak on, nie może się dowiedzieć, co dzieje się we własnej szkole, ale przynajmniej wpuszczą go na rozprawę, jego i Andrása Kisa, więc nie przyszedł na próżno. Czy ma go odprowadzić? Cholerę w bok, nie jest panienką, żeby narzeczony miał z nim chodzić, powoli, ale się doczłapie.

W którym domu tak piszczą drzwi, pod siódmym czy pod dziewiątym, gdzie Chuchro wystawało z tym facetem w koszuli? Pod dziewiątym tak brama piszczy, pięknego mają dozorcę, który żałuje kropli oliwy, co za brudas, stoi, żre i skórkami od jabłek opluwa kratę na ścieku. I gapi się na niego jak na papugę na odpuszcie, przygląda się jego nodze, rzeczywiście ma czemu.

Dóra Gergely mieszka pod szóstym, jest sama w domu, bo Vadászowa wyjechała. Tak należy sądzić. Dóra długo nie odzywała się na dzwonek, w końcu jednak wyrzała. Gdy zobaczyła, kto stoi na progu, krew napłynęła jej do głowy, oczy, usta, nawet nos dziewczynki pojaśniał w uśmiechu. „Ucieszyła mi się” — Pongrácz osłupiał i tak się zmieszał, że ledwie mógł coś wybąkać.

— Zbieraj się, pójdziesz ze mną, nie będziesz tu sama spała.

Jeżeli się sprzeciwi, oberwie po buzi i zostanie sama, niech sobie później pieje do lustra. Bez szemrania jednak pakuje manatki, trzaska drzwiami, już jest na schodach i wytrychem elegancko zamyka drzwi. Znowu wzięła plecak, nawrzucała do niego różności, toteż wybrzuszył się z boku, nie zapomniała nawet o futurzonym zajęczku, któremu noga wystaje z plecaka. Czarna podaje mu rękę, tym razem nie uchyli się, bo ona nie zamierza przeprowadzać go przez jezdnię, jak Marta Szabó, lecz nieszczęsna sama chce, by ją prowadzono. Ma inną wstążeczkę we włosach i bez przerwy się uśmiecha, nawet nie wiedział, że potrafi tak się uśmiechać. Tylko że teraz nie powinna się śmiać, gdyż mają coś do załatwienia, teraz o co innego chodzi, później, w czasie kolacji, gdy wszystko zrobią, będzie mogła się śmiać.

Niech no tylko dojdą do ławki koło fontanny, tam jej powie w czym rzecz.

— Pójdziesz na ulicę Szalag, rozumiesz?

Niech lepiej nie stroi takich min, bo chociaż wszyscy ją opuścili, tak ją zamaluje w gębę, że każdym okiem będzie gdzie indziej patrzeć.

— Poszukasz numeru dwunastego, pod którym mieści się hotel robotniczy. Słyszysz? Wejdiesz i spytasz o murarza, który nazywa się Andrés Kis. Powiesz mu, żeby był tu jutro na jedenastą, że ja mu to mówię, gdyż z Zsófiką jest niedobrze, musi powiedzieć, co wie o niej i o tym Hallerze, bo Zsófikę tu tylko dręczą, a nie ma ojca, który by ją obronił, matka zaś na niczym się nie zna, chyba nawet gotować nie umie, widziałaś, jaka wczoraj była głodna? Nie zapomnisz? No, fruuj na jednej nodze. Jak załatwisz, wrócisz po mnie i pójdziemy na kolację. Powiedz mu jeszcze, że

mógłby zwlec się do sutereny. Nie poszedł do muzeum, więc mamy o czym rozmawiać.

Uśmiech w jednej chwili znikł z twarzy dziewczynki, oczy jej sposepniały, stały się podejrzliwe.

— Co jest z Zsófiką? — spytała.

— Licho wie, nie było w piśmie, zdaje się, że niepokoją ją z powodu jakiejś teczki, myślisz, że mi powiedzieli, kiedy pytałem? Wywiedziałem się jedynie, że rozprawa odbędzie się jutro, bardzo się boję, bo ona nie kradnie, sama dobrze wiesz, jeżeli przyniosła teczkę, to Haller mógł ją gdzieś ściągnąć, niech piekło pochłonie tego opryszka, raz już na niego narzekała i w końcu przez niego ma kłopoty, bo widzisz, jego też wezwali. Dlatego, powiadam, bierz nogi za pas i ganiaj!

— Haller — powiedziała Dóra spoglądając na fontannę, prosto w twarz piorącej dziewczyny, jak owego wieczora, nie wstała jednak, lecz nadal siedziała obok Pongrácza i kopała obcasem w piasku.

— Czy ja nie mogłabym pójść na rozprawę?

— Po co? Jakoś się tam zawłokę. Jeżeli rano wyruszę z piwnicy, to na jedenastą dojdę na pierwsze piętro. Co ty byś mogła pomóc, sama powiedz. Bo jeżeli byś mogła, to idź, nie będę cię trzymał na smyczy.

Nic nie mówi, tylko patrzy. Zabierze ją, co to szkodzi? Ona chyba najlepiej zna Zsófikę, powie im, że Zsófika nikomu nie zawiniła, że nie kradnie. Jeżeli Haller ma prawo przyjść, to ona również.

Czarna położyła plecak. Dałby jej pieniądze na tramwaj, ale powiedziała, że ma, znalazła w domu parę forintów i zaświeciła mu nimi przed oczyma. Nie jest pasożytem, o, nie! Lecz jeśli nie wypełni jego polecenia, kości jej połamie.

Pobiegła, tylko sandały stukają po chodniku, a on został, pętaki z ich szkoły nie boją się go pozdrawiać, na pewno ryczą ze śmiechu, że strażuje przy plecaku

i nogę ma w gipsie, największy wstyd to zajaczek wystający z plecaka, którego też musi pilnować, zajaczek Czarnej. We wrześnie z jego autorytetu będą nici, kto się będzie go bał, jeżeli te łobuziaki rozpowiedzą wszystkim, że trzymał wierną straż przy plecaku, z którego wyglądał zajaczek.

Robiło się coraz chłodniej. Dóra długo nie wracała. Pongrącz dumał nad tym, co da jej na kolację, kawa Czarnej nie wystarczy, ma młody żołądek. Przypomniał sobie konserwy mięsne, które dostał od Czerwonego Krzyża, jako że skończył sześćdziesiątkę: skoro rozdawali, wziął. Otworzył konserwy, dobre i to, jeśli nic innego nie ma. Na drutach elektrycznych usiadły ptaki. „Posłuchajcie tylko — pomyślał pan István. — Jak, u Boga Ojca, głos może iść po tyłu, tyłu drutach? Czarna by wiedziała i Zsófiika chyba też.” On się tego nie uczył.

Wieczorny wiatr łopotał szerokimi, przypominającymi w kształcie dłoni liśćmi klonów. Wreszcie Dóra przyszła, wzięła plecak i powiedziała, że załatwiła.

XXIII

Kiedy portier muzeum wręczył Hallerowi wezwanie ze szkoły, ten zmiął je i wyrzucił do kosza. Co to, to nie! Niech mu wreszcie dadzą spokój, mało, że obe-rwał od dyrektora, jeszcze ma chodzić do szkoły, czyż ta fatalna sprawa nigdy się nie skończy? Jakby bez tego nie miał dość zmartwień; Viki nie zaczęła na niego, nie daje znaku życia, a dopóki nie będzie wie-dział, czy wydoszła się szczęśliwie i gdzie jest, nie może udać się za nią.

Jeszcze czego, do szkoły im się zachciało — już ma wszystkiego powyżej uszu, od poniedziałku nie może spać, więc faszeruje się środkami uspokajającymi. Niech Judit idzie, niech ją nauczą, co robić, gdy dzie-cko nagle dostaje szału. Tego popołudnia Zsófi od po-czątku nie była zupełnie normalna, siedziała na podło-dze becząc i wymachując rękoma. Gábor z pewnością znalazłby przyczyny biologiczne wyjaśniające, co jej strzeliło do głowy. Najbardziej speszyła go tym głupim zdaniem, że przysła zamiast Marianny. Ale co sobie zawracać głowę Zsófiką; nie chce jej widzieć i kropka.

W domu po kolacji przypomniał sobie, że szkoła na-pisała też coś o teczce. Całe szczęście, że dziewczynka nie odważyła się oddać teczki Kató, tego by tylko bra-kowało, żeby teczka pod jego nieobecność znalazła się

w domu i Kató wypakowała z niej rzeczy. Teczkę musi odzyskać. Jeżeli przypadkiem otworzyli, wymyśli coś, dlaczego było w niej to, co było, wykluczone, żeby przeglądali indeks. W razie czego i to potrafi umoty-
wować; czy nauczyciel może wiedzieć, co należy do zakresu działania urzędnika muzealnego? Więc jednak pójdzie i położy kres tej komedii. A skoro już będzie w szkole, znajdzie pod dziewiątą i spyta, czy nie przyszły jakieś wiadomości od Viki i Dóry.

Wchodząc do szkoły nazajutrz za piętnaście jedenasta był zdecydowany, że tylko weźmie teczkę i zawróci, ale sekretarka poinformowała go, że dostanie teczkę dopiero po posiedzeniu, może więc będzie łaskaw poczekać w pokoju nauczycielskim na dyrektorkę. Kiedy z wielką niechęcią wszedł do podłużnej sali, znalazł się oko w oko z Judit. Niemalże nie zareagowała na powitanie. Och, wspaniale, Judit obraziła się! Nie musi więc z nią rozmawiać, tak jakby się nie widzieli. Z nudów wziął z półki wypchanego ptaka, ale zaraz odstawił z powrotem i wytarł chusteczką palce: na nóżkach zwierzęcia wisiała karteczka oznajmiająca, że nie wolno ptaka dotykać, gdyż środek preparujący upierzenie jest trujący. Pod wpływem tego tak się zdenerwował, że serce zaczęło mu nieregularnie bić. Czego on właściwie tu szuka, po co oni mu czas zajmują? Mogliby odesłać teczkę przez woźnego, a nie mędrkować w takiej głupiej, nieistotnej sprawie.

Wreszcie o jedenastej z teczką w ręku wkroczyła do pokoju Marta Szabó w towarzystwie nauczyciela matematyki, Hidasza; wygląd jej zupełnie różnił się od obrazu zachowanego w pamięci Kálmána Hallera. Twarz nauczycielki stała się dziwnie wyrazista. Gdy Marta zajmowała przy stole przydzielone miejsce, gdy

częstowała ich papierosami, każdy jej gest miał swoją wagę, był dostojny i całkowicie mu nie znany. Dotychczas żyła w jego pamięci jako bezbarwna, starzejąca się panna o nic nie mówiącej twarzy, którą w latach studenckich mało kto obtańcowywał i o której to Kató, to Judit od czasu do czasu mawiały coś niepochlebnego — że źle wygląda czy nosi niemodne buty; teraz patrzył na nią tak, jakby jej nigdy przedtem nie widział, po raz pierwszy zauważył jej niezwykle inteligentne, dyrygujące wszystkim i wszystkimi spojrzenie. W tym otoczeniu, w którym wszyscy oprócz Hidas poruszali się nerwowo, Marta spotężniała, promieniowała od niej pogoda i pewność. Judit usiłowała traktować ją jak powietrze, ale nic z tego nie wychodziło. Marta robiła wrażenie monarchini.

— Przepraszam państwa, że ich tu poprosiłam — zaczęła. Hidas stenografował jej słowa, dzięki czemu te i tak bezosobowe uprzejme zdania tchnęły jakimś szczególnym, zimnym dostojenstwem. Żeby tylko zbyt długo nie mówiła. Przez okno widać dom pod dziewiątym. Zsófi zasłużyła na pogwałcenie, lecz on w miarę możliwości spróbuje ją obronić. Bóg wie, co jej się wtedy stało, nieszczęsnej, w gruncie rzeczy lubi ją. Co prawda wyrządziła mu ogromną krzywdę, ale nic o tym nie wiedziała. Patrzył na bramę, przed którą tyle razy stali z Viki, i nie potrafił o niczym innym myśleć jak o tym, że kiedyś za nią pojedzie.

— Referuję stan faktyczny. Szkoła nasza otrzymała następujące pismo z Dzielnicowej Rady Narodowej.

„Referuj sobie — pomyślała Judit — dopóki ci w gardle nie zaschnie, jesteś w swoim żywiole, nawet włożyłaś czarną suknię, bo to wielki ewenement w twoim życiu. Gdybym nie nosiła żałoby, przyszedłbym w czerwieni lub w bieli, żeby ci pokazać, jaką małą wagę przywiązuję do tego wszystkiego, cokolwiek byś

zrobiła. Ileż razy przeżyłaś już to wydarzenie, nawet przyprowadziłaś stenografa, powinnaś być prawnikiem. To potwornie przykre. Kálmán zachowuje się, jakby go nic nie interesowało, ma rację, że wygląda przez okno, plac przed szkołą przyjemniej wygląda niż komisja dyscyplinarna. Biedna Zsófi, żeby było okazalej, zostawili ją w gabinecie dyrektorki. Dobrze, że w nocy spała, może tak bardzo tego nie odczuje."

Zapaliła papierosa. Oto nagroda za lato spędzone u starego portiera, za opiekę, której podjęła się z własnej woli, z dobrego serca. Oto podziękowanie. Co za kolosalne przestępstwo popełniła, że ją aż tu wezwano? Zsófi nudziła się, więc poszła do Kálmána — to raczej jej wina, gdyż ciągle wysyła ją do Kató — drzwi przypadkiem zamknęły się i z przerażenia zabrała teczkę. Sprawa monety, którą też niesprawiedliwie Zsófikę obciążają, została po prostu złośliwie rozdmuchana. Jeszcze by rozumiała, gdyby dziewczynka zabrała albo gdzieś porzuciła monetę, ale zostawiła ją w popielniczce. Co oni myślą o jej dziecku? Że jest złodziejem?

Marta Szabó zwróciła się do Kálmána Hallera.

— Najpierw chciałabym załatwić z panem, wiem, że czas pana jest drogi. Czy treść pisma Rady Narodowej odpowiada rzeczywistości?

Haller powiedział, że tak. „Ma mnóstwo luk — pomyślał. — Pod każdym względem. Przecież Révész zajrzał, przedtem jeszcze byli Bułgarzy, a Zsófi oblała łzami gobelinowy fotel.”

— Proszę więc o odebranie za pokwitowaniem te czki. Odczytam spis przedmiotów znalezionych w te czce i jeśli nic nie będzie brakowało, pan będzie łaskaw podpisać.

Haller właśnie chciał zapalić, ale podnosząc zapal-

niczke do ust znieruchomiał. Marta Szabó zaczęła wypakowywać rzeczy na stół, a Hidas czytał z kartki:

— Komplet przyborów do golenia, szczotka do zębów, mydło, ręcznik, krótka wiatrówka, latarka kieszonkowa. Papiery na nazwisko Kálmána Hallera, następnie odpis dyplomu doktorskiego, dwa indeksy uniwersyteckie, jeden z Budapesztu, drugi z Perugii, we włoskim indeksie pusta niebieska koperta. Nic nie brakuje?

Czy dobrze słyszała? Judit wlepiła wzrok w stół. Dobrze, Marta wszystko przed nimi wyłożyła. W jakim celu w poniedziałek po południu Kálmán potrzebował brzytwy, latarki, przyborów toaletowych i wszystkich dokumentów osobistych? Siedzi tuż koło niej, nie jest biały, lecz żółty, nic nie mówi, tylko kiwa głową, wstaje, ale ledwie się rusza, idzie jak pijany, z trudem trzyma pióro w ręku, nie pisze, lecz bazgrze swoje nazwisko na pokwitowaniu. Na twarzy Marty, jak i nauczyciela matematyki, maluje się kamienny spokój, Hidas nieprzerwanie stenografuje, nawet nie podnosi głowy. Wszystko to razem jest bardzo dziwne. Nie miała jednak czasu na rozmyślanie, gdyż akurat sekretarka zaanonsowała przybycie kolegi Fehérvárieo z Wydziału Spraw Osobowych. No proszę, jeszcze i ten przyszedł, nawet tu ją prześladuje. Marta Szabó bez żadnych skrupułów zatelefonowała do niego, że dziś jest sprawa dyscyplinarna Zsófikii, a on przybiegł, żeby ją ostatecznie unicestwić. Judit do głębi rozgoryczona aż przesłoniła oczy chusteczką. Mimo wszystko nie spodziewała się po Marcie takiego wyrachowania i złośliwości.

Gdyby nie przyciskała chusteczki do oczu, zobaczyłaby nie mniejsze zdumienie na twarzy Marty; nauczycielka sposepniała. To jednak nieładnie ze strony Rady tak ich kontrolować, powinni wiedzieć, że ona zrobi

wszystko, i w ogóle po co teraz przychodzą, mogliby sobie wybrać inny termin. Cóż, nie można Fehérváriu kazać czekać pod drzwiami, zresztą już wszedł, podał rękę jej i Hidasowi. Daremnie zapraszała go na czołowe miejsce obok siebie, zaprotestował i usiadł koło Judit dowodząc, że nie przyszedł urzędowo, tylko prywatnie. Tego też nie rozumie, jak może przychodzić do nich prywatnie?

— Proszę mi wybaczyć — szepnął Fehérvári Judit do ucha — ale nie wiedziałem, że pani jest taka skromna. Dopiero tu, gdy na panią spojrzałem, uświadomiłem sobie identyczność nazwisk. Ależ oczywiście, oczywiście. Tylko dlaczego, kiedy opowiadałem pani o dziewczynce, nie powiedziała pani, że to jej córka?

Teraz już rozumie, a jakże. Kiedy była u niego ostatnim razem, zabawiał ją najróżniejszymi historyjkami, między innymi poruszył sprawę dyscyplinarną Zsófi. To był ten „swawolny figiel”. Nie wierzy, że on nie wiedział, z kim rozmawia. I jeszcze z niej drwi! Co za fałsz! Takim osobom powierza się los ludzi! Judit nieruchomo patrzyła w podłogę.

— W głowie mi się nie mieści — szeptał Fehérvári — jak ta dziewczynka mogła się w coś zamieszać. Obłudnik! Judit odsunęła się na krześle.

— Rano w Wydziale Oświaty znowu zaczęto mówić o tym wypadku w muzeum. Od koleżanki Tüdös dowiedziałem się, że na dziś wezwano dziewczynkę do szkoły. Gdy usłyszałem jej nazwisko, zdumiałem się. Sama pani widzi, jak bardzo, skoro tu jestem.

„Widzę — pomyślała Judit z goryczą. — Nie szkodzi, napadajcie na mnie znienacka, jak tylko potraficie. Dopiero dziś usłyszałeś jej nazwisko! Przecież już ostatnim razem o niej mówiłeś, kłamczuchu jeden!”

— Odłożyłem wszystko i przyszedłem. Musiała zająć jakaś pomyłka. Dziewczynka, która była u mnie, na

pewno nie pozwoliłaby sobie na głupie figle. Zobaczysz pani, w końcu okaże się, że nic nie zrobiła.

Zsófica? U niego? O czym on mówi? Nic nie można się zorientować. I nie przestaje szeptać, a to takie denerwujące, gdy bez przerwy pochyla się nad jej uchem. Niech teraz nie odwraca jej uwagi, bo Marta Szabó poprosiła Zsófikę.

Dziewczynka weszła. Na jej twarzy nie odbijał się strach, lecz bezgraniczne zdumienie. W drzwiach jeszcze raz spojrzała za siebie, jakby coś lub ktoś, kto ją zdziwił, został w kancelarii. Rano Judit wrzuciła jej do kawy dwie tabletki weronalu, wyglądała więc dość spokojnie. Znowu wyrosła z tej sukienki, na pogrzebie ojca jeszcze była dobra, a teraz na nowo trzeba podłuzać. Zachowuje się wcale rozsądnie. Marta wyjątkowo jej nie dręczy, rozmawia z nią raczej miło. Zsófica logicznie opowiada, co zrobiła, nie jąka się, nie stęka; weszła do muzeum, zamknęła wuja Kálmána, który pokazywał jej złote monety, a następnie wzięła teczkę i poszła do domu. A więc niestety to nie był przypadek, to ona zamknęła Kálmána. Tylko dlaczego Martę interesuje teczka, taka nieistotna sprawa? Szczęście, że dała jej weronal, a gdy zaczęła płakać, pocieszyła ją: cokolwiek powiedzą, ma się nie martwić i nie przejmować, to jej pani Marta od dawna nienawidzi i na niej chce się zemścić, a nie na Zsófice. Co za dziwaczne dziecko, po tym wszystkim jeszcze broniła Marty Szabó, a gdy Judit nie puściła jej do Pongrácza, szczerze się zasmuciła.

Zamknęła. No i co? I nie umarł. Ona nadal sądzi, że drzwi same się zatrzasnęły. Zsófica wstydzi się swojej niezręczności, woli powiedzieć, że naumyślnie zamknęła. Rzeczywiście, jest o co się dopytywać, nikomu nic złego się nie stało, tylko dlatego rozdmuchują sprawę, żeby jej zrobić przykrość. To od razu widać, Marta

pyta o jakieś bezsensowne bzdury, udaje ważną, docieka, dlaczego Zsófi nie odniosła teczki do mieszkania wuja Kálmána. Jakby to miało jakieś znaczenie. Czemu ten mały osiołek jej nie odpowiada, przez chwilę milczy, a wreszcie mówi: „To nie byłoby dobre.”

Hallerowi pot wystąpił na czoło. Teczke już wprawdzie ma, wszystko dostał z powrotem jeszcze przed przyjściem personalnika, ale walutę musiał ktoś przedtem wyjąć z koperty, każdy mógł to zrobić, tylko nie Zsófi. Jeśli zaraz nie wyjdzie, dostanie mdłości. Spytał, czy może iść, na co Marta Szabó odrzekła, że niestety jeszcze nie.

— Dlaczego nie byłoby dobre?

Zsófi zawahała się skubiąc sukienkę.

— Chciałaś ją sprzedać? — spytała Marta Szabó.

Co za niecne podejrzenie! Jej dziecko! Zsófika zaczerwieniła się. Och, skądże! Nie! Chciała oddać wujowi Kálmánowi, osobiście jemu, ale go nie spotkała.

— Dlaczego właśnie jemu?

— Bo należy do niego.

— A czemu nie cioci? Mogłaś jej odnieść.

Zsófi na moment zamilkła, po czym drżącymi wargami rzekła:

— Jej nie mogłam.

Po co ona ją męczy, idiotka, czy to nie obojętne? I to ma być najlepszy pedagog w dzielnicy? Pojęcia nie ma o duszy dziecka, nie potrafi wczuć się w jego psychikę. Może ona będąc na miejscu Zsófi odniosłaby teczkę Kató, kiedy ogólnie wiadomo, że Kató nawet bez powodu wrzeszczy. Marta Szabó ciągle się powtarza, przecież już raz to wyjaśniono, a ona wiecznie wypytuje o te zamknięte, pancerne drzwi. A to co znowu za pytanie, czy komu innemu w ogóle przysłoby do głowy? Jak można pytać Zsófikę, dlaczego zamknęła Kálmána?

„Bo trzeba było” — odpowiedziała dziewczynka; zaskoczona Judit obrzuciła spojrzeniem swoje dziecko. Święty Boże, w końcu okaże się, że Zsófiika ma jakieś manie, nigdy tego nie zauważyła. Gdzie ona czytała o ludziach słabych nerwowo, którzy wyobrażają sobie, że coś muszą zrobić, coś niestosownego? Jej córka chyba do nich nie należy? Trzeba było! A Marta nawet się nie zdumiała, tylko kiwnęła głową, jakby jej przyznawała rację, zamiast skierować rozmowę we właściwym kierunku i wytłumaczyć, jakie niedorzeczności plecie.

Co za nieufne dziecko, nic jej nie powiedziała, nawet nie dała do zrozumienia, że odczuwała konieczność zamknięcia Kálmána, jednak największa wina jest po stronie Marty, jak można bez słowa przyjmować takie oświadczenie, jeszcze dziecko w tym mniemaniu utwierdzać mówiąc po prostu: „Mnie się też tak zdaje.” I taka dostaje wyróżnienia i wysokie stanowiska! Przecież to nie pedagog, lecz nieuk! Wreszcie przestała pytać, widać ceremonia dobiegła końca, i tak udało jej się nieźle dziecko sponiewierać.

Sadza Zsófikę obok siebie przy stole i bierze ją za rękę, to oczywiście tylko trik, chce pokazać Fehérváriemu, że nie robi dziecku krzywdy, wręcz przeciwnie. Mogła w ogóle Zsófiiki nie męczyć, nie rozdmuchiwać tej błahostki. Kálmán znowu wstał, by wyjść, ale usiadł z powrotem, gdyż Marta „niestety nie może się bez niego obejść”. Okropnie zbladł, trzeba by poprosić o kawę, bo upadnie. To na pewno skutek upału. Ale po jakie licho nosi ze sobą wszystkie papiery, po co mu szczotka do zębów i latarka?

Gdy Zsófiika usiadła, podniósł się Fehérvári i zwrócił się do Marty Szabó. Nie sądził, iż posiedzenie tak długo potrwa, myślał, że prędzej skończą, a jego czas jest niestety ograniczony, toteż chciałby teraz poprosić

o głos. Przyszedł tylko po to, by, jeśli można, powiedzieć parę słów w obronie dziewczynki, gdyż wbrew temu, co słyszał, niezmiennie wierzy, iż w końcu okaże się niewinna. Przeżył kiedyś tak piękną chwilę związaną z Zsófiką Nagy, że ewentualny zawód sprawiłby mu prawdziwy ból.

„Więc nie przyszedł na kontrolę — pomyślała Marta Szabó — lecz ze względu na Zsófi. Ale skąd on ją zna?” Zaskoczenie tak wyraźnie odmalowało się na twarzy nauczycielki, że Fehérvári nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Jesteśmy starymi znajomymi — zaczął spoglądając na Judit, jakby przeproszał ją, że mówi o czymś bardzo dobrze jej znanym. — Dziewczynka była u mnie kiedyś w Wydziale, by dowiedzieć się o adres ostatniego pacjenta jej ojca, portiera Istvána Pongrácza.

Judit aż zatkało. Marta spojrzała w bok. Hidas nie omieszkał tego zanotować. Zsófica opuściła głowę. Teraz pan z Rady ją wyda, a przecież tak spojrzała na niego, gdy wszedł, tak wyraźnie powiedziała mu oczyma, żeby jej nie zdradził, to taka wielka tajemnica, taka święta, tatusiowa tajemnica, nie wolno o tym mówić. Boże! Czego ten pan z Rady nie opowiada! Że jest odważna i zaradna, pełna życzliwości i miłości, akurat, niech no spytają pana Istvána, cielę z niej i niedojda. „Dziewczynka, która szuka niedokończonego...” Och, co pan z Rady narobił! Zaufała mu, a on wobec wszystkich... Jak oni ją ukarzą? Prawdy i tak nie może powiedzieć, złożyła przysięgę na aniołka, zresztą ktoś, kto zamierza uciec za granicę, naraża się na nieprzyjemności, jakby więc mogła wydać wuja Kálmána? Czemu pan Hidas tak się jej przygląda? Mamusia płacze. Dlaczego? Jest taka biedna. Pan z Rady wychodzi, kłania się wujowi Kálmánowi, pani Marcie i panu Hidasowi podaje rękę, a mamusi przez dłuższą chwilę ściska

dłoń i coś szepcze, mamusia zaś wyciera nos. Na końcu zbliża się do niej, gładzi ją po włosach, mówi, żeby nie przyniosła wstydu ich przyjaźni, i wychodzi. Wszyscy milczą, pani Marta gryzmoli na kawałku papieru, a kiedy Zsófi podnosi oczy, kiwa głową i mówi: „Och, ty, ty!” Zsófi nie wie, że pani Marta myśli o kredzie, której nie przyniosła będąc dyżurną, gdyż zabrakło jej odwagi zapukać do pokoju nauczycielskiego, stała ocierając prawą nogę o lewą i przeżywała męki; potem napisali jej w dzienniczku, że nie spełnia obowiązków dyżurnej. Hidas, który wpisał Zsófi uwagę, teraz nie podnosi głowy, przerwał stenografowanie i patrzy w stół.

„Nie powiedziała mi — pomyślała Judit i łzy trysnęły jej z oczu. — Ojcu by się zwierzyła. Nie zaprotestowała, gdy zawołałam: skaranie boskie! Teraz rozumiem brudną, zawałaną sokiem mięsnym kartkę w jej dłoni, na której ktoś napisał: szkoła przy placu Apáczai Csere. Rozumiem też wszystko inne, dlaczego była zmęczona i zasnęła. No, teraz Marta może naprawdę triumfować, tylko mnie to już nic nie obchodzi. Czy gdybym ja umarła, tak samo udałaby się na poszukiwanie moich słów?” Judit przypomniała sobie wieżę obserwacyjną na Górze Jánosa, zbadanie granicy ofiarności, i zagryzła chusteczkę.

Wuj Kálmán ponownie wstał, ale jeszcze raz poprosili, żeby usiadł. Sekretarka zameldowała, że za drzwiami czekają trzy osoby, wszystkie trzy w sprawie Zsófi, po czym szepnęła pani Marcie do ucha ich nazwiska. Zsófi poczuła, że znowu wargi jej drżą, w tej samej chwili nauczycielka położyła rękę na jej dłoni, by już nie zabrać jej do końca. Czasami na wycieczkach pani Marta grała razem z nimi i zawsze przyłączała się do drużyny złożonej ze słabszych graczy. „Nie bój się, gram razem z tobą!” — mówiły teraz oczy

nauczycielki. Ale przeciw komu? Wujowi Kálmánowi? Chyba nie mamusi? To wszystko jest strasznie zawile, zagmatwane, smutne i radosne zarazem, siedzi w pokoju nauczycielskim przy wielkim stole, i nikt nie mówi jej złego słowa. Wuj Kálmán wreszcie odzyskał teczkę, pan z Rady przyszedł, żeby jej pomóc. Nigdy nie przypuszczała, że jeszcze się spotkają. Ale czego chcą tu pan István, Torbogłowy i Dóra?

Drzwi otworzyły się i zamknęły. „Ten wąsaty, chudy starzec to pewnie Pongrácz — pomyślała Judit. — Ma krzaczaste brwi, niebieskie oczy i nogę w gipsie. Nie patrzy na nikogo prócz Zsófik, której twarz nagle rozjaśnia się, okrągłeje, rysy łagodnieją. Pongrácz nie odwzajemnia się jej uśmiechem, jest zły niczym stare psisko. Ten człowiek kocha Zsófikę.” I prowadzi Dórę za rękę, tę samą Dórę, z którą jej córce nie wolno się spotykać, ciekawe, co w tej chwili może myśleć Kálmán? Kálmán upuścił zapalniczkę, tu musi panować niebywała cisza, skoro wszystko tak dźwięczy, nawet słabutki hałas wywołany przez zapalniczkę wydaje się przenikliwy. Kto to jest ten trzeci, sądząc po ubraniu zabrudzonym wapnem i papierowej torebce na głowie, chyba jakiś robotnik; gdy wszedł, zdjął torebkę, jakby chciał unieść kapelusza. Łzy w oczach Judit obeschły, przestała płakać.

— Proszę siadać! — odezwała się Marta Szabó. Torbogłowy nie usiadł, pan István i Dóra — owszem.

— Pani profesor — zaczął Torbogłowy — jestem akurat na zmianie, nie mam czasu tu siedzieć. Ale stary powiedział, żeby przyjść, bo będą dziewczynkę przesłuchiwać, więc jestem, tylko proszę najpierw załatwić ze mną, bo tam na górze potrzebują mnie. Proszę pytać, a ja powiem, co i jak było.

Za chwilę wszystko się wyjaśni i znowu będzie źle, pani Marta nawet się nie domyśla, jak bardzo źle. Tor-

bogłowy, pan István i Dóra chcą jak najlepiej, a ona nic nie może powiedzieć, gdyż złożyła przysięgę na aniołka, a uciekających za granicę zamykają do więzienia. Wuj Kálmán za moment spadnie z krzesła. Prawdy i tak nie powie, a bez prawdy nic się nie zrozumie. Torbogłowy jest bardzo dobry i miły, lecz daremnie się fatygował.

Pani Marta ponownie odczytała list Rady Narodowej. Pan István zaklął szpetnie, niestety wszyscy musieli usłyszeć jego słowa. Zsófi przeraziła się. Dóra nie spuszczała wzroku z Kálmána Hallera.

Torbogłowy pomyślał chwilę, po czym parsknął gromkim śmiechem. Wszyscy spojrzeli na niego, więc spoważniał, z trudem jednak powstrzymywał uśmiech, który raz po raz wykrzywił mu usta.

— Proszę nie dręczyć dziecka — rzekł — bo jest niewinne, tylko stary i ja, głównie stary, czego mi powiedział, że Keler lub Hebel, gdy chodziło o Hallera? Gdyby dorzecznie gadał, nie niepokoiłbym Révésza zamiast Hallera. Proszę pani, dziewczynka dobrze zrobiła zamykając go, bo to ja miałem go zamknąć, stary poprosił mnie, żebym dla dobra małej w poniedziałek od wpół do piątej do wpół do szóstej zatrzymał go i nie puścił do szynku, bo przychodzi kontrola; więc ja poszedłem, tylko źle trafiłem i męczyłem z powodu rumu człowieka nazwiskiem Révész, nie chciałem uwierzyć, że ma wrzód w żołądku, a przecież miał, więc na próżno z nim gadałem, nawet chciał mi sprzedać swój domek. Może ten pan tam to właśnie Haller? Zaraz go poznałem, bo nawet teraz nie jest trzeźwy, proszę go złapać, bo zleci z krzesła. Mała bez przestanku prosiła starego o pomoc, ale że jest kulawy i nie mógł iść, więc ja się zgodziłem za niego, tyle może jeden dla drugiego zrobić. Ale źle mi powiedzieli nazwisko, więc też kogo innego zagadywałem,

i proszę pani, mała sama musiała tego pana zatrzymać, bardzo dobrze zrobiła, przynajmniej nie poszedł pić i nie zrobił draki w domu. Tyle chciałem powiedzieć. Jeżeli pan skarży się na kogoś, to niech skarży się na mnie albo na starego, Zsófi musiała tak postąpić, bo źle mi powiedzieli nazwisko. Rozumie pani?

Jeżeli Dóra tu jest, to i Viki musi być. Chyba gdzieś w pobliżu, a więc jeszcze nie jest za późno. Ten koszmar jakoś minie, koperta pusta, dwieście szylingów znikło, nie zrobią skandalu, nie zatrzymają go, w niczym mu nie przeszkodzą. Gdy Dóra dorośnie, będzie taka sama jak Viki, tyle że Viki jest blondynką, a Dóra ma ciemne włosy.

Judit tak mocno splotła palce, że aż ją zaboląły. Zsófi świadomie zamknęła Kálmána, przez kilka dni się do tego szykowała. Ale dlaczego? Siedzi w kusej, niebieskiej sukience i patrzy, nie odrywa oczu od Dóry. Marta Szabó milczy. Jest tak cicho, że słyhać bieg ołówka Hidasa po papierze. Więc kim właściwie jest jej dziecko? Co tu się dzieje?

— Czy mogę iść? — spytał Torbogłowy.

Marta Szabó odpowiedziała, że tak, i podała mu rękę. Torbogłowy potrząsnął nią, jakby miał do czynienia z niedźwiedziem, a przechodząc koło Zsófi, coś jej wcisnął w dłoń. Zsófi oblała się ognistym rumieńcem, twarz jej się rozjaśniła. Trzymała w ręku gruszkę, bez jakiegokolwiek skazy, żółtą gruszkę. „Stajnia — przypomniawszy sobie Judit. — Wtedy też dostała gruszkę od murarza.”

Pongrác zaczął się ruszać, lecz Marta Szabó kazała mu mówić siedząc. Pan István mruknął, że wcale nie ma ochoty się odzywać, gdyż András Kis już wszystko powiedział. Marta wtrąciła, iż to nawet nie jest potrzebne, ponieważ wszystko, co miał do powiedzenia, podyktował jej wczoraj, po czym wyjęła arkusz pa-

pieru zapisany maszynowym pismem i odczytała tekst. Pan István kilkakroć chrząknął na znak, że to święta prawda, że to jego słowa, że podtrzymuje to, co poddyktował.

Judit zakryła twarz rękoma. „Bo dziecko trzeba znać — usłyszała głos Marty. — Od dawna wiedziała, że jej nieszczęsny ojciec, który przy mnie umarł, niech spoczywa w spokoju, nic nie kazał jej powtórzyć, a jednak nadal do mnie przychodziła, choć nie wstydzę się przyznać, że raz nawet ją uderzyłem, gdyż sądziłem, że zasłużyła; mimo to przychodziła, pielęgnowała mnie, do dziś przychodzi, choć już nie dostaje pieniędzy.”

Dobay miał rację, ona nie nadaje się do Instytutu. Do niczego się nie nadaje. Może po dziesięciu, dwudziestu latach nauczycielstwa do czegoś się nada. Nie zna nawet własnego dziecka, to także po raz pierwszy dzisiaj widzi. Wszyscy wiedzieli o Zsófcie więcej niż ona: Fehérvári, murarz i stary Pongrácz.

Ze wstydu chyba zapadnie się pod ziemię.

„Dlatego powiadam, że jeżeli jakiś łobuz ją oczernił, a szczególnie ten Haller, nie trzeba mu wierzyć, bo on bez przerwy tylko zatruwał jej życie, to szuja, proszę pani, on nie idzie uczciwą drogą. Jeżeli ja włożyłbym za nią moją starą rękę do ognia, to pani profesor może uczynić to samo.”

Haller z wysiłkiem oderwał wzrok od Dóry. Zaczynał wracać do siebie. Czego chce ten stary chłop, ten cham, ten zaniedbany staruch? Co on powiedział? Nigdy w życiu go nie widział. A to gnidał! Gdyby nie był taki stary i miał całe nogi, wyrznąłby go w pysk. Zaraz zacznie krzyczeć, powie, że wyprasza sobie.

A więc tu wszyscy mówią tylko o nim, i murarz, i portier, wszyscy? Na myśl o tym nagle zrobiło mu się gorąco, jedynie na plecach wystąpił zimny pot. „Mała

sama musiała tego pana zatrzymać, bardzo dobrze zrobiła, przynajmniej nie poszedł pić..." Teraz rozumie, dlaczego Zsófi zatrzasnęła za nim drzwi. Oprócz dwóch dziewczynek zapewne tylko on jeden rozumie. To Dóra go wydała, Dóra zdradziła. „Przyszłam zamiast Marianny” — powiedziała wtedy Zsófi. A on jeszcze dał jej monetę do ręki!

„Mamusia płacze — przemknęło przez głowę Zsófi. — Już nie patrzy, tylko płacze.” Pan István włożyłby za nią rękę do ognia, jak to przyjemnie słyszeć. Torbogłowy miał rację biorąc winę na siebie, przecież on miał załatwić sprawę w muzeum. Wuj Kálmán zrobił się biały jak ściana, Dóra nie spuszcza z niego oczu. Żeby już więcej jej nie pytali, chciałyby iść do domu, zmęczyła się.

— Dlaczego zamknęłaś wuja? — spytała pani Marta. Przecież już raz o to pytała! Zsófi milczała.

— Powiedział — odezwała się Dóra.

Zsófi zaciśnęła wargi. „Mówi jej coś oczyma — pomyślała Marta Szabó — Daje jej jakiś znak. Dóra, gdy dorośnie, będzie śliczną dziewczyną.”

— Aniołek się nie liczy! — przemówiła znowu Dóra. — Powiedział

No, oczywiście. Dóra na pożegnanie dała aniołka Zsófi, jednocześnie odbierając od niej przysięgę, że będzie milczeć. Teraz zwalnia ją z przysięgi. To nie byłoby dobre, trzeba by się w tym miejscu zatrzymać, bo jeżeli Zsófi wygarnie historię z ucieczką, ona z urzędu będzie musiała zameldować o Hallerze, wówczas rodzina Hallerów rozpadnie się i Marianna wymknie jej się z ręki. Nie, Haller już ma dosyć. Judit tak się rozszerzyła źrenice, że białka nie widać. Haller poruszył się.

„Jeżeli powie, koniec ze mną — pomyślał. — Szcze-

nią przekłętę! Zawsze mówiłem Viki, że Dóra mnie nienawidzi. Jeżeli Zsófi powie, koniec ze mną."

— Powiedz! — powtórzyła Dóra. Już można mówić, Viki jest już za granicą, bezpieczna, a wuj Kálmán niech przypadnie, niech go wezmą do więzienia. Nie czuła nawet odrobiny współczucia. Siedzi i milczy, tchórz jeden, pozwala, by Zsófikę oskarżano. Jej zniszczył życie, co teraz z nią będzie, Viki nie ma, nikt jej nie potrzebuje. Nie może zostać na wieki u pana Istvána.

— Proszę przerwać! — odezwał się Kálmán Haller wstając z miejsca.

Hidas podniósł głowę — nigdy w życiu nie widział tak dziwnej twarzy. Haller wyglądał jak trup.

— Proszę o zaprotokołowanie, że podczas bytności dziewczynki sam przypadkiem zatrzasnąłem drzwi. Taki wypadek w moim miejscu pracy jest bardzo nieprzyjemny, zrozumiałe więc, że poszedłem po linii najmniejszego oporu i powiedziałem, że to dziecko zrobiło. Nie sądziłem, że wyniknie z tego tyle zamieszania.

„Ja już miałam dwoje dzieci, tylko obydwójce zaraz umarło" — powiedziała kiedyś Marianna. Chyba pan Hidas tego nie zapisze? Przecież to kłamstwo, wuj Kálmán sam wie najlepiej. Dóra mocno, głęboko westchnęła, po czym usiadła. „Jeśli się odezwie, uduszę ją" — pomyślał Kálmán Haller.

— A więc w tej formie zmuszona będę zawiadomić muzeum i Dzielnicową Radę Narodową, gdyż dziewczynka jest niewinna — rzekła Marta Szabó. — Dziękuję państwu za cierpliwość.

Nikt jednak nie poruszył się. Tylko Judit, oślepiąca łzami, po omacku podeszła do Zsófikę. Dziewczynka wstała, to samo zrobiła Dóra, która wyprostowawszy

się, na cały głos krzyknęła do Kálmána Hallera, aż w kancelarii było słycać:

— Viki we wtorek przyjechała do Wiednia. Do męża!

— Tego nie trzeba protokołować! — powiedziała Marta Szabó do Hidasza. — Zamykam posiedzenie.

XXIV

Czarna nie umiała gotować i była pięć razy powolniejsza niż Ciele.

Zakupy szybko załatwiła, podobnie jak Zsófica, choć wyszła późno, dopiero po posiedzeniu, ale potem okropnie marudziła z marchwią, tak że w końcu musiał koło niej usiąść. Wycinała gwiazdki i takie cieniutkie plasterki, jakby krajała brzytwą, twierdziła, że tak ją uczono. Ładna historia, nieprędko doczekają się zupy. Chciał, żeby usmażyła naleśniki, ale tego też nie potrafiła, miała wielką ochotę na pączki, ku jej zmartwieniu jednak w domu nie było drożdży. Wreszcie usmażyła naleśniki, były grube jak placki, pachniały dymem i ciągle się przypalały, choć wielce z nimi wojowała; wstydziła się, że nie może sobie poradzić, i bez ustanku powtarzała, że tak ją uczyli. Nie będzie obrażał jej nauczycielki, na pewno Piórko ją kształciło, niech lepiej siedzi za granicą i obcym napycha brzuchy tymi świństwami, które gotuje.

Mimo to obiad smakował mu, tym razem na podnóżku Zsófiki przycupnęła Czarna. Niedojdę zabrała matka, tyle samo warta co mała, przynajmniej wiadomo, po kim dziewczynka odziedziczyła milczące usposobienie. Albo milczała, albo pochlipywała, wreszcie bez słowa powlokła dziecko ze sobą. Do niego nawet nie podeszła, nie powiedziała, że jest matką Zsófiki lub coś w tym rodzaju — nie. A przecież gdyby nie on, zmaltretowaliby dziecko doszczętnie — Zsófica też dobrze pomyłona, po jakie licho chciała wziąć

winę Hallera na siebie, jeżeli była niewinna. Ma dobre serce, to murowane, a może zastraszyli ją. Tak, András Kis ma rację, szli dobrym śladem, Haller jest pijakiem, pod koniec wyraźnie się chwiał. Zdaje się, że jest źle z Nagyową, bo nawet się nie pożegnali, pięknie ich wychowano, jakby nie chodzili do szkoły. Że też Nagyowa nie wstydziła się po prostu wybiec z sali, jej biedny mąż by tak nie zrobił, o, nie, najpierw by się z wszystkimi pożegnał. A przecież gdyby nie on i András Kis, Zsófi wpadłaby w niezłe tarapaty. Nie należy jednak od nikogo oczekiwać wdzięczności, bo wdzięczności nie ma.

Czarna też jest dobra, gdy ją wczoraj popędził do Andrása Kisa, nawet nie puściła pary z ust, chociaż najwięcej wiedziała o sprawie, zresztą źle zrobiła, bo namówiła Cielę do wzięcia wszystkiego na siebie. Jeszcze ją zachęcała, wmieszała w tę całą historię jakiegoś aniołka, na szczęście Haller już nie miał sumienia dłużej kłamać. Czarna jest jakaś posepna, a przecież miło się do niej odnosi, z początku nawet się śmiała i konserwy mięsne jej, głupiej, smakowały, do czego też Piórko ją przyzwyczało! Zachmurzyła się dopiero wtedy, gdy rzekł: „Będiesz miała śliczne mieszkanie i ogród, nic się nie martw!” Wczoraj po kolacji wreszcie wybąkała, że jej siostra wyjechała do Wiednia i ją zostawiła, po czym bez końca dopytywała się, czy może zatrzymać ich mieszkanie, znalazła bowiem w domu sto forintów, które by wystarczyły na komorne za pierwszy miesiąc, a potem jakoś się ułoży. Powiedział, żeby raczej o tym nie myślała, bo mieszkanie się jej nie należy, od tej chwili nie ruszyła się z miejsca i ścisnąwszy kolana zapytała, gdzie będzie mieszkać, jeżeli mieszkanie jej zabiorą. Chciał ją pocieszyć, że nie zostanie bez dachu nad głową, próbował uspokoić, że na górze będzie pięknie, zakład, do którego pójdzie,

stoi niczym pałac w środku parku. To jednak nie spodobalo się Czarnej, zaczęła się wiercić, znowu przestała odpowiadać na pytania. Ależ one potrafią człowieka skołować! Przedtem co dzień łamał sobie głowę nad Niedojdą, teraz, gdy wprowadziła się Czarna, nad Czarną. Sobą najmniej się zajmuje, nawet Székely go tak nie złości jak zawsze, nie ma czasu o tym myśleć.

Po obiedzie zjawila się Dobozi. Zadek jej urósł niczym balia, chyba nie narzekala w Füred na jedzenie. Przywiozła mu muszelkę na pamiątkę, poczciwa z niej kobieta, zawsze bardzo lubila Marcse. Nic się nie zmieniła, nie pobyla w domu nawet pół godziny, a już lepiej wiedziala, co się dzieje w szkole, niż on i Székely, którzy nie wyjeżdżali. Usta jej się nie zamykały: że Hidas się żeni, bierze tę Lemberger z końskim ogonem, Bóg z nimi, i jego dosięgło przeznaczenie. Kiedyś Hidas strasznie na niego napadł, gdyż w gabinecie fizycznym nie można było wyświetlać filmu. Niestety nie jest Bogiem i nie umie robić cudów, nie potrafi skleić spojrzeniem złamanego żelaza, bez spawacza nie da rady, a urwanej zasłony zaciemniającej też modlitwą nie zawiesi. O Marcie Szabó dowiedziala się, że łązi po ulicy z panią Baumann, komendantką hufca, poszły w stronę centrali Związku Młodzieży. Martę Szabó w końcu szlag trafi, nigdy nie spocznie, wiecznie gdzieś lata. Székely pewno palce gryzie ze złości, musi zebrać pętałów, Baumann zwołała radę hufca, a Székely niechaj ściąga dwanaście dziewczuch z dwunastu miejsc. Dobozi słyszała też, że została przedszkolanką, chciała pogłaskać Czarną, ale ta odsunęła się i zaczęła ciągnąć futrzanego zajączka za uszy. Dobozi pocieszyła go, żeby się nie obawiał, od jutra znowu zacznie przychodzić i gotować, jak dotąd podczas choroby. Ledwie jej wytłumaczył, że już ma kogoś do pomocy, i to dwie naraz.

No proszę, jak już przywykł do Niedojdy, a przecież ona nie będzie w nieskończoność przychodzić, do Czarnej, tego dzikusa, lepiej się nie przyzwyczajać, i tak ją ktoś zabierze, już nią handlują, nieszczęsną, w piątek jej los się zdecyduje. Koniec będzie taki, że on znowu wróci do Dobozi, na szczęście chętnie się nim zajmuje, choć od czasu wdowieństwa też nie ma lekkiego życia, jak na wdowę jest jeszcze młoda.

No i patrzcie, źle powiedział Andrásowi Kisowi nazwisko, o mały włos nie wynikło z tego nieszczęście. Dobrze, że tak się skończyło, że jednak Haller nie miał sumienia, by za jego winę pokutowało dziecko. Czarna musi go okropnie nienawidzić, aż jej oczy roz-błysły, gdy do niego krzyknęła.

— Skąd wy znacie tego Hallera? — spytał Dórę.

Czarna akurat zmywała, pochylona nad garnkiem odparła, że Zsófi, ona i córka Hallera chodzą do jednej klasy. Ach, więc stąd, tylko to jeszcze nie dość, by krzyżeć, że Piórko wyjechało. Sam diabeł nie zrozumie. Szczęśliwie już to mają za sobą, zmęczył się, wyciągnie się na chwilę. Nie szkodziłoby, gdyby później przyszła Niedojda, może rozweseliłaby Czarną, mogłyby zaśpiewać *Pączek dzikiej róży*, Czarna jest taka smutna.

Zsófi byłaby przyszła, ale po posiedzeniu mamusia tak mocno ujęła ją za rękę, że jedynie na moment zdołała się uwolnić, podbiec do pana Istvána, rzucić mu się na szyję i pocałować. Również pani Marta powiedziała, żeby natychmiast szła do domu, bo musi być zmęczona. W domu poczuła się senna; podczas obiadu aż oczy jej się kleiły. Nie musiała gotować, wszystko przyszykowała mamusia, która bez słowa krzątała się po kuchni, tylko lzy ciekły jej po policzkach.

Dziewczynka zjadła ziemniaki z sosem koperkowym,

ale już ledwie trzymała się na nogach. Pewnie tak jej zachciało się spać od tych dwu pastylek, które rano mamusia wrzuciła jej do kawy. Mamusia nie poszła do Instytutu, nie zabrała się do czytania, tylko usiadła przy łóżku i dopóty trzymała ją za rękę, dopóki nie zasnęła. Mamusia już wie, co zaszło, i wie, że nie powinna była jej wtedy uderzyć, nie mówi o tym, ale to się czuje. Ciekawe, ile zrozumiała z całej sprawy? Nie tak łatwo się w tym zorientować, nawet pani Marta dała wprowadzić się w błąd, uwierzyła wujowi Kálmánowi, że było tak, jak wcale nie było. A wuj Kálmán nie jest taki zły, jak myślała, nie pozwolił jej skrzywdzić, wziął jej postępek na siebie. Jak to dobrze, że nie posłuchała Dóry! Dużo lepiej się stało. Pani Marta podała jej rękę. Ale jaka ona łatwowierna! Tylko dla czego poprosiła wuja Kálmána, żeby został, kiedy już wszyscy wstali i zmierzali do wyjścia?

W tym samym czasie Marta Szabó również myślała o Kálmánie Hallerze, siedziała bowiem w pokoju nauczycielskim na krześle, które przed południem zajmował Haller; po południu był to najbardziej zacieniony kąt w pokoju. Gdy po posiedzeniu podeszła do Hallera, cofnął się o parę kroków, pomyślała wówczas, że po prostu jej bliskość jest mu niemiła; w młodości też chyba jej nie cierpiał, zawsze robił złośliwe uwagi tak, by słyszała. W rzeczywistości jednak teraz Haller nie czuł do niej nienawiści, tylko się jej bał. Wiedział, że wszystkiego się domyśliła, że tylko ona mogła wyjąć z koperty austriackie pieniądze, że są u niej i wykorzysta je przeciwko niemu, kiedy zechce. Gdyby nie musiała z nim porozmawiać, zamieniłaby parę słów z Judit, która bardzo tego potrzebowała, ale Kálmán był ważniejszy niż Judit. Więc tylko spojrzała za nimi,

jak kroczyły do domu, Zsófi w krótkiej, ciemnoniebieskiej sukience, a Judit w żałobie. Z góry wyglądało tak, jakby to Zsófi prowadziła Judit, a nie odwrotnie.

W takiej chwili nie może być mowy o żadnej ckliwości.

— Nigdy nie lubiłam Kató, tym bardziej pana — zaczęła — ale jest uczucie, które łączy nas troje: wszyscy kochamy Mariannę.

Haller patrzył na podłogę. Ich dywan w muzeum jest na pewno ładniejszy niż ten chodnik.

— Już jedno dziecko idzie przez pana do zakładu, bo chyba się pan domyśla, że Dóra tam trafi. Na drugie nie pozwolę. Na Mariannę się nie zgodzę.

Na czole Kálmána Hallera ukazały się kropelki potu. Ani trochę mu nie współczuła.

— Wiem, że Kató jest głupia — Kálmán zaczerwienił się, lecz nie przerwał, nie zaprotestował. — Wiedziałam o tym już w gimnazjum i wtedy, kiedy żeście się pobierali. Sam pan ją wybrał, teraz musi ją pan znosić. Ale Marianna jest mądra. Wszystkie zdolności i pilność odziedziczyła po panu. Musi ją pan uczciwie wychować, toć to pana dziecko!

Wyjęła z torebki dwieście szylingów i pokazała Hallerowi.

— Przyjdzie pan po nie, kiedy Marianna zapisze się na uniwersytet. Do tej pory ich panu nie oddam. A jeśli chodzi o Vadászową, naprawdę nie miałabym nic przeciwko temu, żeby pan trochę przez nią pocierpiał, tylko że nie ma ku temu powodów. Nie warto jej żałować, zostawiła dziecko, zostawiła pana, zostawiła kraj. Viki jest podła.

Kálmán nie odezwał się ani słowem, ale jego policzki już nieco odzyskały kolor, zrozumiał, że Marta nie zadenuncjuje go, a ceną, którą będzie musiał zapłacić, jest Marianna. Twarz mu się wyciągnęła, jakby od-

młodniał, przypominał dawnego, bardzo skromnie żyjącego Kálmána, opowiadającego czasem o matce, która z olbrzymim trudem go uczyła, dla jego nauki rezygnowała z wielu rzeczy. Kálmán kochał matkę, miał w sobie coś dobrego. Ludzie dorastając upodobią się do lunatyków, którzy przez sen robią najrozmaitsze zło i pozbawione sensu rzeczy. Wszystkich trzeba pilnować, ale dorosłych najbardziej. Dorosli śpią. Trzeba im krzyczeć do ucha, trzeba ich ciągle budzić: *Marianna, Marianna, Marianna!*

Dziś od samego rana depcze przepisy państwowe i szkolne: nie złoży meldunku w sprawie Kálmána Hallera, a Mariannie po powrocie oznajmi, że ojciec miał zamiar porzucić rodzinę i tylko z uwagi na nią został. Po raz pierwszy w życiu Marianna przestraszy się. Gdy jest niedobrze, bardzo niedobrze, Marianna nie chowa głowy w piasek. Jest silna. Będzie pilnować Kálmána.

Ale ona też nie jest z żelaza, starzeje się. Ileż rzeczy nagromadziło się na ten jeden dzień, nic dziwnego, że ją wyczerpały. Co każe jej tak gorączkowo i usilnie uporządkować wszystkie sprawy i to w miarę możliwości jeszcze dziś? Zachowuje się jak człowiek oczekujący śmierci, który chce wszystko załatwić, by nie zostawiać kłopotów spadkobiercom. Sprawa Zsófi mogła zaczekać do jesieni, ale czuła jakiś wewnętrzny nakaz, więc zadzwoniła po komendantkę hufca. Urzędnik w dzielnicowym Związku Młodzieży drzemał, potrząsnęła nim i nie odeszła od biurka, dopóki nie załatwił wszystkiego, co chciała. Wszystko wokoło obraca się, wydarzenia zazębiają się tworząc łańcuch.

To pukanie Anny Biró, ciche i energiczne, zaraz zbierze się rada hufca. Jest i Baumann, skoro już przyjechała z tak daleka, zostanie w mieście, dopóki nie przejdzie największy upał. Członkinie rady oficjalnie

się ubrały, w niebieskich spódniczkach i białych bluzkach zamiast normalnych strojów plażowych, ze wstążkami w warkoczach przypominają Zsófikę. Anna Biró włożyła nawet skarpetki do kolan. Przewodnicząca rady hufca, ośmioklasistka Kátay, zameldowała, że na dwanaście osób trzech brak: Jós i Sebestyén są poza Budapesztem, a Haller na międzynarodowym obozie letnim, uchwały rady hufca będą jednak prawomocne.

Uchwała zapadła jednogłośnie, Baumann od razu kazała Kátay ją sformułować i napisała na maszynie. Dokument był formalny z pieczęcią i podpisami; Székely pęknie ze złości, bo jutro będzie musiał go doręczyć Zsófi Nagy. *Rada Hufca Pionierów im. Jánosa Apáczai Csere przy szkole podstawowej z placu Apáczai Csere w Budapeszcie I w dowód uznania za pracę wykonaną w lecie i polegającą na opiece nad woźnym Istvánem Pongráczem przyjmuje w szeregi hufca uczennicę klasy VI, Zsófię Nagy.* „Jaka szkoda, że wśród głosujących nie było Marianny — pomyślała Marta Szabó. — Zrobi wielkie oczy. Nigdy nie dowie się prawdy, rada hufca też nic nie podejrzewa. Zsófi nie jest kucharką ani pielęgniarką, ani siostrą miłosierdzia — gdzież tam! Niczym, za co ją chwala. Zsófi jest żołnierzem!”

Dziewczynki wyszły, Vera Baumann też się pożegnała, a ona pozamykała wszystkie okna po kolei. I to już ma za sobą. Jutro jeszcze rozwiedzeni rodzice Dórry, potem rozmowa z Domem Dziecka na Górze Wolności i to już będzie wszystko, co sobie wyznaczyła. Zmierzcha się. Tak wyglądają te przezroczyście, długie, do późna jasne, letnie dni. Dziś na kolację zje tylko owoce i kwaśne mleko. Zmęczyła się, a jeszcze ktoś idzie, widocznie znajomy, jeżeli Székely o tej porze go wpuścił, może któregoś z rodziców. Ona wychodzi, jeśli ten ktoś chce z nią porozmawiać, niech ją odpro-

wadzi, w szkole jest duszno, lepiej usiąść na placu. Zaraz zamknie pokój nauczycielski, na dzisiaj dosyć. Wyszła z teczką w rękę chcąc uniknąć długich tłumaczeń, lecz zatrzymała się na progu: przed drzwiami kancelarii stała Judit. Niestety, z nią nie będzie mogła usiąść na placu, chyba pootwiera okna i wprowadzi ją do kancelarii, chociaż tam również nie ma powietrza.

Wieczorem, gdy wreszcie znalazła się w łóżku, położyła wyżej nogi, bo żyły nabrzmiały jej od całodziennego biegania i rozboleła kostka. „Starzeję się” — pomyślała uśmiechając się w duchu; jaka ona dziwna, inni trapią się tym, a ona się śmieje, cieszy się, że lata mijają. W pewnym momencie człowiek stanie się zupełnie stary, z pięknymi, białymi włosami, przestanie przyglądać się sobie podniecony, patrzeć, że z dnia na dzień siwieje, okulary nosi także na ulicy, ma coraz mniejsze wymagania, a jeśli, to marzą mu się jedynie rozsądne rzeczy. Wyrzuci wszelką zazdrość z serca, będzie dobry i prawdziwy, pozbawiony egoizmu, jak stary orzech, który co roku wiernie wydaje plony.

Co też powiedział rektor na ich promocji doktor-skiej?

„Od tej pory będziecie mieli obowiązek strzec autorytetu swoich stanowisk...”

Wydaje mi się, że nie ustrzegłam autorytetu mego stanowiska, właściwie nawet nie wiem, na czym on polega, choć miałam autorytet, zawsze miałam, diabli wiedzą czemu, ale miałam. Wydaje mi się, że nie strzegłam niczego, co do mnie należało. Włącznie z moim życiem. Jedynie służyłam innym.

Judit wreszcie pogodziła się, nie tylko z nią, ale i z życiem. Je również łączy pewne wspólne uczucie, takie samo jak z tym nędznym Hallerem, handlarką jarzyn, panią Mucsi, aptekarzem Rieglerem, wszystkimi rodzicami jej uczniów. Po latach ta cała masa

głupstw, których Judit się naczytała i nie potrafiła strawić, nabierze sensu. Już obecnie chce dostrzegać prawdziwy sens rzeczy i myśląc o szkole nie czuje się jak wygnany monarcha, lecz jak pielgrzym przekraczający święte progi. W gruncie rzeczy Judit jest uczciwym człowiekiem, wie, na czym polegał jej błąd, i ma odwagę przyznać się do tego. Kiedyś, gdy ona, Marta, będzie bardzo stara, tak stara jak najstarsza koleżanka z grona pedagogicznego, stanie się altruistką do tego stopnia, że ani przez moment nie będzie się zastanawiać, dlaczego Zsófi jest dzieckiem Judit, a nie jej.

Jeszcze telefon. Oczywiście Hidas. Hidas jest mądry, bez słów wszystko rozumie, wie, co i jak się stało, że w tej niebieskiej kopercie musiało coś być, zapewne wie też, dlaczego Dóra krzyknęła do Hallera, wie wszystko. Przyjemnie jest słyszeć jego głos, ale dlaczego jest taki wzruszony i uroczysty? ... *branoc Jóska, jestem zmęczona, ty też idź spać. Co ty pleciesz? Kto przychodzi na moje miejsce? Nikt, ja zostaję, myślałam, że już wybiłeś sobie te bzdury z głowy. Dlaczego sądzisz, że odchodzę? Nie rozumiem. Co? Do czego jestem zdolna? Halo! Nie odkładaj słuchawki!*

Odłożył, głupi. Nie musi jej opłakiwać, bo ona wcale nie odchodzi, nie po to w ostatnich dniach na łeb, na szyję załatwiała wszystkie sprawy, żeby nic nie zostało na wrzesień, nie, nie, skąd znowu. Jóska się myli. Jeszcze tego brakowało, żeby ten wariat doprowadził ją do płaczu; jest dziś strasznie wrażliwa, ale to dlatego, że się tyle nabiegała. „Ty się z nami żegnasz, ja to czuję — powiedział. Co za dureń! — Tak bardzo kochasz dzieci, że nawet byłabyś zdolna je opuścić.”

Wystarczy spojrzeć przez okno, by zobaczyć zalane księżycową poświatą mury szkoły i leciutko szeleszczące klony na placu. W tych murach zawiera się wszystko, co nadaje sens jej życiu. Jej dzieci, których

nie mogła wydać na świat, kontakty z ludźmi, setki rodzin zamiast jednej jedynej rodziny. Dlaczego płacze? Skąd Jóska mógł wiedzieć wcześniej od niej, że odejdzie, by zostać Głównym Mędrce, i zostawi szkołę?

Księżyc płynął dalej w stronę ulicy Katony. Kató zaparzyła kawę tylko dla siebie, gdyż Kálmán na nic nie miał ochoty. Teczka nareszcie wróciła do domu, nie było w niej nic poza wiatrówką, ale po co ją brał na taki upał, tego naprawdę nie można zrozumieć. I marnotrawstwa, którego nauczył się od tej kobiety, powiedział, że wyrzucił starą brzytwę, więc wczoraj kupił nową — a oto proszę, brzytwa się znalazła, teraz ma dwie, jedną na dni powszednie, a drugą na niedziele, szasta pieniędzmi na prawo i lewo. Co też Marianna może robić? Na pewno spisuje się najdzielniej z całego obozu. Prócz tego dziecka ona nikogo w życiu nie miała. Kálmán nie należy do niej w stu procentach, chyba nigdy nie należał. Gdyby to nie było dziwne, sądziłaby, że Kálmán płacze, bo z sypialni dochodzą odgłosy podobne do płaczu, ale z pewnością tylko kaszle, nic dziwnego, przecież tyle pali.

Mimo wszystko to jest okropne, że Kálmán tak strasznie kłamie! Po co napuszczał ją na Zsófi, jeżeli sam zatrzęsnał drzwi? I z Judit się pokłóciła, do czego to podobne? Co prawda i tak Judit nie lubi, jak można lubić kogoś, kto stale tylko poucza? „Kálmán dlatego cię nie kocha, że czuje się przy tobie jak w niewoli. Jedynie wolny człowiek może być drugiemu wierny.” Jaka ona mądra, szczególnie gdy komuś trzeba udzielać rad!

— Śpij! — powiedział pan István do Czarnej.

Dlaczego ona się tak wierci, dlaczego nie śpi? Wstyd się przyznać, ale wstał przez nią z łóżka, poszukał i dał jej tego wstrętnego futrzanego zająca. Erzsi zawsze spała z pajacem Móricem, który natychmiast ją rozweselał, tym razem jednak Czarna nie potrzebuje niczego, tylko przewraca się na poduszce. Biedny robaczek, nie ma nikogo na tym bożym świecie. Świetnie się dobrali, jedno ma futrzanego zajączka, a drugie słomkowy kapelusz na ścianie. „Nie chcesz ich widzieć, prawda? — pomyślał. — To, że ktoś cię urodził albo był twoim ojcem, nic nie znaczy, jeżeli zrzucił cię z siebie jak oset, do zakładu też cię nie ciągnie, choćby miał najwspanialszy park, wiem o tym, mimo że nic nie mówisz. Do czego byłaś przyzwyczajona, jak wychowałyby cię Piórko? Nawet nie wiem, kim był twój ojciec, któremu nie byłaś potrzebna. Nie umiesz gotować, zachowujesz się jak dzika kotka, może dlatego cię znoszę, że jesteś taka dzika. Czuję wstręt do twojego imienia, kto słyszał takie imię, ani razu się tak do ciebie nie zwróciłem, to mogło cię zabołec, choć nic nie powiedziałaś, Niedojdo.”

— Czy byliście bogaci? — spytał.

Dóra uniósłszy głowę odrzekła, że nie.

— Miałaś dużo ładnych ubrań?

— Wszystkie po Viki.

— A ładne mieszkanie?

Nic nie odpowiedziała. Jak można o tym mówić? W ich mieszkaniu nigdy nie było spokoju.

— Głucha jesteś?

Cisza.

— Nie lubiłaś go?

— Nie.

— A żal ci siostry?

— Zostawiła mnie — odparła Dóra.

— No widzisz. Nie szkoda jej. Śpij!

Zamknęła oczy, odwróciła się, okryła zajęczka, tak że spod kołdry wystają tylko jego uszy i czubek głowy Czarnej. Najwyższy czas, noc nie jest po to, żeby człowiek jakieś smarkule kołysał do snu. Oczy mu się kleją, kiedy przed południem wdrapywał się z chorą nogą z piwnicy do pokoju nauczycielskiego, myślał, że stanie w połowie drogi, tak mu serce biło. Och, poczciwe łóżko, jak dobrze jest się wyciągnąć! Trzeba przyznać, że Czarna słucha się, ledwie sapie, tak zresztą powinno być. Jeśli dziecku coś się każe, nie ma prawa się odszczekiwać. Nie będzie się kręcił, nie chce zakłócać tej miłej ciszy.

Obudził go jakiś stuk, więc zaczął macać szukając lampy. Co za diabeł stuka w samym środku nocy? Jak długo mógł spać? Dnieje czy jeszcze nie minęła północ? Gdy natrafił na kontakt i pod wpływem nagłej jasności zamrugał oczyma, sen w jednej chwili uleciał mu spod powiek, jakby go oblano kubłem wody. A więc to tak? Zapomniał o złamanej nodze i chciał wyskoczyć z łóżka, ale niestety nie mógł, więc dźwignął się tylko.

Dóra stała koło wieszaka w ubraniu i w butach. Zdejmując plecak strąciła z umywalki mydło i pudełko z przyborami do golenia. Nawet nie pisnęła, lecz zobaczywszy, że kuśtyka w jej kierunku, przycupnęła na piętach koło ściany niczym jakiś mały woreczek i skuliła się przed nim, ściskając kolana.

Teraz spuści jej manto, nie wykrepi się. To on ją karmi, trzyma u siebie, wpuszcza do swego łóżka, nawet zaniósł jej zajęca, a ona okazuje się taką samą włóczęgą i ladacznicą jak siostra? Do kogo się wybierała? Do Karcsi Seresa? Żeby ją zawiózł tam, gdzie Piórko? W przypływie złości przypomniał sobie, co

Dobozi szeptała zawsze o Karcsim Seresu. Ale zbliżywszy się do Dóry nie uderzył jej, tylko wyjął dziewczynce plecak z ręki i tak wyrznął nim w ścianę, że dwa słiki konfitur, usmażone dla niego przez Dobozi, aż podskoczyły na szafie.

Dóra podniosła głowę. W jej oczach nie zaszklili się ani jedna łza.

— Nie pójdę do zakładu! — rzekła.

Cholera jasna, znowu ten zawrót głowy, musi usiąść. Jak tylko się czymś podnieci, zaraz mu się w głowie kręci. Czarna na pewno nie podejdzie do niego tak jak Cielę, nie weźmie go za rękę, za chwilę wyniosą go na noszach.

— Ja też pojechałam z Viki — powiedziała. — Dotarłam do Tahi, ale wróciłam.

Pierwszy raz o tym słyszy. Jeżeli pojechała, to czemu wróciła? Wytrzeszczył na nią oczy.

— Tu się urodziłam — usłyszał po chwili. — Tu się urodziłam.

O tej porze jeszcze nigdy nie zapalił fajki. Ta Czarna przewraca wszystko do góry nogami, zamienia dzień w noc.

— To po co wyruszyłaś drugi raz?

— Wcale nie tam. Nie za granicę, tylko poza Budapeszt.

— Kogo masz na prowincji?

— Nikogo.

— To co chciałaś tam robić?

— Pracować.

Ściągnął z Dóry czerwoną kurtkę, a kiedy zaczęła odsznurowywać buty, zamknął pokój na klucz i zawiesił go na sznurku na szyi. Niech teraz spróbuje uciec, jeżeli wylezie przez okno i przebrnie przez węgiel, wydobędzie się na ulicę tylko wtedy, kiedy za-

mieni się w pająka i wdrapie się po nagim, ogniochronnym murze na wysokość czterech pięter. Choćby się zesrał, nie zrozumie, dlaczego lepiej pracować, niż siedzieć w zakładzie, gdzie wszystko pod nos podetkną i można być pewnym, że nikt nie zrobi krzywdy; każdy uczeń wie, że tym z przytułku dobrze się dzieje.

— Wolę jednego człowieka niż wielu naraz — powiedziała Dóra. Teraz łza błysnęła jej w oku, ale szybko przełknęła ślinę i twarz jej znowu stała się dzika. To nie Cielę, ta mu się nie rozbeczy. Zapakowała nawet koszulę nocną, więc musiała wyciągnąć ją z plecaka.

Tym razem nie powiedział Czarnej, żeby spała, i nie wetknął jej zająca w rękę. Leżeli obok siebie, każde zajęte własnymi myślami. Pan István myślał o tym, że człowiek wyszedłszy ze szkoły widzi kościół, pocztę, fontannę z piorącą dziewczyną i naprzeciwko aptekę. Plac otacza szesnaście domów. Wydaje się, że tu tylko kamienie i kurz, a jednak nie, bo oto gdy taki dzieciak opuści go, w pewnym momencie plac zaczyna za nim wołać, jakby przemawiał ludzkim językiem, a wówczas ten, który go opuścił, wraca. Matka nie odezwała się do niej. Plac — tak.

„Czy pan umie deklamować wiersze?” — spytało Cielę. *W tym mieście rodzinnym... W tym mieście... Wolę jednego człowieka niż wielu naraz.* Gdy Erzsi zginęła, Dobozi rozbeczała się przy nim, była wtedy młodsza, jeszcze nie nazywała się Dobozi, lecz Eszter Vince, i powiedziała: „Ma pan, panie Pongrácz, mnóstwo dzieci naokoło, pociesz się pan, ja to panu mówię.” „Mnóstwo dzieci — pomyślał wtedy. — Jedno by wystarczyło.”

Pomacał po sąsiednim łóżku. Dóra leżała na wznak, dotknąwszy palcami jej twarzy poczuł, że jest gorąca i wilgotna.

— Dóra!

A więc wypowiedział, niech Bóg błogosławi tę idiotkę, jej matkę chrzestną! Nie odzywa się, choć usłyszała, aż drgnęła pod kołdrą, tak pilnie nasłuchuje.

— Parszywe to mieszkanie, prawda? Mieszkałaś w nim, więc sama wiesz. Wilgotne, ściany pokryte saletrą, słońce nigdy nie zagląda, wiecznie tylko węgiel widać. Słyszysz?

Cisza.

— I mnie już znasz, wstrętny jestem, nie umiem ładnie mówić. Nie chodziłem do szkoły, pisać też nie lubię; próbowałem tego wieczorowego czegoś tam, ale nie dałem rady, bo wieczorem jestem zmęczony i głowa już nie chwyta, mam już starą głowę. Czego się gapisz?

Uklękała na łóżku i złożywszy ręce patrzy na niego.

— I biję, zawsze biłem. Dałem lanie Zsófi, każdemu dam. Sam anioł by ze mną nie wytrzymał, prawda?

Bezwstydną! Podrywa się, włazi do jego łóżka i przykłada głowę do jego poduszki. Mało tego, jeszcze szepcze mu coś do ucha, a on nawet za młodu nie mógł spać, gdy ktoś oddychał koło jego szyi.

— Uciekaj do swojego łóżka, bo ci przyłożę.

Nie rusza się, wręcz przeciwnie, przywiera do niego, a on zamiast wywalić ją z łóżka, zaczyna tłumaczyć.

— Jutro pójdziesz do Rady, rozumiesz? Tam zaczną cię prowadzić jak konia na targowisku, pokazywać wszystkim po kolei, ale tym się nie przejmuj, słyszysz? Pójdziesz do Opieki nad Dzieckiem, na parterze, a Radę stąd widać, jeżeli w porę wyruszymy i wezmę się w kupę, może doleżę, nie będziesz sama, nicponiu.

Erzsi też tak zasypiała, tak samo niespodziewanie i szybko jak kamień wrzucony przez człowieka do wody i zapadający w głębinę. Sapie tuląc poduszkę. Teraz może wygramolić się z łóżka i przejść do drugiego, opuszczonego przez Czarną, bo z kimś drugim nie będzie spał, choćby go krajali na kawałki.

XXV

Tuż po wpół do dziewiątej rano Zsófi przebiegła przez korytarz w suterenie. Pokój był pusty. Klucz tkwił w zamku, więc weszła do środka, już było posprzątane, tylko nie zmyto naczyń po śniadaniu, dwa kubki, talerzyk, łyżki oraz nóż kuliły się przykryte na dnie miski. Na środku stołu leżały pieniądze i karteczka, taka sama, jaką zawsze zostawiała mamusia, tyle że pisana ręką pana Istvána. Cóż to dzisiaj jest, może jego urodziny, że prosi o kupienie połówki kurczaka? Dobrze, że nie chce żywego, boby go nie zabiła i nie umiała oczyścić.

Ale gdzie oni mogli się podziać?

Wzięła koszyk i udała się do hal. Székely ponuro zerknął na nią z portierni. „Patrzcie, jaka wielka pani się z ciebie zrobiła — pomyślał. — Nie mogę dać ci pisma w garść, tylko mam zanieść po południu do mieszkania. Smarkata. Mówią, że Marta Szabó odchodzi. Niech idzie, gdzie ją oczy poniosą. Niech pogania innych.” Ależ zły dziś pan Székely. Podparł się łokciami na książce doręczeń.

Pani Dobozi zamiata schody, jakżeż ona utyłła, z trudem dopina fartuch. Na tabliczce, przymocowanej do drzwi od klatki schodowej, widnieje napis: **DZIŚ KOREPETYCJI NIE BĘDZIE!** Cóż to się stało, jeszcze nie

zdarzyło się, żeby pani Marta przed południem nie przysłała do szkoły. Nie jest chora, bo z klatki schodowej dobiega jej głos, woła do pani sekretarki, że musi iść do Rady. Bardzo się spieszy, tylko słycać stukot jej bucików, tak pędzi. Już jest przy niej. Tak, idzie do hal, pan István zamówił kurczaka, ale nie ma go w domu. „Niedługo wróci” — rzekła pani Marta. Jeśli Zsófi idzie do hal, to kawałek do Rady będą mogły pójść razem.

Dziś nie jest tak ciepło jak wtedy, gdy Zsófi wybrała się do Rady — wówczas na asfalcie zostawały ślady obcasów. Wiał wiatr, góry wydawały się bliskie, jakby wznosiły się na sąsiedniej ulicy. Pani Marta nie mówiła ani o wuju Kálmánie, ani o Dórze. Obmacywała twarz narzekając, że musi iść do dentysty, od rana ómi ją ząb.

„Nerw — pomyślała Zsófi. — Oczywiście może też być wrzód. I to złe, i to niedobre.”

Przed kamiennym mężczyzną i kamienną kobietą teraz nikt nie siedział. Pani Marta spojrzała na zegar umieszczony na frontonie budynku: była za piętnaście dziesiąta.

— No to serwus! — rzekła, a Zsófi aż drgnęła, gdyż pani Marta wyciągnęła do niej rękę jak do dorosłego. Pani Marta czasem podawała rękę dzieciom, lecz tylko wtedy, kiedy odbierała od nich jakieś przyrzeczenie, przechodziły do innej szkoły albo ostatecznie kończyły naukę.

Zsófi na moment przestało bić serce. Czy czasem nie wyrzucają jej z powodu wuja Kálmána?

— Na jesieni już nie przyjdę do szkoły — usłyszała; podniosła wzrok, tak nieprawdopodobnie, tak

niebывale zabrzmiały słowa nauczycielki, niemal tak samo jak to, że tatusia nie ma.

— Gdyby nie wczorajszy dzień, trudniej by mi było się z tobą rozstać.

Dlaczego? Co sprawiło, że teraz lżej jej odejść? Koszyk jest pusty, a mimo to bardzo cięży. Stuk, puk, cześć, chata i szaf sześć. Wczoraj pani Marta, by dodać jej odwagi, trzymała ją za rękę. Ona nigdy nie zapomni upodobnienia wstecznego.

— Do wczoraj nie zauważyłam, że już nie jesteś sierotą.

Zsófiika cofnęła się, jej oblicze zasnuło się pełnym oburzenia smutkiem i żalem. Niech sobie idzie, niech się nawet z nią nie żegna, niech idzie, jeżeli jest taka bezduszna, taka zła. Tatuś. Tatuś!

— Może nawet o tym nie wiesz?

O czym? Teraz znów serce zaczyna jej walić jak szalone, ta chwila ma w sobie coś odrażającego i pociągającego zarazem. Dziewczynka nie wie, co by wołała: żeby pani Marta powiedziała czy zamilkła.

— Masz mnóstwo ojców. Wydaje mi się, że gdy dziecko zostaje sierotą, wówczas ojcem staje mu się cały świat.

Szklane drzwi zamykają się poślizgowym ruchem, na jezdni trąbią auta. Zsófiika siada na schodach budynku, spuszcza głowę na kolana, koszyk stawia obok. Siadając słyszy w kieszeni brzęk pieniędzy pana Istvána. Słońce praży ją w kark. Pod zamkniętymi powiekami widzi tatusia, jest ogromny, ma okulary na nosie, stoi w gabinecie i śmiejąc się podnosi w górę Tóbiása: „Tóbiás jest prawdziwym kawalerem, ma wszystkie zęby!” Później stoi już nie w gabinecie, lecz na rusztowaniu, na głowie ma torebkę, w ręku kielnię i gwizdź: *Jesienią dojrzewają, miła, czarne winogrona. Potem wyciąga jakąś szufladę, przebiera między zielo-*

nymi kartami, jest w beżowej, otwartej pod szyją koszuli, ale nogę ma w gipsie, pali fajkę i burczy: „Niedojda! Cielę!”

Ktoś nieznajomy, nawet nie widzi, kto, pochyla się nad nią, kładzie jej rękę na ramieniu i pyta: „Czy ktoś cię skrzywdził, moje dziecko?” Zsófi nie spogląda w górę, bo nie może mówić, tylko przecząco potrząsa głową, a słowa, których się tyle naszukała, dźwięczą w jej sercu potężnie jak dzwon. Wieje wiatr, wokół budynku szumią drzewa.

*„Czytelnik”, Warszawa 1964. Wydanie I.
Nakład 10 290 Ark. wyd 14,25, ark. druk. 21,5
Papier druk m/gł. 82 X 104, kl. IV, 65 g z Kluczy.
Oddano do składania 13. V. 1964. Podpisano do
druku 18. XI 64 Druk ukończono w styczniu 1965 r.*

Drukarnia Wydawnicza w Krakowie

Zam. nr 320/64. G 046 Cena zł 19.—

Printed in Poland